

HORYZONTY

ZDARZEN

ROBERT J.

# SZMIDT

**APOKALIPSA  
WEDŁUG  
PANA JANA**



Robert J. Szmidt

# **Apokalipsa według Pana Jana**

Copyright © by Robert J. Szmidt  
All rights reserved

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Prolog - Ognie w Ruinach](#)

[Część Pierwsza - Wolne Miasto](#)

[Część Druga - Rzeczpospolita](#)

[Część Trzecia - Granica](#)

*Książkę tę dedykuję osobom,  
bez udziału których  
nie miałyby szansy powstać;  
Kasi i Piotrowi.*

*Osobną dedykację składam Andrzejowi Z.,  
który już dawno zdeterminował  
przyszłość świata „Apokalipsy...”*

## Prolog

# Ognie w Ruinach

Nigdy nie zapomnę tego momentu. Właśnie odkładałem książkę i sięgałem do kontaktu, by zgasić światło, gdy zadzwonił telefon. Spojrzałem na stojący obok łóżka zegarek. W pół do drugiej nad ranem – trochę za późno na zwykłą rozmowę. Podniosłem słuchawkę, czując narastające napięcie towarzyszące mi zazwyczaj w takich momentach. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, usłyszałem nieznany mi męski, nosowy głos:

– Czy to doktor Piwowski? – padło lakonicznie pytanie, ale nawet te kilka dźwięków pozwoliło mi wyczuć w tonie rozmówcy duży niepokój.

– Tak, to ja. W czym mogę pomóc? – zapytałem najgrzeczniej jak mogłem czując, że nie jest to zwykły telefon z prośbą o pomoc medyczną. Tego numeru nie podawałem moim pacjentom. Oni dzwonili zazwyczaj na numer komórkowy, o tej porze trafiając na automatyczną sekretarkę.

– Mówi podporucznik Adam Jastrzębski ze sztabu Okręgu Dolnośląskiego, kod Alfa-Alfa – usłyszałem w odpowiedzi. – Otrzymał pan kartę mobilizacyjną, proszę natychmiast zgłosić się w macierzystej jednostce.

– Ale ja... – szczerze mówiąc, zaskoczył mnie i nie wiedziałem za bardzo, co mam powiedzieć. – Ale jak?

– Za kilka minut pod pana dom podjedzie nie oznakowany samochód. Proszę zabrać zestaw mobilizacyjny i czekać na transport przed bramą.

– Tak jest – wymamrotałem do słuchawki, ale nikt już tego nie usłyszał. Mój rozmówca rozłączył się w momencie wypowiedzenia ostatniego słowa. Zapewne miał jeszcze wiele takich telefonów do wykonania.

Wstałem z łóżka i przejechałem dłonią po twarzy. Szorstki jednodniowy zarost nie był problemem. Przy mobilizacji nikt nie zwróci uwagi na taki szczegół. Sięgnąłem po wytarte dzinsy i wyjąłem z szafy świeżą koszulę. Potem, po chwili namysłu, wybrałem wygodne, choć schodzone wysokie buty. Na końcu sięgnąłem po stojący w głębi szafy plecak. Każdy z nas, odchodząc ze służby w jednostkach specjalnych, otrzymał identyczną torbę z zestawem narzędzi, lekarstw i sortów mundurowych potrzebnych w razie niespodziewanej mobilizacji. Miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiał wyjmować go z dna szafy, ale jak widać – myliłem się. Spojrzałem na zegarek, od odłożenia słuchawki minęły już trzy minuty. Nie miałem wiele czasu na zastanawianie się. Założyłem kurtkę, przyglądając włosy, przejrzałem się po raz ostatni w lustrze i wyszedłem na korytarz, cicho zamykając drzwi.

Mieszkałem na trzecim piętrze starej pruskiej kamienicy, jakich pełno stoi w śródmieściu Wrocławia. Skrzypiące schody, pamiętające jeszcze czasy późnego Bismarcka, prowadziły mnie na spotkanie przeznaczenia. Odruchowo odliczyłem je, jakbym chciał zapamiętać ich ilość. Cztery półpiętra po dziewięć stopni i pięć dodatkowych przy wyjściu z bramy. Otworzyłem masywne drzwi i delikatnie domknąłem je za sobą, pamiętając, jak głośno potrafią trzasnąć o futrynę. Na ulicy panowała całkowita cisza. O tej porze miasto spało, w żadnym z widocznych okien nie paliło się światło. Przeszedłem na chodnik, mijając niewielkie ogródki znajdujące się przed budynkiem, rzecz na ogół niespotykaną w naszych miastach, ale jakże urozmaicającą urbanistyczną pustynię.

Zapowiedzianego transportu jeszcze nie było. Stałem, nasłuchując dźwięków dochodzących z głównej ulicy przebiegającej za szkołą, do której uczęszczałem przed laty. Cisza sprzyjała rozmyślaniom. Na razie starałem się nie snuć żadnych domysłów, co do powodów tego nocnego alarmu. Oglądając wieczorne wiadomości, nie zauważyłem, by cokolwiek groźnego stało się w Europie czy na świecie. Wiedziałem jednak, że ta mobilizacja to nie zwykłe ćwiczenia na jakie wzywano mnie od czasu do czasu, nie pozwalając zgnuśnieć w cywilu. Nigdy nie kazano mi zabierać na manewry zestawu mobilizacyjnego. Ten drobny, było nie było, szczegół wskazywał, że coś się wydarzyło. Mimo usilnego przetrząsania pamięci, nie znalazłem niczego, co mogłoby być przyczyną mobilizacji. Postanowiłem nie interpretować zbyt pochopnie faktów. Za kilkanaście minut, jak tylko

dotrę do jednostki i trafię na odprawę, powinienem poznać odpowiedzi na wszystkie pytania. Ale przekonanie to nie było na tyle silne, by zagłuszyć niepokój kiełkujący już gdzieś na dnie świadomości.

Niepokój, że ten alarm jest ostatni...

W oddali rozległ się przeciągły zgrzyt kół nocnego tramwaju hamującego przed przystankiem obok Browaru Piastowskiego. Znajomy dźwięk wyrwał mnie na moment z zamyślenia. W odpowiedniej chwili. Kilka sekund później zza rogu wyjechała oliwkowa furgonetka i skręciła w moją ulicę. Podniosłem z chodnika plecak, zarzuciłem go na ramię i raz jeszcze spojrzałem na ciemne okna mieszkania. Potem zdecydowanym ruchem otworzyłem drzwi i wszedłem do wypełnionego w połowie pojazdu.

– Kapitan Piwowski, Alfa-Alfa – rzuciłem w kierunku kierowcy i nie czekając na odpowiedź, zająłem pierwsze wolne miejsce. Minibus ruszył, zanim spocząłem na siedzeniu. Kilkanaście sekund później po raz ostatni spojrzałem przez zakurzoną szybę w wylot ulicy, na której spędziłem ponad połowę życia.

Podróż nie trwała długo. Po mnie do samochodu wsiadło jeszcze tylko dwóch ludzi mieszkających bliżej centrum. Obaj zmobilizowani, podobnie jak ja, zameldowali się kierowcy i bez słowa zajęli puste miejsca. Spojrzałem na tył kabiny, korzystając z chwili zamieszania, jaką wywołał przeciskający się wąskim przejściem nowy pasażer. Nie znałem nikogo z obecnych, co specjalnie mnie nie zaskoczyło. Uzmysłowiłem sobie jednak, że w czasie jazdy nie słyszałem tak charakterystycznego szmeru przyciszonych rozmów. Teraz zrozumiałem, dlaczego. Wszyscy obecni siedzieli przy oknach, wpatrując się w uśpione miasto i ignorując w ten sposób pozostałych pasażerów. Nie było w tym nic dziwnego. Sam nie miałem w tej chwili ochoty na rozmowę z kimkolwiek, ale wiedziałem, że to minie. W końcu człowiek jest zwierzęciem stadnym i najlepiej czuje się w towarzystwie innych podobnych mu osobników. A my nie byliśmy wyjątkami, potrzebowaliśmy jedynie czasu, by przystosować się do nowej sytuacji. Obserwując wnętrze pojazdu, zauważyłem jeszcze jedno, każdy z moich współtowarzyszy miał na piersi żółtą nalepkę z numerem identyfikacyjnym. Skleroza nie boli. Sięgnąłem do bocznej kieszeni plecaka i wyjąłem swój identyfikator. Wypisano na nim kod D-26.



Właśnie przejeżdżaliśmy przez Odrę Mostem Uniwersyteckim, by po paru minutach nieprzerwanej jazdy wymarłymi ulicami dotrzeć do dworca, a potem już w konwoju z kilkoma innymi pojazdami przebrnąć rozkopaną niemal na całej długości ulicę Powstańców Śląskich. Naszym celem, jak się wkrótce okazało, była niewielka jednostka wojsk łączności mieszcząca się opodal gmachu regionalnej telewizji. Dosłownie o dwie ulice dalej spędziłem niedawno wieczór, odwiedzając mojego przyjaciela Andrzeja, który właśnie wybierał się do Bristolu na serię wykładów. Spojrzałem na zegarek i szybko obliczyłem, że powinien być już na miejscu od kilku dobrych godzin. Pamiętałem, jak się cieszył, że tym razem leci z żoną i trójką dzieciaków.

Nawet nie wiedział, jakiego miał farta.

Wjechaliśmy na teren koszar bardzo szybko i sprawnie. Nikt nie sprawdzał dokumentów przy bramie. Szczerze mówiąc, nie widziałem wartowników. Minibusy ustawiły się w równym szeregu po prawej stronie placu apelowego, znajdującego się tuż za ogrodzeniem z siatki zwieńczonej zwojami drutu kolczastego. Wypluły swoją zawartość, czyli nas, po czym zniknęły w duszących oparach spalin wydobywających się z wiekowych silników diesla, wracając na miasto po kolejną partię pasażerów.

Na terenie całej jednostki trwała krzątania. Zauważyłem ustawione po drugiej stronie placu autobusy, a przed nimi stały, przy których rejestrowano nowo przybyłych. Sprawdziłem, który z punktów przyjęć oznakowano literą D i ustawiłem się w niezbyt długiej kolejce. Przyglądając się ludziom stojącym przede mną, zauważyłem, że prócz mnie tylko jedna osoba z naszego minibusu stanęła w tej kolejce. Była nią wysoka brunetka w luźnej flanelowej koszuli i z gęstymi włosami opadającymi do połowy pleców. Stała o cztery miejsca przede mną, ale poznałem ją właśnie po tych włosach, na które zwróciłem uwagę, gdy wysiadała, przeciskając się obok mojego miejsca. Jak zwykle wysiadłem ostatni. Takie już mam przyzwyczajenie, sam nie wiem, skąd.

Kontrola nie trwała dłużej niż pięć minut, jednak za sprawą adrenaliny wydawało się, że minęła godzina od momentu, gdy podniosłem z zakurzonego bruku swój plecak. Stres zaczynał robić swoje. Wreszcie przyszła moja kolej. Położyłem przed oficerem dyżurnym książeczkę wojskową, a on – po sprawdzeniu danych i jednym przelotnym spojrzeniu na mój identyfikator – określił mnie na liście mobilizacyjnej. Dostałem z



powrotem dokumenty, a do tego pas z pistoletem, amunicję i zalakowaną kopertę noszącą ten sam numer identyfikacyjny, jaki miałem na piersi.

– Autobus D – poinformował mnie lakonicznie oficer dyżurny i były to jedyne słowa, jakie wypowiedział.

On sięgnął po dokumenty następnego żołnierza, a ja przeszedłem między stolikami, przerzuciwszy przez ramię broń i skierowałem się do stojącego opodal ciemnooliwkowego autokaru. Na tylnej szybie przyklejono krzywo arkusz brystolu z wymalowaną literą D. Szedłem powoli, rozglądając się po placu. Właśnie zjawiała się nowa fala pojazdów i kolejna grupa milczących ludzi dołączyła do kolejek. Cisza, porządek, profesjonalizm. To właśnie cechowało ludzi z jednostek specjalnych. Uczono nas opanowywać emocje na polu walki i bezzwłocznie wykonywać polecenia. W czasie wojny tylko zdyscyplinowani żołnierze mieli szanse na przeżycie, stąd brak paniki tak typowej w sytuacjach alarmowych w jednostkach służby zasadniczej. Jednak pomimo wyszkolenia, czułem narastającą nerwowość. Coś się działo i to coś dużego, skoro ściągnięto nas tu w takim pośpiechu i w takiej ilości. W tej chwili na placu przebywały na oko dwa plutony zmobilizowanych żołnierzy, a przecież byliśmy zaledwie małym ogniwem w długim łańcuchu maszyny wojennej. Co gorsza, nadal nie bardzo mogłem skojarzyć, dlaczego ogłoszono mobilizację. Przecież Polska nie była zaangażowana w żaden konflikt zbrojny, a przynajmniej nikt nie mówił o tym w radiu i telewizji. Naszych dzienników nie byłbym taki pewien, ale kilka godzin temu oglądałem wiadomości CNN. To był naprawdę spokojny tydzień. Nie wydarzyło się nic, co usprawiedliwiałoby wyrwanie ludzi z zacisza domowego i wcielanie bez słowa wyjaśnienia do armii? Ta tajemnica za parę chwil przestanie być tajemnicą, wziąłem to za pewnik. Niemniej przedłużające się oczekiwanie na wyjaśnienie było, prawdę mówiąc, denerwujące.

Sierżant stojący przy tylnych drzwiach autobusu sprawdził mój identyfikator. Zaznaczył coś na liście, którą trzymał w ręce i wskazał mi głową prowadzące do ciemnego wnętrza schodki. Zanim zanurzyłem się we wnętrzu starego Jelcza, zauważyłem, że sierżant zrywa kartkę z szyby autobusu. To mogło oznaczać, że byłem ostatni i w rzeczy samej oznaczało. Zająłem jedyne wolne miejsce w ostatnim rzędzie pomiędzy wyglądającym jak Schwarzenegger komandosem i dziewczyną z busika. Teraz mogłem przyjrzeć się nie tylko jej włosom, ale i twarzy. Była ładna, zaskakująco

ładna. W innych okolicznościach na pewno stanowiłaby obiekt zainteresowania większości pasażerów autobusu. Niestety o jej sylwetce, prócz tego, że była dobrze zbudowana, co zauważyłem podczas oczekiwania w kolejce, niewiele mogłem powiedzieć. Luźna koszula ukrywała wszelkie kształty, niczym najlepszy bojowy kamuflaż. Uśmiechnąłem się do niej, ale nie odwzajemniła uśmiechu. Z jej oczu wyczytać można było tylko strach. Zapewne należała do niższego szczebla personelu medycznego, który również powoływano do służby w razie zagrożenia konfliktem. Jeśli tak było, to rzeczywiście musiała szykować się niewąska awantura. Sam straciłem ochotę na uśmiech.

Autobus ruszył, gdy tylko sierżant wszedł i zatrzasnął drzwi. Przeszedł kołyszącym krokiem na przód pojazdu i przekazał swoją listę majorowi, który podniósł się z siedzenia za kierowcą. Oficer sprawdził szybko listę, a sierżant w tym czasie przeliczył obecnych. Potem złożył krótki meldunek i usiadł na swoim miejscu. Major stanął na schodkach przy pierwszych drzwiach i wziął do ręki mikrofon. Zupełnie jak przewodnik na wycieczkach, na które jeździłem jako dziecko. Nadszedł czas wyjaśnienia, przynajmniej miałem taką nadzieję.

– Czołem żołnierze – powitał nas tubalnym głosem starego frontowca, którym pewnie był, sądząc z ilości baretek przywiezionych zapewne z Bałkanów, a może nawet Bliskiego Wschodu. – Nazywam się major Sawicki i choć nie jestem waszym przełożonym, na czas transportu do jednostki macierzystej pozostajecie pod moją komendą.

Zawiesił na moment głos, bardziej chyba dla efektu niż z innych powodów, wyczuwając napięcie panujące w zatłoczonym autobusie. A może po prostu zastanawiał się, jak nam przekazać treść rozkazów?

– Moim obowiązkiem jest poinformowanie was, w jakim celu zostaliście zmobilizowani – powiedziała, wreszcie. – To odrobinę skomplikowane, zatem przedstawię całą sytuację w skrócie. Jeśli będą jakieś pytania, odpowiem na nie po zakończeniu wyjaśnienia. Zrozumiano?

– Tak jest, panie majorze – odpowiedział chór głosów, do którego i ja się dołączyłem.

– Dobrze, zatem zacznę od początku. To nie są ćwiczenia. Zostaliście zmobilizowani w związku z wydarzeniami, jakie miały miejsce w kilku rejonach świata w ciągu ostatnich trzech godzin. Punkt pierwszy, konflikt atomowy na Półwyspie Koreańskim. Z danych wywiadu NATO wynika, iż

Północ przeprowadziła zmasowane uderzenie na strefę zdemilitaryzowaną, niszcząc przy okazji największe miasta południa i Ósmą flotę. Pół godziny później Indie i Pakistan dokonały wymiany uderzeń nuklearnych. Mamy doniesienia o czterdziestu eksplozjach o mocy od trzystu kiloton do jednej megatony. W chwili obecnej mamy też potwierdzenie o całkowitym zniszczeniu New Dehli, Bombaju, Karaczi, Islamabadu. Liczby ofiar nie sposób obliczyć, ale szacujemy, że śmierć poniosło do tej chwili nie mniej niż pięćset pięćdziesiąt milionów ludzi. Co więcej, wojna ta spowodowała już następstwa w innych regionach świata. Chiny zaatakowały Tajwan korzystając z chwilowej niedyspozycji flot amerykańskich, ale na razie nie użyto broni masowej zagłady. Zaogniła się też sytuacja na Bliskim Wschodzie, gdzie najprawdopodobniej dojdzie w najbliższych godzinach do wybuchu ogromnej rebelii Arabów przeciw Izraelowi. Hekatomba azjatycka rozpętała reakcję łańcuchową. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Rząd Rzeczypospolitej od dawna wyczekiwał odpowiedniego momentu, w którym oczy świata zostaną zwrócone w innym kierunku, by przywrócić zagarnięte ziemie wschodnie do macierzy. Od wielu miesięcy siły zbrojne były rozlokowywane na ścianie wschodniej pod pozorem manewrów i przegrupowań zgodnych z oczekiwaniami naszych sojuszników. W tej chwili agencje prasowe zostały poinformowane o naruszeniu granicy Polski przez zmotoryzowane oddziały ukraińskie. To oczywiście chwyt propagandowy. W ramach kontrataku za kilkanaście minut nasze doborowe dywizje przekroczą granicę z Ukrainą i rozpoczną operację wyzwolenia świętych miejsc naszej ojczyzny. Ponad sto tysięcy żołnierzy, dwa tysiące czołgów i wozów bojowych, dwieście samolotów. Ta masa sprzętu i wojska powinna zmiażdżyć opór niczego nie spodziewającego się wroga. Polska znów stanie się mocarstwem Europy. Da Bóg, będzie sięgać od morza do morza.

W tym miejscu major zamilkł na chwilę i rozejrzył się po autobusie. Nie tylko ja zdębiałem, słysząc te słowa. Wprawdzie Ukraina przed dwoma laty przestała aspirować do udziału w strukturach zjednoczonej Europy i coraz bardziej skłaniała się ku związkom z dawnym swoim sojusznikiem, czy raczej okupantem, jak zwano powszechnie Rosję, ale otwarty atak na to państwo nie mieścił mi się w głowie. Spojrzałem na prawo. Schwarzenegger wyraźnie nie podzielał mojego zaskoczenia. W jego oczach malował się, widoczny nawet w tych warunkach, zachwyty. Zapewne

już widział siebie jako zdobywcę Lwowa, a kto wie – może nawet i Kijowa. Za to siedząca po lewej stronie kruczowłosa piękność wpiła się paznokciami w moje przedramię, czego nawet nie zauważyłem do tej pory. I niech ktoś powie, że kobiety nie mają intuicji. Uwolniłem się od uścisku dziewczyny i podniosłem rękę, by zadać pytanie, jakie pewnie rodziło się w wielu głowach w tej chwili. Sawicki dostrzegł mnie i powiedział:

– Spokojnie, żołnierze, jeszcze nie skończyłem. – Wziął do ręki plik papierów i oblizał spierzchnięte wargi. – To zaledwie ogólny zarys sytuacji. Szczegóły operacji „Orlęta” znajdziecie w zalakowanych kopertach, które otrzymaliście na punktach zbornych. Zawierają one szczegółowe rozkazy, które na pewno różnią się, i to diametralnie, w każdym przypadku. Jedno jest tylko wspólne we wszystkich tych dokumentach: miejsce, w którym przyjdzie wam służyć ojczyźnie. Nazwaliśmy je Bastion, gdyż stanowić ono będzie ostatni bastion polskości, jeśli plany dowództwa z jakiegoś powodu nie zostaną wykonane. Jak pewnie zauważyła większość z obecnych, opuściliśmy przed chwilą teren miasta i udajemy się w kierunku góry Ślęży, swego czasu świętego miejsca. Większość z was wie też, że ten teren podczas drugiej wojny światowej niemieckie wojska wykorzystwały do produkcji zbrojeniowej. W naturalnych jaskiniach, w jakie obfituje górotwór, wykuto kilometry sztolni i korytarzy, w których niewolnicy produkowali nowe rodzaje broni dla Trzeciej Rzeszy. Większości z tych korytarzy nie zbadano do dzisiaj, przynajmniej oficjalnie. – Tu Sawicki uśmiechnął się zagadkowo, co nie uszło mojej uwadze. – Tak przynajmniej sądziła większość naszego społeczeństwa. I dobrze, gdyż od pięciu lat wojsko pracowało nad odnowieniem starych instalacji, unowocześnieniem ich i rozbudowaniem. Dość powiedzieć, że trzy miesiące temu oddano do użytku największy kompleks umocnień istniejący w Europie, a może i na świecie. Dwa tysiące żołnierzy może w nim spędzić ponad trzy lata, nie wychodząc na powierzchnię. I nie muszę dodawać, że macie zaszczyt bycia jednymi z tych, którzy zostali wybrani do odbycia służby w Bastionie. Ku chwale ojczyzny!

– Ku chwale ojczyzny – odpowiedzieli pasażerowie autobusu, ale bez wigoru, z jakim major podał okrzyk.

Ponownie podniosłem rękę, by zadać dręczące mnie pytanie. Tym razem Sawicki skinął głową z aprobatą.

– Proszę, kapitanie Piwowski, słucham pana.

– Jak rozumiem – zacząłem, ostrożnie ważąc sowa – generał Wałdoch wziął pod uwagę, że Ukraina dysponuje jeszcze kilkudziesięcioma głowicami nuklearnymi pozostałymi po dawnych siłach strategicznych ZSRR?

– W rzeczy samej – odparł pułkownik. – Dlatego właśnie udajecie się do Bastionu. Osobiście nie sądzę, by Ukraina posiadała rakiety zdolne do przenoszenia tych głowic, co potwierdzają zresztą dane naszego wywiadu. Ale sztab generalny zdecydował, że warto zachować wszelkie środki ostrożności na wypadek ograniczonego ataku jądrowego, który wydaje się absolutnie niemożliwy w centrum Europy. Skutki byłyby opłakane dla wszystkich krajów sąsiadujących z Polską, w tym i samej Ukrainy, ze względu na zachodnie wiatry, jakie wieją przez ponad trzysta dni w roku. Nie sądzę, by Kijów był zdolny do akcji odwetowej na taką skalę i to przeciw krajowi zrzeszonemu w NATO.

– A Rosja? – zapytał ktoś z pierwszych miejsc.

– Ukraina nie podpisała jeszcze żadnych konkretnych paktów z konfederacją Rosji i Białorusi, choć jest już tego bliska. Zresztą przy zaognionej sytuacji w Azji oczy Kremla będą zwrócone na Chiny. Żołnierze, ta wojna została dokładnie zaplanowana i zakończy się naszym sukcesem w ciągu najbliższych dni.

– Cztery reformy z końca lat dziewięćdziesiątych też zostały dokładnie zaplanowane – rzucił ktoś – a jakoś do dzisiaj musimy znosić ich skutki. I nie widać końca tej udręki.

To miał być pewnie żart, ale nikt się nie roześmiał. Sawicki popatrzył groźnie na autora tej wypowiedzi.

– Pan porucznik zdaje się nie podziela opinii sztabu generalnego – wycedził złośliwym tonem trepa, który zabiera się do obróbki kotów.

– A nie podziela – odparł łysawy facet siedzący w trzecim rządzie przy oknie, teraz widziałem wyraźnie, kto się wypowiadał. – Miał okazję służyć w wywiadzie i nie zgodzi się z opiniami rządowych ekspertów. Zresztą frontalny atak na Ukrainę bez wypowiedzenia wojny to pogwałcenie wszelkich traktatów i umów, co nie pozostanie Polsce zapomniane. Być może rządowi wydaje się, że w ten sposób odwróci uwagę społeczeństwa od swoich przekrętów, albo uratuje kulejący budżet. Niemniej wszyscy wiemy, że ta wojna, podobnie jak setki innych posunięć naszych władz, zakończy się totalnym chaosem. Założę się, że członkowie gabinetu

premiera wraz z rodzinami siedzą już od wczoraj w bunkrach pod Radzyminem. A to na pewno nie uszło uwadze agentów rosyjskich, a może nawet ukraińskich, nie wspominając wszystkich innych.

– Może tak, a może nie – odparł enigmatycznie Sawicki. – Ja nie jestem tu po to, by dyskutować o poglądach politycznych, poruczniku Zawadzki, ani o tym, gdzie teraz jest premier i jego rodzina. Mam was przygotować do służby w Bastionie i tyle. Czy ktoś ma jeszcze jakieś uwagi i pytania?

Jak na komendę podniósł się las rąk. Sawicki pokręcił głową, nakazując opuszczenie ich.

– Spokojnie żołnierze, nie zdążę odpowiedzieć wszystkim. Mamy przed sobą jeszcze najwyżej pięć minut jazdy. Może przybliżę wam ideę Bastionu w tym czasie. – Nie zanosilo się, by chciał odpowiedzieć na więcej natarczywych pytań cisnących się na usta pasażerów autobusu i kontynuował tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Wehrmacht pozostawił w 1945 roku ponad szesnaście kilometrów tuneli i dwadzieścia komór służących za magazyny, niektóre położone w samym środku masywu Ślęży. Nasi inżynierowie przebudowali sztolnie i poprowadzili wykopy do wielu nowych komór, których istnienia jeszcze dwa, trzy lata temu nikt się nie domyślał. W chwili obecnej kompleks Bastionu jest całkowicie samowystarczalny. Odkryte przez nas, odizolowane od milionów lat, zbiorniki wody podskórnej wystarczą dla przewidywanej ilości mieszkańców na dziesiątki lat, systemy filtrów pozostawione przez Niemców i zmodyfikowane w ubiegłym roku w ramach systemów europejskich ochrony środowiska należą do najbardziej wydajnych na świecie. Teoretycznie zostały stworzone na potrzeby hut i elektrowni atomowej w Żarnowcu, ale okazały się idealne dla projektu Bastion. Zabezpieczenia tuneli wlotowych są równie niezawodne. Śmiem twierdzić, iż nawet uderzenie w masyw Ślęży kilku głowic penetrujących nie będzie w stanie zagrozić całości kompleksu. Nawet Norad pod górą Cheyenne nie ma lepszej ochrony. Przygotowaliśmy się też na ewentualność prowadzenia walki po okresie przetrwalnikowym. W komorach najbliższych powierzchni znajduje się kilka batalionów czołgów Twardy-2 oraz dwa dywizjony rozmontowanych samolotów myśliwskich i helikopterów Sokół-2 na transporterach. Wszystkie wraz z niezbędnymi zapasami części zamiennych i paliwem potrzebnym do długoterminowego działania. Jedna ze sztolni została zaadoptowana na podziemny pas startowy...

– Ile to kosztowało, do cholery? – zapytał znów Zawadzki. – Przecież taki projekt musiał pochłonąć lwią część budżetu ministerstwa obrony narodowej – a jakoś nie widziałem tam podobnych pozycji wydatkowych.

– Nie wasza sprawa – odburknął Sawicki wyraźnie rozeźlony dociekliwymi pytaniami.

– A czyja, jeśli mogę zapytać? – nie dawał za wygraną porucznik. – Miliony emerytów nie miały za co wykupić lekarstw, a wy wydaliście miliardy na jakieś pieprzone podziemne lotnisko? Przecież w Borach...

– Nie przeginajcie Zawadzki! – ostrzegł major brutalnie wchodząc mu w słowo. – To jest wojna i podlegacie rygorom wojennym, a kwestionowanie rozkazów oznacza jedno. Sąd wojenny. I czapę. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

– Doskonale pan wie majorze, że to ludzi, którzy wpakowali nas w ten pasztet należałoby oddać pod sąd – odparł Zawadzki, ale już spokojniejszym głosem. – Przez ostatnie lata nasz kraj stał na krawędzi załamania gospodarczego, bo gros funduszy płynęło na projekty chorej wyobraźni paru decydentów. Ukraina odpowie atakiem atomowym na radosny przemarsz naszych dywizji, cokolwiek by pan nie mówił. Choćby dlatego, że nie posiada sprawnej armii zdolnej powstrzymać kogokolwiek w sposób konwencjonalny. Nawet tak słabo wyszkolonych i uzbrojonych oddziałów jak nasze. Te główce to ich zabezpieczenie. Jedyne zabezpieczenie. I dlatego ich użyją, gdy zobaczą, że zostali zaatakowani. Prezydent Rohaty to tchórz, podobnie jak cała tamtejsza generalicja, jak długo trwało odsuwanie od władzy Kuczmy? Gdyby nie Bush... To wszystko koniunkturalni aparatczycy. W dziesięć minut po tym, jak otrzymają informację, że nasza armia przekroczyła granicę, każą odpalić przynajmniej część ładunków nuklearnych na zachodnią Polskę. Zwłaszcza teraz, gdy Hindusi i Chińczycy pokazali, że można użyć tej broni, nie będą się wahać. Powinien pan to wiedzieć, panie majorze. Nasza komórka przygotowała taką analizę dla sztabu generalnego ponad trzy lata temu.

– Dość tego, poruczniku – ryknął niespodziewanie Sawicki. – Po przybyciu do Bastionu zostanie pan aresztowany i oddany pod sąd! – Wymierzył ostrzegawczo palcem w niepokornego żołnierza. – Nie będzie żadnego odwetu i już. Należymy do NATO i nikt, a zwłaszcza tak wyniszczony kraj jak Ukraina, nie zaryzykuje wojny z całym paktem. A teraz przygotować się do odprawy, zbliżamy się do Bastionu.



– O ile wiem, atakując Ukrainę naruszamy parę paragrafów naszej umowy z sojuszem, a to zmienia postać rzeczy...

– Milczeć! – ryknął Sawicki. – Za kogo wy się uważacie, poruczniku, że pouczaście ekspertów sztabu generalnego i rządu!

Zawadzki nie odpowiedział. Uśmiechał się jedynie ponuro, nie spuszczać wzroku z poczerwieniałej twarzy majora. Spojrzałem przez okno i zobaczyłem, że autobus jedzie leśną drogą. Przez przyciemnione szyby niewiele było widać, gdy wyjechaliśmy poza obręb miasta. Zastanawiałem się nad słowami podoficera wywiadu i doszedłem do wniosku, że w tym, co mówił była duża doza prawdopodobieństwa. Po coś w końcu jechaliśmy do bazy wojskowej ukrytej we wnętrzu góry, która miała ochronić nas przed potencjalnym atakiem nuklearnym. Zanim zdążyłem dojść do konkretniejszych wniosków, zatrzymaliśmy się. W autobusie panowało wymowne milczenie, które ponownie przerwał Zawadzki.

– Nasi chłopcy przekraczają właśnie granicę – powiedział odkładając rozkazy, które wydobyl z koperty i spoglądając na zegarek. – A to oznacza, że za dziesięć do dwunastu minut przekonamy się, czy ja mam rację czy pan, majorze.

I przekonaliśmy się. W niespełna dziesięć minut od chwili, gdy Zawadzki wypowiedział swoje słowa, znaleźliśmy się w wylocie tunelu prowadzącego do Bastionu. Usytuowano go we wnętrzu budynku starej, chyba jeszcze poniemieckiej zwirowni. Tak przynajmniej sądziłem, choć przyznam, iż wiedzę na temat podobnych miejsc miałem mizerną.

Autobus, po chwili postoju, wjechał do obszernej hali, w której stały taśmociągi i stożkowate pryzmy żwiru – stąd moje skojarzenie. Hala miała tylko trzy ściany murowane, czwartą stanowiła lita skała. W niej to właśnie zobaczyłem okrągły wlot tunelu o przekroju dobrych dwunastu metrów. Po obu jego stronach widziałem masywne, metalowe wrota, pokryte warstwą skały lub substancją idealnie ją imitującą. Gdy autobus zbliżył się do czarnej paszczy, prowadzącej w głąb góry, miałem okazję przypatrzeć się im z bliska. Zauważyłem, iż na ponad dwumetrowej grubości konstrukcji z metalu przymocowano warstwę prawdziwego kamienia. Sprytnie pomyślany mechanizm zsuwał obie połówki wrót, dociągając je i hermetyzując na specjalnym kołnierzu, a skalna nakładka rozcięta wzdłuż nierównych, acz wyglądających na naturalne, pęknięć skały zapewne

idealnie maskowała wejście. Zapewne, gdyż nie dane mi było widzieć efektu, ale domyślałem się, że musiało pozostać niewidoczne dla postronnych obserwatorów, którzy pojawiliby się tu przypadkiem, lub nie.

Wjechaliśmy do tunelu jako ostatni. Gdy autobus zatrzymał się na jedynym jeszcze wolnym miejscu i zaczęliśmy z niego wysiadać, wrota ruszyły z chrzęstem, by powoli przesłonić otwór wejściowy. Przyznam, że poczułem zimny dreszcz, patrząc, jak znany mi świat, widoczny zza wrót, zwięża się coraz bardziej. Trwało to może pół minuty, podczas której – jak zauważyłem – wszyscy zamarli, spoglądając na tę scenę w milczeniu. Dopiero huk zatraskiwanych wrót i syk sprężonego powietrza układów hermetyzujących sztolnię przywrócił nas do rzeczywistości. Rozejrzałem się po współpasażerach. Zawadzki stał niedaleko mnie i z uporem maniaka wpatrywał się w zegarek. Majora nie widziałem w pobliżu. Sam spojrzałem na cyferblat, by sprawdzić, ile czasu minęło od rozpoczęcia inwazji. W tej samej chwili poczuliśmy, jak skała wokół nas drży i kołysze się. Spojrzałem na Zawadzkiego, który oparł się rękami o autobus i starał się ustać na szeroko rozstawionych nogach. Mnie się to nie udało. Leżąc na kamiennej podłodze, wsłuchiwałem się w niesamowity zgrzyt kamiennych ścian i krzyki ludzi uciekających w panice do kolejnych komór i pod autobusy. Z łukowatego sklepienia posypało się kilka odłamków skały. Światła zamigotały, ale nie zgasły. Poczułem czyjąś rękę na ramieniu. To wszystko trwało najwyżej kilkanaście sekund.

– Już po wszystkim, panie kapitanie – powiedział porucznik Zawadzki.  
– Wjazd do Bastionu znajduje się po niewidocznej z kierunku miasta stronie Ślęzy. Cały masyw góry chroni nas przed skutkami odległej o kilkanaście kilometrów eksplozji nuklearnej.

– Więc to była... – Słowa z trudem wydobywały się ze ściśniętego gardła.

– A słyszał pan o trzęsieniach ziemi powyżej 7 stopni Richtera w tym rejonie Europy? – odparł Zawadzki, pomagając mi wstać. – Ci idioci z Warszawy nigdy nie wierzyli w to, co im wysyłałaliśmy. A teraz nie będzie nawet gdzie wysłać raportów.

\*\*\*

Wszystko to wydarzyło się ponad dwa lata temu. Tyle czasu spędziliśmy w przepastnych trzewiach świętej góry Ślęzy, czekając na możliwość powrotu na powierzchnię. Nie wiedzieliśmy, co się stało na górze. Jedno było pewne, oczekiwane przez dowództwo meldunki i rozkazy nie nadeszły żadną z dróg przewidzianych w sytuacji kryzysowej. Analiza sejsmologiczna wykazała, że w ciągu kilku dni po naszym przybyciu do Bastionu na Ziemi wiele się wydarzyło. Jeśli wierzyć żołnierzom obsługującym specjalistyczny sprzęt, zanotowano ponad osiemset wstrząsów, których bezpośrednią przyczyną, choć niekoniecznie mogły być eksplozje nuklearne. To zaś mogło oznaczać, że znany nam świat przestał istnieć, ale musieliśmy poczekać ponad dwa lata, by przekonać się o tym naocznie.

Dokładnie po siedmiuset pięćdziesięciu dniach uznano, że poziom radiacji na powierzchni opadł na tyle, by można było przeprowadzić rekonesans bez narażania się na napromieniowanie zagrażające życiu. Oczekano jeszcze kilkadziesiąt dni, zanim wydano rozkaz przeprowadzenia zwiadu. Spośród dwóch tysięcy mieszkańców Bastionu wybrano trzech straceńców. Oczywiście wypadło na mnie. Drugą osobą był kapitan Paweł Zawadzki, buntownik z autobusu, z którym zdążyłem się zaprzyjaźnić – pomimo usilnych starań majora Sawickiego nie postawiono mu żadnych zarzutów. Co więcej, słuszność jego analiz spowodowała, że szybko awansował i znalazł się wśród zaufanych doradców generała Wałdocha, dowódcy Bastionu.

Znajomości z nim zawdzięczałem przydział do tej misji. Jak sądzę, to właśnie Paweł mnie do niej przydzielił. Wielokrotnie rozmawialiśmy o tym, że chciałbym znaleźć się na powierzchni podczas takiego zwiadu. Byłem lekarzem, ale ostatni rok spędziłem na przygotowywaniu raportów i analiz o sytuacji radiologicznej na powierzchni. Trzecią osobą przydzieloną do tej misji był bliżej nieznany mi komandos z jednostki powietrzno-desantowej – kierowca i spec od masy sprzętu, jaki mieliśmy zabrać ze sobą. Major Tomasz Zachwatowicz, tyle wiedzieliśmy z rozkazu. Spotkaliśmy go dopiero przy samochodzie terenowym, którym mieliśmy udać się na rekonesans. Był wysoki i barczysty, jak przystało na spadochroniarza. Sprawdzał z listą w ręce, czy niczego nie brakuje w przydzielonym wyposażeniu. Gdy podeszliśmy do niego, niedbale odpowiedział na salut.

– Zachwatowicz jestem – powiedział, jakby to wszystko tłumaczyło.

Przedstawiliśmy się równie lakonicznie i ułożyliśmy nasze rzeczy na tylnych siedzeniach pomalowanego w maskujące barwy Hummera. Podobno było to kiedyś ruchome stanowisko dowodzenia, teraz jednak po wymontowaniu większości wyposażenia, wóz ten został wytypowany na najlepszy środek transportu dla pierwszego zwiadu. Słusznie zresztą, bowiem był najlepszą tego typu maszyną, jaką mieliśmy w Bastionie. Major kończył już sprawdzanie i zniecierpliwiona generalicja, która pojawiła się na przeszklonej galerijce śluzy powietrznej – oni nigdy nie podejmowali ryzyka – mogła wreszcie dać nam rozkaz wyjazdu.

Wsiedliśmy do łazika i Zachwatowicz włączył silnik. Nieużywany od jakiegoś czasu diesel zakopcił niewielkie pomieszczenie o wiele szybciej niż ktokolwiek by pomyślał i przez dobre dwadzieścia sekund musieliśmy wstrzymać oddech, zanim turbiny systemu wentylacyjnego zdołały opanować sytuację. W chwilę później wewnętrzne grodzie z cichym chrzęstem zamknęły wylot tunelu. Na moment zgasły światła i znaleźliśmy się w całkowitych ciemnościach.

– Ciemność widzę, ciemność – powiedział Zachwatowicz, po czym roześmiał się rubasznie. A już myślałem, że to kolejny nadęty dupek myślący, że jest słowiańskim wcieleniem Johna J. Rambo.

– Światła w podłodze? Wszystko tu popieprzone – odpowiedział Paweł cytatem na cytata.

Nie pozostało mi nic innego, jak dołączyć do dialogu. Myślę, że wybrałem trafnie.

– Czy jest tu wyjście na miasto? – zapytałem i w tym momencie zewnętrzne wrota z przeraźliwym trzaskiem ruszyły na boki, zagłuszając nasz śmiech.

Do wnętrza śluzy wpadł promień oślepiającego światła. Na szczęście fotochromatyczne okulary zniwelowały ten błysk. Szpara poszerzała się przy akompaniamencie piekielnych dźwięków rozcieranego na miał kamienia. Dobre dwadzieścia sekund trwało, zanim otwór poszerzył się na tyle, by przepuścić łazika. Zachwatowicz przeżegnał się i lekko nacisnął pedał gazu. Trzytonowy pojazd ruszył powoli w stronę światłości, która objęła najpierw płaską maskę wozu, a potem przednią szybę. Trochę to przypominało sceny z filmów Spielberga.

Wyjechaliśmy na leśną przecinkę. W każdym razie kiedyś musiała to być przecinka wśród niemal stuletnich sosen, z których teraz pozostały

wypalone kikuty sięgające kilkanaście metrów w górę. Major przejechał krótki odcinek w dół i zatrzymał wóz obok pordzewiałej i okopconej tabliczki ostrzegającej przed paleniem ognia w lesie. Dozometr zamontowany na desce rozdzielczej nie wykazywał zbyt wysokiego poziomu promieniowania, zresztą kombinezony, jakie nosiliśmy, dzięki hermetycznym zamknięciom pozwalały na poruszanie się w znacznie bardziej skażonym terenie.

– Czy może pan, kapitanie, zbadać skład chemiczny powietrza? – zapytał Zachwatowicz. Skinąłem głową i otworzyłem torbę z analizatorem. Trwało dobrą minutę, zanim ekran komputera wypełnił się danymi.

– Brak substancji chemicznych i biologicznych, które mogłyby zagrażać życiu – powiedziałem po przejrzeniu wykresów. – Przynajmniej według tej maszynki.

– To dobrze – odparł komandos – bo mam zamiar pooddychać tym powietrzem bez pośredników.

To mówiąc, odpiął hełm i wciągnął powietrze nosem. Wypuścił je długim wydechem, po czym sięgnął do leżącego na siedzeniu obok niego chlebaka i wyciągnął paczkę cameli. Z nabożeństwem ściągnął z niej folię i otworzył. Wsunął do ust jednego papierosa i zapalił sztormowymi zapałkami z zestawu survivalowego. Paweł w tym momencie poszedł w jego ślady. Ściągnął hermetyczny hełm i poprosił Zachwatowicza o papierosa. Ja nie paliłem. Nigdy nie zrozumiałem, co przyjemnego jest we wciąganiu dymu do płuc, ale widząc zachwycone miny moich współtowarzyszy, domyślałem się, że coś w tym musi być. Cały Bastion objęty był całkowitym zakazem palenia, nie tylko z powodu aktywnych systemów przeciwpożarowych, ale i lekkiej niewydolności systemów wentylacyjnych, które oparto na starych, ponemieckich rozwiązaniach. Z pewnym ociąganiem zdjąłem swój hełm i wciągnąłem pierwszy haust świeżego powietrza. Prócz dymu z papierosów nie czułem żadnego zapachu ani smaku. Spalony las już dawno przestał czymkolwiek pachnieć.

Przerwa na papierosa trwała dobre pięć minut, podczas których nie rozmawialiśmy. Oni delektowali się camelami, ja obserwowałem okolicę. Jak okiem sięgnąć, a nie była to zbyt wielka przestrzeń, nie widziałem skrawka zieleni. Wypalone drzewa, wypalona ziemia i niezwykle błękitne niebo bez jednej chmury. Cisza tak kompletna, że dźwięczała w uszach. To właśnie ta cisza była w tym wszystkim najgorsza. Zachwatowicz jakby

czytał w moich myślach. Wsunął do odtwarzacza płytę kompaktową i nagle otoczyła nas ściana muzyki.

– Znowu w życiu mi nie wyszło – pamiętałem te słowa. Budka Suflera, *Sen o dolinie*. Ruszyliśmy w dół zbocza, słuchając kolejnych taktów muzyki. Patrzyłem na monotony obraz spalonego lasu i podobnie jak bohater tej piosenki zagłębiłem się w myślach o dolinie, ku której zmierzaliśmy, a która kiedyś była naszym domem.

\*\*\*

Zbliżaliśmy się do Wrocławia, omijając niewielkie miejscowości leżące przy trasie na Wałbrzych. Naszym głównym zadaniem było sprawdzenie, w jakim stopniu ucierpiało miasto po ataku nuklearnym i czy możliwe jest przywrócenie go do ewentualnego zasiedlenia. Mieliśmy dotrzeć jak najbliżej centrum, do bunkrów pod dawnym Urzędem Wojewódzkim, gdzie znajdowało się Regionalne Centrum Kryzysowe. Tam mieliśmy znaleźć wyniki i odczyty ze wszystkich urządzeń pomiarowych zainstalowanych wokół miasta na wypadek podobnych zdarzeń. Według sztabowców powinno to zająć nie więcej niż sześć godzin, aczkolwiek Zachwatowicz od początku był nastawiony do tego limitu czasowego sceptycznie. Dlatego postanowił omijać wszystkie miejscowości na trasie, byśmy mieli jak najwięcej czasu na odnalezienie szybów prowadzących do Centrum. Nie sposób było nie zgodzić się z jego opinią. Teraz, w promieniach słońca, martwy krajobraz wydawał się upiorny, a co będzie po zachodzie, woleliśmy nie myśleć.

Tuż po czternastej zatrzymaliśmy się na skraju szosy, niedaleko centrum handlowego przy autostradzie. Przystanki parkingi wokół Ikei i pozostałych domów towarowych były kompletnie puste. Same hale wystawowe zdawały się być nietknięte kataklizmem, przynajmniej z daleka. Obserwacja terenu przez lornetki pokazała jednakże znacznie smutniejszą rzeczywistość. Popękane i opalone fasady, w wielu miejscach, a tam, gdzie konstrukcja była słabsza, kilkumetrowe wyrwy. Za terenami centrum handlowego widać było fragment samego miasta. Z tej odległości mogliśmy dostrzec gołym okiem kikuty kominów elektrociepłowni i postrzępioną bryłę wieżowca Poltegoru, który zamienił się w sterczący na kilkanaście pięter szkielet z betonu i stali. Fala uderzeniowa odarła go z

wszelkich elementów fasady i zdmuchnęła ścianki działowe wewnątrz biurowca, pozostawiając jedynie żelbetonową konstrukcję i tak naruszoną w kilku miejscach.

Obserwowaliśmy te obrazy przez kilka minut, robiąc przy okazji kolejne pomiary, ale i tutaj poziom radiacji na razie nie przekraczał normy. Wreszcie Zachwatowicz usiadł za kierownicą i ruszyliśmy do wiaduktu nad autostradą, prowadzącego do trasy wylotowej, którą dwa lata temu opuściliśmy Wrocław. Droga była przejezdna, kilka zardzewiałych i wypalonych wraków nie zdołało jej zablokować. Niemniej major prowadził Hummera ostrożnie, omijając dawno już zastygłe kałuże stopionego niegdyś asfaltu, jakby się bał, że masywne koła pojazdu utkną w nich unieruchamiając nas na dobre. Przejechaliśmy tak niemal do skrzyżowania przed starym cmentarzem czerwonoarmistów. Przyglądałem się dwóm czołgom T-34, które dumnie strzegły tego miejsca, jeszcze nie tak dawno stojąc na wysokich cokołach. Teraz leżały zaryte w płyty chodnika, zdmuchnięte falą uderzeniową niczym zrobione z plastiku modele. Zagapiłem się na nie, gdy nagle poczułem szarpnięcie, które nieomal rzuciło mnie na przednie siedzenie. Zachwatowicz zahamował gwałtownie i wskazał ręką w głąb ulicy.

– Co się dzieje? – Paweł był nie mniej zaskoczony ode mnie.

– Tam ktoś jest, widziałem ruch obok tego budynku po prawej – powiedział major i sięgnął po lornetkę.

Stałą, opierając się łokciami na przedniej szybie i lustrował powoli wylot ulicy. My również staraliśmy się coś dostrzec, nie wychylając się zbyt z wozu. Nie zauważyliśmy jednak nic, co potwierdziłoby słowa komandosa. I nie zobaczyliśmy, ale usłyszeliśmy. Suchy trzask strzału dotarł do naszych uszu dokładnie w momencie, gdy bezwładne ciało Zachwatowicza zważyło się na siedzenie. Padając, przechylił się na tyle, bym zobaczył, że zamiast prawego oka ma krwawą miazgę.

Snajper! Ta myśl sparaliżowała mnie i pewnie stałbym się drugą ofiarą napastnika, gdyby nie przytomna reakcja Pawła. Pociągnął mnie za ramię w ostatniej chwili. Przeznaczony dla mnie pocisk wbił się tuż obok w obicie siedzenia, zanim dotknąłem ramieniem leżącego między mną a Zawadzki plecaka.

– Skurwysyn – syknął Paweł. – Strzela do nas, chociaż mamy znaki czerwonego krzyża.



Wyciągnął z kabury pistolet i podniósł na nim hełm ze stroju ochronnego. Przesuwał nim na prawo, tak by wyglądało, że próbuje wyczołgać się z Hummera. Kolejny strzał zerwał lekką plastikową materię z lufy Glocka i rzucił ją daleko za samochód. Paweł zaklął i przeładował broń.

– W tych pieprzonych kombinezonikach nie mamy najmniejszych szans na ukrycie się – rozejrzał się na tyle, na ile pozwalała sytuacja. Staliśmy na odkrytym terenie. Najbliższa przeszkoda dająca jakiegokolwiek schronienie znajdowała się o dobre pięćdziesiąt metrów. Miał rację, jaskrawożółte, plastikowe kombinezony nie były projektowane z myślą o bieganiu. Ich zadaniem było zapewnienie maksymalnej swobody ruchu przy pełnym odizolowaniu od środowiska zewnętrznego. I tutaj należało się pełne uznanie temu, kto je projektował. Niemniej, nie zdołalibyśmy w nich zrobić pięciu kroków, zanim snajper nie dołączyłby nas do swojej kolekcji.

– Pozostaje nam jedno – powiedziałem, wyciągając z torby białego T-shirta. Paweł skinął głową. Owinąłem go wokół lufy pistoletu maszynowego Zachwatowicza i uniosłem w górę na tyle, by była widoczna. Pomachałem nią wolno i oparłem broń o przednie siedzenie. Koszulka powiewała na słabym wietrze, a my kuliliśmy się na swoich siedzeniach, nie słysząc nic poza miarowym dudnieniem silnika. Ten dźwięk zagłuszał wszystkie inne i nie mieliśmy pojęcia, czy przeciwnicy zbliżają się do nas, czy też czekają na moment, gdy się wychylimy, by zakończyć tę zabawę. Trwało to może z kwadrans, a może tylko minutę. Adrenalina nie pozwalała mi na prawidłową ocenę upływającego czasu. Właśnie sięgałem po kałasznikowa, by raz jeszcze pomachać białą flagą, gdy usłyszałem wolno wypowiedziane słowa. Wypowiedziane po polsku!

– Zostaw to, synku.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem trzech mężczyzn w trudnym do określenia wieku, którzy podeszli nas od tyłu. Wszyscy nosili wyraźne ślady poparzeń i choroby popromiennej. Każdy trzymał w ręku myśliwski sztucer. Ten, który stał najbliżej wyciągnął do mnie lewą rękę, nie opuszczając broni.

– Podaj mi go – powiedział – ale nie rób gwałtownych ruchów.

Wykonałem polecenie. Gdy automat znalazł się w jego rękach, pozostali ustawili się tak, by widzieć nas obu. Paweł mruknął coś niezrozumiale. Spojrzałem w drugą stronę, tutaj też stało kilku obszarpańców z karabinami

gotowymi do strzału. Gestami kazali nam wysiąść, co też uczyniliśmy. Zawadzki w uniesionej do góry ręce trzymał nadal swój pistolet. Odebrali mu go, zanim zdołał stanąć na asfalcie. Moja broń nadal tkwiła w kaburze, ale równie szybko pozbyłem się jej, jak i paska. Kazali nam uklęknąć przy burtach wozu. Nie pozwolili też opuścić rąk.

– Jesteśmy lekarzami wojskowymi – powiedziałem powoli i wyraźnie.  
– Ten samochód nosi znak czerwonego krzyża. Nie powinniście nas atakować. Chcemy wam pomóc.

– Tak, tak – powiedział ten, który zabrał kałasznikowa. Jak zauważyłem, zdążył już założyć moją koszulkę, która teraz kontrastowała z resztą jego ubrania noszącego ślady wielu, chyba niezbyt miłych, wydarzeń. – A my jesteśmy siedmioma krasnoludkami.

– Nie kłamię – odparłem najspokojniej jak potrafiłem. – Mam w kieszeni dokumenty. Przed... przed wojną mieszkałem we Wrocławiu. Na Ołbinie.

– Wierzę, wierzę – powiedział tamten, przeszukując zabitego majora. Nie widziałem dokładnie, co robił, ale pomruk, jaki wydobył się z gardeł pozostałych świadczył, że chyba dotarł do paczki cameli. – Tyle, że ja obudziłem się pewnego ranka na kupie ruin z dupą w strupach i grzywką Kojaka a ty, razem z resztą swoich koleśki odpowiedzialnych za ten burdel, zadekowałeś się gdzieś w bunkrach, by paląc fajki i dupcząc panienki, czekać, aż wyzdychamy.

– Dostałem kartę mobilizacyjną na kilka godzin przed wybuchem wojny. Nawet nie wiedziałem, dlaczego.

– Biedaczek, oderwali go od cycusia – zaśmiał się ten w koszulce. – A może nie, może cała twoja rodzinka została zmobilizowana?

– Mówię prawdę, przyjechali po mnie wieczorem...

– Przestań pieprzyć, przystojniaczku. – Drugi z napastników pochylił się nade mną i przyłożył mi lufę myśliwskiej fuzji do szyi. – Wiemy dobrze, kto został wybrany do przeżycia tego bagna. Są tu jeszcze tacy, co pamiętają, kto i dlaczego załatwił nam ten Armageddon.

Odwiódł kurki. Powoli, jeden po drugim. Zamknąłem oczy i zacisnąłem zęby. Zawsze wydawało mi się, że w takiej sytuacji walczyłbym do końca jak ranne zwierzę, ale teraz czułem swoją bezsilność. Strach mnie sparaliżował, modliłem się o kilka dodatkowych sekund życia i... śmierć

nie nadeszła. Facet w koszulce odsunął dyszącego nienawiścią napastnika i poczęstował go papierosem zabranym martwemu Zachwatowiczowi.

– Zostaw tego śmiecia, Mateusz – powiedział. – On należy do Burmistrza. Nie chcesz chyba skończyć, wisząc za jaja na wieży ratusza za to, że zabiłeś Wysłannika.

– No, nie chcę, panie sierżancie – zgodził się z nim mężczyzna zwany Mateuszem. – Ale poproszę pana Jana, żeby pozwolił mi się nimi zająć, jak tylko skończy przesłuchanie.

Przełknąłem ślinę. Na razie darowano nam życie, ale miałem poważne wątpliwości, co do najbliższej przyszłości. Nie widziałem Pawła, ale mógłbym się założyć o każdą sekundę z czasu, jaki nam pozostał, że i on myślał podobnie.

\* \* \*

Szliśmy za Hummerem ze związanymi rękami, jak złoczyńcy w westernach. Nasi oprawcy rozsiedli się w łaziku i paląc ostentacyjnie camele Zachwatowicza, cicho rozmawiali między sobą. Nie słyszałem nawet, o czym. Przejechaliśmy w ten sposób całą ulicę Powstańców i minęliśmy ulicę prowadzącą do Dworca Głównego. Poruszaliśmy się dość wolno, nie dlatego, że chcieli nas oszczędzić, ale raczej z powodu braku wprawy w kierowaniu mężczyzny, którego nazywali sierżantem.

Miasto wyglądało dość ponuro, zwłaszcza teraz, gdy powoli zapadał zmierzch. Większość kamienic w tej okolicy pochodziła sprzed wojny, sprzed drugiej wojny światowej. Zbudowane z cegły wytrzymały niszczycielskie działanie fali uderzeniowej i termicznej. W przeciwieństwie do Poltegoru, który rzeczywiście został dosłownie wypatroszony. W żadnym oknie nie widziałem szyb. Puste otwory, pozbawione nawet ram, odsłaniały poczerńiałe ściany mieszkań na parterze. To, czego nie zniszczył ogień i siła podmuchu, zostało zabrane przez tych, którzy przeżyli. Tak mi się wydawało. Między budynkami od czasu do czasu widziałem krzyże wetknięte w niewielkie kopczyki ziemi. Nie było ich wiele, ale świadczyły o tym, że śmierć nie zabrała wszystkich mieszkańców okolicy. Przynajmniej nie od razu. Zmierzch odkrył jeszcze jedną prawdę o tym miejscu. Dzisiaj nikt nie zamieszkiwał ruin przy Powstańców i Piłsudskiego. Robiło się chłodno, a niebo przybrało barwę ciemnego

granatu. A jednak w ani jednym oknie nie widziałem migotliwych błysków ognia. Nigdzie też nie było żywej duszy.

Chwilę później mineliśmy Plac Kościuszki. Tutaj zauważyłem pierwsze oznaki życia. W gmachu domu towarowego mieszkali ludzie. Na dźwięk klaksonu wylegli przed budynek i w milczeniu patrzyli na samochód, machając do siedzących na nim mężczyzn. Mijaliśmy ich w niemal całkowitym milczeniu. Zdawało się, że nie zauważają nas. Ale myliłem się, i to bardzo. W pewnym momencie z grupki gapiów wyszła dziewczyna. Była młoda, chyba nie miała jeszcze osiemnastu lat. Trudno to było ocenić, gdyż prócz brudu jej twarz i odkryte ramiona szpeciło wiele blizn. Zbliżyła się do Pawła i przez moment szła obok niego. Uśmiechnął się do niej, ale nie odpowiedziała uśmiechem. Nagła zmiana wyrazu jej oczu uprzedziła go i zdążył uskoczyć przed nożem, który wyciągnęła z fałd postrzępionej spódnicy. Drugiego ataku pewnie nie zdołałby uniknąć, leżąc na bruku, ale wszystkich osadził w miejscu strzał, który oddał w powietrze Mateusz. Sierżant zatrzymał Hummera i zeskoczył na jezdnię. Chwycił dziewczynę za włosy i powłókł w kierunku jej pobratymców.

– Czyja to suka? – zapytał głośno, gdy znaleźli się o kilka kroków od zbitej gromadki obszarpańców. Nikt nie odpowiedział. – Pytałem, kto spłodził tę dziwkę?

– To sierota – odpowiedział w końcu jeden z mężczyzn załamującym się głosem. – Przygarnęliśmy ją na przedmieściach.

Sierżant pchnął dziewczynę na chodnik, nie całkiem puszczając włosy. Upadła, a jemu w ręce pozostała spora ich garść.

– Powinienem zabić to ścierwo – powiedział, rozsypując powoli zawartość dłoni – ale zostawiam wam decyzję, jak ją ukarać. Podniosła rękę na Wysłanników. – Wskazał ręką na nas. – Mogła ich zabić, a wiecie, co stałoby się z waszą społecznością, gdyby pan Jan się o tym dowiedział?

Pokiwali głowami, mrużąc przeprosiny. Ktoś kopnął dziewczynę, inny postawił ją na nogi, by zaraz celnym uderzeniem posłać znów na ziemię. A ona nawet nie jęknęła. Sierżant odwrócił się i podszedł do Pawła.

– W sumie wcale jej się nie dziwię – wycedził przez zęby. – Ja sam wyprułbym ci flaki, ale Burmistrz na was czeka. A jego rozkazów nikt nie waży się łamać.

– Kim jest ten burmistrz? – zapytałem. – To wasz przywódca?

– Niedługo go spotkasz, śmieciu – sierżant uśmiechnął się krzywo – o ile uda mi się powstrzymać gniew tych, których spotkamy po drodze.

– Dlaczego oni nas tak nienawidzą? – zapytałem, choć od pewnego czasu wydawało mi się, że znam odpowiedź. – Przecież nic im nie zrobiliśmy.

– Tak? Spójrz na siebie i spójrz na nich. Ty masz włosy, gładką skórę, ubranie jak spod igły. – Tu pogładził koszulkę, która nie była już biała, na jego ciele wciąż było wiele otwartych ropieni, dowodów na to, że choroba popromienna wciąż go pożerała. – A dlaczego tak jest? Nie wiesz? To ci powiem. Dlatego, śmieciu, że ty i twoi kumple postanowiliście zabawić się w bogów i oddaliście nasze życia w imię jakichś gównianych mrzonek. Mało wam było rządzenia, zachciało się jeszcze podbojów. Kilka tysięcy wybranych. Nadludzi. Rząd i jego pupile. Dla was schrony i przyszłość. A reszta do piachu. Tyle tylko, że my nie wyzdychaliśmy, jak sobie zaplanowaliście. Czekamy, aż wylezicie ze swoich nor, żeby was powitać. Nowopolskim zwyczajem – wyjął długi nóż myśliwski – raną i solą!

Roześmiał się głośno, wchodząc do Hummera. Spojrzałem w tył, gdzie ludzie z domu towarowego katowali dziewczynę. Nie robili tego na pokaz, by uśmierzyć gniew naszych strażników. Oni wymierzali jej karę. Tak jak powiedział sierżant. A ona znosiła razy w milczeniu. Gdy w pewnym momencie zobaczyłem jej zakrwawioną twarz, wydało mi się, że widzę uśmiech, ale pewien tego nie byłem. Zbyt krótko to trwało.

Ruszyliśmy dalej, na szczęście do celu nie było już daleko. Zmierzaliśmy do rynku. W sumie mogłem wcześniej się domyśleć. Burmistrz powinien mieszkać w ratuszu. I mieszkał. Sierżant wjechał na rynek, gdzie czekał na nas już tłum uzbrojonych mężczyzn. Wszyscy byli podobni do tych, którzy nas tu sprowadzili; zarośnięci, brudni, noszący łańchmany. Ryk wydobywający się z setek gardeł zagłuszył nawet warkot silnika. Otoczyli nas ciasnym pierścieniem, pokrzykując groźnie i choć w pewnym momencie potraktowano mnie kijem po nerkach, pozbawiając tchu na dobre pięć minut, to do niczego poważniejszego nie doszło.

Powoli dochodziłem do siebie. Zbyt ciemno było, bym mógł przyjrzeć się ratuszowi. W migotliwym blasku pochodni widziałem jedynie fragmenty murów i kilka okien, które zabito deskami. Gdy usiłowałem przebić się wzrokiem ku bardziej odległym rejonom budowli, nagle krzyki

ucichły. Mężczyźni ustępowali miejsca komuś, kto szedł pośród nich. Nie widziałem go jeszcze, ale zauważałem falowanie pośród tłumu.

– Burmistrz idzie – mruknął Paweł, a ja skinąłem głową.

W tym samym momencie pierwszy szereg otaczających nas ludzi rozstał się i zobaczyliśmy niskiego, grubego mężczyznę ubranego w podniszczone spodnie wojskowe i luźny, ale wciąż trzymający fason, sweter koloru khaki. Nalana twarz z wielkim nosem nosiła tylko kilka blizn, nie miał też śladów oparzeń. A jednak wyglądał odrażająco. W ogóle wyglądał, jakby pochodził z innego świata. Podniósł rękę i szmery rozmów natychmiast ucichły. Skinął na sierżanta. Ten podszedł, chyląc głowę i powiedział:

– Pojmałem Wysłanników. Tak jak rzekł pan Jan, było ich trzech i jechali od Ślęzy. Zastrzeliłem tego, który prowadził. Pozostałych, nie bez przygód, doprowadziłem tutaj.

– Dobrze się spisałeś, żołnierzu – powiedział głośno grubas, nie patrząc wcale na sierżanta. – Nie ominie cię nagroda z rąk samego pana Jana.

Podszedł do Pawła, a potem do mnie i obrzucił nas ciekawym spojrzeniem. Z bliska wydał mi się jeszcze bardziej paskudny. Cuchnął czymś, co od biedy można było uznać za alkohol. Nie zatrzymując się, podszedł do samochodu. Rzucił okiem na wyposażenie, potem na deskę rozdzielczą.

– Dobra maszyna, w sam raz dla Burmistrza – powiedział, a na twarzy sierżanta pojawił się grymas zawodu. Może miał nadzieję, że grubas da mu Hummera w nagrodę? W każdym razie przeliczył się. – Wszystko z wozu do ratusza. A panowie Wysłannicy spędzą tę noc w bunkrze. Powinni być przyzwyczajeni.

Wypowiedział te słowa i ruszył z powrotem do ratusza. Poczułem, że kilku z obecnych chwyciło mnie z tyłu i wlecze w przeciwną stronę. Wciągnęli mnie do bramy i zeszedliśmy po schodach do piwnicy. Tutaj zorientowałem się, że prowadzą mnie do schronu przeciwlotniczego, jednego z wielu w tej części miasta. Słyszałem kiedyś o tym, że przy rynku było kilka naprawdę mocnych schronów. Teraz mogłem przekonać się, że to prawda. Masywne ściany z betonu, grube metalowe drzwi i żadnych okien. Jedynym źródłem światła były pochodnie trzymane przez konwojentów. Wepchnięto mnie do jednego z pomieszczeń, w chwilę później dołączył do

mnie Paweł. I tyle go widziałem. Metalowe drzwi zatrzęsły się, ledwie wszedł do naszego więzienia i zostaliśmy sami w kompletnej ciemności.

\*\*\*

Nie wiem, jak długo to trwało, wymacałem ścianę i usiadłem w kącie. W niewielkim pomieszczeniu nie było niczego, co mogło posłużyć za legowisko. Uważałem, że moja prycza w Bastionie była niewygodna, ale teraz oddałbym wszystko za możliwość spędzenia na niej nocy.

– Ciemność widzę, ciemność. – Usiłowałem zażartować, ale odpowiedziała mi cisza.

– Jesteś tam, Maks? – zapytałem po chwili milczenia, gdy i Paweł przestał się kręcić. Szelest gdzieś po prawej wskazywał, że usiadł.

– Nie, wyszedłem na fajkę – odpowiedział i razem się roześmialiśmy.

– Popieprzone to wszystko – zagadnąłem znowu. – Rozumiesz coś z tego?

– Nic a nic – odparł. – Ale jak się głębiej nad tym zastanowić...

– Tak?

– Wydaje mi się, że oni na nas czekali. Pamiętasz, co powiedział ten dupek, który zabrał koszulkę? Było tak, jak powiedział pan Jan. Trzech facetów, przyjechaliśmy od strony Ślęzy. To może znaczyć, że ktoś, kto występuje pod mianem pana Jana to jakaś szycha ze starych czasów. Dobrze wie, że tam jest Bastion. Zna też procedury opracowane na wypadek konfliktu nuklearnego i późniejszych zachowań. Przecież wypełnialiśmy dokładnie instrukcje sztabowe. Na pierwszy zwiad jedzie trzech ludzi. Kierowca jest jednocześnie oczami i uszami zespołu. Pozostali to personel medyczny i techniczny. Zabili kierowcę, nas wzięli zgodnie z instrukcjami pana Jana.

– Nie obraż się Paweł, ale wy z wywiadu macie naprawdę wybujałą wyobraźnię. Pamiętaj, że w mieście zostało kilku ludzi zorientowanych w naszej sytuacji. Choćby ci, którzy odprawiali nas na Krzykach. A może ten ich Jan to jakiś pieprzony prorok, jasnowidz albo koleś, który ma nierówno pod sufitem i wymyślił sobie historyjkę na bazie zasłyszanych opowieści o fortecy ukrytej w Ślęzy? Zresztą, kto z ważniaków pozostał na powierzchni. Sam mówiłeś, że spieprzyli do bunkrów pod Radzyminem już dzień wcześniej. A stamtąd na piechotę by tu nie doszedł.



– Może go nie wpuścili, albo się spóźnił, a teraz chce się na wszystkich odegrać? – nie dawał za wygraną Zawadzki. – Ten grubas nie wyglądał na ofiarę choroby popromiennej.

– To prawda, ale to nadal za mało, by wysnuwać pochopne wnioski. Jutro staniemy przed tym Jasiem Fasolą i zobaczymy, z kim mamy do czynienia.

– Jaś Fasola, dobre sobie. Wiesz, Tomek, z twoim poczuciem humoru powinieneś w cyrku występować, a nie leczyć ludzi.

– A słyszałeś o doktorze Patchu Adamsie?

– Nie, a powinienem?

– Tak się składa, że on leczył śmiechem, a w zasadzie opracował taką metodę terapii wspomagającej leczenie, a polegającej na rozśmieszaniu pacjentów.

– Coś mi świta, film taki był, z tym no...

– Z Robinem Williamsem.

– Właśnie.

Rozmawialiśmy jeszcze dobrą godzinę, starając się zapomnieć, w jakie wpadliśmy gówno. Metoda okazała się dobra. W każdym razie na tyle dobra, że udało nam się zasnąć.

\*\*\*

Obudziłem się obolały, nie mając pojęcia, ile czasu minęło. Paweł spał nadal. Jego chrapanie odbijało się głośnym echem. To mnie całkiem rozbudziło. Zastanawiałem się właśnie, jaką metodę zastosować, by nie budzić przyjaciela, a jednocześnie przerwać jego koncert, gdy ktoś zaczął majstrować przy drzwiach. Po chwili metalowa płyta odsunęła się z głośnym zgrzytem nie oliwionych od wieków zawiasów i do celi weszło trzech strażników z bronią i pochodniami. Nawet ta odrobina światła oślepiła mnie teraz. Dałem się bezwolnie wywlec z celi i wyprowadzić na zewnątrz. Jak tylko odzyskałem zdolność widzenia, zorientowałem się, że nie znajduję się na płycie rynku, ale z drugiej strony kamienicy, na podwórzu. Na drewnianej ławie stała duża, plastikowa miednica wypełniona do połowy brudną wodą. Spojrzałem pytająco na najbliższego strażnika. Ten uśmiechnął się krzywo.

– Macie się umyć, gównozjady – powiedział. – Pan Jan czeka, a nie będzie wachał waszego smrodu. Jeśli czujecie taką potrzebę, to możecie skoczyć za krzaczek.

Nie czuliśmy takiej potrzeby, ostatni dzień spędziliśmy bez jedzenia i picia, ale miska z wodą okazała się całkiem dobrym pomysłem. Paweł puścił mnie pierwszego, a sam zagadnął jednego ze strażników.

– Kim jest ten Pan Jan, to chyba ważna osoba?

– To Burmistrz – odparł tamten.

– Znaczy, że był burmistrzem Wrocławia przed wojną?

– Nie – krótko zbył Pawła strażnik. – Nie był.

– Wybaczcie, ale mamy przed nim stanąć. Powinniśmy chyba wiedzieć, kim jest albo był?

Nikt mu nie odpowiedział. Umyłem się i wytarłem chusteczką, jedyną rzeczą, jakiej mi nie odebrali. Paweł opłukał się równie szybko. Pięć minut później wyprowadzono nas na rynek. W świetle dnia mogłem zobaczyć, ile zostało z ratusza i całej starówki, którą tak pieczołowicie odnawiano jeszcze parę lat temu. O ile dolna część budynków wyglądała jako tako, to wszystkie pozbawione były dachów. Podobnie było z ratuszem. Co więcej, z wieży pozostał jedynie osmalony kikut.

Ilość ludzi zgromadzonych na placu wcale mnie nie zdumiała. Obdarci i wynędzniali wypełnili szczelnie cały plac. O ile wczoraj wojownicy zachowywali się jak stado pawianów, tak dzisiaj wszyscy stali cicho. Ten spokój bardziej mnie niepokoił niż wczorajsze porykiwania, ale nic się nie stało. Przeprowadzono nas do ratusza i zeszliśmy po schodach do jego wnętrza. Bodajże tutaj mieściła się przed wojną restauracja, której nazwy nie pamiętałem. Teraz przemieniono tę piwnicę na coś w rodzaju sali tronowej. Niewielkie świetliki wpuszczały trochę słonecznego blasku, ale by rozświetlić mroczną i przestronną piwnicę, trzeba było nieco więcej. Dlatego wokół filarów umieszczono dziesiątki pochodni. Strażnicy przeprowadzili nas do dużego fotela ustawionego na podeście z drewna. Siedział na nim postawny mężczyzna o podłużnej twarzy wykrzywionej jakby grymasem bólu. Miał wąski nos i głęboko osadzone niebieskie oczy. Długie, ale bardzo rzadkie włosy zaczesywał do tyłu. I jemu dała się we znaki choroba popromienna, acz w znacznie mniejszym stopniu niż nieszczęśnikom stojącym na zewnątrz ratusza. Był też o wiele lepiej od nich ubrany. Nosił przetarte na kolanach dzinsy i koszulę flanelową, która

wydawała się być nawet czysta. Całości ubioru dopełniał płaszcz wełniany o wojskowym kroju, który miał zarzucony na ramiona. Obok niego stał grubas, którego widzieliśmy wieczorem i drugi, nieznany nam, mężczyzna opatulony czymś, co wyglądało na koc.

Strażnicy pchnęli nas w kierunku tronu, po czym odsunęli się na bezpieczną odległość, stając z boków sali za filarami i odbezpieczając broń. Zbliżyliśmy się do Jana i jego świty, idąc powoli i nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów. Opatulony, jak się okazało, miał przy sobie kałasznikowa, którego pokazał nam niby od niechcienia, gdy stanęliśmy o kilka kroków od tronu.

– Witam panów Wysłanników – powiedział Burmistrz. – Cóż was sprowadza w moje niskie progi?

– Jesteśmy żołnierzami, a w zasadzie lekarzami wojskowymi – odpowiedziałem, zanim Paweł zdążył otworzyć usta. – Wysłano nas na rekonesans. Mamy, to znaczy mieliśmy, sprawdzić, w jakim stopniu miasto zostało zniszczone i opracować plan jego ewentualnego zasiedlenia.

– A skąd to panowie przybywają? – zapytał ponownie pan Jan.

– Tego, po niezbyt miłym przyjęciu, raczej nie powiemy.

– Chce pan się założyć, doktorze, że powiecie? – Mężczyzna na tronie nie podniósł głosu, ale ton, jakim wypowiedział te słowa sprawił, że poczułem ciarki na plecach. – To tylko kwestia czasu i metody, jaką posłużymy się do wydobycia tej informacji.

– Nie wątpię.

– Zatem słucham.

– Powiedzmy, że z okolic Ślęzy.

– Tyle to wiedziałem, zanim tu weszliście.

– Tak? – wtrącił się Paweł. – Ciekawe skąd?

– Czy pan naprawdę uważa, że w tym mieście nie został nikt, kto pamiętałby autobusy wyjeżdżające jeden za drugim w kierunku Ślęzy na kilka godzin przed atakiem? Że ci, co przerabiali sztolnie nie mieli rodzin, choćby kochanek, którym szeptali o tym, co w tajemnicy przed społeczeństwem robią? Wielu z nich nadal żyje...

– Skoro tak, to czemu nie powiedzą, gdzie szukać?

– Widzę, że pan ma skłonności do przysparzania sobie kłopotów – odpowiedział na pytanie Burmistrz. – Co pan powie na to, że każę

zastrzelić pańskiego kolegę? – zwrócił się do mnie z retorycznym pytaniem. – Irytuje mnie ton jego wypowiedzi.

– Jest pan osobą, która rządzi tym miastem. Może pan kazać nas zabić teraz, albo po tej rozmowie. Może pan skazać nas na tortury. Prawda jest jednak taka, że mieliśmy nadać wczoraj meldunek i nie nadaliśmy go. Dla ludzi w naszej jednostce to powód do alarmu. Lada chwila zjawi się tu następna grupa zwiadowcza, a jeśli ją zneutralizujecie, najdalej za trzy dni do miasta wejdą czołgi i setki uzbrojonych po zęby żołnierzy.

Jan uśmiechnął się, ta wizja wyraźnie go rozbawiła. Nie rozumiałem, dlaczego, ale po chwili sam mi to objaśnił.

– We Wrocławiu nadal żyje ponad trzy tysiące mężczyzn. Każdy ma broń i zna to morze ruin jak własną kieszeń. Czołgi w mieście są jak dzieci we mgle, kampania czeczeńska i pacyfikacja Bagdadu wykazały to dokładnie. A to jeszcze nie wszystko. Uważacie, że wasi uzbrojeni po zęby chłopcy będą strzelać do kobiet i dzieci w ostatnim stadium choroby popromiennej? Mamy ich tu trochę. A każda z nich z wielką przyjemnością odda życie, którego de facto już nie ma, jeśli będzie mogła choćby tylko zranić Wyklętego. Nie macie szans z tą swoją armią. To my jesteśmy panami tej spalonej ziemi, nie wy. Wy nawet nie macie prawa wyleźć z tej nory, w której zakopaliście się dwa lata temu, skazując nas na powolną śmierć od radiacji i głodu.

– Jeśli uważa pan, że mieliśmy cokolwiek wspólnego z wywołaniem wojny, to grubo się pan myli. – Paweł wykorzystał moment, gdy Burmistrzowi zaschło w gardle, by przedstawić nasze argumenty. – Byliśmy rezerwistami zmobilizowanymi w nocy zaledwie na godziny przed atakiem. O tym, co się dzieje dowiedzieliśmy się w drodze do jednostek. Nawet nie popieraliśmy debilnej idei odbijania Lwowa. Ale nikt nie pytał, czy nam się to podoba.

– Panowie, panowie. – Jan nie przestawał się śmiać. – Zdaję sobie sprawę, że w obliczu rychłej śmierci będziecie udawać niewiniątka, ale tutaj wszyscy wiedzą, kto i dlaczego znalazł się w Bastionie: uprzedzeni przez władze dygnitarze, ich rodziny, ludzie współodpowiedzialni za plan zniszczenia tego kraju. Osobnicy pozbawieni elementarnych zasad, którzy zaryzykowali otwarty konflikt z mocarstwem atomowym, byle tylko odwrócić uwagę narodu od swoich przekrętów. Nie ma między wami jednego, który dostałby się tam przez przypadek. Dlatego ci, co przeżyli

nazwali was Wyklętymi. Wielu zmarło nie doczekawszy tej chwili, stojąc na posterunku i wypatrując Wysłanników, tak jak to zapowiedziano. I przyszlście, i zapieracie się tak, jak przepowiedziano.

– Kto przepowiedział?

– Czy to ważne, kto? Mądry człowiek. Po prostu mądry człowiek.

– Pan, panie Janie, wie, że to nie jest prawda – powiedziałem.

– Ja wierzę, że to prawda – odparł – bo to jest prawda. A teraz zęgam. Daję wam czas do wieczora. Albo powiecie, gdzie znajdują się wejścia do Bastionu, albo każę was zabić, ale powoli, bardzo powoli, tak że będziecie żałowali, że matki wydały was na świat, a nawet je za to przeklniecie.

\*\*\*

Tym razem nie zaprowadzono nas do ciemnicy, ale na piętro ratusza, do dużej sali z wielkimi oknami. Znaleźliśmy tu ławę i dwie miski brei, którą uważano tu za jedzenie. Nie mogłem jej przełknąć, śmierdziała jak... nawet samo skojarzenie powodowało, że zbierało mi się na wymioty. Paweł jednak zjadł swoją porcję. To tylko umocniło mnie w mniemaniu, że faceci z wywiadu są świrnięci.

Wpatrywałem się tępo w miskę a mój towarzysz obszedł całe pomieszczenie. Potem wyjrzał za okno, ale na placu nadal stał tłum mieszkańców Wrocławia. Wreszcie usiadł przy mnie i szepnął:

– Mówiłem ci, że ten Jan to musi być jakaś wyrolowana szycha z rządu?

– Mówiłeś – odpowiedziałem mu też szeptem.

– To teraz posłuchaj. Jak pan Jan nazwał miejsce, z którego przyjechaliśmy?

– Bastion. – Musiałem przyznać, że udało mu się zasiać we mnie ziarno zwątpienia. – Pamiętam że powiedział, iż przybyliśmy z Bastionu. Tak, dokładnie tak powiedział.

– Dokładnie. A czy wiesz, że ta nazwa to ściśle tajny kryptonim, znany tylko nielicznym ludziom ze Sztabu Generalnego?

– I co z tego?

– A to, że pracując w sztabie generała Wałdocha, poczytałem sobie trochę korespondencji dotyczącej całego projektu. Nazwa Bastion pojawiła się na tydzień przed wybuchem wojny, razem z planami ataku na Ukrainę.

Wiedziało o niej nie więcej niż tuzin ludzi, a wszyscy z najwyższego szczebla. Oficerowie poznali ją dopiero podczas mobilizacji. Jeśli pan Fasola wie o Bastionie, to musiał być blisko koryta. Bardzo blisko...

– To dlaczego nie siedzi w jakimś bunkrze z innymi parzystokopytnymi?

– Tego nie wiem, a on sam nam nie powie. – powiedział Paweł po chwili namysłu. – Nawet jeśli wprost zapytamy.

– Fakt, ale po cholere potrzebna mu wiedza o Bastionie, skoro miał do niej dostęp przed wojną?

– To wcale nie jest takie pewne. Mógł wiedzieć o projekcie, nie będąc wprowadzonym w szczegóły.

– Ale dlaczego karmi ludzi tymi bredniami o Wyklętych?

– To oczywiste. Uwił tu sobie gniazdko, rządzi miastem, ludzie uwielbiają go, oddają za niego życie, czy to nie jest marzeniem każdego polityka? A kiedy my wrócimy, to co mu z tego zostanie? Wałdoch i generalicja zaraz zechcą sprawdzić, kim on jest. Potem przejdą pod Radzymin i dupki z rządu wrócą na swoje stołki. A skoro pan Jan nie załapał się do bunkra, to znaczy, że nie ma dla niego wolnego stołka. Marzenie o władzy pryśnie jak bańka mydlana.

– Tak, to ma sens, ale nawet gdybyśmy mu powiedzieli, gdzie są wejścia do Bastionu, to co mógłby zrobić? Ta wizja walk w mieście powinna być mu bliższa niż próba wtargnięcia do twierdzy wroga, gdzie role się odwrócą.

– Nie do końca. A może on chce wyeliminować tylko oficerów i przejąć władzę nad wojskiem? Przecież ten sukinsyn może mieć pieprzoną broń biologiczną, którą rozpyli w systemie wentylacyjnym Bastionu. Z tego, co wiem, posiadaliśmy pewne ilości gazów bojowych i to na terenie Dolnego Śląska. Mając dostęp do archiwów sztabu okręgu, a przez te dwa lata spokojnie mogli wydostać każdy papierek leżący w sejfach, zyskał pełną wiedzę na ten temat.

– Nie, to byłoby za proste. Masz nosa do tych spraw, Paweł. Byłeś asem wywiadu, ale wydaje mi się, że za szybko wyciągasz wnioski.

– Masz lepszą teorię na ten temat?

– Nie – przyznałem – ale i twoja opiera się jedynie na przypuszczeniach.

– Nie tylko. Zdaje się, że wiem, z kim mamy do czynienia. – Paweł usiadł i zaczął masować brodę. – Teraz na to wpadłem. Z tych dwunastu ludzi, wiedzących o Bastionie na początku, tylko jeden miał na imię Jan. Doradca premiera od spraw wojskowych, Sobieszczuk. Tak, to on! To ten skurwysyn, który wymyślił plan ataku na Ukrainę. Widziałem kutasa na zdjęciu w aktach Wałdocha, ale z krótkimi włosami i w okularkach. Pieprzony gnojek załapał się na stanowisko z poręczenia jakiegoś kuzynka premiera i nie miał jeszcze dostępu do wszystkich akt. Dlatego nie wiedział, gdzie jest Bastion. To zatrzymali dla siebie wojskowi.

– Jeśli to on, to dlaczego nie siedzi w Radzyminie, tylko naświetla się z innymi?

– I to jest dobre pytanie, Watsonie – powiedział Paweł i zamyślił się. A ja zauważyłem, że podczas rozmowy zjadłem niemal całą miskę brei. Zrobiło mi się niedobrze.

\*\*\*

Przetrzymali nas w tej sali niemal do zmierzchu. Niewiele rozmawialiśmy w tym czasie. Paweł początkowo analizował naszą sytuację, od czasu do czasu rzucając nowe przemyślenia. Potem zasnął, rzucając się niespokojnie i mrużąc coś niezrozumiale. Ja tymczasem siedziałem w oknie i przyglądałem się miastu. Z wysokości drugiego piętra nie miałem zbyt dobrego widoku, kamieniczki zamykające rynek nie pozwalały przedrzeć się wzrokiem do dalszych części Starego Miasta, ale i to, co widziałem, cieszyło moje oczy. Przypominałem sobie chwile z przeszłości: imprezę w kawiarni naprzeciw po zakończeniu szkoły, gdy jeden z naszych kumpli, Mietek, zniknął, zabierając całą kasę zebraną na prezent dla nauczyciela, i tu właśnie go nakryliśmy; momenty, gdy czekałem z kwiatami na dziewczynę, by sięść pod pomnikiem Fredry – dzisiaj był to nadtopiony blok metalu, w którym ledwo można było rozpoznać ludzką postać; spotkania w pobliskim klubie studenckim na Szewskiej, gdzie kiedyś, dawno temu, zbierała się nasza paczka. Wiele takich wspomnień miałem, a miejsca do nich przypisane zniknęły zmiecione podmuchem atomowego wybuchu, pozostając jedynie w mojej pamięci.

Słońce zaczęło chylić się za postrzępione dachy kamienic, gdy drzwi otworzyły się i do sali wkroczyło kilku przybocznych Burmistrza. Bez

słowa wskazali nam drzwi i poprowadzili znaną już drogą do sali w podziemiach.

Tym razem było ciemniej, braku słonecznego blasku, płynącego ze świetlików, nic nie mogło zrekompensować. Nawet dodatkowe pochodnie. Wchodząc do podłużnej sali, zauważyłem, że zgromadziło się tu wielu ludzi, prawdopodobnie zaufanych Burmistrza, którzy mieli być świadkami jego ostatecznego triumfu nad Wyklętymi. Spojrzałem na Pawła i zobaczyłem na ustach przyjaciela dziwny uśmieszek, taki sam widziałem, gdy w obecności Sawickiego zamiast pod sąd, trafił na awans. Niewątpliwie kapitan Zawadzki miał pomysł, który powinien pokrzyżować plany Sobieszczuka. Ciekaw byłem tylko, czy uda mu się ów plan zrealizować, zanim ktoś nas zabije.

Stanęliśmy znów przed tronem, na którym siedział pan Jan, zwany Burmistrem. Strażnicy zostali obok nas o pół kroku zaledwie, z bronią wymierzoną w nasze plecy.

– Zastanowiliście się panowie doktorzy? – zapytał burmistrz.

– Tak – odpowiedział Paweł, ja postanowiłem na razie milczeć.

– Zatem słucham. – Sobieszczuk, o ile to był on, poprawił się na swoim siedzisku i podparł głowę ręką wystudiowanym gestem.

I wtedy się zaczęło.

– Czy bez okularów nie czuje się pan nieco nieswojo? – zapytał Paweł, a dźwięk tych słów, a w zasadzie ich znaczenie, starły z twarzy Burmistrza ostatni cień uśmiechu. – Założę się, że w tym półmroku nie widzi pan za dobrze. Chociaż, dwie dioptrie to jeszcze nie tragedia, chyba że wada wzroku pogłębiła się w ostatnim czasie.

– Nie rozumiem – powiedział pan Jan. – O czym mówisz? Z moim wzrokiem jest wszystko w porządku.

– Tak? To proszę powiedzieć, ile palców pokazuję – zapytał Paweł z jadowitym uśmieszkiem, wyciągając przed siebie dłoń ułożoną w gest uznawany kiedyś za obelżywy. Burmistrz nie zareagował, ale widać było, że niepokoją go szmery cichych komentarzy dobiegających z sali.

– Jeśli nawet nie widzę za dobrze – powiedział po chwili – to niczego to nie oznacza. W czasach, gdy nie ma prądu i spędza się wiele czasu przy ogniu, łatwo traci się wzrok. Pan jako lekarz powinien doskonale o tym wiedzieć.

– Sęk w tym, że nie jestem lekarzem, panie Sobieszczuk.



Te słowa wywołały zamierzony efekt. W jednej sekundzie spokojne oblicze burmistrza zamieniło się w zastygłą maskę, ale nie było na niej nawet śladu przerażenia, co najwyżej niepokój. Szmer rozmów nasilił się. Widziałem, że Paweł uśmiecha się znowu. Jak na razie prowadził w tej walce.

– Jak pan mnie nazwał?

– Ze słuchem też ma pan problemy? – zapytał kąśliwie Zawadzki. – Dobrze, to będę mówił głośniej. Drodzy mieszkańcy Wrocławia. Pozwólcie, że opowiem wam krótką historię życia człowieka, który pojawił się między wami, opowiadając legendy o Wyklętych, którzy sprowadzili na was katastrofę, sami bezpiecznie czekając na lepsze czasy. Otóż wasz pan Jan, czy jak chcecie Burmistrz, to jeden z prawdziwych sprawców plag, jakie spadły na ten kraj. Przed wojną był doradcą ministra Obrony Narodowej i to spod jego ręki wyszedł szalony plan ataku na Ukrainę. Plan, który wielu opiniowało negatywnie, ale koledzy pana Jana za nic mieli rady fachowców. Dla nich liczyło się tylko jedno. Wojna oznaczała zwłokę w terminie wyborów, które odsunęłyby ich od władzy. Zatem podjęli ryzyko, za które i tak tylko wy mieliście zapłacić. Teraz szanowny pan Jan, noszący kiedyś nazwisko Sobieszczuk, likwiduje wszystkich, którzy mogliby go zdemaskować. Radzymin jest daleko, zanim rząd wylezie ze swojej nory, minąć mogą jeszcze długie miesiące. Zresztą, to wszystko kompani waszego Burmistrza. Jedynym zagrożeniem jest grupa wyższych oficerów dowodzących Bastionem. I akta, które tam się znajdują, a w których można znaleźć piękną buźkę twórcy tego burdelu. Człowieka, który zniszczył to miasto, ten kraj, a może nawet o wiele więcej. Człowieka, który wie o magazynach broni biologicznej w Strzelinie. Magazynach, które sam polecił założyć. Nie ma tam wiele gazu PG, ale czy nie wystarczy go do zlikwidowania wszystkich świadków żyjących w mrowisku Bastionu? Czyż nie tak, panie dyrektorze Departamentu Studiów Strategicznych, docencie Janie Sobieszczuk?

Burmistrz siedział nieruchomo i w milczeniu wpatrywał się w Pawła. Teraz zauważyłem, że wyjął z kieszeni okulary. Zebrani w sali ludzie tymczasem dyskutowali głośno o usłyszanych rewelacjach, jakimi uraczył ich mój przyjaciel. Trwało to kilkanaście sekund, potem Sobieszczuk uśmiechnął się. Zrazu lekko, a wreszcie wybuchnął niekontrolowanym

śmiechem. W jego ślady poszło kilku innych, w końcu śmiała się cała sala. Tego nie przewidziałem. Paweł też wydawał się zaskoczony.

– Nie zrozumieliście, co mówiłem – krzyknął, wskazując palcem na Burmistrza. – To jest wasz kat!

– To pan czegoś nie rozumie – odpowiedział po chwili mężczyzna siedzący na tronie. – Dobrze mnie pan rozszyfrował, panie...

– Zawadzki.

– A, porucznik Paweł Zawadzki, as wywiadu. Zdawało mi się, że powinien pan być ze wszystkimi w Radzyminie.

– Zostałem oddelegowany do Bastionu przez generała Wałdocha. Na dzień przed planowaną inwazją. Pan, o ile się nie mylę, też powinien teraz być w bunkrach Radzymina.

– Nieważne – mruknął Burmistrz. – Wszystko pan tak pięknie sobie poukładał. Przyznam szczerze, że zadziwił mnie pan, poruczniku...

– Kapitanie.

– No tak, wybaczy pan moją niewiedzę. W każdym razie przyznaję, rozgryzł pan mój plan co do joty. Wprawdzie nie pomyślałem o gazach, ale może być pan pewien, że włączę go do swojego planu. Nie na darmo uważano pana za najlepszego analityka. W pełni potwierdzam to zdanie.

– I co z tego, skoro nie reagowano na moje analizy.

– Nie można reagować na coś, czego się nie zna – powiedział Burmistrz z rozbijającym uśmiechem.

– To znaczy?

– To znaczy, że pańskie analizy trafiały na moje biurko i nigdzie więcej. Czasami pod nieco zmienioną postacią wędrowały dalej.

– Zatem wiedział pan, czym skończy się ta awantura, a mimo to...

– A mimo to doradziłem, by zaatakowano. Drogi Pawle, pozwoli pan, że teraz ja wyjawię kilka rzeczy. Po pierwsze, ci szanowni obywatele, których tu zgromadziłem, to moi zaufani ludzie, na czele których przybyłem do Wrocławia. Wiedzą i wiedzieli, kim jestem. Ta mała inscenizacja została przygotowana na wypadek, gdyby okazało się, że ze strony panów grozi mi jakieś niebezpieczeństwo. Okazało się, że i tym razem mój instynkt mnie nie zawiódł. Gdyby pan powiedział to, co usłyszeliśmy tutaj, na rynku wobec tłuszczy, różnie mogłoby się to skończyć. To naiwni ludzie. Pewnie by nie uwierzyli, ale zaczęłyby się

pytania. Trzeba by było paru uciszyć, a to zrodziłoby plotki i w końcu coś, gdzieś dotarłoby do ich głów. A tak wszystko zostanie w rodzinie.

Rozłożył ręce teatralnym gestem i znów wielu z zebranych wybuchnęło śmiechem. Paweł wpatrywał się w niego z dość ponurą miną. Cała, misternie uknuta intryga wzięła w łeb. Sobieszczuk był szczwanym lisem. Klasycznym przypadkiem polityka, który zimno kalkuluje nawet stosunki z własną żoną. I który oddałby matkę za obietnicę wyższego stanowiska. Tego akurat byłem pewien. Tak samo jak mogłem mieć pewność, że próba Pawła kosztować nas będzie życie. Burmistrz uciszył zebranych, unosząc lewą rękę.

– Jak rozumiem, nie zechcecie mi odpowiedzieć na postawione rano pytanie.

– Nawet gdybyśmy chcieli – tym razem ja postanowiłem wziąć na siebie ciężar rozmowy – to niewiele moglibyśmy zrobić. Nie znamy kodów dostępu do śluz wejściowych. Teren wokół nich jest monitorowany czujnikami, a w razie pojawienia się intruzów nikt nie otworzy wrót od środka. Nasz kierowca, major Zachwatowicz, ten którego zastrzelił pański żołnierz, posiadał wiedzę, na której panu zależy. My jej nie mamy.

– Wierzę, że pan, doktorze, nie posiada takiej wiedzy, ale porucznik, przepraszam, kapitan Zawadzki musi wiedzieć, jak dostać się do kompleksu Bastionu. Nieprawdaż?

– Nie wydam na pewną śmierć ponad dwóch tysięcy ludzi. Wystarczająco wielu zginęło już przez chore ambicje gnid pańskiego pokroju.

– Mógłbym kazać obcinać panu palce, jeden po drugim i to nie całe, ale kawałek po kawałku i za każdym razem przypalać rany. Mógłbym zastosować karę, jaką mamy zarezerwowaną dla tych, którzy łamią ustanowione przeze mnie prawa. Nacina się takiemu delikwentowi skórę i sypie sól w powstałe rany. Trwa to dziesięć, może nawet piętnaście godzin, zanim skona. Wielu oszalało, zanim dokonało żywota, to naprawdę wielki ból. Chce pan tego spróbować? A może powolne nadziewanie na łom? Centymetr na dziesięć minut, powiedzmy... nie mamy tu zbyt wykwintnych sposobów na wyciąganie informacji. Żadnych środków farmakologicznych. Tylko ból, czysty ból.

– Zwierzęta jesteście, nie ludzie – powiedział Paweł i zobaczyłem, jak powoli pochyła się, szykując do ataku. Ale zanim zdążył zrobić krok,

stojący za nim strażnik uderzył go kolbą w kark. Cios był na tyle silny, że powalił go na ziemię. Zamroczony zaczął się podnosić, ale celne kopnięcia zmusiły go do pozostania na kamiennej posadzce.

– Może i jesteśmy zwierzętami, ale to ja jestem królem zwierząt i nie mam zamiaru oddać tej posady bandzie generałów z jaskini. Czekam na odpowiedź... I nie liczcie, że sprowokujecie kogoś z moich ludzi. Oni dobrze wiedzą, że zabicie kogoś z was przypłacą takimi samymi męczarniami, jakie wam obiecałem. A poza tym to najlepsi fachowcy z BORu i UOPu. Kilku pewnie znał pan osobiście, panie Zawadzki...

– Kiedyś zapłacisz za to, co zrobiłeś, kutasie na kaczych łapach – wysyczał Paweł, nie podnosząc głowy, spod której wypływała całkiem spora kałuża krwi.

Chciałem podejść i zbadać jego rany, ale przytrzymali mnie dwaj strażnicy. Unieruchomiony w żelaznych uściskach ich dłoni mogłem jedynie patrzeć, jak mój przyjaciel wije się na ziemi.

– Już zapłaciłem – odparł Burmistrz. – Choroba popromienna nie zabiła mnie wprawdzie, ale ile mam przed sobą życia? Może dziesięć lat, jak dobrze pójdzie. I to w jakich warunkach? W średniowieczu bywało lepiej. Dlatego w dupie mam moralność i konwenanse. Będę władcą absolutnym i nikt mi w tym nie przeszkodzi. Muszę mieć broń z Bastionu. Dzięki niej będziemy mogli wyruszyć na Poznań, potem Szczecin, do morza. Odtworzę to państwo, może jako pierwsze w Europie. A może podbiję cały kontynent?

– Nie masz takiego wąsika i takiej grzywki, palancie – wychrypiął Paweł, ale Burmistrz go zlekceważył.

– Ci ludzie – wskazał na ścianę dzielącą nas od rynku – potrzebują przywódcy. Mocnego przywódcy. Ciężkie czasy wymagają poświęceń. Jeśli mają umierać w kałużach swoich wymiocin, to chcą wiedzieć, że robią to w słusznej sprawie. A ja daję im taką nadzieję. Jestem okrutny, ale sprawiedliwy. Kto nie naruszy prawa, które stanowią, nie ma się czego obawiać. O resztę nie dbam, dlatego pokonam wasze oddziały. Albo tu w mieście, albo wewnątrz Bastionu, to tylko kwestia czasu. Myślicie, że opowieści o Wyklętych to tylko bajeczka, jaką wymyśliłem dla mieszkańców Wrocławia? To już dawno przestała być opowieść przekazywana z osiedla na osiedle. Wielu z moich ludzi podróżuje po kraju, zbierając dla mnie informacje. Oni roznoszą tę historię jak zarazę, oni też

odnajdują ją w miejscach, do których po raz pierwszy docierają. Dla ludzi, którzy przeżyli to już część rzeczywistości. Każdy czysto wyglądający człowiek, bez poparzeń i wrzodów, będzie uznany za Wyklętego i zabity jak pies. Nieważne, czy jest dobrym katolikiem czy muzułmaninem, winnym czy nie winnym tego, co się stało. Zdrowy to Wyklęty. A dla Wyklętych jest tylko śmierć.

– Jest pan chory, panie Sobieszczuk – krzyknąłem, przerywając mu przemówienie. – Tylko w umyśle paranoika mogła powstać taka potworność. Skazał pan tych ludzi na powolną śmierć, a teraz zgrywa pan ich odkupiciela?!

– Tak, dokładnie tak, drogi doktorze – odparł ze śmiechem. – I całkiem nieźle mi idzie.

Chciał coś jeszcze dodać, ale zamilkł na widok mężczyzny, który pojawił się w drzwiach. Skinął na niego ręką, a tamten podbiegł do tronu i przez chwilę referował mu coś na ucho. Korzystając z tej nieoczekiwanej przerwy, oswobodziłem się z uchwytu i podszedłem do Pawła. Miał rozbity nos, z poprzecinanych warg płynęła mu obficie krew. Chyba stracił też parę zębów od kopnięć podkutymi butami, ale tego w ciemności nie mogłem dokładnie zobaczyć.

– Nic mi nie będzie, przynajmniej do egzekucji – powiedział cicho, gdy obcierałem mu krew z czoła i oczu.

– Nic nie mów, jeszcze nie wszystko stracone – szepnąłem w odpowiedzi. – Spróbuję tak pokierować rozmową, żeby pomyślał, że pomogę mu skontaktować się z generałem Wałdochem. To da nam czas...

– Nie rób tego – poprosił. – Każda pomoc, jaką otrzyma, tylko umocni jego pozycję.

Zanim odpowiedziałem, strażnicy znów mnie odciągnęli od Zawadzkiego. Wyraźnie zadowolony z siebie Burmistrz przyglądał się, jak podnoszą z posadzki okrwawionego i na wpół przytomnego Pawła.

– I proszę, samo życie rozwiązało naszą sprawę. Generał Wałdoch chciał nawiązać kontakt z wami. Odebraliśmy transmisję i zaprosiliśmy go na rozmowy do ratusza. Przybędzie z całym sztabem i setką żołnierzy. Przyjmijemy ich godnie... a potem zabijemy tych, którzy nie zechcą przyłączyć się do nas.

– A co z nami? – zapytałem.

– Ach tak, mieliście wypadek, wjechaliście na zaminowany teren i bum! Niestety, nie przeżyliście wybuchu, choć bardzo staraliśmy się wam pomóc.

– Zatem zdecydował pan, że nas zabijecie?

– Nie, no skąd. Doktorze, czy ja wyglądam na barbarzyńcę?

– Sądząc z tego, co słyszałem przed chwilą, to tak.

– Niech pan nigdy nie wierzy politykom. – Sobieszczuk uśmiechnął się promiennie. – Urodziliśmy się, by kłamać. – Nagle spoważniał. – Niniejszym skazuję was na Odkupienie w Katedrze.

Ceremonia ogłoszenia tego wyroku nie trwała długo. Zgromadzonym najwyraźniej się on spodobał. Wsadzono nas do wielkiej klatki na kołach i pociągnięto wzdłuż szpaleru mieszkańców. Paweł siedział w kącie zbyt obolały, by reagować na to, co się działo. Burmistrz jechał na wierzchu metalowej konstrukcji. Wykorzystałem ten moment na jeszcze jedną chwilę rozmowy, sądząc, iż kontakt słowny może sprawić, że zaczną widzieć w nas ludzi.

– Czy mógłbym o coś zapytać?

– Jasne doktorze, śmiało.

– Jak to się stało, że znalazł się pan tutaj, a nie w bunkrach pod Radzyminem?

– W sumie mogę panu powiedzieć prawdę, doktorze. Byłem pod Radzyminem... i jako jeden z niewielu przeżyłem. Miałem odrobinę szczęścia w nieszczęściu. Pan zapewne nie zna prawdziwego przebiegu konfliktu, prawda?

– Szczerze mówiąc, nic nie wiem na ten temat.

– Ukraińcy mieli tylko kilka rakiet, ale za to wielogłowicowych. Sukinsyny ukrywały to przed całym światem. Ich wywiad nie był też taki marny, jak wielu z naszych analityków przypuszczało. Zresztą plany Radzimina mieli chyba wszyscy. Nie zdziwiłbym się, gdyby sprzedano je nawet Bangladeszowi. Wiedziałem, że atak musi nastąpić. Liczyliśmy na to, że będzie mało precyzyjny i to pozwoli utrzymać choć część kompleksu. I tak też się stało, przestrelili o dwa kilometry, ale głowica miała dziesięć megaton. To była chyba jedyna głowica tej mocy w ich arsenale. W chwili ataku znajdowałem się na najdalej wysuniętym posterunku nasłuchowym, kilka kilometrów od głównego kompleksu. To ocaliło mi życie, tak jak i tym żołnierzom, którzy tam akurat służyli. Nieźle dostaliśmy, ale konstrukcja wytrzymała. Radiacja też nie była za wysoka. Tak naprawdę

wszystko zaczęło się dwa dni później. Ktoś zaatakował jedno z mocarstw, a może wysypały się systemy wczesnego ostrzegania. W każdym razie Rosja odpaliła wszystko, co miała, a po niej pozostali...

Po dwóch miesiącach, gdy kończyły się zapasy żywności, zabrałem ludzi i przedostaliśmy się do najbliższej miejscowości. Zdobycznymi pojazdami przejechaliśmy pod Wrocław. Wiedziałem, że tutaj jest drugi schron i pomimo tego, że nie był jeszcze skończony, na pewno został wykorzystany. Nie myliłem się. Niestety nie udało mi się znaleźć żadnych wskazówek dotyczących tego kompleksu ani w sztabie okręgu, ani pod Urzędem Wojewódzkim. Kilkanaście tygodni spędzonych na zboczach Ślęży też niewiele dało. Przedostaliśmy się do kilku sztolni, ale wszystkie korytarze kończyły się ślepo. Znaleźliśmy wprawdzie kilka wywietrzników, ale nawet zatkanie ich nie spowodowało żadnej reakcji. Spaliliśmy resztki lasów, by odsłonić większe połacie skał, ale i to na nic. Wtedy to postanowiłem, że wyjawię ludziom prawdę o Wyklętych na wypadek, gdyby oddziały z Bastionu za szybko wyszły na powierzchnię. I to wszystko.

Skończył mówić, a ja zauważyłem, że zbliżamy się już do młyna Maria na Ostrowie Tumskim. Klatka zatrzymała się i otworzono drzwiczki. Pomogłem Pawłowi wyjść na zewnątrz. Strażnicy popchnęli nas na przemy gruzu. Pomiedzy nimi wila się wąska droga prowadząca wprost do katedry. Jej wrota były szeroko otwarte. Szliśmy powoli eskortowani przez dwóch strzelców, którzy poruszali się ostrożnie w pewnej odległości za nami. Podtrzymałem słabnącego z chwili na chwilę Pawła i wolno posuwałem się po zdradliwej powierzchni w kierunku mrocznego wejścia. Zauważyłem, że na masywnych, drewnianych drzwiach zamontowano jakieś mechanizmy. Liny, wychodzące z metalowych, umocowanych do odrzwi skrzyń, nikięły pomiedzy stertami gruzu. Obejrzałem się za siebie. Nasi strażnicy zostali daleko z tyłu, ale cały czas mierzyli do nas z karabinów.

– To nie będzie takie straszne – powiedziałem po części do Pawła, a po części do siebie. – To pewnie ich wersja więzienia.

– Nie licz na to – wychrypiał w odpowiedzi Zawadzki. – Ten fiut pomarszczony przygotował dla nas coś specjalnego. Założę się o jego jaja...

Weszliśmy do wnętrza budowli. Zauważyłem, że część dachu katedry zniknęła, gruz zaścielał niemal całą posadzkę. Przez otwór wielkości sporego domu wpadało do środka światło zachodzącego słońca. Ledwie przekroczyliśmy próg, drzwi za nami zamknęły się ze zgrzytem. Ułożyłem Pawła na jednej z ławek i usiadłem obok, podtrzymując jego głowę. Oparł się na mojej piersi i cicho pojękiwał.

– Widzisz, nie jest tak źle – powiedziałem, klepiąc go lekko po ramieniu. – Da się przeżyć. Może znajdziemy drogę ucieczki?...

– Jest źle – odparł. – Nawet gorzej.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytałem.

Nie odpowiedział, tylko wskazał na dozymetr przypięty do mojego kombinezonu, a znajdujący się tuż przed jego oczami. Wyświetlacz był czarny jak najgłębszy krąg piekieł. Wcześniej nie zwracałem na niego uwagi, ostatni raz chyba wczoraj, przed wjazdem do miasta. Sprawdziłem dozymetr Pawła, był równie czarny.

– Szlag by to...Wrocław nie jest tak czysty, jakby się zdawało.

– Mylisz się. – Paweł odsunął się ode mnie i przechylił głowę do tyłu. – Miasto nie jest tak skażone. To raczej to miejsce...

– Dlaczego tak sądzisz?

– Sprawdziłem dozymetr na placu, gdy ogłaszano wyrok... był biały.

Wstałem i rozejrzałem się po nawie. Nie zauważyłem nic niezwykłego. Ruszyłem w kierunku ołtarza, mijając kolejne kolumny. Wkrótce wszedłem na połąć gruzu zalegającego na posadzce. Echo moich kroków przestało być tak dźwięczne. Zatrzymałem się po raz kolejny. Słońce zniżało się coraz bardziej i we wnętrzu katedry robiło się coraz ciemniej. Ale nie przy ołtarzu, który zdawał się emanować zielonkawą poświatą. Podeszedłem bliżej. Zauważyłem bruzdę prowadzącą przez środek posadzki w kierunku drewnianej konstrukcji ołtarza. Zaschło mi w gardle. Wiedziałem już, co znajdę, a mimo to łudziłem się, że to nieprawda. U podstawy połamanego ołtarza leżał pogięty stożek metalu, nie dłuższy niż półtora metra. Jego wnętrze migotało opalizująco w ciemnościach zapadającego szybko zmierzchu. Napisy w cyrylicy i czerwona, ledwie widoczna, gwiazda powiedziały mi wszystko. Wróciłem do Pawła. Usiadłem i objąłem go ramieniem.

– Ile? – zapytał chrapliwie. – Ile nam zostało?



Nie chciałem go okłamywać. Zresztą, jaki to miałoby sens w takiej chwili.

– Najwyżej cztery godziny.

– Raz skurwiel nie skłamał. – Paweł podciągnął się na ławce, krzywiąc przy okazji z bólu.

– Kiedy?

– Jak mówił, żeby, nigdy nie wierzyć politykom...

## Część Pierwsza

# Wolne Miasto

Z daleka dobiegał narastający warkot pracujących na wysokich obrotach silników. Mateusz stojący u wylotu ulicy Świdnickiej uniósł do oczu lornetkę i przez chwilę regulował pokrętkiem ostrość.

– Są już przy Operze – zameldował stojącemu obok sierżantowi, nie przerywając obserwacji. – Dwa Hummery i trzy... nie, cztery transportery opancerzone, bodajże Gromy. Potem jakaś limuzyna i dwa kolejne Gromy. Za nimi...

– Wycofać ludzi – zarządził porucznik Twardowski, który nagle pojawił się obok nich zapewne zwabiony odległym, przytłumionym pomrukiem silników. – Żebym tu nie widział nikogo z bronią, bo...

Nie musiał kończyć, gwardziści wiedzieli czym skończyłaby się niesubordynacja i zanim sierżant otworzył usta, by powtórzyć rozkaz; zniknęli bezszelestnie w mrocznych bramach i wypalonych oknach. Na rynku, prócz trzech obserwatorów, pozostali tylko kalecy, kobiety i dzieci. Milczący tłum brudnych, oszpeconych istot, które kiedyś miały własne życie i marzenia. Dzisiaj pozostała im jedynie żądza zemsty.

– Daj mi to! – Zniecierpliwiony Twardowski wyciągnął dłoń do Mateusza, a ten bez słowa podał mu lornetkę.

– Dymią gorzej niż te zbiorniki z płonąca ropą na Kozanowie – mruknął niby do siebie, ale na tyle głośno, by dosłyszeli go pozostali.

Starał się być taki jak jego ludzie: twardy, rzeczowy, ale swój. A miał ku temu powody. Jako zaufany człowiek Burmistrza, otrzymał niedawno stopień porucznika i dowództwo nad oddziałem gwardii, pomimo młodego

wieku i braku frontowego doświadczenia. Był to wynik pewnego niedomówienia. Co prawda, przed wojną służył w wojsku, zaliczył też rundę w Korpusie Europejskim na Bałkanach, czym nieustannie chwalił się przed podwładnymi, ale jego słodką tajemnicą pozostawał fakt, iż jedyną wyprawę wojenną, która dzisiaj urastała do rangi legendy, odsłużył w kwatermistrzostwie, z dala od broni i linii frontu. O tym wszakże nie wiedział nikt, nawet Pan Jan. I lepiej żeby się nie dowiedział.

– Widocznie rzadko je uruchamiali... – odparł Mateusz, jeden z najbardziej doświadczonych członków oddziału i jedyny nie wrocławianin w tym gronie. Małomówny i ponury, ale bezwzględnie posłuszny. Ludzie mówili, że przed wojną siedział kilka lat w więzieniu o zaostrzonym rygorze. Kiedy i za co, tego nikt nie wiedział. Niemniej zniekształcone tatuaże, jakie można było dostrzec na pokrytym liszajami i bliznami ciele, zdawały się potwierdzać plotki, których zresztą sam zainteresowany nigdy nie sprostował.

– Przez te spaliny niewiele widać – mruknął znów porucznik, po czym oddał lornetkę Mateuszowi. – Widziałeś, jakie wozy zamykają kolumnę?

– To Gromy, ale nie takie normalne... Mają dodatkowe uzbrojenie. Wygląda mi to na wyrzutnie rakiet. Może przeciwlotnicze?

– Raczej stanowiska ogniowe wsparcia piechoty SOWa. – Twardowski nerwowo skubał rzadkiego wąsa, co oznaczało, że jest zdenerwowany. – To kurestwo jest cholernie skuteczne w walkach ulicznych. Samonaprowadzające lub zdalnie sterowane pociski. Dwadzieścia cztery na wyrzutnie, a takich może być nawet po cztery na transporter. Szybkostrzelne jak kałach, albo i lepiej. Stosowaliśmy je podczas pacyfikacji Tirany. Kaszana, mówię wam, kaszana. Widziałeś, Mateuszu czy mieli otwarte włazy albo wizjery?

– Za daleko byli, ale mogę skoczyć na Szewską...

– Nie, nie chcę, żeby zorientowali się, że ich obserwujemy.

– Nie zobaczą mnie, spokojna głowa...

– Powiedziałem, nie!

– Myśli pan porucznik, że oni się zorientowali... że wiedzą? – spytał trzeci z obecnych.

Sierżant Grzywacz, najstarszy w oddziale i chyba najbardziej doświadczony ze wszystkich gwardzistów, był prostym człowiekiem. Od młodości służył w wojsku. Po dwudziestu latach wzorowej służby

dochrapał się stopnia starszego sierżanta. Nie dlatego, że był głupi czy ograniczony, po prostu nigdy nie dbał o wykształcenie. Pochodził z niewielkiej podwrocławskiej wsi, z przedmieść prawie, i kochał wojskowy dryl. Nie miał ambicji zostania kimś więcej, za to do perfekcji opanował utrzymywanie porządku w oddziale. To głównie dzięki jego twardej ręce Twardowski mógł sprawnie dowodzić swoimi ludźmi.

– Może powinniśmy zaatakować ich z dala od centrum? – powiedział sierżant, po chwili denerwującego milczenia.

– Nie ma czasu na przegrupowanie – wtrącił Mateusz. – Wprawdzie jadą powoli, ale szpica kolumny jest już po tej stronie Kazia Wielkiego.

– Nie, nie, nie. – Twardowski nadal nie przestawał skubać rzadkich wąsów. – Oni nie mogą o niczym wiedzieć. To raczej pokaz siły. Wracamy na stanowiska i działamy według planu.

„I niech Bóg ma nas w opiece, jeśli się mylę”, dodał już w myślach, kiedy jego podwładni znikali w tłumie zgromadzonym wokół Ratusza.

\*\*\*

Oznakowany biało-czerwonymi proporcami Hummer wjechał na rynek i zamarł na skraju otwartej przestrzeni u wylotu ulicy Oławskiej. Pancerne osłony okien nie pozwalały dostrzec wnętrza pojazdu. Jedynym przejawem życia były obiektywy kamer, które poruszając się powoli, przekazywały siedzącym w środku obraz otoczenia. A widok był zaiste przygnębiający.

Zgodnie z zaleceniem Burmistrza, na placu przed Ratuszem stawili się prawie wszyscy mieszkańcy Wrocławia z drugim i trzecim stopniem obrażeń, ubrani w najgorsze i najbrudniejsze rzeczy, jakie mogli znaleźć. Kalecy i schorowani tłoczyli się wokół wypalonych murów wiekowej budowli. W tłumie przeważały kobiety i dzieci. Zgromadzeni nie bardzo rozumieli, na czym miała polegać ich rola, ale posłusznie wykonywali rozkazy Pana Jana. Jak do tej pory zachowywali się spokojnie, choć nikt nie mógł przewidzieć reakcji tych ludzi na obecność Wyklętych.

Mateusz zniknął na moment w najbliższej bramie. Potem wmieszał się w ciżbę i stanął obok Twardowskiego. W opuszczonej ręce, pomimo wcześniejszych ostrzeżeń dowódcy, trzymał granatnik – stary, rosyjski SAM – jedyną przenośną broń z arsenału gwardii zdolną przebić pancierz nowoczesnego wozu bojowego. O ile zadziała. Na dziesięć prób, jakie

przeprowadzono minionego wieczora, tylko sześć zakończyło się powodzeniem.

Na samo wspomnienie tych eksperymentów ciarki przeszły Mateuszowi po plecach. Daj Boże niewypał, ale głowica eksplodująca na prowadnicy, pięć kilogramów semtexu wybuchającego w tłumie ludzi... Splunął pod nogi i przeżegnał się lewą, wolną ręką. Sierżant pokręcił głową, widząc nagły przejaw religijności swojego podwładnego, i ruszył w kierunku przymy gruzu, zasłaniającej wejście do średniowiecznej kamienicy. Zniknął w jej wnętrzu, by raz jeszcze sprawdzić stanowiska ogniowe i zdyscyplinować ludzi.

– Na co oni czekają? – wyszeptał Mateusz, zniecierpliwiony przedłużającą się ciszą.

– Patrzą, skurwiele – odparł porucznik równie cicho. – Patrzą i nie mogą uwierzyć...

Stojący wokół Mateusza ludzie drgnęli nagle, gdy zza ruin kamienicy dobiegł ich ogłuszający ryk pracujących na maksymalnych obrotach silników. Widocznie załoga stojącego na rynku Hummera wysłała meldunek do pozostałych pojazdów, i dowodzący kolumną wydał rozkazy. Najbliższe sekundy pokażą czy oddziały z Bastionu przybyły w pokoju, czy rozpocznie się zapowiadana rzeź. Gwardzista mocniej ścisnął kolbę granatnika i ustawił się w pozycji dogodnej do strzału, nie podnosząc jednak broni.

– Witamy we Wrocławiu – mruknął Twardowski ze zjadliwym uśmiechem na ustach. Zaraz potem splunął.

Tymczasem na ich oczach kolejne transportery opancerzone wtaczały się na rynek. Otoczone chmurami gryzących spalin, ośmiokołowe maszyny zajmowały wyznaczone pozycje. Mateusz zauważył, że wszystkie wizjery Gromów były zamknięte, a na ściętych wieżyczkach sterowane ruchem gałek ocznych kaemy nerwowo błędziły po zebranych przed ratuszem Wrocławianach. Na razie jednak nie padł żaden strzał. Maszyny zatrzymywały się kolejno, z piskiem opon, o kilka metrów przed granicą wyznaczoną ściśniętymi ludzkimi ciałami.

Zaskoczony tłum zafalował, gdy kolejny opancerzony pojazd wynurzył się z wylotu ulicy Wita Stwosza, zamykając w polu ostrzału widoczną w oddali trzecią ścianę rynku. Za nim pojawiły się jeszcze dwie maszyny. Potem na moment zapadła cisza. Sześć transporterów utworzyło linię

stanowisk ogniowych, która w razie potrzeby mogła powstrzymać znacznie większe siły niż bezbronna masa ludzka, ściśnięta wokół Ratusza. Jeśli miałby paść rozkaz ataku, powinien zostać wydany w tym momencie...

– Straszą, sukinsyny, straszą. Muszą straszyć – mruczał Twardowski, jakby wypowiadał jakieś zaklęcie. – Popatrz tylko na SOWy.

Mateusz spojrział na niewielkie wyrzutnie rakiet, umieszczone w tylnej części każdego z transporterów. Wieżyczki kręciły się jak głowy niespokojnych dzieciaków, namierzając setki potencjalnych celów, jednak nie na poziomie ziemi, ale znacznie wyżej. Celowały w ściany wypalonych kamienic, gdzie wśród gruzów mogli się czaić niewidzialni na razie przeciwnicy.

– Uaktywnili systemy naprowadzania – rzucił porucznik. – A to znaczy, że chyba coś zwąchali...

– Myśli pan, że mogą mieć termolokatory? – zapytał zaniepokojony Mateusz, zerkając na ciemne otwory w ścianie nad głową.

– Nie widzę czujników. Leć na wszelki wypadek do łączników – rozkazał Twardowski – i przekaz, żeby mi żaden dupek nie podchodził do okna albo innej dziury w murze!

– Tak jest! – Gwardzista posłusznie precisnął się do bramy, w której przed chwilą zniknął sierżant. W pozbawionej okien, ciemnej klatce schodowej paliła się tylko jedna łojowa świeczka. Dawała niewiele światła, ale w półmroku można było zauważyć kilka krępych ludzkich sylwetek siedzących na zasypanej gruzem podłodze.

– Nikt nie podchodzi do okna – rzucił w ich stronę Mateusz, nie wchodząc głębiej. – Wykłęci uaktywnili rakietę samonaprowadzającą. Czekać w ukryciu.

Skinęli głowami i zniknęli jak duchy, każdy w innym otworze, ledwie gwardzista zamknął usta. Mateusz też nie czekał, wrócił na otwartą przestrzeń. A tam właśnie rozpoczynała się ostatnia część przedstawienia. Na rynek wjechał drugi Hummer, a za nim długa czarna limuzyna o przyciemnionych szybach. Najprawdziwsze Audi A12, ale jakies nietypowe, tuningowane, zapewne opancerzone. O ile dobrze pamiętał, wskazywały na to masywne obramowania szyb.

Ledwie wóz się zatrzymał, z najbliższych transporterów wypadli żołnierze. Wszyscy w nowiutkich szarych mundurach z maskowaniem, głębokich hełmach i kevlarowych kamizelkach. Trzymali w rękach

pistolety maszynowe, ale nie mierzyli do stojących opodal ludzi. Przybrali postawę zasadniczą, ustawiając się równymi szeregami wokół limuzyny. Jeden z nich podbiegł do samochodu i otworzył drzwi.

Mateusz spojrział na Twardowskiego. Zauważył, że porucznik przygląda się jakimś papierom, chyba zdjęciom, a potem przenosi wzrok na limuzynę. Właśnie wysiadał z niej niski łysy mężczyzna w galowym generalskim mundurze, o nalanej twarzy i gęstych, krzaczastych brwiach – jedynym owłosieniu, jakie rzucało się z tej odległości w oczy. Przybysz uśmiechnął się promiennie do zgromadzonych i podniósł rękę w powitalnym geście. Odpowiedziała mu cisza, ale chyba nie zwrócił na to uwagi. Zapewne myślał, że to wjazd jego oddziału zrobił na ludziach takie wrażenie.

– To on! – Porucznik odwrócił się do Mateusza z triumfalnym uśmiechem i wskazał palcem na zdjęcie. – To generał Wałdoch, we własnej osobie! Odwołaj alarm i leć po Burmistrza!

Mateusz odpowiedział mu uśmiechem. Już po wszystkim. Wyklęci napędzili im stracha, ale koniec końców dali się podejść jak dzieci. Pan Jan jak zwykle miał rację.

\*\*\*

Oficjalne powitanie na rynku trwało tak krótko, jak było to możliwe. Jan Sobieszczuk, zwany Burmistrzem, miał wielką władzę nad mieszkańcami Wrocławia. Zdawało się, że nieomal nieograniczoną. Ale do końca nie był pewien reakcji tłumu. Nie mógł być pewien. Wszak o kilka kroków od zdesperowanych wrocławian pojawili się ludzie od lat utożsamiani przez nich z wszelakim złem.

Dzisiejszego ranka Pan Jan przemówił do zgromadzonych i zakazał jakichkolwiek aktów wrogości wobec tych, którzy nadejdą. Dla dobra sprawy. Zakazał, ale po raz pierwszy od dłuższego czasu nie był pewien czy posłuchają. Bo ludzie są tylko ludźmi. Pomimo obietnic ostatecznej rozprawy z Wyklętymi, jakie złożył obywatelom tego miasta, mogli go nie posłuchać. I wcale by się im nie dziwił. Dlatego też wolał pozostawić na Rynku jedynie najbardziej wycieńczonych chorobą popromienną i innymi dolegliwościami ery post-atomowej. Kobiety, dzieci i starców, choć tych ostatnich było naprawdę niewiele.

Dzięki temu zamierzał osiągnąć dwa cele. Po pierwsze, uśpić ewentualną czujność żołnierzy przeciwnika. Po drugie, złamać jego morale. Niewielu ludzi z tamtej strony zdolnych było do zmasakrowania tłumu wynędzniałych kalek, tego był niemal pewien. Niemal... Gdyby jednak tacy się znaleźli, przeciwstawiając im najmniej pożyteczne jednostki, mógł zminimalizować straty po własnej stronie. Rozwścieczony atakiem tłum odwróciłby uwagę od prawdziwych zagrożeń i dał czas na przeprowadzenie właściwego uderzenia. Ci ludzie i tak już nie żyli, mieli przed sobą zaledwie miesiące, może tygodnie do jakże bolesnego końca. Dla wielu z nich śmierć w walce z Wyklętymi byłaby wręcz wybawieniem. I tego właśnie najbardziej się obawiał.

Ale musiał podjąć to ryzyko...

Tego dnia okazało się jednak, że szacunek, jakim go darzyli, był mocniejszy od największego nawet uczucia nienawiści. Pan Jan, witany entuzjastycznymi okrzykami, poprowadził dowódcę Bastionu pomiędzy szpalerami gwardzistów wprost do Ratusza. Za nimi ruszyli pozostali zaproszeni oficerowie, ścigani jedynie nienawistnymi spojrzeniami. Ale tego żaden z nich nie zauważył.

\*\*\*

Goście zasiedli przy stole obrad na pierwszym piętrze Ratusza, w jedynej sali, która miała całe ściany i naprawione okna. W osobistym gabinecie Burmistrza. Było ich sześciu. Wojsko reprezentowali generał Wałdoch, dwaj jego zastępcy: pułkownicy Traczyk i Anioł, oraz szef ochrony Bastionu, major Sawicki. Oprócz nich przy stole znaleźli się dwaj cywile. Starszy z nich, dystygowany, siwiejący mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu, nazywał się Władysław Kasperczyk i był niegdysiejszym wojewodą dolnośląskim. Towarzyszył mu osobisty sekretarz, którego nazwiska Pan Jan nie zapamiętał. Nie było takiej potrzeby, gdyż urzędnik nie odezwał się ani razu od początku rozmowy. Za to jego przełożony wziął na siebie inicjatywę poprowadzenia spotkania.

Przez godzinę rozmawiali o niczym. Kłopotliwy temat zwiadowców zbyli zaledwie kilkoma zdaniem, choć tej sprawy Burmistrz bardzo się obawiał. Zarówno Wałdoch jak i wojewoda krążyli wokół tematu przejęcia władzy nad miastem. Początkowo żaden z nich nie śmiał powiedzieć tego



otwarciu, ale potem, ośmieleni biernością Sobieszczuka, zrezygnowali z sugestii. Powiedzieli to wprost – powróciła prawowita władza, nadszedł czas, by człowiek zwany Burmistrzem odsunął się w cień i pozwolił im na odbudowę starego układu. Oczywiście nie odrzucali go całkowicie. Otrzymałby eksponowane stanowisko we władzach miasta, w dowód uznania, dla dotychczasowych dokonań. Stałby się przysłowiowym kwiatkiem do kozucha nowych władców.

Pan Jan słuchał z uwagą planów, jakie snuli, i udzielał im szczegółowych odpowiedzi na każde pytanie dotyczące infrastruktury miasta i aktualnej sytuacji w obrębie aglomeracji. Nie oponował, nie protestował. Jedynie kiwał ze zrozumieniem głową, wysłuchując kolejnych tyrad wojewody bądź generała, dotyczących odbudowy Wrocławia i swojej w tym roli. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Jakkolwiek by to wyglądało, cały czas rozkoszował się grą, jaką prowadził. Tak naprawdę interesowali go tylko dwaj ludzie z tego grona. Los pozostałych został już przypieczętowany. Kwestią otwartą pozostawało jeszcze, którzy z zebranych przy stole należeć będą do wybrańców. Obserwował ich reakcje i wzajemne zależności. Nie zamierzał podjąć tej decyzji pochopnie. Od niej zależało powodzenie całej operacji.

Wojewoda Kasperczyk rozpoczął właśnie kolejny wywód o wyższości własnych rozwiązań nad tymi, które Sobieszczuk przed chwilą zreferował, gdy do sali wszedł jeden z ludzi Burmistrza.

– Prosiłem, żeby nam nie przeszkadzać – powiedział Pan Jan do porucznika Twardowskiego, który wyprężył się przy drzwiach jak struna i strzelił przepisowo obcasami. Niestety, jego znoszone adidasy nie wydały odpowiedniego dźwięku.

– Tak jest, panie Burmistrzu – wyrecytował, nie przejmując się uśmiezkami wojskowych. – Chciałem tylko zameldować, że mamy następnych gości.

Tym razem nie tylko Sobieszczuk, ale i pozostali spojrzeli badawczo na gwardzistę.

– Słucham?

– Melduję, że od ulicy Świdnickiej jedzie oliwkowy autobus w asyście czterech transporterów opancerzonych.

– Spodziewają się panowie kogoś? – zapytał spokojnie Pan Jan, kierując wzrok na zebranych przy stole oficjeli. Wojewoda wyglądał na całkowicie

zaskoczonego, podobnie wojskowi. Jedyne sekretarz zdawał się wiedzieć o co chodzi.

– O ile się nie mylę, to Jego Ekscelencja – powiedział, poprawiając okulary. Były to bodaj pierwsze słowa, jakie wypowiedział w Ratuszu, prócz zdawkowego powitania.

– Ekscelencja? – zapytał Burmistrz.

– Arcybiskup Zaczyk. – Urzędnik wyraźnie się spieszył, czując na sobie spojrzenia pozostałych uczestników konferencji. – Przyszedł do biura pana wojewody na godzinę przed naszym wyjazdem. Wydawał się bardzo poruszony faktem, iż nie uwzględniliśmy go w naszej delegacji.

– Powinieneś mnie o tym poinformować, Henryku – stwierdził z wyrzutem Kasperczyk.

Sekretarz nie odpowiedział.

– W każdym razie mamy kolejnego gościa. – Burmistrz wstał od stołu i ruszył do drzwi. – Pozwolą panowie, że ich zostawię na chwilę i przygotuję wszystko na przybycie Jego Ekscelencji. To może chwilę potrwać.

– Oczywiście. – Generał Wałdoch machnął pogardliwie ręką. – Mamy jeszcze wiele spraw do omówienia, a metropolita zechce z pewnością uczestniczyć w dalszych rozmowach. Zróbmy sobie małą przerwę.

– Ale dlaczego jedzie tutaj autobusem? – zapytał retorycznie Sawicki, gdy Pan Jan otwierał drzwi.

– Może dlatego, że pożyczylimy sobie jego audycę...

\*\*\*

Ludzie zebrani pod Ratuszem nie odeszli. Stanęli po drugiej stronie rynku, tam gdzie łączył się on z Placem Solnym, oczekując na dalszy rozwój sytuacji. Pojawienie się kolejnego konwoju nie spowodowało większego zamieszania. Jedyne część dzieciaków wysunęła się do przodu, by podziwiać nowy pojazd.

Oliwkowy autobus wojskowy minął zaparkowane transportery i zatrzymał się niedaleko Pręgierza. Z bramy Ratusza na spotkanie, nowo przybyłym wyszło tylko dwóch ludzi. Zanim dotarli do załomu muru, przednie drzwi Jelcza otworzyły się z sykiem i na bruk zszedł wysoki mężczyzna w czarnym, doskonale skrojonym garniturze i okularach przeciwsłonecznych na nosie. Pomimo szóstego krzyżyka na karku,

wyglądał dość młodo, głównie dzięki farbowaniu włosów i ustawicznemu zbijaniu wagi. Na szyi miał gruby złoty łańcuch zakończony masywnym krucyfiksem. Przez chwilę rozglądał się, jakby półprzytomnie, po zasypanym gruzem Rynku i osmalonych murach okalających go kamienic. Na zgromadzonych w pewnym oddaleniu obdartych ludzi nawet nie spojrzał.

– Ekscelencjo. – Burmistrz wysunął się przed Twardowskiego i wyciągnął dłoń na powitanie.

Arcybiskup jednak nie raczył odpowiedzieć tym samym. Zmierzył jedynie nadchodzących zimnym przeszywającym spojrzeniem.

– Kim jesteś, człowieku? – zapytał władcym tonem osoby nawykłej do wydawania poleceń.

Pan Jan opuścił powoli rękę i powstrzymując wzrokiem swojego porucznika, odpowiedział spokojnym tonem, wolno cedząc słowa:

– Nazywam się Jan Sobieszczyk i jestem burmistrzem Wolnego Miasta Wrocławia.

– Rozumiem. – Odpowiedź była tyleż krótka, co nic nie znacząca.

– Zechce ksiądz biskup wejść do Ratusza? – Pan Jan odsunął się na bok, wskazując ręką drogę.

– Nie zechce – odparł hierarcha. – Nie przybyłem tutaj, by dyskutować z ludźmi, którzy zapominają o powinnościach wobec Kościoła. Musimy dostać się jak najszybciej na Ostrów Tumski.

– Musimy...? – zdziwił się Burmistrz.

– Ojczyźnie Zenonie! – zawołał arcybiskup, odwracając się do autobusu. – Pozwól tutaj z papierami.

Z autobusu wyszedł młody kleryk, nie miał chyba jeszcze trzydziestu lat. Był szczupły i równie wysoki jak jego przełożony. W ręce trzymał skórzaną aktówkę. Podał ją z nabożeństwem swojemu zwierzchnikowi. Na nim tłum wrocławian zrobił większe wrażenie.

– Nie wiem jak długo będziesz, człowieku, zajmował piastowane do tej pory stanowisko – powiedział arcybiskup, otwierając teczkę – ale póki jesteś, hm, burmistrzem, powinieneś zapoznać się z tymi dokumentami. Oto wyciągi i odpisy z ksiąg wieczystych, dotyczące nieruchomości należących do Kościoła. Od tej chwili tereny te zostają wyjęte spod jurysdykcji świeckiej i wracają pod naszą kontrolę. Jak widać – podsunął jeden z papierków pod nos Sobieszczyka – Ostrów Tumski oraz przylegające do

niego tereny należały i należą wyłącznie do Kościoła. Zamierzamy je bezzwłocznie przejąć.

– Rozumiem. – Tym razem Burmistrz skwitował krótko wypowiedź kościelnego dostojnika.

– To dobrze. Widzę, że rozsądny z ciebie człowiek... – Hierarcha zawiesił głos i zmarszczył czoło, jakby usiłował coś sobie przypomnieć.

– Nazywam się Sobieszczuk – podpowiedział mu Pan Jan.

– Właśnie, rozsądny z ciebie człowiek, panie Sobieszczuk. – Arcybiskup uśmiechnął się, odsłaniając równe i białe jak śnieg zęby. – Może okażesz się na tyle rozsądny, że poprę twoją kandydaturę w nadchodzących wyborach.

Burmistrz spojrział na niego badawczo. Nagła zmiana tonu hierarchy mogła wiele oznaczać.

– O jakich wyborach Eksceleńcja mówi? – zapytał ostrożnie.

– Już ty dobrze wiesz, o jakie wybory mi chodzi, człowieku.

Sobieszczuk skinął głową. Dość miał rozmowy z pewnym siebie hierarchą, ale nie chciał przyspieszać biegu wydarzeń. A wystarczyłoby jedno skinienie dłoni...

– Trasa na Ostrów jest bezpieczna, ale autobusem tam nie wjedziecie. Ruiny... Droga jest przejezdna jedynie do mostu Tumskiego – powiedział Burmistrz, przekazując inicjatywę i papiery porucznikowi. – Mój człowiek doprowadzi was na miejsce. Zna tu każdy kamień. Ja muszę wracać do Ratusza, gdzie czekają na mnie pozostali delegaci Bastionu.

– Rozumiem. – Uśmiech zniknął na moment z twarzy zaskoczonego takim obrotem sprawy arcybiskupa. – Możesz odejść, człowieku.

Pan Jan oddalił się bez słowa.

– Czy... Czy Ostrów bardzo ucierpiał podczas ataku? – zapytał hierarcha porucznika, gdy Burmistrz zniknął za rogiem. Tym razem jego głos nie był już taki pewny.

– Raczej nie. – Twardowski nie przyjął nawet postawy zasadniczej odpowiadając na to pytanie. – Nad centrum miasta wybuchł tylko jeden ładunek nuklearny, a i to nie największy. Jakies sto, dwieście kiloton, głowica, o ile wiemy, neutronowa, w okolicach elektrociepłowni. Druga eksplozja miała miejsce nad węzłem kolejowym na Brochowie. Tam było znacznie gorzej. Trzecia walnęła pomiędzy Pilczycami a Leśnicą. Chyba

przeniosła o parę kilometrów. Ale Ostrów ma się dobrze. Tylko wieże katedry, wie Eminencja, te stalowe czapy...

– Ekscelencja... – poprawił Mateusza ojciec Zenon. – Arcybiskupów tytułuje się Ekscelencją.

– Jasne. – Gwardzista nie wydawał się poruszony popełnionym błędem – Prócz katedry niewielkim zniszczeniom uległy też niektóre ze starszych zabytków...

– Zadbasz o to, żeby od jutra zaczęto odgruzowywać drogi dojazdowe do Kurii – polecił arcybiskup i ruszył w kierunku Jelcza nie czekając na odpowiedź.

– Oczywiście... Eks... minencjo – mruknął Mateusz.

Wsiedli do autobusu. Wszystkie szyby pojazdu zostały zaciemnione. Pomimo słońca stojącego w zenicie, panował w nim miły półmrok. Chwilę trwało nim wzrok Twardowskiego przyzwyczał się do nowych warunków. Zwłaszcza że drzwi zamknęły się z cichym sykiem ledwie wszedł na pierwszy stopień. We wnętrzu autobusu znajdowało się, co najmniej trzydziestu duchownych. Wszyscy wyglądali na zadbanych i byli dość młodzi. Przynajmniej ci siedzący w pierwszych rzędach, bo dalej w panującym tu półmroku wzrok gwardzisty nie sięgał.

– Mam nadzieję, że nie splądrowano kościołów na wyspie – powiedział arcybiskup, gdy Jelcz ruszył.

– Burmistrz zadbał o to osobiście.

– Doprawdy? O splądrowanie czy o zabezpieczenie? – Z dowcipu hierarchy zaśmiali się wszyscy, nawet kierowca.

– Teren jest strzeżony dzień i noc przez oddziały gwardii miejskiej. – odparł nie speszony gwardzista – Jestem pewien, że niczego nie wyniesiono z kurii ani okolicznych kościołów.

Prócz kilku kilogramów radioaktywnego złomu rzeczywiście nikt niczego nie wyniósł z okolic katedry. Ale to były dawne czasy...

– Coraz bardziej mi się podobać. – Arcybiskup poklepał porucznika po plecach. – Wiesz, człowieku, że ten, kto trzyma z Kościołem zawsze dobrze na tym wychodzi?

– Wiem, Ekscelencjo.

– A jak u was z księżmi?

– Niestety. – Gwardzista zrobił zafrasowaną minę, choć tak naprawdę niewiele go obchodziła poruszona przez kapłana kwestia. – Niewielu

przeżyło wojnę, do dzisiaj nie pozostał chyba żaden. W każdym razie nie słyszałem, żeby jakikolwiek ksiądz pełnił posługę na terenie miasta.

– A kościoły?

– Większość murów stoi, chociaż nie wyglądają lepiej niż te budynki. – Twardowski wskazał na wypalone szkielety czynszowych kamienic przy ulicy Szewskiej, które właśnie mijali.

– Mam ze sobą dwudziestu sześciu kapłanów. Roześlę ich jutro po mieście, by sprawdzili stan wszystkich nieruchomości, jakie są wypisane na dokumentach, które wam przekazałem. Zrobią spis z natury i zastanowimy się nad harmonogramem prac przy odbudowie. Trzeba będzie podzielić miasto na parafie przynależne do świątyń, które są w najlepszym stanie. Ogłosicie, że potrzebujemy ochotników do odbudowy kościołów. Najlepiej już jutro... Inne sprawy mogą poczekać, nieprawdaż?

– Oczywiście.

Metropolita spojrział na Twardowskiego badawczo, zdumiewała go mieszanina uprzejmości i arogancji, jaka przebijała ze słów tego człowieka. Nie komentował jej jednak, póki porucznik był mu użyteczny.

– Chyba dojeżdżamy... – mruknął gwardzista, odwracając wzrok od palącego spojrzenia arcybiskupa.

Autobus zwolnił, wjeżdżając na most Piaskowy. Za nim znajdował się pierwszy posterunek gwardii. Szlaban powędrował w górę zaraz po tym, jak w otwartych drzwiach pokazał się Twardowski. Jednakże Jelcz potoczył się tylko kilkanaście metrów za posterunek. Z grubsza uprzątnięty gruz, pozostałość murów najbliższego kościoła nie pozwolił na dalszą jazdę w komforcie klimatyzowanego wnętrza. Wszyscy pasażerowie Jelcza musieli wysiąść i ostatni odcinek ulicy pokonać pieszo. Klerycy sprawnie rozładowali bagażniki i z plecakami na ramionach ruszyli gęsiego za porucznikiem i Jego Ekscelencją.

Na umocnionym przyczółku przed mostem Tumskim stali kolejni gwardziści. W sumie trzydziestu ludzi. Podwójna warta z „ostatniej linii życia”, jak nazywali wybrzeże tego kanału Odry mieszkańcy miasta. Za mostem Młyńskim, przy kolejnej rogatce, zebrał się dzisiaj prawdziwy tłum. Zawsze, gdy ktoś szedł na Odkupienie, było tam trochę gapiów. Nigdy jednak, nawet gdy pędzono kilka dni temu pierwszych Wyklętych, nie widziano tu takiej ilości ludzi. Ale nikogo to nie dziwiło, może prócz samych kleryków. Dzisiaj, zgodnie z zapowiedzią Burmistrza, pojawić się

tutaj mieli ci, którzy byli odpowiedzialni za ogrom zniszczeń, jakie spotkały Wrocław, Polskę, a może nawet cały świat. To widowisko warte było nawet kilku godzin sterczenia w morderczym upale.

Hierarcha zauważył zebranych w oddali wrocławian i wskazując na nich, podszedł do Twardowskiego.

– Czy ci ludzie zawsze tak tam stoją? – zapytał.

– O ile wiem, to nie – odpowiedział zgodnie z prawdą porucznik.

– Ciekawe, dlaczego się zebrali?

– Najprawdopodobniej rozeszła się wieść, że Ekscelencja wraca do katedry...

– Podoba mi się ich zapał i wiara. – Arcybiskup ujął się pod boki. – Bóg tak ich doświadczył, a oni czekają na powrót swojego pasterza... – Przerwał na chwilę i pomachał ręką ku zgromadzonym, po czym wrócił do przerwanego wątku. – Jutro jest niedziela. Ogłóście na mieście, że w katedrze będę celebrował pierwszą mszę. O dziewiątej.

– To może być trudne. – Twardowski wyraźnie się zakłopotał.

– Dlaczego?

– Część stropu głównej nawy runęła. Niby niewiele, ale zawsze. Trzeba by to najpierw sprzątnąć.

– Tak, racja. Musimy najpierw zajrzeć do katedry. Zaraz oszacujemy zniszczenia dokładniej, nie zajmie nam to wiele czasu. – Hierarcha wskazał na kleryków, czekających przy moście. – A wy zorganizujcie tymczasem grupę, powiedzmy, dwudziestu owieczek do odgruzowywania...

– Burmistrz zakazał wchodzić na Ostrów pod karą śmierci...

– I za to go lubię. Ale to nie znaczy, że będę honorował wszystkie jego postanowienia, możesz mu to, człowieku, powiedzieć. Zwłaszcza dotyczące mojej własności. – Mówiąc to, arcybiskup poklepał papiery trzymane przez porucznika, podniósł swój plecak i ruszył ku swoim włościom.

– Jedno powinniście wszyscy zapamiętać! – krzyknął na odchodnym. – Jest tylko jeden Bóg tej ziemi! Widzę dwudziestu robotników w katedrze za pół godziny!

Twardowski nie odpowiedział, zresztą nie było takiej potrzeby. Hierarcha na czele kleryków przechodził już na drugą stronę mostu Tumskiego. Gdy oddalił się na tyle, że nie mógł dosłyszeć głośniejszych wypowiedzianych zdań, porucznik odwrócił się do stojących za nim gwardzistów.

– Słyszeliście, co pan w sukience powiedział?

– Tak jest! – odparli niemal jednogłośnie.

– To powtórzcie.

– Jest tylko jeden Bóg tej ziemi!

Porucznik spojrział raz jeszcze na niknące w katedrze sylwetki, a gdy wrota, na jego komendę, zatrzasnęły się za nimi, głośno zapytał:

– A jakie jest jego imię?

Odpowiedział mu zgodny chór głosów, skandujący imię tego, którego wielbili.

– Pan Jan! Pan Jan! Pan Jan!

Twardowski uśmiechnął się, słysząc jak okrzyk ten podejmują ludzie zebrani za mostem. Spojrział na nich, potem na papiery trzymane w ręce i niemal wyschnięty kanał Odry. Teczka z dokumentami powędrowała do płytkiej, mulistej wody.

\*\*\*

Około siedemnastej zakończyła się pierwsza tura rozmów w Ratuszu. Zarówno Wałdoch jak i wojewoda wcale się nie zmartwili słysząc, że metropolita wrocławski nie chce brać udziału w spotkaniu. Niemniej, gdy okazało się, że wszystkie kwestie, jakie zaplanowano do omówienia, zostały wyczerpane, postanowili zajrzeć na Ostrów Tumski. Niby nie obchodziło ich stanowisko hierarchy, ale z Kościołem woleli nie zadzierać. Zwłaszcza w sytuacji, gdy nie byli pewni stopnia religijności ludzi zamieszkujących miasto. Przekonania polityków pozostawały przekonaniami, ale koniunkturalizm mieli zapisany w genach.

Burmistrz uśmiechnął się do siebie, słysząc o tym zamiarze. Wszystko układało się według jego myśli. Przeciwnik pogrążył się w pułapce, nawet o tym nie wiedząc, i sam wchodził w paszczę lwa. Jan Sobieszczyk spojrział na zegarek. Od momentu ostatniego zatrzaśnięcia wrót świątyni minęło już sześć godzin. Czas wystarczający, by w katedrze nie pozostał nikt żywy. Zwłaszcza że przygotowano pewną, mocno śmiertcionołą, niespodziankę dla Wyklętych. Pojemnik ze starym ale sprawdzonym gazem bojowym ze sztolni Strzelina.

– Wybacz pan – powiedział, podchodząc do generała Wałdocha. – Chciałbym jeszcze omówić kilka czysto technicznych spraw z pańskimi



zastępcami. Jeśli nie sprawiłoby to panu kłopotu, pułkownicy Anioł i Traczyk mogliby zostać w Ratuszu na czas wyprawy panów do kurii.

– Oczywiście. – Jak przypuszczał Burmistrz, generał zgodził się bez najmniejszych oporów. Zapewne wolał rozmawiać z hierarchą bez świadków.

– Czy major Sawicki też może zostać? – dodał po chwili generał.

– Nie widzę przeszkód – odparł Sobieszczuk.

Wojewoda, przysłuchujący się tej rozmowie, podszedł do Pana Jana i ujął go lekko pod łokieć.

– Jak rozumiem, mój zastępca też nie będzie panom przeszkadzał – powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. Widocznie chciał kontrolować wszystkie poczynania wojskowych. Także tych niższego stopnia.

– Nie sądzę.

– Doskonale – ucieszył się wojewoda. On również musiał mieć powody do spokojnej rozmowy z Zaczykiem.

– Zaraz sprowadzę eskortę dla panów. – Burmistrz podszedł do biurka i przywołał dzwonkiem Twardowskiego.

– Zorganizujcie transport dla panów na Ostrów Tumski – polecił.

– Tak jest, panie Burmistrzu. – Porucznik otworzył drzwi i po krótkim pożegnaniu część delegacji opuściła gabinet. Pozostali oficerowie i urzędnik zasiedli ponownie do stołu.

– Panowie – Sobieszczuk podszedł do okna i uchylił je wpuszczając trochę powietrza – proponuję pół godziny przerwy na odświeżenie, potem zapraszam do gabinetu na krótką rozmowę.

– Można wiedzieć o czym? – zainteresował się Sawicki.

– Jak już wspominałem, chciałbym omówić kilka czysto technicznych kwestii, związanych ze sprawnym przejęciem kontroli nad miastem. Pana ta sprawa nie dotyczy, majorze. Niemniej, jeśli koledzy nie będą mieli nic przeciw, zapraszam do nas. A teraz dziękuję panom za uwagę. Mój adiutant wskaże wam pokoje i udzieli wszelkich wyjaśnień...

Odprowadził oficerów do drzwi i już zamykał je za nimi, gdy Sawicki zawrócił.

– Jeśli można – powiedział. – Dwa pytania...

– Proszę. – Sobieszczuk, acz z niechęcią, wpuścił go ponownie do gabinetu. – Słucham, majorze.

– Obserwowałem pana przez cały czas trwania naszych rozmów i przyznam szczerze, że coś mi się tu nie podoba...

– To nie jest pytanie, panie majorze – przerwał mu Burmistrz.

– Dobrze, zatem zadam panu pytanie. W co pan gra, panie Sobieszczuk? Bo nie wydaje mi się, żeby wypadek naszego patrolu był taki oczywisty, jak pan to przedstawił. Wprawdzie generał dał się zbyć gładkimi słówkami, ale ja nie jestem tak łatwowierny jak on. W tym mieście dzieje się więcej, niż pan nam mówi. O wiele więcej.

– Chce pan coś zasugerować? – odpowiedział pytaniem na pytanie Burmistrz.

– Owszem – odparł oficer wywiadu. – Chcę.

– Proszę się zatem nie krępować.

– Zabiliście naszych ludzi. Nie wiem dlaczego, ale pozostaje dla mnie bezspornym faktem, że ci ludzie nie zginęli w wypadku.

– Zgadza się – potwierdził Pan Jan, siadając w swoim fotelu.

To krótkie stwierdzenie, jakie padło z ust Burmistrza, zaskoczyło Sawickiego, który już szykował się do kolejnej tyrady.

– Sł... Słucham?... – wyjąkał wreszcie, spoglądając na rozpartego wygodnie Sobieszczuka.

– Powiedziałem, że ma pan całkowitą rację. Kazałem zabić doktora Piwowskiego i pozostałych.

– Dlaczego?

– I tak pan nie uwierzy...

– Chyba nie dla tego samochodu?

– Raczy pan żartować, majorze. Choć z drugiej strony Hummer to nie lada gratka w dzisiejszych czasach.

– Jeśli nie zrobił pan tego dla korzyści majątkowych, to...

– Długo by mówić.

– Mimo wszystko, proszę spróbować.

– Dobrze. – Burmistrz wysunął szufladę biurka i wyjął z niej butelkę Obana. – Rocznik 1980, rezerwa. Numerowana. Napije się pan?

Sawicki skinął głową. Pan Jan nalał złotawego płynu do dwóch szklaneczek i zaprosił majora gestem na najbliższy fotel. Oficer z ociąganiem zajął wskazane miejsce.

– Nadal mi pan nie odpowiedział – mruknął, sięgając po szklanekę.

– A po co panu ta wiedza?

– Żeby uniknąć losu kapitana Piwowskiego.

Burmistrz roześmiał się na głos i odchylił na oparcie fotela.

– Szczery pan jest, majorze. Szczery aż do bólu. Ale przekonał mnie pan. Odpowiem tak: kazałem ich zabić, gdyż zagrażali moim planom.

– Jakim planom?

– Odbudowy tego kraju. Pod moim przewodem.

– Ha, Wiedziałem! Pan jest szalony! Ma pan obsesję na punkcie rządzenia! Król Jan IV Sobieszczuk się znalazł! – Sawicki jednym haustem opróżnił szklaneczkę i odstawił ją na blat. – Nie ma pan szans na utrzymanie się przy władzy. To my mamy armię, lekarstwa, struktury, dokumentację. A co pan ma? Tych obdartusów? Parę karabinów, granatów, działek? Ludzie pójdą za nami, a o panu za kilka lat nikt nie będzie pamiętał.

– Ja to widzę inaczej. – Burmistrz odstawił swoją szklanę, nie tykając zawartości.

– Czyli jak?

– Tego, niestety, już się pan nie dowie...

– Dlaczego?

– Bo nie lubię się powtarzać. A jeszcze dzisiaj muszę opowiedzieć tę historię ludziom, którzy na to bardziej zasługują.

Mówiąc to, wskazał na pustą szklanę i uśmiechnął się szelmowsko. W ostatnim przeblysku świadomości major próbował wstać z niskiego fotela, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– Jan IV Sobieszczuk. Genialne – mruknął Burmistrz, przelewając pozostały alkohol z powrotem do butelki. – Że też sam na to nie wpadłem.

\*\*\*

Zmierzchało już, gdy w gabinecie pojawili się Anioł i Traczyk. Za nimi, odrobinę spóźniony, wszedł sekretarz wojewody.

– Siadajcie, panowie. – Pan Jan wskazał im skórzane fotele w drugiej części sali. – Myślę, że tutaj będzie nam znacznie wygodniej.

Usiedli posłusznie, wybierając miejsca na wprost uchylonego okna. Sobieszczuk nie usiadł, podszedł do swojego biurka i wyjął z niego butelkę whisky i cztery szklanki.

– Tego pewnie nie mieliście w Bastionie – powiedział, podchodząc do delegatów i pokazując im czarną nalepkę z napisem Glenlivet. – Teraz już dwudziestoletnia. Rolls Royce w swoim gatunku. Najstarsza koncesjonowana. Chyba że wolicie wino?

Żołnierze nie wykazali zainteresowania drugą ofertą Burmistrza, ale Henryk owszem.

– A co może pan zaproponować? – zapytał.

– Chateau Latour, rocznik sześćdziesiąt dwa, znakomity. Może też być Petrus, niestety, z siedemdziesiątego drugiego.

– Chateau Latour? Pisany razem? – zainteresował się urzędnik. – Przyznam, że dawno nie miałem okazji spróbować...

– Nie ma sprawy. – Pan Jan postawił tacę ze szklankami i whisky na stole i podszedł do stojącej w rogu szafy.

Gdy uchylił drzwiczki, można było zobaczyć równe rzędy leżących ukosem butelek. Pewnym ruchem sięgnął na niższą z półek i wyjął jedną, lekko zakurzoną. Modernistyczny w kształcie korkociąg od Alessiego wisiał na wewnętrznej stronie drzwi. Kryształowe kieliszki stały na samej górze. Burmistrz spojrzął na siedzących, ale zauważył, że pozostali nie przejawiają ochoty na wino. Wyjął zatem tylko dwa i wrócił do stolika.

Zajął miejsce naprzeciw mężczyźni i naciął przy pomocy nożyka ukrytego w rękojeści korkociągu kapturek chroniący korek. Jeszcze moment i z charakterystycznym kłaśnięciem otworzył butelkę. Odstawił ją na stół, by zawartość odetchnęła, po czym wyjął korek Glenliveta. Nalał do obu szklanek na dwa palce złocistego płynu i przesunął je w stronę oficerów.

– Wybaczą panowie brak lodu – powiedział, gdy zachwycali się aromatem. – Przy tych temperaturach nie mamy szansy na taki luksus. Nawet w najgłębszych piwnicach. Niestety, w dzisiejszych czasach koneserzy nie mają lekkiego życia.

Roześmiali się z żartu i wznieśli toast za zdrowie Burmistrza i swoich przełożonych. Tymczasem Pan Jan zajął się winem. Zrosił oba kieliszki odrobiną rubinowego płynu i kręcąc nimi ostrożnie rozprowadził go po całej powierzchni szkła. Dopiero potem nalał nieco większą porcję do jednego z nich i podał sekretarzowi. Ten dopełnił rytuału, powoli sprawdzając barwę, bukiet i na końcu smak szlachetnego trunku.

– Doskonale – przyznał, odstawiając kieliszek na blat. – Nie ma go już wiele na tym świecie.

– Trochę się znajdzie – odparł Burmistrz, z przyjemnością odnotowując fakt, iż Henryk jest również koneserem win. – Zwłaszcza gdy ktoś wie, gdzie szukać.

– Tak. A gdzie pan znalazł swoje?

– Długo by mówić. Pod Trzebnicą była hurtownia, główne magazyny po wojnie splądrowano, ale właściciel, od którego notabene przed wojną sprowadzałem wina do swojej piwniczki, miał specjalne pomieszczenie, w którym trzymał najlepsze gatunki. Zabezpieczył je na tyle dobrze, że choć sam zginął, to jego skarbu nikt nie znalazł.

– Prócz pana – wtrącił pułkownik Anioł.

– Prócz mnie – przyznał mu rację Sobieszczuk, wlewając kolejne porcje wina do kieliszków. – Ale ja, w przeciwieństwie do innych, wiedziałem gdzie szukać.

Nie uznał za stosowne poinformować tych ludzi, że właściciel miał wiele oporów przed ujawnieniem lokalizacji piwniczki. Czego jednak nie dokona zρέcznie poprowadzone przesłuchanie...

– Miło się z panem gawędzi – powiedział drugi z wojskowych, Traczyk, gdy butelka wróciła na swoje miejsce. – Niemniej chciał pan o czymś porozmawiać, a pora robi się już późna. Generał powinien niedługo wrócić. Przejdźmy zatem do sedna.

– Słusznie – zgodził się Burmistrz i usiadł wygodniej z kieliszkiem w dłoni. – Sprawa, którą mam do panów, jest dość delikatnej natury. Powiedziałbym nawet, że jest trudna i skomplikowana.

– Jak całe nasze życie – przerwał mu ponownie Traczyk. – Ale jesteśmy żołnierzami i lubimy konkrety.

– Dobrze. Zatem przejdźmy do konkretów. Mam do panów interes. Chciałbym, abyście przyłączyli się do mnie.

– Do pana?

– Powinienem powiedzieć raczej, do sił Wolnego Miasta Wrocław.

– To jakiś żart? – Traczyk odłożył szklanke, pochylił się w kierunku Pana Jana i wbił w niego badawcze spojrzenie. – Zdaje pan sobie sprawę, że zameldujemy o tej propozycji generałowi Wałdochowi zaraz po jego powrocie.

– Nie sądzę – ten głos należał do Henryka.

– Co? – Obaj pułkownicy wypowiedzieli to słowo niemal równocześnie.

– Zdaje się, że generał ma teraz inne zmartwienia – kontynuował sekretarz wojewody. – O ile można to tak nazwać.

– Dokładnie – Burmistrz wpadł mu w słowo, z rozbawieniem spoglądając na otwarte usta żołnierzy. Sekretarz wojewody miał w sobie wiele ciekawych cech. Musiał je mieć, skoro załapał się do Bastionu. A jedną z nich była wyjątkowa przenikliwość. Właśnie zarobił kolejny plus w teście na przeżycie, wyprzedzając jednego z oficerów.

– Co to ma znaczyć? – zapytał pułkownik Anioł. – Co pan zrobił z generałem i wojewodą?

– Ja? – obruszył się Burmistrz. – Nic nie zrobiłem. Powiedzmy, że napotkali na swojej drodze nieprzewidziane trudności związane z minioną wojną. Te same, które zabiły doktora Piwowskiego i jego przyjaciół.

Anioł wstał i odruchowo sięgnął do kabury. Niestety, to co z niej wyjął nie było jego służbową Berettą. Zadbali o to ludzie Sobieszczuka podczas niedawnego odpoczynku.

– To spisek! – krzyknął, rzucając na stół wyrzeźbiony w kawałku drewna kształt imitujący pistolet. – Nie sądzi pan chyba, że ujdzie mu to na sucho. O kilkadziesiąt metrów stąd stoją gotowe do akcji transportery opancerzone. Nas może pan zabić, ale szósty batalion zrobi z was miazgę!

– Proszę się uspokoić – Burmistrz machnął lekceważąco ręką – i usiąść na miejscu. Jeszcze rozleje pan whisky, a to jedna z ostatnich butelek tego rocznika.

– Pan jest szalony! – krzyczał Anioł, nie zważając na napomnienia. – Nie mam zamiaru uczestniczyć w tym spisku.

Ruszył w kierunku Pana Jana, odtrącając na bok fotel, niemniej człowiek, ku któremu zmierzał barczysty oficer, nie wyglądał na przestraszonego. Nawet jego oczy wyrażały rozbawienie. Wkrótce wszyscy zorientowali się, dlaczego. Ciche kłaśnięcie wystrzału poprzedziło o ułamek sekundy głuchy łoskot upadającego na dywan ciała. Z szyi pułkownika sterczała niewielka strzykawka, jakiej zazwyczaj używano do usypiania zwierząt.

– Pan, pułkowniku Traczyk, chce pójść w ślady kolegi, czy woli porozmawiać? – zapytał spokojnie Burmistrz a widząc przestrach w oczach pozostałych, dodał wyjaśniającym tonem. – Poprzedni właściciel tego

gabinetu zadbał, by w każdej sytuacji mieć nad nim kontrolę. Tam – wskazał na umieszczone wysoko pod samym sufitem otwory wywietrzników – są stanowiska snajperów. Dzisiaj wyjątkowo otrzymali naboje obezwładniające.

– Widziałem i zrozumiałem – odpowiedział siląc się na spokój drugi z oficerów i usiadł na swoim miejscu, sięgając po szklankę. – Zdaje się, że nie pozostawił mi pan żadnego wyboru.

Sobieszczuk wziął słowa pułkownika za dobrą monetę.

– Nie jestem skończonym idiotą, jak to się mogło wydawać pańskiemu koledze. To, co chcę panom zaproponować, to prosty i dobrze przemyślany układ. Niemniej, żebyście w pełni zrozumieli, co mam wam do zaproponowania, muszę opowiedzieć całą tę historię od początku. Od momentu, gdy znalazłem się na przedpolach tego miasta...

Goście siedzieli przez chwilę, mierząc Pana Jana wzrokiem.

– Proszę zaczynać, panie Burmistrzu – powiedział w końcu Henryk i pokazał pusty kieliszek.

\*\*\*

– Wojna zastała mnie w kompleksie bunkrów rządowych w Radzyminie. Moim szczęściem, a może raczej pechem, było to, że przeżyłem atak. Pracowałem dla Wojskowych Służb Informacyjnych, zajmowałem się analizami i prognozami. Dlatego oddelegowano mnie do punktu obserwacyjnego oddalonego o kilka kilometrów od głównego kompleksu. Był to niewielki bunkier zakopany głęboko w ziemi i pozbawiony większości wygód, jakie zarezerwowano dla apartamentów rządowych. Za to wypełniono go najnowocześniejszym sprzętem przystosowanym do działania w warunkach wojny nuklearnej. Początkowo czułem wielki żal do moich przełożonych za to zesłanie, ale wkrótce zrozumiałem, że dzięki temu uda mi się przeżyć. Wielu ludziom, z tak zwanych elit, wydawało się, że kompleks Radzymin jest tajny. Życie pokazało, że było wręcz odwrotnie. Ukraińcy wiedzieli doskonale, gdzie nas szukać. A ponieważ nie mieli pewności co do celności swoich rakiet, nadrobili mocą ładunku.

Dość powiedzieć, że przewentylowali cały kompleks dziesięcioma megatonami. Nasz szanowny rząd wyparował. Dosłownie i w przenośni.

Premier, ministrowie, ich rodziny i pociotki. Dobre półtora tysiąca ludzi, jak nie więcej.

My też nieźle oberwaliśmy, pomimo oddalenia i stumetrowej warstwy ziemi na włązie. Tydzień upłynął, zanim udało nam się uruchomić wszystkie systemy awaryjne. Zebraliśmy dane o sytuacji na powierzchni i przejrzeliliśmy wyniki. Były fatalne, co najmniej trzydzieści głowic trafiło w Polskę już w pierwszej fazie wojny. Straciliśmy największe miasta, ale to uderzenie nie było specjalnie przemyślane. Warszawa dostała sześcioma głowicami, a Gdańsk nawet nie powąchał prochu. Wniosek wydawał się prosty. Ukraińcy spanikowali, mieliśmy jeszcze szanse. Niestety, po dwóch dobach nadeszło drugie uderzenie. Tym razem globalne. Rosyjskie pociski manewrujące i bomby dokończyły dzieła zniszczenia, uderzając precyzyjnie w wybrane cele. Węzły kolejowe, centra przemysłowe i porty przeszły do historii. Sto osiemdziesiąt siedem głowic, ale nie większych niż jednomegatonowe. Tyle przeznaczono na nas. Liczyliśmy kolejne trafienia, notowaliśmy zasięg skażenia i nadal byliśmy dobrej myśli. Nawet przy takich zniszczeniach istniała szansa na przetrwanie.

A potem nadeszły trzęsienia ziemi. Z początku sądziliśmy, że to kolejne ataki, ale charakterystyka wstrząsów, a te potrafiliśmy doskonale określić dzięki sprzętowi, nie pozostawiała wątpliwości. Setki nuklearnych eksplozji, spowodowały niestabilność skorupy ziemskiej. Wprawdzie tutaj, w Europie Wschodniej, nie były to katastrofalne wstrząsy, a raczej echa potężnych kataklizmów pustoszących odległe rejony Azji, Bliskiego Wschodu i obu Ameryk, ale i tak naliczyliśmy co najmniej sześćdziesiąt trzęsień o sile przekraczającej pięć stopni w skali Richtera. Cały czas pracowaliśmy, zbierając dane z przyrządów, by ocenić sytuację w skali globalnej. A ta nie była najciekawsza. Wyglądało na to, że wielkie mocarstwa wzięły się poważnie za łby i cała planeta podzieliła los naszej ojczyzny. Osiem tysięcy sześćset czterdzieści potwierdzonych eksplozji, które zanotowały geofony Radzymina, sugerowały jedno: na górze nie było już cywilizacji. Wprawdzie nie mogliśmy określić precyzyjnie, kto oberwał i w jakim stopniu, ale gdy sierżant Gogolin, nasz spec od geologii obliczył w przybliżeniu siłę kilkudziesięciu największych wstrząsów sejsmicznych, lokując je grubo powyżej ośmiu stopni w skali Richtera, stało się jasne, że mapa świata, o ile ktokolwiek będzie władny ją narysować, w niczym nie może przypominać tej, którą wszyscy znaleźliśmy. Dopóki mieliśmy zajęcie,



nie zastanawialiśmy się nad przyszłością. Zamknięci w betonowej klatce sto dwadzieścia metrów pod ziemią i względnie bezpieczni, mogliśmy tylko siedzieć i czekać na wyczerpanie skromnych zapasów. Wytrzymaliśmy tak siedemdziesiąt dwa dni. Potem musieliśmy podjąć decyzję.

Ze sprzętu powierzchniowego niewiele ocalało, ale nadal mogliśmy zbierać próbki powietrza. Miałem pełną świadomość, że wychodząc z bunkra wystawimy się na podwyższoną radiację i w najlepszym przypadku narazimy na chorobę popromienną. Ale jedyną alternatywą dla tej wyprawy była powolna agonia z wycieńczenia i głodu w mrocznych trzewiach bunkra. Zebrałem wszystkich i wyjaśniłem im, na czym polega mój plan. To nie byli głupi ludzie. Wszyscy zgodzili się na ryzyko przeprawy przez niemal pół kraju.

Wiedziałem, że na południu Dolnego Śląska istnieje drugi kompleks bunkrów. Poznałem jego kryptonim i pewną część planów tuż przed wojną, podczas prac w Komisji Bezpieczeństwa Narodowego. Wiedziałem też, dzięki odczytom, że w tamtej okolicy nie było żadnej powierzchniowej i podziemnej eksplozji nuklearnej, co świadczyło o tym, że tajemnica na pewno pozostała tajemnicą i bunkry nie zostały naruszone. Postanowiłem zebrać wszystkich, którzy chcieliby iść ze mną, i przedostać się do Bastionu. To była nasza jedyna szansa. Jak się okazało, nie do końca stracona.

Tak naprawdę zaczyna się ona, gdy wozy z moim oddziałem trafiły do Smolnej. To taka mała wioska pod Oleśnicą. Wtedy nic o niej nie wiedzieliśmy, była po prostu kolejnym punktem na mapie, przez który musieliśmy przejechać, aby dostać się do Wrocławia, a jechaliśmy cały czas bocznymi drogami, tymi, które najmniej ucierpiały podczas wojny. Nie muszę chyba dodawać, że nie ocalał nawet jeden most na trasie naszej wyprawy. Chwaliłem Boga za to, że ktoś pomyślał o tym i niemal każdy pojazd w bazie był przystosowany do pokonywania przeszkód wodnych.

Wróćmy jednak do, tematu. Droga do wsi prowadziła przez las. Zmierzchało już, ale było na tyle jasno, że jechaliśmy bez zapalonych świateł. Siedziałem w szoferce pierwszej amfibii. W pewnym momencie zauważyłem, że łazik na szpicy zatrzymuje się gwałtownie, a jego kierowca daje nam znaki. Wskazywał na prawo. Początkowo nie wiedziałem, o co mu chodzi, ale po chwili wypatrywania zobaczyłem, że zza ściany uschniętych drzew wyłania się chmura gęstego dymu. Po tylu tygodniach

od ataku wszystkie pożary wywołane nuklearną pożogą wygasły same z siebie. Wtedy nie było jeszcze tak odczuwalnego efektu cieplarnianego, dlatego uznałem, że musi to być sprawka człowieka. Wysłałem patrole na skraj zarośli, a sam z dwoma oficerami BORu przedostałem się drogą aż do zakrętu, skąd mogłem obserwować niemal cały teren zabudowany.

Wyglądało na to, że ktoś plądruje wieś. Kilkunastu mężczyzn uzbrojonych w karabiny i podzielonych na dwie grupy dość bezpardonowo rozprawiało się z miejscowymi. Wypędzali całe rodziny z chałup, a każdego, kto próbował się bronić, zabijali na miejscu. Pozostałych, w tym kobiety i dzieci, spędzali na skraj wsi. W tym samym czasie druga grupa okradała puste domostwa. Gdy wrzucili na furmankę wszystkie cenne przedmioty i żywność, podkładali ogień i przenosili się do następnych zagród. Chciałem zareagować, ale BORowcy powstrzymali mnie. Wyjaśniali, że nie wiemy, z kim mamy do czynienia. Jeśli teraz wejdziemy do akcji, w czasie strzelaniny i tak zginie większość jeńców, a przeciwnik dowie się o naszej obecności. Jeśli poczekamy, to mamy duże szanse na wzięcie języka i sprawdzenie, kim są napastnicy, bez wzbudzania przedwczesnego alarmu. A to mogło się przydać, gdyby bandyci okazali się dobrze zorganizowani i liczni.

Wtedy nie chciałem ich słuchać, ale dzisiaj przyznaję, że była to mądra decyzja. Gdybym poszedł na żywioł, dzisiaj Wrocław wyglądałby inaczej, a i wy pewnie nie przeżylibyście w swoich bunkrach. Wróćmy jednak do tamtych zdarzeń. Poczekaliśmy w zaroślach, aż napastnicy dokończą dzieła zniszczenia i, co ze wstydem przyznaję, biernie obserwowaliśmy, jak gwałcą kobiety, strzelają dla zabawy do mężczyzn i dzieci. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że społeczeństwo przestanie istnieć w starej formie, ale czegoś takiego nie spodziewał się nikt. Nawet *Mad Max*, znacie panowie z pewnością ten film, wydawał się przy tych zdarzeniach bajeczką dla dzieci. Możecie mi wierzyć, widziałem jak najtwardsi z komandosów zaciskają w bezsilnym gniewie oczy i zatykają rękami uszy, by nie dopuszczać do siebie nawet jednego dźwięku z wioski.

Bandyci odeszli zaraz po zmroku, zostawiając za sobą dogasające ognie w ruinach, dziesiątki trupów i lamentujące ofiary. Oczekaliśmy jeszcze chwilę i wyszliśmy z ukrycia. Ci, co ocaleli, na nasz widok rzucili się do ucieczki. Szczęściem w stronę lasu, gdzie też czekali moi ludzie. Złapaliśmy z dziesięć osób, w tym większość dzieciaków. Ale to właśnie

one okazały się prawdziwą skarbnicą wiedzy o tym, co dzieje się na Dolnym Śląsku i w samym Wrocławiu. A działo się wiele.

Mężczyźni, którzy spustoszyli wieś, należeli do oddziałów zbrojnych rządzącego Wrocławiem Kartelu. Tak przynajmniej mówili o sobie przywódcy tej zbrodniczej grupy, kryminaliści odsiadujący przed wojną wyroki w wołowskim więzieniu. Po pierwszym Ataku, gdy zabrakło prądu i wybuchła panika, kilku więźniom, przebywającym na dyżurach w kuchni i pralni, udało się zbiec. Zabili strażników i wypuścili kolejnych przestępców. Wkrótce wszystkie cele stanęły otworem, a potem zbrojownia kompanii wartowniczej i bramy prowadzące na wolność. Niemal połowa z trzystu uciekinierów poszła swoją drogą, ale reszta, zwłaszcza ci z najcięższymi wyrokami, postanowiła się zorganizować. A to oznaczało tylko jedno, eskalację przemocy w świecie pozbawionym stróżów porządku i prawa.

Na pierwszy ogień poszedł Wołów. Wojna ominęła to senne miasteczko. Nie było w nim żadnego celu, który wart był bojowej głowicy. Ale to, co mieszkańcy początkowo wzięli za dobrą monetę, wkrótce stało się ich przekleństwem. Banda plądrowała i niszczyła systematycznie dom po domu, ulicę po ulicy, dopóki Wołów nie zmienił się w morze dymiących zgliszcz. Wtedy uciekinierzy skierowali oczy na następne miejscowości. I tak padły Brzeg Dolny, Trzebnica, a potem przyszła kolej na Wrocław.

Jednakże po dotarciu do ogromnego, prawie milionowego przed wojną miasta, bandyci zdali sobie sprawę, iż tutaj stare metody zastraszania i niszczenia już nie wystarczą. Byli silni, liczni i bezwzględni, ale nawet dwie setki gangsterów miałyby problem z opanowaniem tak wielkiej metropolii. Nadal żyło tu kilka tysięcy ludzi. O ile można było nazwać to życiem. Niektórzy z ocalałych też mieli broń i organizowali się w paramilitarne oddziały, zwane powszechnie Obrońcami, o czym przekonały się czujki Kartelu, nieostrożnie wchodząc do Śródmieścia.

Bandyci, jak to bandyci. Są silni w grupie, ale każda ryzykowna sytuacja szybko ich odstrasza. Podobno wielu chciało przejść opłótkami i łupić kolejne małe miejscowości. Ale szefowie zdecydowali inaczej. Nie mogli wziąć miasta szturmem, postanowili zająć Wrocław podstępem i uczynić z niego swoją siedzibę, skąd mogliby rządzić całym regionem jak prawdziwi królowie. Wysłali przodem specjalnie dobranych emisariuszy i ogłosili, że są oddziałami ochotniczej milicji, która pokonała więźniów, a

teraz zamierza bronić miasta przed zakusami innych band. Na dowód zwycięstwa ulicami miasta przepędzono kilkunastu kryminalistów zakutych w łańcuchy i osadzono w podziemiach Ratusza, który już wtedy służył za centrum władzy. Kilku z ocalonych urzędników starało się odbudować podstawy społeczeństwa, ale byli to ludzie pozbawieni wiedzy i możliwości, choć muszę przyznać, że udało im się zrobić wiele dobrego. Okazali jednak zbytnią łatwowierność i powitali napastników jak braci, w nadziei, że ktoś wreszcie zdejmie z ich barków ciężar zarządzania miastem. Przybysze urządzili wielkie przyjęcie na Rynku, zapraszając wszystkich znaczniejszych obywateli, zwłaszcza zaliczających się do Obrońców. Zebrali niemal każdego, kto cokolwiek znaczył w tej społeczności. Dość powiedzieć, że ich zaschniętą krew możecie zobaczyć na bruku jeszcze dzisiaj. Pogrom zapoczątkował nową falę terroru. Wkrótce miasto pozbawione elit i broni poddało się. Ci z Obrońców, którzy przeżyli, uciekli na peryferie, a potem dalej. Reszta mieszkańców pozostała we władzy nowych bossów Wrocławskiego Kartelu.

Pierwszy z szefów, niejaki Grucha, zmarł w kilka dni po przybyciu do miasta na chorobę popromienną. Osobiście dowodził oddziałem, który plądrował katedrę. Niestety, miał pecha, nie wiedział, że przed ołtarzem leży niewypał jednej z ruskich głowic, przeznaczonych dla dogorywającego miasta. Zanim dotarł ze zrabowanym złotem do Ratusza, zdechł we własnych rzygowinach, a z nim dziesięciu innych bandytów. Jego następcą został Siara, facet o idiotycznym przydomku, który zyskał dzięki podobieństwu do przedwojennego satyryka, ale o wielkim jak na to środowisko intelekcie i talencie organizacyjnym. Zmienił w ciągu kilku tygodni charakter gangu i odstąpił od bezmyślnego mordowania dla zabawy, choć nadal był bezwzględny dla każdego przejawu nieposłuszeństwa. Spośród mieszkańców Wrocławia wybrał grupę kolaborantów i stworzył gwardię, która aktywnie wspierała działania Kartelu poza terenem miasta. W sumie służyło w niej wtedy prawie trzystu ludzi, słabo uzbrojonych, ale karnych i dyspozycyjnych.

Na swoją siedzibę Siara wybrał wrocławski rynek i Ratusz. W tej chwili znajdujecie się, panowie, pod jego celą. Może wydać się to śmieszne, ale tak nazwał tę salę. Rządził żelazną ręką, nakładając na tych, którzy pozostali w mieście, wysokie daniny. Ludzie wygrzebywali dla niego z ruin złoto i wszystkie cenne drobiazgi. Plądrował też okoliczne wsie, ale tylko

te, które nie wywiązały się z obowiązkowych dostaw. Na taką właśnie sytuację trafiliśmy w Smolnej, gdzie osiedliło się kilku Obrońców.

Jak widzicie, Kartel stanowił istotną przeszkodę w realizacji naszego planu dotarcia do Bastionu. Z tego, co powiedzieli miejscowi, zorientowałem się, że bandyci już wiedzieli o schronie i zagonili setki ludzi do przeszukiwania okolic Wrocławia. Nie mieli dokładnych danych o lokalizacji bunkrów, ale wiedziałem, że prędzej czy później trafią na nie. Choćby przez ocalałych pracowników Urzędu Wojewódzkiego, pod którego budynkiem, w specjalnych piwnicach, znajdowało się wiele tajnych dokumentów dotyczących projektu Bastion. Musieliśmy się spieszyć, a to oznaczało nieuniknioną konfrontację z Kartelem.

Postanowiłem przeprowadzić rozpoznanie. Rozbiliśmy obóz opodal Smolnej, która przynajmniej na jakiś czas nie powinna interesować bandytów, i w przebraniu zapuściliśmy się kilkakrotnie do centrum Wrocławia. Przez cały ten czas, a trwało to ze dwa tygodnie, opracowywaliśmy plan działania. Ostatecznie wybraliśmy najbardziej radykalne rozwiązanie: frontalny atak na siedzibę Wrocławskiego Kartelu. Miałem pod swoją komendą czterdziestu dwóch ludzi. Dobrze wyszkolonych i uzbrojonych. Mieliśmy też po naszej stronie najważniejszy czynnik, zaskoczenie. Przeciwnik za to dysponował siedmiokrotnie większymi siłami, nie licząc pospolitego ruszenia, ale zyskaliśmy pewność, że nie więcej niż dziesięć procent gwardzistów poszłoby w takiej sytuacji za Siarą i jego ludźmi. Reszta powinna okazać neutralność, a może nawet wsparłaby nasze działania, na co po cichu liczyliśmy.

Powoli przegrupowywałem mój oddział do Śródmieścia. Zajęliśmy kilka opuszczonych kamienic opodal uniwersytetu, dosłownie rzut beretem od Ratusza. Gromadziliśmy przemycane dzięki ludziom ze Smolnej broń i informacje, a gdy wszystko było związane na ostatni guzik, wydałem rozkaz do rozpoczęcia akcji. Bojówka złożona z kilku BORowców w mundurach polowych zaczęła likwidować posterunki Kartelu na przedmieściach Wrocławia. W tym samym czasie rozpuszczaliśmy plotki, jakoby regularne oddziały żołnierzy pojawiły się na Psim Polu i w Leśnicy. To podziałało na gangsterów jak przysłowiowa płachta na byka. Najpierw wysłali całą gwardię w pole, a potem zaczęli ściągać swoich rezydentów z pomniejszych miasteczek, które zajmowali od pewnego czasu, rozszerzając strefę wpływów. Gdy pewnego piątkowego wieczoru, na kolejnej naradzie

u Siary zebrano się trzydziestu najważniejszych bandziorów, postanowiłem, że czas zakończyć tę sprawę.

Podzieliłem ludzi na trzy drużyny po dwunastu żołnierzy. Pierwsza grupa miała zaatakować składy Kartelu, które zlokalizowaliśmy w Kościele Garnizonowym, oraz wyeliminować mieszkających w pobliskich kamienicach bandytów. Druga grupa, wspólnie z trzecią, miały przypuścić szturm na rynek i Ratusz. Dziesięciu pozostałych BORowców rozmieściliśmy wokół rynku, żeby pilnowali tyłów i likwidowali ewentualnych uciekinierów.

Wkrótce okazało się, że nie było to proste zadanie. Przed Ratuszem przy każdym spotkaniu obozowało co najmniej kilkudziesięciu gwardzistów i bandytów z ochrony bossów. Ale sprzyjały nam ciemność i technika. Mieliśmy to, czego prymitywni zabójcy najbardziej się obawiali: granatniki, noktowizory, broń automatyczną. A nade wszystko determinację. Zaatakowaliśmy bez ostrzeżenia, zabijając każdego, kto stanął nam na drodze do bram Ratusza. Oddział drugi zabezpieczał nasze tyły, podczas gdy trójka przypuściła bezpośredni szturm na budynek. Działaliśmy zgodnie z taktyką oddziałów specjalnych, w których przeszkolenie odbyła ponad połowa moich ludzi. Najpierw strzelaliśmy, potem patrzyliśmy, do kogo pan Bóg kule zaniósł. Dzięki tej metodzie i granatom ogłuszającym udało nam się wdrzeć do budynku i oczyścić parter w niespełna piętnaście minut. Bandyci byli bezradni jak dzieci we mgle, potrafili terroryzować bezbronnych ludzi, ale w otwartej walce z silnym i dobrze wyszkolonym przeciwnikiem tracili głowy. Poddawali się, ale my nie przyszliśmy brać jeńców. Przynajmniej nie zwykłych jeńców.

Jak się okazało następnego ranka, zabiliśmy ponad pięćdziesięciu przeciwników, nie licząc gwardzistów, bo z nimi zebrałaby się setka, tracąc przy tym jedynie siedmiu ludzi. Z jednej strony był to wynik satysfakcjonujący, z drugiej na wolności pozostawało nadal drugie tyle bandziorów. Fakt, że tylko tych mniej ważnych i przestraszonych, ale nadal uzbrojonych i stanowiących poważne zagrożenie. Najbliższe dni po ataku na Ratusz uświadomiły nam, że mimo spektakularnego sukcesu nie zdołaliśmy skutecznie rozbić organizacji Siary. Musiałem wymyślić sposób na pozbycie się reszty kryjących się w ruinach drani. I wymyśliłem.

Jak już wspominałem, zdobywając Ratusz zdołaliśmy wziąć do niewoli kilku bossów Kartelu, w tym samego szefa szefów, Siarę. Postanowiłem

wykorzystać ten fakt i zastawić pułapkę na pozostałych. Ogłosiłem amnestię i abolicję dla tych gwardzistów, którzy dobrowolnie zdadzą broń i przejdą na naszą stronę. Jak się wkrótce okazało, był to bardzo dobry ruch. Niemal wszyscy porzucili służbę w Kartelu, jednocześnie wystawiając bądź likwidując swoich przełożonych. Nadto, wydobyliśmy torturami z kilku oprychów wiadomości na temat ich starych kryjówek. Ale okazało się, że ci, którzy przeżyli pogrom na rynku i zdradę gwardii, dobrze się zaszyli i szybko zreorganizowali. Zaledwie dziesięciu kolejnych zbirów wpadło w nasze ręce, choć przeczesaliśmy setkę wskazanych kryjówek. Musiałem przyznać, że co jak co, ale chłopcy z Kartelu mieli głowę do takich rzeczy. W czasie gdy przekopywaliśmy miasto, zaczęła się wojna partyzancka. Oni zabijali każdego, kto nawinął się pod rękę, by nas zastraszyć i zdyskredytować w oczach zwykłych ludzi. My z kolei polowaliśmy na nich, nie zwracając uwagi na ilość niewinnych ofiar. Jak to się mówi, cel uświęcał środki.

Dość szybko doszedłem jednak do wniosku, że taki obrót sprawy nie przyniesie nam niczego dobrego. Wrocławianie zaczęli się niecierpliwić i burzyć, widząc że nie potrafimy opanować sytuacji. Miasto sparaliżował strach. Wtedy za namową jednego z oficerów BORu zaoferowałem bandytom układ. Wypuściliśmy dwóch z przetrzymywanych w Ratuszu poruczników Siary i przekazaliśmy im ultimatum dla ukrywających się zbiegów. Oferta była prosta: każdy, kto zdecyduje się opuścić Wrocław, otrzyma gwarancję nietykalności i pełen plecak zrabowanych przedmiotów, których całe tony składowano w kościele Garnizonowym. Obaj wypuszczeni otrzymali takie same przywileje.

Nie musiałem długo czekać. W dwa dni po ogłoszeniu ultimatum pojawili się pierwsi chętni do opuszczenia miasta. Przychodzili pojedynczo, obserwowani z dala przez ukrytych w ruinach kompanów. W przypadku pułapki tylko dwóch, góra trzech dałoby się złapać bądź zabić. Ale nie o takie rozwiązanie nam chodziło. Pozwalaliśmy im zachować broń i wybrać to, co chcieli z góry zrabowanych skarbów. Nikt nie zbliżał się do nich, gdy udawali się do kościoła, a potem małymi grupkami zmierzali w kierunku przedmieść. Obserwowaliśmy ich tylko z daleka i przeliczaliśmy. Z amnestii skorzystało w ciągu tygodnia niemal stu ludzi Siary, w tym kilkunastu gwardzistów, którzy pozostali do końca po ich stronie. Trwało to czas jakiś, ale w końcu ostatni z bandziorów zniknął za Widawą.

Wtedy przyszła kolej na rozliczenie z samym Siarą i siedmioma pozostałymi schwytanymi bossami Kartelu. Pamiętam jak dziś moment, gdy wszedł tymi drzwiami. Był pewien, że oto nadeszła chwila uwolnienia, a usłyszał sentencję wyroku, jaki na niego wydałem. Nie zareagował na to, że kazałem go stracić. Śmiał się wręcz, że jego ludzie, którzy zbierają się za miastem, wrócą tu niebawem dobrojeni i rozprawią się z nami. Poczekalem aż skończy i opowiedziałem, na czym polegał podstęp z amnestią. Trzeba było widzieć to spojrzenie. Początkowo nie wierzył, ale gdy wyrzwał przez okno i zobaczył, co szykujemy dla niego i pozostałych, zrozumiał, że nie kłamałem.

Chcecie pewnie wiedzieć, na czym polegał trick? To proste, wiedziałem, że wypuszczenie tak dużej uzbrojonej grupy ludzi wkrótce się na nas zemści. Choćby nawet udało nam się utrzymać miasto, to odcięliby nam dostęp do żywności. Co więcej, obserwując drogi wyjazdowe, mogli zabijać każdego, kto wypuściłby się poza bezpieczną strefę. Dlatego musieliśmy ich zlikwidować. I zlikwidowaliśmy. Cicho i bez jednego strzału. Zanim ogłosiłem amnestię, odwiedziłem prowizoryczny szpital, jaki urządzili moi ludzie w Hali Targowej. Właściwie nie szpital, ale hospicjum. Zbierano tam ludzi, którzy nie mieli szans na przeżycie. Zaproponowałem kilku z nich pewien układ. Mieli przedostać się do katedry i wynieść z niej odłamki rozbitej głowicy. Niewielkie, ale najbardziej zabójcze. Prawie wszyscy się zgłosili, gdy powiedziałem, do czego są mi potrzebne. Wybrałem czterech. Idąc na Ostrów wiedzieli, że nie dożyją zachodu słońca, ale sił dodawała im świadomość, że dzięki ich poświęceniu zniknie zagrożenie dla miasta. Zresztą i tak nie mieli szans na przeżycie. Dość powiedzieć, że wykonali swoje zadanie na medal. Dostarczyli kilka kilogramów odłamków i ukryli je w stelażach plecaków, które przygotowaliśmy w kościele garnizonowym. W zamian otrzymali taką ilość morfiny, by ostatnie chwile życia mogli spędzić wolni od męki wszechobecnego bólu.

To były naprawdę niewielkie kawałki plutonu. Ale zabójcze jak szlag. Z tego, co wiedziałem od naszych lekarzy, każdy, kto się z nimi zetknął miał przed sobą zaledwie kilka dni życia. Góra tygodni, przy odrobinie szczęścia. Przyznacie, że był to idealny plan. Prymitywni kryminaliści połaskiwili się na złoto, a znając ich wiedziałem, że nie oddalali się od niego dalej niż na kilka kroków. Zresztą czas potrzebny na przemarsz do rogatek wystarczył,



by promieniowanie zrobiło z nich chodzące trupy. Zatem sprawę Kartelu mogliśmy uznać za załatwioną. A przynajmniej tak nam się wydawało.

Pozostawał jeszcze Siara. Obiecałem wrocławianom jego głowę i dotrzymałem słowa. Tego wieczoru na rynku zapłonęło osiem stosów. Na każdym znalazł się jeden z więźniów. Śmierć przez spalenie jest straszna, zwłaszcza że moi ludzie starali się, żeby ogień nie zabił ich zbyt szybko, ale nawet te kilka godzin męki nie było w stanie odkupić zbrodni, jakich się dopuścili. Niemniej rano, po wrzuceniu zwęglonych resztek do Odry, zakończyliśmy pierwszą rozprawę z Kartelem.

Wtedy też nadszedł czas poszukiwań Bastionu. Chcieliśmy opuścić Wrocław zaraz po spenetrowaniu schronów pod Urzędem Wojewódzkim, ale ludzie, którzy obwołali mnie burmistrzem, zagrodzili nam drogę żywym murem. Byłem wybawcą, wielbili mnie i moich ludzi. Dawali tego oznaki na każdym kroku. Po naradzie z zaufanymi oficerami postanowiliśmy zająć Ratusz i przejąć rządy nad Wrocławiem. Nie dla samej władzy, ale by zyskać ludzi i środki potrzebne do odnalezienia Bastionu.

Zdobyta dokumentacja nie dostarczyła nam niczego nowego na temat bazy, prócz dokładniejszej lokalizacji. Tyle że masyw Ślęzy był wielki. Podobnie rzecz się miała po przeszukaniu sztabu Okręgu Śląskiego.

Wszystkie ważniejsze dokumenty zniknęły wraz z ludźmi, którzy wyruszyli do schronu. Zrozumiałem, że nie mam szans na dostanie się do Bastionu w normalny sposób. Zawiodły też wszelkie próby odszukania wejść do sztolni. Spaliliśmy wszystkie lasy na stokach góry i nic. Znaleźliśmy wprawdzie parę wywietrzników, ale niestety, nawet zatkanie ich nie wywołało żadnej reakcji. Pozostało czekanie. Znałem procedury na wypadek wojny nuklearnej. Będąc członkiem rządu uczestniczyłem w ich tworzeniu. Wiedziałem, że za jakiś czas ktoś wyjdzie z ukrycia. Wiedziałem też, jaka siła czeka gdzieś pod masywem Ślęzy, i że ta siła może pozbawić mnie tego, co tak mozolnie tworzyłem, będąc przywódcą wrocławskiej społeczności. Wiedziałem, że w bunkrach kryje się wielu notabli, którzy zaraz po wyjściu na światło dzienne zechcą powrócić do władzy. A ja, Jan Sobieszczyk stworzyłem tutaj podwaliny nowego państwa, nowej cywilizacji. Dzięki mnie to miasto zaczęło żyć. Ustanowiłem nowe prawa, znane dzisiaj jako Codex Vratislaviana. Proste, surowe prawa, które obowiązują każdego mieszkańca i od których nie ma wyjątków. Dzisiaj nie ma morderstw, nie ma kradzieży, nie ma gwałtów. Kto zabija jest zabijany,

kto kradnie jest zabijany, kto gwałci jest zabijany. Ofiara, jeśli żyje, ma prawo wykonać wyrok na swoim oprawcy, oczywiście po uprzednim procesie. Rodzina sprawcy na zawsze wygnana jest poza miasto, z piętnem hańby, i to chyba hamuje większość potencjalnych bandytów od popełnienia najłżejszego wykroczenia. Z początku wydawało się to utopią, ale dzisiaj, po osiemnastu miesiącach od wprowadzenia kodeksu, zanotowaliśmy zaledwie czterdzieści przypadków popełnienia przestępstw w naszej społeczności. Wykryto trzydziestu siedmiu sprawców. Przyznacie, że wykrywalność jest dosyć duża. Zresztą w pozostałych przypadkach, co mogę wam wyznać, też znaleźliśmy winnych, aczkolwiek nie sądzę, by dowody ich winy były wystarczająco przekonujące. Ale musiałem dać ludziom nadzieję. I dałem.

Dałem im godne życie w świecie, w którym nie ma zasad. Odtworzyłem gwardię; dzisiaj służy w niej ponad tysiąc ludzi. Wrocław to już nie samotna wyspa na morzu zniszczeń, to stolica małego państwa. Mam garnizony wiernych sobie ludzi w Kłodzku, Brzegu, Lubinie, nasi wysłańcy docierają do Leszna, Opola, ale nie wszędzie daje się zaprowadzić Codex Vratislaviana. Trafiliśmy na gniazdo oporu w Strzelcach Opolskich. Wysłańcy Kartelu znaleźli tam dużą grupę więźniów z miejscowego zakładu karnego, którzy zajęli miasto. Uzbrowili ich i zaczęli odbudowywać struktury bandy. Na razie nie są na tyle silni, by uderzyć na Wrocław, ale kto wie, do czego posuną się za rok albo dwa. Dostali nauczkę, dlatego działają teraz inaczej. Mniej w tym bezsensownej przemocy, za to podburzają przeciw nam okoliczną ludność, która nie zaznała ich wrocławskiego sposobu rządzenia. Jest też inny problem. Niektóre z lokalnych społeczności nie chcą z nami rozmawiać. Wydaje im się, że w pojedynkę dadzą sobie lepiej radę, ale prawda jest inna. Dzisiaj jesteśmy tutaj sami, jutro też nikt nam nie zagrozi, ale kto wie, jak długo jeszcze to potrwa. Może gdzieś daleko przeżyło wystarczająco wielu ludzi, aby dysponując, podobnie jak wy, zaawansowaną techniką militarną, zabrać się za podbijanie świata. Szwajcarzy, przykładowo, mają najlepiej zorganizowany system bunkrów i potężne zaplecze. Tyle że oni od dawna byli nastawieni pokojowo. A co ze Wschodem? Kto wie, jak wygląda dzisiaj Azja? I jeszcze sprawa Bastionu.

Pod Ślężą ukryło się wielu z tych, którzy mieli kiedyś władzę. Wiedziałem o tym i zadbałem, żeby nie mogli jej odzyskać. Moi ludzie

zaczęli rozpowiadać wrocławianom o tajnej bazie, w której tuż przed Atakiem ukryli się ci, którzy zaplanowali tę wojnę, ludzie odpowiedzialni za rozpętanie nuklearnego piekła. Nie musieliśmy długo czekać, by lud podchwycił te opowieści, przechodziły z ust do ust, rozprzestrzeniając się wraz z naszymi wpływami. Wkrótce Bastion stał się synonimem wszelkiego zła, a tych, którzy w nim zamieszkali, czyli was, nazwano Wyklętymi i uznano za wrogów ludzkości. Legenda zaczęła żyć własnym życiem. Moje karawany, docierając do nowych miejscowości, napotykały ludzi, którzy rozprawiali o Bastionie, jakby to był fakt znany im od lat.

Dzisiaj każdy człowiek w tym mieście uzna zabicie Wyklętego za wielki honor. Dlatego, moi panowie, powinniśmy się dogadać. Jeśli nie przyłączycie się do mnie, będziecie musieli zniszczyć to miasto, a potem każdą miejscowość, do której dotrzecie.

\*\*\*

Pan Jan przestał mówić. Zapadła cisza. Mężczyźni siedzący po obu stronach stołu cały czas wpatrywali się w siebie. Ludzie z Bastionu z niedowierzaniem trawili otrzymane informacje, Sobieszczuk natomiast starał się wysondować, na ile mu uwierzyli. Historia, którą opowiedział, była w gruncie rzeczy niemal prawdziwa, aczkolwiek, trudno byłoby znaleźć postać przyszłego Burmistrza pomiędzy tymi, którzy szturmowali Ratusz. Do paru innych szczegółów tej opowieści też można było się przyczepić, gdyby ktoś bardzo chciał pogrzebać we wspomnieniach mieszkańców. Ale na szczęście taka ewentualność jeszcze długo nie będzie wchodziła w grę. Zwłaszcza dla ludzi z Bastionu.

Trwało to dobrą chwilę. Wreszcie Traczyk odstawił szklankę i zapytał:

– Dlaczego mielibyśmy panu wierzyć?

– Dlaczego miałbym kłamać? – odparł Sobieszczuk, patrząc mu prosto w oczy.

– Dla zachowania władzy. Dwa tysiące dobrze wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy zniszczy pańskie oddziały. Nawet w tej chwili mamy obok Ratusza kilkanaście pojazdów opancerzonych wyposażonych w najnowsze rodzaje broni.

– Widziałem wasze SOWy – przyznał Pan Jan, ale nie wyglądał na poruszonego tym faktem.

– Wie pan zatem, że nie macie najmniejszej szansy na wygraną?

– Wiem, że i wy nie wyjdziecie z tego starcia zwycięsko.

– A to dlaczego? – zapytał Traczyk, pochylając się do przodu.

– Zakłada pan, pułkowniku, że ma przeciw sobie bezradną zbieraninę cywilów – odparł Burmistrz. – Ale to oni przeżyli dwa lata w warunkach, o jakich pan nie śnił w najgorszym koszmarze. To, że sami cierpieli, to szczegół. Spotkało ich coś znacznie gorszego. Coś, co na zawsze odmieniło tych ludzi. Bezczyinnie patrzyli, jak ich najbliżsi konają w mękach, a nie mieli nawet najzwyklejszych środków przeciwbólowych, nie mówiąc o czystej wodzie. Wie pan, jak sobie z tym radzili? Zabijali, po prostu zabijali tych, których kochali, by oszczędzić im niewysłowionego bólu i bezsensownego konania. Pan zapewne użyłby słowa eutanazja, pułkowniku ale nazwijmy tę rzecz po imieniu. Oni zabijali, zabijali własnymi rękami. Czy byłby pan zdolny udusić swoje dziecko? Skręcić kark matce albo żonie? W tym mieście po Ataku było dwieście osiemdziesiąt tysięcy rannych istot ludzkich i ani jednego działającego szpitala. Do dzisiejszego dnia nie dożyło więcej niż pięćdziesięciu z tamtych nieszczęśników. To tylko jeden z powodów, dla których pańska gładka skóra będzie zawsze powodem do nienawiści...

Sobieszczuk zamilkł i wpatrywał się w Traczyka. Spoglądał wprost w rozszerzone źrenice pułkownika. Wiedział, że sugestywny, a co najgorsze prawdziwy opis wstrząsnął wojskowym, który walkę znał tylko z ćwiczeń i poligonów.

– Widział pan ten tłum, który was witał? – zapytał po kilku sekundach przerwy.

– Widziałem i nie powiem, żeby to był miły widok.

– Ci ludzie nieprzypadkowo zebrali się tutaj – Burmistrz starał się powiedzieć kolejne zdania absolutnie beznamiętnym tonem. – Ich zadaniem było ewentualne odwrócenie uwagi waszych żołnierzy od gwardii, która czekała w ukryciu, aby odpowiedzieć na każdą próbę ataku. Nie wiem czy wielu z pańskich ludzi otworzyłoby ogień do schorowanych kobiet i dzieci. A musieliby to zrobić, proszę wierzyć, musieliby...

– Nie wierzę – powiedział pułkownik Traczyk stanowczo.

– Doprawdy?

– W jaki sposób chce mnie pan przekonać?

Sobieszczuk spojrział na niego z kpiącym uśmiechem na twarzy.

- Pamięta pan majora Sawickiego?
- Tego tępego sukinsyna z bezpieki?
- Tego samego.

– Pamiętam – odparł ostrożnie Traczyk. – Zdaje się, że miał tu być...

Burmistrz wstał i podszedł do okna. Otworzył je na całą szerokość. Wprawdzie nad miastem zapadła już ciemność, ale dziesiątki ognisk i pochodni rozświetlały cały rynek. Naprzeciw ściany Ratusza, opodal pochylonego pomnika Fredry, tłum mieszkańców otaczał samotnego człowieka, który stał przywiązany do prymitywnego rusztowania z desek. Tego miejsca nie było widać z żadnego transportera opancerzonego.

– Pozwólcie do mnie, panowie. – Pan Jan skinął na nich.

Podeszli do okna i spojrzeli na milczący tłum. Sobieszczuk wskazał im ręką rusztowanie. Obaj nawet w tym oświetleniu szybko rozpoznali, kim jest przywiązany człowiek.

– Co chcecie z nim zrobić? – Tym razem pytanie zadał Henryk.

– To samo, co stanie się z wami i każdym żołnierzem z Bastionu, jeśli nie dojdziemy dzisiaj do porozumienia.

Jeden ruch ręki Burmistrza i kilka kobiet rzuciło pochodnie w kierunku Sawickiego. Był przytomny, i choć założono mu mocny knebel na usta, aż do gabinetu dobiegał jego opętańczy, zwierzęcy niemal skowyt, gdy nasiąknięte olejem spodnie zajęły się płomieniem.

– Dla tych ludzi – powiedział Burmistrz, spoglądając na pnący się po nogach majora ogień – jesteście takimi samymi przestępcami jak Siara i jego bandziory, a może nawet gorszymi. Zniszczyliście ten świat, odebraliście im wszystko, co mieli, skazując na powolną śmierć od ran i promieniowania. Sami w tym czasie oczekiwaliście głęboko pod ziemią na nadejście nowej, czystej ery.

– Pan wie, że to nieprawda! – krzyknął pułkownik, odwracając wzrok od makabrycznej sceny.

– Ja to wiem, ale oni są święcie przekonani, że jest wręcz przeciwnie. – Sobieszczuk wskazał na milczący tłum zebrany pod oknami.

– Jeśli nawet się zgodzimy – powiedział sekretarz wojewody – to niczego nie zmieni. Nadal będą nas nienawidzić i zabijać...

– Myli się pan, panie Henryku – przerwał mu Burmistrz. – Nie słyszał pan nigdy o odkupieniu?

– Ale co to ma wspólnego z nami? – mruknął Traczyk.

– Wiele, może mi pan wierzyć, że wiele. On – tu Pan Jan wskazał na płonącego jak pochodnia i wciąż żywego Sawickiego – właśnie zmazuje wasze przewiny. Podobnie jak biskup, jego przydupasy i wasi przełożeni. Wszyscy, którzy przeszli rytuał Odkupienia.

– To znaczy? – zapytał pułkownik.

– Wizytę w naszej katedrze – uśmiechnął się Sobieszczuk. – W miejscu, skąd najbliższej jest do Boga.

– Jak rozumiem, teraz może pan ogłosić, że ci, którzy odpowiadali za tę wojnę, nie żyją, a my jesteśmy takimi samymi ludźmi jak oni. – Henryk nie bez odrazy i strachu patrzył na ludzi wypełniających tę stronę rynku. – Zostaliśmy wcieleni do armii i wysłani do Bastionu wbrew naszej woli, ale teraz będziemy służyć wspólnej sprawie.

– Pięknie pan to ujął – potwierdził Burmistrz.

– A co będzie, jeśli nie uwierzą? – wtrącił Traczyk.

– Uwierzą, bo ja im to powiem – odparł mu pewnie Sobieszczuk. – Może pan nie zdaje sobie sprawy, pułkowniku, ale dla mieszkańców tego miasta jestem niemal Bogiem. Jeśli powiem, że stoicie po naszej stronie, to włos wam z głowy nie spadnie. Moi chłopcy z Radzymina zostaną dokooptowani do każdego oddziału, aby zapewnić waszym ludziom pełne bezpieczeństwo, jeśli któryś z fanatyków mimo wszystko ważyłby się podnieść na was rękę.

– I przy okazji będą kontrolować nasze posunięcia – dodał Henryk.

– Może. – Burmistrz uśmiechnął się. – Przejdźmy do konkretów. Aby przypieczętować nasze przymierze, ściągniecie z Bastionu wszystkich lekarzy i zapasy lekarstw. Jeśli otworzycie szpitale polowe i zaczniecie leczyć wrocławian, za kilka miesięcy będą traktować was jak swoich. Mogę się o to założyć.

– Ciekawy plan. Tylko, co dalej?

– Wy macie czołgi, rakiety, elektronikę – powiedział Pan Jan. – Ja mam tysiące uzbrojonych i przeszkolonych ludzi zdolnych do walki. Razem możemy stworzyć armię, która zjednoczy Polskę. Zniszczymy ostatnie gniazda oporu, większość buntowników podda się na sam widok czołgów i szturmowych Sokołów. Rozbijemy ostatecznie Kartel. Za rok, może dwa dotrzemy do podnóża Tatr i nad morze. Biało-czerwona flaga załopocze nad największymi miastami. Powstanie prawdziwe państwo. Czwarta Rzeczpospolita. Potęga, jak za dawnych lat. A nawet większa.

– To szaleństwo – mruknął Traczyk. – Pan jest szalony.

– A mnie się to podoba. – Henryk podszedł do pułkownika i spojrzał mu w oczy. – Nie dlatego, że alternatywą jest zamienienie się w żywą pochodnię. Wiem, do czego doprowadziłoby tych ludzi ponowne podporządkowanie takim miernotom jak Kasperczyk. Dostatecznie długo kryłem jego dupę przed wojną, by teraz mieć jakiekolwiek opory. Ten człowiek – wskazał na Sobieszczyka, który wrócił do stolika i właśnie nalewał sobie wino – ma wizję. Może i jest ona szalona, ale to jedyny sposób, żeby odbudować naszą ojczyznę. Sposób, który sprawi, że będzie liczyła się na Starym Kontynencie. Zbyt długo dawaliśmy sobą pomiatać każdemu, kto miał wystarczająco dużo pieniędzy. Jeśli zdążymy, jeśli będziemy pierwsi, to my będziemy nadawać ton historii, nie Niemcy czy jakaś inna nacja.

– Bratobójcza walka pomiędzy nami do niczego nie doprowadzi, panie pułkowniku. – Burmistrz nalał drugą szklaneczkę whisky dla Traczyka i zaprosił go gestem do stołu. – Oferuję panu stanowisko głównodowodzącego wojsk odrodzonej Rzeczypospolitej. Dożywotnie stanowisko. A co za tym idzie – wielką władzę.

Traczyk podszedł do stolika i usiadł w swoim fotelu. Nadal miał skwaszoną minę.

– A co z nim? – zapytał, wskazując nogą na wciąż nieprzytomnego Anioła.

– Odkupienie nie jest takie proste – Sobieszczyk patrzył mu prosto w oczy, gdy mówił te słowa – i wymaga wielu ofiar.

– A co ze mną? – wtrącił Henryk.

– Pan, panie... – Burmistrz zawiesił głos, zdając sobie sprawę, że nadal nie zna nazwiska sekretarza.

– Nazywam się Mróz, Henryk Mróz.

– Pan, panie Mróz, będzie moim... kanclerzem.

Traczyk wstał i rzucił szybkie spojrzenie w róg pokoju, gdzie, jak pamiętał, za wywietrznikiem czaił się snajper. Widział teraz wyraźnie końcówkę lufy sztucera przesuwającej się w ślad za nim.

– To trudna decyzja – powiedział, ruszając powoli w kierunku wyjścia.  
– Potrzebuję więcej czasu do namysłu.

– Ma pan dziesięć minut – odparł Burmistrz. – Jeśli do tego czasu nie da mi pan odpowiedzi, uznam, że nasza umowa jest nieważna.

– A jeśli powiem, że się zgadzam, a potem po powrocie do transportera zmienię zdanie i dam rozkaz do ataku?

– Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba – odparł sentencjonalnie Sobieszczuk słowami poety, którego zniekształconą postać mógł obserwować każdego dnia z okna swojego gabinetu. – Będzie jak pan zechce. Zrobmy tak. Nie będziemy na nic czekać. Uda się pan teraz do swoich ludzi. Ja zostanę tutaj. Jeśli odjedziecie, oznaczać to będzie porozumienie. Jeśli zaatakujecie...

– Wypuści mnie pan bez gwarancji?

Burmistrz skinął głową.

– Zaufam panu, pułkownik. Zaufam pańskiemu zdrowemu rozsądkowi. Wiem, że macie środki wystarczające do zdławienia naszego oporu, ale wiem też, że w chwili obecnej nie ma prócz mnie człowieka zdolnego zapanować nad tym miastem i krajem bez wywoływania nowej wojny. Wybór należy do pana.

Traczyk założył czapkę i zsalutował. Sekretarz tylko skinął głową. Wyszli bez jednego słowa, mijając w drzwiach Twardowskiego. Burmistrz odstawił kieliszek i spojrzał wymownie na porucznika. Ten wyjął z kieszeni spodni niewielkie plastikowe pudełeczko i podał je przełożonemu.

– Wszystko gotowe – powiedział, salutując.

– Idź na dół, do ludzi... Postarajcie się... – Sobieszczuk chciał coś jeszcze dodać, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Wiedział, że nie zdoła nakazać tym kobietom i dzieciom pozostania z dala od ewentualnego pola walki.

Spojrzał na szarą obudowę mechanizmu, który trzymał w ręce, po czym wyszedł na korytarz. Słyszał jak wartownicy na dole przepuszczają obu Wyklętych. Usłyszał też jedno urwane zdanie, które pochodziło chyba z ust pułkownika: „...to bzdury, nie uwierzę, że...”. Przyspieszył kroku i przedostał się do niewielkiego pokoju po przeciwnej stronie Ratusza. Tutaj, przez wyrwę w murze, mógł spojrzeć na część rynku zajęta przez transportery z Bastionu. Zobaczył swoich niedawnych rozmówców. Traczyk, wyprężony jak struna, kierował się do Hummera, Mróz starał się go do czegoś przekonać, nerwowo gestykulując.

Sobieszczuk otworzył pudełeczko kryjące detonator i wysunął krótką antenę. Spojrzał na okrągły czerwony przycisk umieszczony na środku plastikowej powierzchni. Ułożył na nim opuszek kciuka i nerwowo



oblizując spierzchnięte wargi czekał, aż obaj idący znikną we wnętrzu wozu.

W chwilę potem poruszyły się SOWy.

## Część Druga

# Rzeczpospolita

Salwa sześciu rakiet pokryła całą ścianę budynku. Chmura kurzu, którą podniosła waląca się konstrukcja, przesłoniła pole widzenia. Na szczęście Grom miał jeszcze lokalizatory termiczne. Dzięki nim dowódca wozu, kapitan Zawada, zauważył ukryte za tumanem niebezpieczeństwo.

– Z prawej trzech ludzi. Odległość sześćdziesiąt, kąt trzydzieści stopni.

– Zrozumiałem! – odkrzyknął działonowy i wprowadził współrzędne do komputera. Ciche kłaśnięcie oznajmiło odpalenie granatów. Po chwili w oddali rozległy się cztery stłumione przez grubą pancierz wybuchy.

– Potwierdzenie trafienia. Cele nieaktywne – zameldował z dołu porucznik Królicki. – Dobry strzał.

– Dobry zamiar – odparł działonowy, podnosząc kciuk lewej ręki. Prawą wprowadzał do komputera bojowego kolejne dane.

Nie mieli nawet dziesięciu sekund wytchnienia.

– Następne cele, lewo sto dwadzieścia, zbliżają się. Czterdzieści pięć stopni. Cholernie ich dużo.

– Ile? – zapytał Królicki.

– Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy... – wyliczał monotonnie kapitan.

– Kurwa ich mać, znowu kontratakują! – Porucznikowi wyraźnie puszczały nerwy.

– Dziwni ludzie – mruknął Zawada, nie zwracając uwagi na fakt, iż ma włączony mikrofon. – Wolą zginąć, niż się poddać.

Przyglądał się przez moment migającym na ekranie punktom.

– Zasłona ogniowa – wydał rozkaz – i cofamy się za linię piechoty.

W tym samym momencie oba kierowane wzrokiem operatora karabiny maszynowe zasypały przedpole gradem dwudziestomilimetrowych pocisków. Szybkostrzelne, sześciolufowe minidziałka, wzorowane na Vulcanach, wzbijały kolejne tumany kurzu, kosząc wszystko na swojej drodze.

– Zatrzymali się – zameldował Królicki. – Pyskają w ruiny. Namiary dla granatów!

Odpalili kolejne cztery ładunki. Jeśli Zawada dobrze pamiętał, mieli ich jeszcze dwanaście, niewiele jak na walkę w terenie zabudowanym. Do tego po trzy rakiety w każdej SOWie i dwadzieścia pięć procent amunicji do broni małego kalibru. Miotaczy ognia na razie nie używali, ale ten rodzaj broni sprawdzał się najlepiej przy defensywie.

Wszystko wskazywało na to, że kontrnatarcie lada chwila się załame. Obrońcy miasta stawiali heroiczny wprost opór, ale przewaga techniki była nie do pokonania. Ginęli dziesiątkami, próbując podejść na odległość rzutu granatem bądź strzału. Na szczęście naloty Sokołów i wcześniejsze ataki raketowe pozbawiły ich ciężkiej broni już na początku oblężenia. Idioci, nie potrafili uruchomić czołgów z lokalnej jednostki, więc wkopali je w linie obrony przebiegające opodal pułkowych garaży. Nie spodziewali się szturm z użyciem helikopterów. A Hellfire'y odpalane z Sokołów likwidowały natychmiast każdy punkt oporu wskazany przez komputery. Niestety wejście do miasta nie było już takie proste. Tutaj lotnictwo nie miało dużo do gadania. Zbyt wiele celów, zbyt wiele przeszkód. Zbyt wiele niewidocznych stanowisk ogniowych. Czołgi też by się nie sprawdziły. Do akcji wkroczyła piechota i wspierające ją Gromy. Trzy dni temu. Sześćdziesiąt godzin napieprzania bez odpoczynku i snu...

Nagle szarpnięcie, z jakim wóz zahamował, wyrwało kapitana z zamyślenia. Wycofali się za pierwsze umocnione linie obrony, tuż za dawną szosą tranzytową.

– Dostaliśmy kogoś? – zapytał.

– Dwadzieścia dwa cele stygną.

Termiczne namierniki pozostawione na ruinach były doskonałe, z dużej odległości wykrywały każdy żywy cel i potrafiły z niesamowitą precyzją określić jego temperaturę. Stygnący cel oznaczał umierającego przeciwnika.

– Sześć celów nadal jest aktywnych. Na skraju zasięgu.

– Przyciśnij ich do ziemi i popraw granatami – rozkazał kapitan. – Andrzej, połącz mnie z dowództwem kompanii.

– Tak jest.

Drugi atak okazał się mniej precyzyjny od poprzedniego, lecz i tak zlikwidowali jeszcze trzech atakujących. Pozostali wycofali się poza zasięg granatników, ale nadal byli widoczni na ekranach termowizyjnych. Na szczęście nie znali przeznaczenia niewielkich metalowych cylindrów i nie niszczyli ich. Może sądzili, że to niewypały... Tym lepiej, dzięki podglądowi przedpole było względnie bezpieczne. Niestety, czujniki termiczne potrafiły tylko wykrywać cele, nie niszczyć, a teraz do kilku ocalałych dołączył kolejny oddział. Zawada odwrócił oczy od jaśniejącego odbiciami kilkudziesięciu ludzi monitora dokładnie w momencie, gdy radiotelegrafista, kapral Mokry, podał mu słuchawki.

– Pułkownik Linde na linii – zameldował żołnierz.

– Dawaj. – Zawada założył słuchawki i ustawił mikrofon. – Melduje się dowódca odcinka trzeciego, kapitan Zawada. Proszę o pozwolenie na wycofanie transportera numer dwanaście z pola walki. Kończy mi się amunicja.

– Zrozumiałem – przyszła po chwili odpowiedź. – Zezwalam. Zastąpi was siódemka. Za osiem minut.

– Nie wiem czy zdołam tyle...

– Za pięć minut.

To było wszystko, szum ucichł zanim zdążył podziękować. Zdjął słuchawki i podał je radiotelegrafiście. „Boguś”, jak nazywali dowódcę, choć nie miał nic wspólnego ze znanym przedwojennym gwiazdorem, prócz podobieństwa nazwiska i ciętego języka, był konkretnym i kompetentnym oficerem. Nigdy niepotrzebnie nie narażał swoich ludzi. Za to najbardziej go lubili.

– Pięć minut – powiedział Zawada do interkomu. – Dajcie czadu! Żeby mi nie został jeden nabój!

– Czas na grilla – mruknął Królicki, odblokowując zbiorniki.

\*\*\*

– Kapitan Adam Zawada? – Oficer, który podszedł do wozu, nosił panterkę z dystynkcjami majora, ale na czapce miał tylko cztery gwiazdki.

Widać było, że pochodzi ze świeżego mianowania. Teraz już nikt nie zwracał uwagi na szarżę. Nikt, prócz ludzi z Bastionu.

– Tak, to ja.

– Major Adamski jestem – przedstawił się nieznajomy, salutując dwoma palcami. – Ze sztabu generalnego. Mam do pana słówko.

– Słucham.

– Możemy porozmawiać na osobności? – Sztabowiec wskazał głową na żołnierzy ładujących amunicję. – To dość poufna sprawa.

Zawada skinął głową i odszedł za oficerem.

– Cóż to za tajemnica? – zapytał, gdy się zatrzymali obok przykrytych brezentem skrzyń.

– Pański zastępca pochodzi z Poznania? – ni to zapytał, ni to stwierdził major, wyciągając papierosy z kieszeni.

Zawada potwierdził skinieniem głowy, spoglądając łakomie na rękę trzymającą zapieczętowaną jeszcze paczkę Marlboro. Poczł dziwne ssanie w gardle. Tak dawno nie palił, że nieomal zapomniał, jak smakują papierosy. Ale teraz, gdy Adamski ściągał folię, to wspomnienie wróciło. Niemniej nie doczekał się poczęstunku.

– Przenosimy was do Wrocławia – powiedział przez zęby major, przypalając papierosa gazową zapalniczką. – Tym głównym zajmie się ktoś inny.

– Przenosicie mnie czy całą załogę? – zapytał Zawada, wpatrzony w żar na końcu białej bibułki.

– Cały batalion – odparł Adamski, spoglądając w zupełnie inną stronę. Dym znad płonącego miasta wznosił się wysoko w czyste, bezchmurne niebo. – Strzelce Opolskie padną za kilka dni, może nawet jutro. Kartel przegrał. To był ich ostatni bastion. – Mówiąc to, zauważył dwuznaczność ostatniego zdania i spojrzał szybko na Zawadę. Ten jednak nie dał po sobie poznać, że zwrócił uwagę na niefortunną wypowiedź majora.

– Gwardia zajmie się oczyszczeniem ruin i więzienia – kontynuował sztabowiec. – Właśnie ściągamy tutaj dodatkowe cztery bataliony piechoty. Przed wieczorem was zluzują.

Zawada przełknął głośno ślinę, przynajmniej tak mu się zdawało.

– A co z nami? – zapytał, nerwowo oblizując spierzchnięte wargi.

– Dowie się pan na miejscu.

– To aż taka tajemnica? – Pancerniak nadal patrzył na paczkę papierosów, zamiast na twarz rozmówcy. – Wnioskując z tego, co pan przed chwilą powiedział, ruszamy na północ... Na Poznań.

Major nie odpowiedział. Zdziwiony Zawada dopiero teraz oderwał wzrok od Marlboro. Sztabowiec zaciągnął się papierosem i sięgnął do chlebaka. Wyjął z niego zapakowany fabrycznie karton papierosów. Chwilę ważył w ręku skarb, za który wielu żołnierzy oddałoby życie, po czym rzucił go, jakby od niechcenia, Zawadzie.

– W uznaniu zasług – powiedział uśmiechając się, co na jego poznaczonej wieloma szramami twarzy wyglądało dość upiornie. – Od samego marszałka Traczyka. Po paczce na wóz.

– Tak jest!

– A to – zważył w ręce własną paczkę – premia ode mnie dla pana. Za siedemdziesięciu czterech buntowników, których wyeliminowała wasza załoga podczas operacji oczyszczania miasta.

Podał papierosy zaskoczonemu Zawadzie, zasalutował i odszedł bez słowa pożegnania. Zanim zniknął za rogiem składu, większość ludzi z batalionu już stała wokół dowódcy. Najzwyczajniej w świecie gapili się na czerwono biały karton z napisem Marlboro.

\*\*\*

Tego dnia słońce zachodziło na wprost okien gabinetu Burmistrza. Krwawoczerwone o tej porze promienie powoli odstępowały od mahoniowego biurka, wspinając się równą linią po ścianie. Jak ognisty przyptyw wędrowały po mapie przedwojennej Polski. Rozświetliły już Poznań, sięgały do Bydgoszczy.

Jeszcze kwadrans i obejmą we władanie Szczecin, a potem zgasną, znikną jak dzień wcześniej, jak niemal każdego wieczora, pomyślał Pan Jan, uśmiechając się do siebie. Siedział w swoim ulubionym fotelu, w półmroku, z dala od światła kończącego się dnia. Sącząc ulubione wino rozkoszował się ciszą, jaka zazwyczaj panowała o tej porze na rynku i w samym Ratuszu. Ciche tykanie zegara, niezauważalne podczas pracy, teraz urastało do nieznośnego hałasu. Burmistrz spojrzął na wskazówki i przestał się uśmiechać. Odstawił pusty kieliszek na stół i okręcił fotel tak, by widzieć drzwi. Ledwie to zrobił, rozległo się pukanie.

– Wejść!

Wysokie, dębowe skrzydła drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypieniem dawno nie oliwionych zawiasów. Dwaj gwardziści wprowadzili do gabinetu młodego, góra trzydziestoletniego mężczyznę w podartej, zakrwawionej flanelowej koszuli i mocno wytartych dżinsach. Miał szczupłą, pociągłą twarz, jasne włosy koloru dojrzałej pszenicy i mocno niebieskie oczy, z których jedno kryło się za sinofioletową opuchlizną.

– Zostawcie nas samych – rozkazał Pan Jan, wstając niespiesznie z fotela.

Gwardziści zasalutowali i odwrócili się do wyjścia.

– Zanim wyjdziecie – zatrzymał ich głos Burmistrza – rozkujcie go z tych kajdan.

Drewniane, prymitywne dyby krępowały nadgarstki mężczyzny za jego plecami.

– Ale... – Niewidoczny do tej pory porucznik Twardowski wysunął się przed swoich podwładnych. – Ale on...

– Nasz przyjaciel nic nie robi. – Pan Jan machnął ręką lekceważąco. – Jak znam wasze maniere, to ma odbite nerki, połamane żebra i ponadrywane wszystkie ścięgna. Wystarczy popatrzeć, jak się rusza...

Na skinienie głowy porucznika jeden z gwardzistów rozpiął drewniane obejmy. Blondyn z trudem rozprostował przed sobą zakrwawione ręce. Przynajmniej dwa palce miał złamane, opuchlizna była widoczna nawet z dużej odległości.

– Może, tak dla pewności, zostanę... – zaczął Twardowski, ale jedno spojrzenie Burmistrza wystarczyło, by bez słowa opuścił gabinet. Drzwi zamknęły się za nim z głośnym trzaskiem ale, o dziwo, bez skrzypienia.

Pan Jan przeszedł za biurko, wysunął jedną z licznych szuflad i wyjął z niej pistolet – masywnego czarnego Visa – oraz niewielkie, podłużne zawiniątko. Sprawdził czy w magazynku są naboje, schował pakuneczek do kieszeni marynarki, po czym wrócił na swój fotel.

– Siadaj, jeśli możesz – powiedział do więźnia, który nadal stał tam, gdzie go zostawiono, i ostrożnie masował obtarte do krwi nadgarstki. – Zdaję sobie sprawę, że gościnność moich ludzi jest przeogromna i na pewno nie pożałowali niczego tam na dole, ale sam pan jesteś sobie tego winien, panie... – na moment zawiesił głos Burmistrz.

– Nazywam się Grzegorz Szymański – powiedział więzień ochryplym głosem i zaczął kaszleć. Próba zasłonięcia ust sprawiła mu widoczny ból, zapewne nie tylko palce miał połamane.

– Zaryzykowałeś człowieku i wpadłeś – podjął przerwany wątek Pan Jan, odkładając na stolik pistolet i podnosząc kieliszek. – Nie jesteś pierwszy i pewnie nie ostatni.

– Nie jestem tym, za kogo mnie bierzecie – wychrypiął blondyn, podchodząc wolno do stojącego przed biurkiem krzesła. Osunął się na nie ostrożnie, pozostawiając jedną nogę, tę, na którą utykał, w pozycji wyprostowanej.

– Darujmy sobie te przedstawienia, panie Szymański – powiedział Burmistrz z drwiącym uśmiechem – Obaj wiemy, kim pan jest i skąd pan pochodzi. Obaj wiemy, że przysłano tu pana z Poznania, na przesłuchania, ale tylko ja wiem, co zeznała pewna kobieta, którą przepytaliśmy na okoliczność znajomości z panem.

– Jaka kobieta? – zapytał więzień, siląc się na obojętny ton, ale jego oczy zdradzały dokładnie, że znał odpowiedź na to pytanie zanim je zadał.

– Ta, z którą tu przyjechałeś, Grzegorzu – powiedział Pan Jan, zmieniając ton na bardziej jowialny. – Czarne, kręcone włosy, piwne oczy, wysoka, lekko przy kości. Ta, która ukryła twój nadajnik. Ta, która zbierała informacje o mnie wśród wolontariuszek z Hali Targowej. Ta, którą zapomniałem tylko zapytać o imię przed śmiercią.

– Zabiliście ją... – Szymański nie poderwał się z krzesła, choć chciał. Ból był silniejszy od gniewu.

– Nie – odpowiedział Pan Jan, nie przestając się uśmiechać. – Jeśli mam być dokładny, to nie zdążyliśmy. Zmarła w celi, trzy dni temu, po pierwszym przesłuchaniu. Serce nie wytrzymało...

– Zabiliście ją – powtórzył więzień nieco ciszej. – Zabiliście... Trzy dni temu... Wiedzieliście o wszystkim zanim wpadłem w wasze ręce... Po co mnie wobec tego przesłuchiwano? I dlaczego mnie tu przyprawiono?

– Przyjechałeś tutaj, by się czegoś dowiedzieć – powiedział Burmistrz. – Poświęciłeś własne życie, więcej, życie najbliższej ci osoby, by odkryć prawdę. To zasługuje na szacunek...

– Skoro wszystko wiecie, zabijcie mnie... – poprosił Szymański zrezygnowanym głosem. – Nie dręczcie...

– Nie chcesz przedtem poznać prawdy? – zapytał Pan Jan.



– Jakiej prawdy? – prychnął więzień i znów zadławił się kaszlem. Na jego wargach pojawiły się krwawe pęcherzyki.

– Prawdy o mnie...

– I mam uwierzyć, że usłyszę ja teraz? – Więzień wypowiedział te słowa bardzo wolno, starając się nie drażnić krtani.

– A niby dlaczego miałbym cię okłamać? – zapytał Sobieszczuk. – Obaj wiemy, że nie wrócisz do swoich i im tego nie opowiesz.

– Ale dlaczego...?

– Dlatego, że w odróżnieniu od swoich poprzedników, ty jeden nie dałeś się złamać podczas przesłuchań.

Blady uśmiech zagościł po tych słowach na twarzy Grzegorza.

– Zaimponowałeś mi – kontynuował Burmistrz, nalewając sobie wino. – Wydawało się, że nie ma człowieka, z którego sierżant Borkowski nie wydobędzie całej prawdy i tylko prawdy, a jednak...

– Gdyby nie zeznania Beaty... – westchnął blondyn, poprawiając się na krześle.

– Beata... Ładne miała imię... – Sobieszczuk zamyślił się na chwilę – Tak, gdyby ona nie powiedziała wszystkiego, pewnie uznalibyśmy twoją legendę za prawdziwą. Kto wie, może nawet zostałbyś wypuszczony...

– Nie wierzę...

– A powinieneś. – Pan Jan odstawił kieliszek i wstał.

Chwilę się wahał, ale podniósł pistolet ze stołu. Z bronią w dłoni podszedł do szafy pełniącej rolę barku.

– Napijesz się czegoś? – zapytał, otwierając drzwi.

– Wody – odparł Szymański, nie odwracając nawet głowy.

– Miałem na myśli coś mocniejszego.

– Obawiam się, że dzięki sławetnym zabiegom pańskich zbirów nie będę w stanie docenić smaku oferowanych trunków. – Kolejny atak kaszlu po tak długiej przemowie zgiał Szymańskiego wpół. Gdy jako tako się uspokoił, podniósł wzrok na Burmistrza. – Poproszę o wodę...

– Oczywiście. – Pan Jan nalał do szklanki krystalicznie czystą wodę ze studni głębinowej. Warta była więcej niż butelka dobrze upęzonego alkoholu. Przesunął ją po blacie w kierunku więźnia, który schwycił szklankę obiema rękami i ostrożnie, by nie uronić nawet kropli, zbliżył do spierzchniętych warg. Ledwie wypił małeńki łyk, znów zaniósł się kaszlem. Nie zdołał utrzymać szklanki w roztrzęsionych dłoniach, spadła na dywan,

ale nie pękła. Woda jednak rozlała się szeroką plamą wokół pyska ogromnego niedźwiedzia osaczonego przez myśliwych, zdobiącego kobierzec.

– Szlag by to... – syknął Grzegorz, wycierając usta.

– Nic się nie stało. – Burmistrz tym razem nalał wodę do metalowego kubka. – Ten dywan i tak dzisiaj zostanie wymieniony, a wody mamy dostatek.

– Dziękuję, tam na dole...

– Tam na dole nie przewidujemy pełnego serwisu – przerwał mu Sobieszczyk, wracając do stolika. Dolał sobie kolejną porcję rubinowego Chateau Margaux i oparł się wygodnie. – Pytaj, odpowiem ci na każde pytanie...

Szymański najpierw się napił, ostrożnie przechylając kubek asekurowany drżącymi dłońmi. Połowę rozlał, ale wreszcie ugasił pragnienie.

– Czekam – ponaglił go Burmistrz.

– Tak, wiem... ale...

– Ale nie wiesz, od czego zacząć?

– To prawda... – przyznał zaskoczony więzień.

– Nie szkodzi, w takim razie opowiem ci parę rzeczy o sobie... Rzeczy, o których chyba nikt nie wie... – Burmistrz wstał z fotela i zrobił dziwny ruch ręką, jakby odganiał niewidoczne muchy.

Szymański spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– To, co teraz powiem, jest przeznaczone tylko dla twoich uszu – wyjaśnił Pan Jan. – Odesłałem ochronę... Moją wspaniałą, niewidzialną ochronę...

Więzień najwyraźniej nie zrozumiał tego wywodu, ale głośnie szelesty dochodzące zza kratki wentylatorów umieszczonych pod sufitem szybko wyjaśniły sytuację.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał Burmistrz, siadając ponownie za biurkiem, na które przestawił butelkę i kieliszek. – A może powinienem raczej zapytać, czy wiesz, kim byłem?

Grzegorz powoli pokręcił głową.

– Dowiedziałem się tylko tyle, że nazywa się pan Jan Sobieszczyk i że obracał się pan przed wojną w kręgach rządowych...

– Tak, należałem do kręgów rządowych – potwierdził Pan Jan. – Byłem doradcą premiera, członkiem Komisji Bezpieczeństwa Narodowego, miałem z dziesięć wzajemnie uzupełniających się funkcji, ale od pewnego czasu odsuwano mnie od najważniejszych ośrodków władzy. Ktoś omnipotentny, ale mi nieprzychylny, zdecydował, że nadszedł koniec błyskotliwej kariery kolegi Sobieszczuka. Lecz ja byłem od niego sprytniejszy. Udawałem, że najmniej mi zależy na robocie dla wywiadu, i tam ostatecznie mnie skierowano przed zieloną trawką. I o to chodziło. To na moje biurko spływały wszystkie informacje o szykowanym po cichu wypadzie na Lwów. To ja poradziłem, by wykorzystać moment niestabilności na Dalekim bądź Bliskim Wschodzie, i odbudować zerowe poparcie dla gabinetu przez śmiały wypad w obronie Cmentarza Orłąt, który to pomysł tak się spodobał premierowi...

– I przeliczył się pan... – wtrącił Szymański.

– Z czym?

– Z reakcją Ukrainy.

– Ależ skąd! – zaproponował Burmistrz.

– Nie rozumiem... przecież nie liczyliśmy się z możliwością... odwetu nuklearnego.

– Błąd. – Pan Jan uśmiechnął się szelmowsko. – Wkalkulowałem to w mój plan. Prawdę mówiąc, to była podstawa planu. Wywołać konflikt, wystawić rządzące elity na celownik, i dorwać się do nieograniczonej władzy.

– W ruinach...

– Niezupełnie. Mój plan nie zakładał totalnej wojny nuklearnej. Nie sądziłem, że ktokolwiek za oceanem będzie chciał umierać za Gdańsk, jeśli rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć. Niestety, konflikt w Azji przerodził się w ogólnoświatowy. Bo to nie te marne kilkanaście ukraińskich głowic sprawiło, że mocarze wzięli się za łby. Tego nie przewidziałem, to fakt, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie zakładał takiego scenariusza. Z danych wywiadu wynikało, że NATO chętnie by odbudowało nasz kraj po lokalnym konflikcie z sąsiadami ze Wschodu, ale nie angażowałyby się w awanturę. Nasi sprzymierzeńcy woleliby raczej rolę strażaków gaszących ogień niż rycerzy spieszących na odsiecz.

– Założmy... Nadal jednak nie rozumiem, jak pan zamierzał usunąć konkurencję? – zapytał Szymański.

– To proste. Znałem co do kilotony moc każdej ukraińskiej głowicy. Znałem nazwiska ludzi, którzy byli władni wydać rozkaz ich użycia. Wystarczyło podsunąć im przez podstawionych agentów listę priorytetowych celów, w tym ściśle tajne plany ośrodka pod Radzyminem. Wystarczyło rozpuścić w kręgach naszej opozycji plotkę o szykowanym puczu... Potem w odpowiednim momencie podrzucić spreparowane dokumenty paru ważniakom i... Tak pozbyłem się rządu i wszystkich znaczących postaci z opozycji, która tej nocy zwierzała szeregi w stolicy.

– To... to... – Szymański ze zdumienia otworzył usta. – To nie może być prawda...

– A jednak... Załatwiłem sobie i moim najbardziej zaufanym ludziom przydział do oddalonego punktu obserwacyjnego, i czekałem na reakcje Waszyngtonu, Londynu, Paryża. Ale zamiast ofert pomocy i wybawienia, dwa dni później nadleciały kolejne rakiety. Ktoś, gdzieś, przesadził z reakcją...

– To szaleństwo... – jęknął poznaniak.

– Ale w tym szaleństwie była metoda – zgodził się z jego opinią Burmistrz.

– Dlaczego...? Dlaczego pan...?

– Bo miałem wizję, bo nie chciałem dopuścić do tego, żeby Polska znów zniknęła z mapy, a przy naszych elitach rządzących mogło do tego dojść. Sześć milionów bezrobotnych, dalsze trzy na wylocie. Czy te liczby coś panu mówią?

– To niczego nie tłumaczy... To szaleństwo popchnęło pana do tego czynu... Żądza władzy...

– Nie, Grzegorz, nie szaleństwo – przerwał mu Burmistrz, zanosząc się śmiechem. – Zimna kalkulacja. I coś jeszcze. Całe życie miałem szczęście. O takich ludziach jak ja mówi się, że są w czepku urodzeni. Brałem udział w kilku naprawdę poważnych wypadkach samochodowych, z których wyszedłem bez szwanku, bez draśnięcia nawet. Jeśli postanawiałem, że czegoś dokonam, zawsze mi to wychodziło. Postanowiłem więc, że dojdę do najwyższych stanowisk w naszym kraju, a może nawet w Europie. I konsekwentnie zmierzałem do celu, można nawet powiedzieć, że po trupach. Bo byłem lepszy od innych, mądrzejszy, widziałem dalej, rozumiałem więcej. W polityce jednak mierny ale wierny znaczy więcej od rzutkiego i zdolnego. Dlatego musiałem wziąć sprawę w swoje ręce.

Zobacz, Grzegorzu, zobacz, co dzieje się we Wrocławiu. Sprawilem, że ludzie są dumni z tego, że mieszkają w tym mieście.

– Tak jak ja jestem dumny, że jestem poznaniakiem – wtrącił Grzegorz.

– I właśnie w tym tkwi problem – zachnął się Pan Jan. – Zawsze znajdują się ludzie, dla których nie ma autorytetów, którzy wiedzą lepiej i rozwalą wszystko w imię jakiejś demokracji, wolności i innych dupereli...

– To są ideały... – zaprotestował więzień.

– Gówno, nie ideały! Przed wojną je miałeś i co? Ile kosztowała w Sejmie ustawa? Co sprawiło, że szpitale przestały przyjmować pacjentów w połowie września? Dlaczego opieka społeczna zawiesiła pomoc dla najuboższych? Czemu pozbawiono rent i emerytur ponad trzy miliony ludzi? System się załamał, powiadasz? A jaki to był system? Demokratyczny... A mogło być inaczej, mogliśmy mieć rządy silnej ręki...

– Nowego Stalina albo Hitlera... – prychnął butnie Szymański i skrzywił się z bólu. – Zamiast sześciu milionów bezrobotnych, dziesięć milionów trupów i godzina policyjna.

– I tu się mylisz. Rządzę tym miastem dwa lata, ale jakoś nikt nie potrafi wskazać obozów koncentracyjnych, w których likwiduję przeciwników. Nie ma masowych egzekucji na rynku, ku uciesze gawiedzi. Jest wręcz przeciwnie, każdy uczciwy obywatel ma pracę, każdy ma zapewnioną ochronę i jedzenie. Możesz nazwać moje prawa nowym Kodeksem Hammurabiego, nie obrażę się, ale musisz przyznać, że są skuteczne. A wiesz, dlaczego? Bo ludzie się nie boją bandytów, tylko władzy. Przed wojną policja siedziała w kieszeni dresu byle łachmana z bazaru. To sprawców przestępstw broniono, nie świadków czy ofiar. Dlatego każdy odwracał głowę, gdy trzeba było się zaangażować w pomoc bliźniemu. A dzisiaj możesz zostawić swój dobytek na środku ulicy, gwarantuję ci, że wrócisz tam na drugi dzień, a niczego nie będzie brakowało.

– Bo więcej tu gwardzistów niż normalnych ludzi.

– Ale liczy się efekt – zgasił go Pan Jan. – Wiesz, dlaczego ci ludzie mnie uwielbiają? Gdybym był pozbawionym mózgu tyranem, jak mnie przedstawicie, to by mnie znienawidzono, a oni są gotowi pójść za mną w ogień. Ciekawe, nieprawdaż?

– Socjotechniczne sztuczki...

– Twarda ale sprawiedliwa ręka władcy. Tylko to się liczy dla normalnego człowieka. Wolność to same zagrożenia. Spójrz na Murzynów po wojnie secesyjnej. Z deszczu pod rynną... A co się stało po rewolucji? I tej francuskiej, i tej rosyjskiej? A co wywalczyła Solidarność? Demokracja to równanie w dół... do najsłabszego... Dekadencja!

Burmistrz dopił wino, wstał z fotela, i włożywszy pistolet za pasek spodni przeszedł pod okno. Słońce już znikało za ruinami, ledwie skrawek czerwonej tarczy wystawał zza rumowiska. Szymański milczał, nadal obejmując dłońmi już prawie pusty kubek.

– Ilu jest ludzi w rządzie, czy co tam macie w Poznaniu? – zapytał nagle Pan Jan.

– Czy to ważne? – odpowiedział pytaniem na pytanie więzień.

– Owszem.

– W Radzie Miasta jest kilkunastu reprezentantów...

– Byłeś na obradach tej Rady? – zapytał znów Burmistrz.

– Do czego pan zmierza? Nie mam zamiaru zdradzać sekretów...

– W dupie mam twoje sekrety, Grzegorzu! – przerwał mu gniewnie Sobieszczuk. – Pytam, bo chcę ci coś udowodnić.

– Posiedzenia Rady są jawne...

– Powiedz mi zatem, czy byłeś świadkiem dyskusji w jakiejś ważnej sprawie?

– Można to tak nazwać.

– Nieważne, o co chodziło, ale czy Rada doszła do porozumienia w tej sprawie?

– Tak... – potwierdził Szymański, ale z pewnym wahaniem.

– Ile im to zajęło?

Więzień nie odpowiedział.

– Widzisz – ucieszył się Pan Jan. – To jest właśnie problem z demokracją, zawsze komuś coś się nie spodoba. Zawsze ktoś coś oprotestuje i zanim większość przeforsuje swoje, plany są już funta kłaków warte. A ja działam inaczej, wysłuchuję opinii ludzi zaufanych i podejmuję decyzje. Rozsądne decyzje. Dam ci przykład. Kopiemy studnie dla miasta. Jest tylko kilka miejsc, gdzie można się dowiercić do nieskażonych źródeł. Nad jednym z nich mieszka kilkanaście rodzin, w domu, który odbudowali z wielkim trudem własnymi rękami. Powiedz mi szczerze, jak by postąpili twoi radni?

– Nie byłoby to łatwe. Ludzie są przywiązani do swoich majątków...

– Bzdura! – krzyknął Burmistrz. – Twierdzisz, że te kilkanaście rodzin ma prawo blokować dostęp do wody, która jest potrzebna szpitalom, żłobkom, tysiącom spragnionych ludzi?

– Tego nie powiedziałem, ale prawo... – Ta wymiana zdań sprawiła, że Szymański pochylił się nad biurkiem, sprawdzając, czy w jego kubku jest jeszcze trochę wody.

– A tu jest takie prawo – powiedział Pan Jan, sięgając do kieszeni – że nakazałem przenieść ich w zupełnie inne miejsce. Otrzymali propozycje nie do odrzucenia: nowy dom, pomoc przy przeprowadzce i adaptacji, ale nie było dyskusji, tylko polecenie. A studnia już po dwóch dniach zaopatrywała w wodę cztery tysiące ludzi. Sześćdziesiąt osób mogło poczuć się pokrzywdzonych, ale dzięki temu w trzech szpitalach i setkach domów pojawiła się przydziałowa woda. Rozumiesz?

Więzień odstawił pusty kubek na blat.

– Nie mówię, że wszystko, co pan robi, jest złe, ale...

– Ja nie robię nic, co jest złe. Jestem skuteczny, po prostu skuteczny... ale jest coś, o czym chcę ci powiedzieć...

– Tak?

– Boję się, że nie zdążę... – szepnął Pan Jan.

– Nie rozumiem...

– Obserwuje ludzi z mojego otoczenia, ale nie widzę nikogo, kto mógłby mnie zastąpić, a mam świadomość, że nie jestem wieczny. Dlatego muszę odbudować ten kraj jak najszybciej, jeśli będzie trzeba pałac i niszczyć każde gniazdo oporu, bo im mocniejsze państwo po sobie zostawię, tym trudniej będzie je zniszczyć tym, którzy po mnie nadejdą.

– Dlaczego pan mi to mówi? – Szymański, siedzący do tej pory plecami do okna, zaczął się powoli odwracać.

– Bo mi z tym ciężko – mówił tymczasem Burmistrz, manipulując przy czymś, co trzymał w rękach. Blask znikającego za ruinami słońca nie pozwalał więźniowi dostrzec, co to jest. – I nie chcę żeby ktoś z moich ludzi wiedział, że czasami ogarnia mnie zwątpienie.

– Ale dlaczego ja?

– Bo ty nikomu tego nie powtórzysz – powiedział Pan Jan i podniósł pistolet z dokręconym tłumikiem.

\*\*\*

Przed wieczorem dotarli do rogatek miasta. Kolumna zjechała z autostrady i nie zwalniając ruszyła aleją Karkonoską. Zawada usiadł na panczeru swojego Groma, zajmując wygodne miejsce obok wieżyczki, nim czoło kolumny dotarło do pierwszej linii umocnień Fortu Krzyki. Zastanawiał się czy blokada drogi nie zatrzyma batalionu na dłużej, ale nic podobnego nie miało miejsca. Prawdę mówiąc nie zauważył nawet, by zwolnili. Szczegółowa kontrola, jakiej poddawani byli wszyscy wjeżdżający do Wrocławia, nie obowiązywała frontowców. Ot, jeden z niewielu przywilejów, na jakie mogli dzisiaj liczyć wracający do garnizonu żołnierze.

Kolumna sprawnie minęła szykany i najeżone stanowiskami ogniowymi fortyfikacje. Właśnie takiego słowa należałoby użyć w odniesieniu do niezwykłego kompleksu, który wyrósł tuż za mostem Partynickim w niespełna trzy miesiące.

Fort Krzyki spełniał rolę starożytnych murów obronnych. Tyle że dzisiaj nie było tu ścian z kamienia, ale wysoki, stromy wał usypanej ziemi. Wzmocniono go żelbetonowymi dźwigarami z rozebranych hal centrum handlowego Bielany i setkami tysięcy ton gruzu przetransportowanego ze zniszczonego Śródmieścia. Wznosił się na wysokość dwupiętrowego budynku, zaledwie pięćdziesiąt metrów od koryta Ślęzy. Leniwie płynąca rzeczka wyznaczała z tej strony granicę miasta od mostu Partynickiego, aż po ujście do Odry za Lasem Pilczyckim. Po prawej linię graniczną wyznaczał podwyższony w podobny sposób nasyp kolejowy, prowadzący wprost na Księżę Małe i nadal skażony Brochów.

Cienka warstwa ziemi, jaką ostatnio pokryto umocnienia, i rosnąca na nich rachityczna trawa, nadawały usypisku łagodny, jakże znajomy mieszkańcom Wrocławia widok. Sam pomysł takiego wykorzystania powojennego śmiecia nie był bowiem nowy, miał już dobre sześćdziesiąt lat. Tuż po drugiej wojnie światowej, kiedy nie znaleziono sposobu na pozbycie się tysięcy metrów sześciennych gruzu, usypano z niego wysokie kopce, które następnie przykryto ziemią, zamieniając w tereny rekreacyjne. A wszystko w samym centrum miasta. Dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych, gdy głód terenów budowlanych zmusił inwestorów do intensywniejszego myślenia, rozkopano je i zutilizowano. Większość gruzu



trafiła na odległe przedmieścia i tereny podmokłe, skąd teraz tysiące ludzi transportowało go na rozległy plac budowy.

Burmistrz Wrocławia wydał rozporządzenie, na mocy którego każdy z nowoprzybyłych osadników musiał odpracować przy budowie wałów obronnych trzydzieści dniówek. Obojętnie, kobieta, mężczyzna czy dziecko. Stary czy młody. Zdrowy czy chory – choć w tym ostatnim przypadku pozwalano na zastępstwa – każdy musiał odpracować swoje zanim został przyjęty do grona obywateli. Starych mieszkańców miasta rozporządzenie nie dotyczyło, ale i oni mieli wielki udział w tym przedsięwzięciu. Setki tych, którzy nie mieli przydzielonych zadań pojawiały się codziennie i pomagały na wielokilometrowej budowie. Wojsko dało ciężki sprzęt budowlany i transportowy, dzięki któremu prace uległy znacznemu przyspieszeniu. Prawie piętnaście tysięcy osób pracowało od świtu do zmierzchu przy fortyfikowaniu Wrocławia, nosząc na własnych plecach cegły, kamienie i ziemię. Czyniono to tym chętniej, że wspomnienie Siary nadal było dość żywe, a wpływy wolnego miasta nie sięgały wcale tak daleko, jakby się zdawało.

Teraz, po zdławieniu oporu Strzelec Opolskich, ryzyko zbrojnej napaści znacznie zmalało, ale nikt nie wiedział, co przyniosą następne dni. Praktycznie rzecz biorąc, cywilizacja przestała istnieć, zatem zrozumiałe było, że po przeżyciach ostatnich lat, dla ludzi najważniejsze będzie poczucie bezpieczeństwa. I to poczucie zaczęto budować poprzez ufortyfikowanie miasta i wprowadzenie ścisłej kontroli nowoprzybyłych. Specjalnie do tego celu utworzono sieć obozów przejściowych. Najbliższy znajdował się na terenach dawnego toru wyścigowego Partynice. Mógł pomieścić około pięciu tysięcy ludzi, ale zazwyczaj przebywało w nim prawie dwa razy tyle wylęknionych i zdesperowanych imigrantów. Wielu z nich pozostawiło całe majątki, niekiedy nawet rodziny, i przewędrowało dziesiątki kilometrów, by po miesiącu pracy otrzymać prawo zasiedlenia jednego ze zrujnowanych mieszkań. Nie robiono tego z pobudek idealistycznych. Życie w odległych zakątkach, gdzie nawet Atak nie spowodował większych szkód, było naprawdę ciężkie. Każde pukanie do drzwi mogło oznaczać śmierć, każdy człowiek mógł być wrogiem. Dziesiątki, jeśli nie setki, band złożonych z głodnych, obdartych, na wpół szalonych ofiar nuklearnego sztormu, kręciły się po lasach, ruinach miasteczek i wsi. Ludzie ci, zatraciwszy jakiegokolwiek poczucie moralności,

po prostu trwali, nie dbając o życie, zdrowie czy jakiegokolwiek reguły. Zabijali każdego, kto stawał im na drodze, rabowali wszystko, co było im potrzebne: żywność, ubrania, narzędzia, broń. To oni stanowili dla Wrocławia znacznie większe zagrożenie, niż brutalny acz przewidywalny Kartel.

Zawada już kilkakrotnie brał udział w polowaniach na bandy. Widział efekty ich działania. Pomagał grzebać ofiary. Nie dziwił się, że wylęknieni chłopcy zamieniali wciąż zielone doliny na spalone i nieurodzajne tereny miasta. Tutaj, za murami, mieli chociaż pewność, że nikt nie poderżnie im nocą gardła. Nie zgwałci chorej żony i nie porwie nieletnich córek. Nie odbierze wszystkiego, co potrzebne było do przeżycia. Pax Vratislaviana gwarantował im jedno: życie w nędzy, ale bez strachu. Ale dla części z nich nie było miejsca za murami. Wprawdzie mogli pozostawić tutaj rodziny, ale sami wyruszali na front albo na tereny uprawne. Miasto musiało coś jeść. W sytuacji gdy pieczony szczur uznawany był za nie lada przysmak, każda para rąk, zagospodarowujących ugory na farmach położonych w bezpośredniej bliskości miasta, była na wagę złota. Zorganizowano sześć okręgów rolnych, miejsc odległych o kilka, góra kilkanaście kilometrów od Wrocławia, gdzie można było uprawiać ziemię. Ufortyfikowano wsie i otoczono pola drutem kolczastym, dziesiątki gwardzistów pilnowały ich w dzień i w nocy, ale nie było to bezpieczne zajęcie. Oszalali z głodu i chorób reneacji potrafili szturmować zagony z uporem godnym lepszej sprawy. Ginęli masowo, ale i obrońcy nie zawsze ocalali skórę. Teraz, kilka miesięcy po Odkupieniu, walki w terenie praktycznie wygasły, dzicy przenieśli się w odleglejsze rejony, tam gdzie nie było zorganizowanej obrony, gdzie władza Wrocławia nie sięgała.

Zawada splunął na ich wspomnienie. Gromy szybko minęły wewnętrzne i jak zwykle zatłoczone dziedzińce punktów kontrolnych. Jeszcze tylko kilkunastometrowy tunel i kolumna ponownie wyjechała na otwartą przestrzeń obok wielkiej jaskrawożółtej tablicy z napisem „Twierdza Wrocław wita”. Pod nią, na wietrze, leniwie kołysał się rząd tabliczek z koślawo wymalowanymi cyframi. Tak informowano przybyłych o aktualnej liczbie zaprzysiężonych mieszkańców Wolnego Miasta. Adam z ciekawością spojrzął na tabliczki. Trzydzieści dwa tysiące sześćset siedemdziesiąt dwa. To o prawie dwa tysiące więcej, niż widział

wyjeżdżając na akcję do Strzelec. Może nie było to imponujące tempo przyrostu, ale miasto powoli wracało do życia. I to się naprawdę liczyło.

Teraz, po zachodzie słońca, zrobiło się całkiem przyjemnie. Chłodny wiatr owiewał plecy i kark, a dzięki kratownicy z cienkich listewek, która dzieliła go od rozpalonego pancerza, mógł spokojnie oprzeć się o bok wieżyczki. Rozkoszował się dymem prawdziwego papierosa i przyglądał niewielkim grupkom ludzi zmierzających do centrum miasta. Nowi osadnicy, zwabieni pogłoskami o odradzającej się cywilizacji, jak co dzień ciągnęli do Wrocławia. Szósty batalion mijał właśnie liczną rodzinę, która sądząc po ilości dzieciaków oraz bagaży, przetrwała wojnę w jakimś odległym, zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu. Zawada przyjrzał się im dokładniej. Wszyscy mieli wciąż gęste włosy i jasną skórę. Poznaczoną wprawdzie nielicznymi cętkami po owrzodzeniach, ale przy ludziach z miasta wyróżniali się zdecydowanie. Szczęśliwcy, może nawet nie widzieli na horyzoncie złowrogich grzybów.

Jeden z chłopców maszerujących dziarsko obok wyładowanego dobytkiem wózka, spojrzął na nadjeżdżającą kolumnę i bez namysłu podbiegł do pierwszego transportera. Dobrze sto metrów trzymał się równo z osłoną zderzaka, zachowując jednakże bezpieczną odległość od wielkiego koła. Adam przyglądał się z rozbawieniem, jak malec usiłuje wyprzedzić Groma. Nie dał jednak rady i gdy Zawada zasalutował mu, chłopak z uradowaną miną zwolnił i zawrócił do rodziców. Na pożegnanie pomachał ręką. Kilkadziesiąt metrów dalej ich drogi rozdzieliły się. Kolumna pojechała prosto, piesi skręcali w boczną drogę prowadzącą do obozu na Partynicach.

Wiele się zmieniło w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu dni. Zaledwie trzy miesiące temu, gdy transportery po raz pierwszy pokonywały trasę z Bastionu, nie wolno było nikomu wystawić nosa z maszyny. Adam nie miał pojęcia, dlaczego otrzymali taki rozkaz. Byli przecież polskimi żołnierzami wjeżdżającymi do polskiego miasta. Niemniej Zawada – wtedy jeszcze porucznik – nie miał w zwyczaju krytykować przełożonych. Nie rozumiał jednak, komu potrzebny był taki pokaz siły. Osłona z wozów pancernych. Wjazd z piskiem opon. Uaktywnienie wszystkich systemów obrony. Nie rozumiał, ale rozkazy wykonał. Tak go bowiem nauczono. Ale w chwilę po dotarciu na rynek coś w nim pękło. Jeszcze dzisiaj, po trzech miesiącach,

czuł zimne ciarki w okolicy krzyża na wspomnienie tego piekielnego popołudnia.

Weszli do akcji jako pierwsi. Królicki nigdy nie należał do ludzi, którzy jeżdżą powoli, ale tym razem dał prawdziwy popis swoich umiejętności. Wypadł z ulicy Oławskiej na pełnym gazie i osadził wóz w miejscu odwracając go zręcznym manewrem pod kątem czterdziestu pięciu stopni do kierunku jazdy. Powinien puszyć się jak paw z tak wzorowo wykonanego wjazdu, ale zamiast tego siedział z otwartymi ustami, gapiąc się na monitory w kokpicie. Kilka sekund później wszyscy we wnętrzu wozu wyglądali tak samo. Wystarczyło jedno spojrzenie przez wizjery, by poczuli, jak rosną im w żołądkach zimne i ciężkie jak ołów kule. Zareagowali jednakowo na widok setek szarych, przerażonych i wynędzniałych postaci. Milczący, zbity tłum stał zaledwie o kilka kroków od burty transportera. Patrząc na tych ludzi, Zawada czuł jedynie litość i powoli kiełkujące przerażenie. Spodziewał się różnych rzeczy, wyobrażnia jednak podsuwała obrazy, które zapamiętał z dawnych lat. Mętne wizje z filmów czy grafik. Fantastyczne stroje, jak z *Mad Maxa*. Udziwnione pojazdy, futurystyczne domy. Jednakże to, co zobaczył na rynku, dalekie było od jego wyobrażeń i w sekundzie sprowadziło go na ziemię. Jednego Adam do dzisiaj był pewien. Takie uczucie musiało towarzyszyć pierwszym żołnierzom, którzy kiedyś oswobodzili Oświęcim. Dokładnie takie samo.

Wylęknione oczy, poznaczone śladami niezliczonych chorób twarze, pozbawione włosów głowy, wynędzniałe sylwetki, odziane w zniszczone i brudne ubrania. Tak wyglądali ci, którym przeciwstawiono pancerne kolosy naszpikowane elektroniką i najdoskonalszymi narzędziami do zabijania. Widząc tych ludzi, nie sposób było nie pomyśleć o absurdzie działań dowództwa Bastionu.

To był pierwszy moment zwątpienia. Drugi nadszedł już następnego dnia, gdy czekali na rozkaz ponownego wymarszu do miasta. Zawada znów poczuł mrowienie na karku. Wiedzieli, że coś jest nie tak. Brak komunikatów w nocy. Odcięty dostęp do kwater korpusu oficerskiego. Nerwowa krzątanina sił bezpieczeństwa i żandarmerii. Wszystko to wytworzyło atmosferę lęku. Niemniej, wystąpienie pułkownika Traczyka w radiowęźle Bastionu, odebrano początkowo jako głupi żart. Gdy zaczął mówić o przejściu dowództwa nad wszystkimi jednostkami i informował o śmierci generała Wałdocha, arcybiskupa Zaczyka oraz wojewody, w sali

szóstego batalionu słychać było śmiech. Nawet Adam był święcie przekonany, że to chłopcy z radiowęzła posklejali taśmy z dawnymi wykładami i przemówieniami niezbyt lubianego oficera. Raz, chyba na pierwszy prima aprilis, zrobili już coś podobnego, podrabiając w ten sposób Sawickiego. Jednak tym razem nikt nie skomentował żartobliwie przemówienia. Co więcej, następny mówca, polityk z biura wojewody, nie tylko potwierdził słowa pułkownika, ale i dodał kilka nowych szczegółów.

Minęła niemal godzina, zanim głośniki ostatecznie umilkły. Śmiechy ucichły o wiele wcześniej. Żołnierze dowiedzieli się wszystkiego, czego powinni się wtedy dowiedzieć. O sytuacji w mieście, o legendzie Wyklętych, o potrzebie pojednania lub czekającej ich walce... Zawada nie mógł powiedzieć, że były to budujące wieści. Zrozumiał jednak, skąd wzięła się ostrożność generała Wałdocha, która niewiele mu pomogła. Dowiedział się też, że ludzie, których wczoraj tak żałował, zdolni byli rozerwać go gołymi rękami, gdyby dać im ku temu okazję. Sytuacja zaczęła go przerastać. Wielu z jego kolegów myślało podobnie. Adam był pewien, że gdyby wydano im rozkaz strzelania do tego tłumu, to nawet posiadając tę wiedzę, jaką mieli po przemówieniach, odmówiliby wykonania rozkazu.

Pułkownik Traczyk, choć nie cieszył się dobrą opinią wśród podwładnych, nie był idiotą. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że część żołnierzy może go nie posłuchać i nie zechce współtworzyć z władzami Wrocławia nowej Polski pod dyktando nikomu nie znanego Pana Jana. Wiedział i wybrał najuczciwsze rozwiązanie, informując wszystkich, jak się rzeczy mają. To zadecydowało. Choć nadal był dla nich zadufanym w sobie trepem, tego dnia wielu członków załogi Bastionu zgodziło się z jego opiniami. Kolejna propozycja pułkownika, by ci spośród żołnierzy, którzy nie zgadzają się na taki obrót sprawy przyłączyli się warunkowo na trzydzieści dni do sił lojalnych wobec Burmistrza, spotkała się z ogólnym zrozumieniem. Ale czy mogło być inaczej? Tak naprawdę załoga Bastionu nie miała innego, rozsądnego wyjścia. Otwarta walka nie wchodziła w grę. Potajemne zlikwidowanie Sobieszczuka i jego kliki rozjuszyłoby wrocławian, którzy go uwielbiali. Wyklęci, do końca życia siedzieliby w bunkrach, nie mając prawa do wyjścia na powierzchnię. Pozostawała kolaboracja, którą poparło, jak się wkrótce okazało, prawie dziewięćdziesiąt procent załogi. Pozostali poddali się woli ogółu. Adam też był wśród wątpiących. Ale szybko doszedł do wniosku, że zabijanie istot, które już

tyle wycierpiały, nie miałyby sensu. Wolał wybrać mniejsze zło, licząc na to, że sytuacja sama rozwiąże się za jakiś czas. Trzydzieści dni dalszej służby nie miało znaczenia. Bieg wydarzeń sprawił, że wszelkie wątpliwości odeszły w cień. Dzisiaj, w trzy miesiące po Odkupieniu, nie żałował swojej decyzji. Choć nadal musiał zabijać...

\*\*\*

Jan Sobieszczyk spoglądał na mapę Polski rozwieszoną w jego gabinecie. Wpadające przez otwarte okno promienie zachodzącego słońca podzieliły ją na dwie części. Wyższą jasną i pogrążoną w cieniu dolną. Linia dzieląca obie części przebiegała na wysokości Leszna. Tam też postukał palcem Burmistrz.

– Musimy dotrzeć do Leszna, zanim poznaniacy zdążą się zorganizować – powiedział do siedzących przy stole oficerów. – Z dnia na dzień nabieram coraz większego przekonania, że popełniliśmy wielki błąd, wysyłając korpus ekspedycyjny na południe...

– Wybacz pan – marszałek Traczyk wykorzystał moment, by wtrącić się do przemowy – ale nie zgadzamy się z pańską opinią, panie Burmistrzu. Zdobycie Strzelec Opolskich otworzyło nam szlaki na Śląsk i pozwoliło na znaczne zmniejszenie obsady garnizonu opolskiego. Teraz możemy przerzucić dużą część jednostek pancernych na północ. Bez ryzyka utraty kontroli nad terytoriami południowymi.

– Być może, ale Poznań w tym czasie nie próżnował. Ludzie z wielu miejscowości na północy nadal odrzucają nasze oferty, czując za plecami rodzącą się potęgę Wolnego Miasta Poznań i Republiki Wielkopolskiej. Nie możemy pozwolić na taki podział kompetencji. Jeśli dopuścimy teraz do podzielenia kraju, to już nigdy nie połączymy go w całość.

– To oznacza nową wojnę – stwierdził pułkownik Dąbek, jeden ze świeżo mianowanych oficerów sztabu.

– Lepiej aby wybuchła teraz, gdy wciąż odczuwamy skutki poprzedniej – wycedził przez zaciśnięte zęby Pan Jan. – Chyba, że chcecie odbudować to wszystko tylko po to, aby kolejne bomby miały cel.

– Rozumiem, ale... – zająknął się wystraszony oficer.

– Nic pan nie rozumie! – Burmistrz wpadł w furję. – Mamy jedyną w historii Europy okazję, by Polska stała się najważniejszym ośrodkiem

cywilizacji! A pan co robi?! Trzęsie się nad kilkoma ofiarami, jakie musimy ponieść dla osiągnięcia tego celu?

– Nie, panie Burmistrzu. – Pułkownik dobrze wiedział, że denerwowanie Sobieszczuka mogło skończyć się dla niego czymś więcej niż tylko degradacją. – Przepraszam, jeśli pana uraziłem. Chciałem jedynie przedstawić opinie sztabu.

– W dupie mam pańskie przeprosiny. – Pan Jan podszedł do mapy i wbił małą biało-czerwoną chorągiewkę w napis LESZNO. – Przygotujcie się do rozpoczęcia operacji „Poznań”. Ale tak, żeby nikt się nie zorientował, co szykujemy. Marszałek Traczyk miał kiedyś taki plan...

– Wciąż nad nim pracujemy. – Traczyk nie podzielał nerwowości przedmówców. W ciągu kilku miesięcy piastowania stanowiska marszałka, zdążył się przyzwyczaić do panujących w nowym świecie porządków. Co więcej, w całej rozciągłości przyznał rację Mrozowi. Współpraca z Sobieszczukiem, jak na razie, prowadziła od zwycięstwa do zwycięstwa. – Obawiam się tylko, czy zdołamy go wykonać. Według ostatnich raportów, paliwo z zapasów Bastionu jest na wyczerpaniu...

– A co z odzyskiem ze stacji benzynowych? – zapytał Twardowski.

– Znacznie poniżej oczekiwań. Kazałem zbadać dokładnie tę sprawę naszym analitykom. Nie uwierzycie panowie, do jakich wniosków doszły moje orły. Wygląda na to, że trafiliśmy z rozpoczęciem wojny na niezbyt szczęśliwy moment znacznej podwyżki cen paliw.

Marszałek spojrział na twarze zebranych, ale nie zauważył na nich zrozumienia. O tym, co było przed Atakiem, niewielu ludzi pamiętało, bądź chciało pamiętać.

– Znaczne podniesienie akcyzy tuż przed Atakiem, związane z walkami o kontrolę nad irackimi polami naftowymi – kontynuował więc spokojnie – spowodowało masowy wykup paliw. W miastach nie było tak źle, ale na prowincji stacje zostały dosłownie opróżnione, a nowe dostawy zablokowało w znacznym stopniu rozporządzenie rządu, związane z zabezpieczeniem dostaw dla armii. Powiedziałbym, że to pechowy zbieg okoliczności.

– Jednym słowem, sami sobie założyliśmy pętlę na szyję – mruknął Mróz.

– Co to oznacza dla naszych dalszych operacji? – zapytał już znacznie spokojniejszym tonem Pan Jan. – Na jak długo wystarczy jednostkom

liniowym paliwa?

– To zależy. – Logistyka była domeną Dąbka, więc jemu pozostawiono wyjaśnienie tego zagadnienia. – Zakładając, że zechcemy użyć trzonu naszych sił pancernych na kierunku północnym, mogę zagwarantować, że wszystkie czołgi dotrą do Poznania, o ile nie damy się związać walkami pozycyjnymi. W takim przypadku nawet dwudniowe potyczki z użyciem ciężkiego sprzętu spowodują znaczne ograniczenie manewru...

– Mógłby się pan streszczać. – Nawet spokojny ton wypowiedzi Burmistrza powodował gęsią skórę na karku pułkownika. – Oczekuję prostej i jasnej odpowiedzi na postawione pytanie. Jak długo możemy utrzymać pełną gotowość bojową naszej armii?

– Tak jest! – Wyprężony jak struna Dąbek wyrecytował: – Paliwa dla czołgów wystarczy na siedem dni intensywnych działań bojowych, o ile zrezygnujemy z użytkowania innych pojazdów, na przykład ciężarówek używanych przy budowie umocnień. Jeśli wystawimy do akcji komplet Gromów, czas ten skróci się do czterech dni.

– A lotnictwo?

– Sokoły w zasadzie już nie latają. Akcja ostrzeliwania pozycji Kartelu w Opolu i Strzelcach praktycznie wyczerpała zapasy dostępnej benzyny lotniczej.

– Czy to znaczy, że jesteśmy bezbronni? – zapytał Burmistrz, wodząc wzrokiem po zebranych.

– Niezupełnie. – Traczyk podniósł z podłogi swoją aktówkę i powoli, niemal teatralnym gestem, otworzył zamek.

Podał niewielką kartkę Dąbkowi, a ten szybko przeniósł ją na biurko Sobieszczuka.

– Co to jest? – zapytał Pan Jan, zbliżając dokument do oczu. Pogrzebał w kieszonce marynarki i wyciągnął podniszczone okulary. Ale i to nie pozwoliło mu na zapoznanie się z treścią informacji. – Czy to jakiś żart?

– Nie, panie Burmistrzu. – Marszałek uśmiechnął się zagadkowo. – To szyfrogram, który znaleźliśmy w sejfie Wałdocha. Szyfrogram, który udało nam się rozpracować. To, co w nim napisano, może stanowić rozwiązanie wszelkich problemów.

\*\*\*



Wzywano go na dwudziestą do budynku Sztabu Okręgu. Wprawdzie sama budowla uległa w dużym stopniu zniszczeniu, ale piwnice i bunkry umieszczone pod nią były na tyle solidne, że przetrwały atak nuklearny. Oczyszczono z gruzu tę część kompleksu, gdzie znajdowało się boczne wejście do bunkra dowodzenia i tam teraz rezydowali ludzie z połączonego sztabu. Tam też odbywały się ostatnie spotkania z dowódcami jednostek wyruszających z Wrocławia.

Zawada zaklął, gdy przeczytał meldunek dostarczony przez kuriera. Ledwie rozłożyli się w koszarach przy Braterskiej, nie minęła jeszcze godzina od zaparkowania wozów, a już przychodzą rozkazy wyjazdu?

Albo tam kogoś pogięło, albo sytuacja jest naprawdę ciężka, pomyślał, pakując dokumenty do chlebaka.

Przez wartownię wyszedł na ulicę. Nie musiał nawet pokazywać przepustki. Sierżant siedzący przy biurku kazał otworzyć drzwi, jak tylko go zobaczył. Zdezelowany samochód czekał przy bramie. Wsiadł, mrużąc słowa powitania i od razu zagłębił się w ponownej lekturze wezwania. Jazda zajęła niewiele ponad trzy minuty, a kierowca nie narzucał się z rozmową. Najwidoczniej wyczytał z wyrazu twarzy Adama, że najprawdopodobniejszą odpowiedzią na jakiegokolwiek pytanie byłoby co najwyżej przekleństwo.

Wejścia do bunkra pilnowali komandos. Obłożone workami z piaskiem stanowiska karabinów maszynowych wyglądały dość śmiesznie na tle ruin budynku. Jakby ktoś zaplanował obronę dawno zniszczonego celu. Zawada zasalutował porucznikowi, który wyszedł z prowizorycznej wartowni, i podał mu wezwanie. Tamten nie popatrzył nawet na papier, tylko skinął na rosłego szeregowca, który stał przy wejściu do bunkra.

– Zaprowadzicie pana kapitana do sali odpraw! – rozkazał.

– Dziękuję, znam drogę – odparł Zawada, który już kilkakrotnie uczestniczył w podobnych spotkaniach.

– Wybacz pan, kapitanie, ale mamy rozkaz, by odprowadzić pana na spotkanie. – Porucznik nie uznał za stosowne wyjaśnić kto i dlaczego wydał takie dyspozycje. Po wypowiedzeniu swojej kwestii zniknął w ziemiance.

Zawada zmełł w ustach przekleństwo i ruszył za żołnierzem. Winda, jak pamiętał, nie działała, więc spokojnie podszedł do klatki schodowej. Sala odpraw mieściła się na minus czwartym. Ale tym razem nie dotarli tak daleko. Na minus drugim komandos popchnął stalowe drzwi, prowadzące

do wnętrza kompleksu, i wskazał ręką drogę. Adam wszedł do oświetlonego kilkoma żarówkami korytarzyka o ścianach z surowego betonu z charakterystycznymi śladami po szalunku. Począł, aż przewodnik go minie i ruszył za nim. Przeszli tak może z pięćdziesiąt metrów krętym korytarzem i dotarli do masywnych drzwi na jego końcu. Tam czekało dwóch kolejnych wartowników.

– Kapitan Zawada do pana marszałka – zaanonsował Adama komandos.

Jeden z żandarmów przekręcił kołem i pociągnął grube na dwa metry owalne wrota. Nie otworzył ich na całą szerokość, ale na tyle, by w szczelinie zmieścił się człowiek. Zza stalowej przegrody bił niemal oślepiający blask. Tak przynajmniej musiało wydawać się każdemu, kto spędził ostatni kwadrans w półmroku bunkra. Adam oddał broń drugiemu z wartowników i wszedł do osobistych pomieszczeń marszałka Traczyka.

Gabinet był urządzony dość surowo. Na jednej ze ścian wisiała wielka mapa Polski z zaznaczonym różnokolorowymi pinezkami rozlokowaniem jednostek, garnizonów i stref wpływów Wrocławia. Pod nią stał duży stół konferencyjny i kilkanaście podniszczonych foteli. Niemal każdy wyglądał inaczej, widać było, że zebrano je z wielu miejsc, nie dbając specjalnie o kolorystykę i kształt. Liczyła się tylko wygoda. W drugiej części gabinetu znajdowało się masywne biurko – chyba antyk – i kilka szafek ustawionych po obu jego stronach. Przed biurkiem stało czterech mężczyzn. Jednym z nich był Traczyk, drugiego Adam znał tylko z widzenia. Nazywał się bodajże Mróz i był kimś w rodzaju premiera nowego rządu. Ale Zawada nie dałby za to głowy. Polityka nigdy go nie interesowała. Natomiast, co do dwóch pozostałych to mógł jedynie powiedzieć, że są z miasta. Zmiany na skórze i przerzedzone włosy zdradzały ich od razu.

– Witam, kapitanie. Zapraszam. – Marszałek podszedł do Adama z wyciągniętą dłonią.

Zawada odwzajemnił uścisk i usiadł na wskazanym miejscu przy stole konferencyjnym. Dopiero teraz zauważył, że w głębokim, odwróconym oparciem do drzwi fotelu siedzi jeszcze jeden mężczyzna. Też z miasta, ale jego twarz znali tu wszyscy.

– Proszę nie wstawać. – Pan Jan uprzedził próbę zasalutowania gwałtownym ruchem ręki. – Nie czas na konwenanse.

– Panowie pozwolą. – Traczyk poprosił tymczasem pozostałych do stołu. – Możemy zaczynać.

Adam siedział wyprostowany jak struna, spoglądając na zajmujących miejsca mężczyzn. Jeśli zebrali się tu marszałek, Burmistrz i kanclerz – teraz przypominał sobie funkcję Mroza – to i pozostali nie są chyba mało ważnymi osobistościami.

– Myślę, że zaczniemy od wyjaśnienia kapitanowi sytuacji – zagaił tymczasem Sobieszczuk. – To uprości sprawę.

Skinął ręką na jednego ze swoich ludzi. Ten wstał i podszedł do mapy. Spojrzał wprost na Adama i powiedział:

– Jednostka 18-210. Przypomina pan sobie, kapitanie?

Zawada myślał przez chwilę, ale nie bardzo rozumiał, o co tamtemu chodzi.

– Nie przypomina pan sobie, jak widzę. – Niezrażony wrocławianin wskazał palcem miejsce na mapie, niemal na środku Borów Dolnośląskich.

Zrobił to, patrząc cały czas na Adama. Uśmiechnął się w momencie, gdy dostrzegł ślad zrozumienia na twarzy żołnierza.

– Chodzi wam o tę starą rosyjską bazę?

– Dokładnie. – Tym razem do rozmowy wtrącił się Pan Jan. – Proszę opowiedzieć o wszystkim, co kojarzy się panu z tamtym miejscem.

– Dobrze. – Zawada odprężył się nieco, znając przynajmniej z grubsza cel rozmowy. – Byłem tam chyba w dziewięćdziesiątym piątym. Zabezpieczaliśmy tereny po wycofaniu jednostek Armii Czerwonej. Między innymi ogromne podziemne lotnisko, magazyny części, składy paliw. Podobno były tam też silosy rakiet z głowicami atomowymi, ale nie natrafiliśmy na żaden z nich, więc nie mogę potwierdzić czy naprawdę tam były, czy to tylko plotki. Zresztą, tak naprawdę zajmowałem się elektroniką, zabezpieczeniem instalacji i innych dupereli.

– Zna pan rozlokowanie tych składów? – Pan Jan przesunął w kierunku Adama rozłożoną mapę terenu przylegającego do bazy. – Zwłaszcza paliwowych?

– Owszem. – Jeden rzut oka na mapę wystarczył, by Adam rozpoznał topografię terenu, gdzie spędził prawie pięć miesięcy, chociaż nie było na niej żadnego z obiektów, których pilnował. – Tutaj, tutaj i tutaj – wskazywał kolejne zbiorniki, co wrocławianin skwapliwie zaznaczał na dużej mapie. – Te dwa ostatnie były zakopane na dobre dwadzieścia metrów i przykryte kilkunastoma ukośnie położonymi warstwami żelazobetonu na wypadek ataku nuklearnego. To największe zbiorniki w tej

części kraju. Ale oprócz nich było jeszcze kilka mniejszych składów, przeznaczonych dla jednostek obsługi lotniska i dwóch dywizji pancernych, stacjonujących w pobliżu Ruszowa. Nie pamiętam zbyt dokładnie, gdzie one się znajdowały, ale myślę, że na miejscu powinienem znaleźć do nich drogę.

Bacznie obserwował miny zebranych i widział, że wiadomości, które przekazuje, z jakiegoś powodu bardzo ich poruszyły. Domyślał się, że liczyli na znalezienie nowych zapasów paliwa, które ostatnio intendentura zaczęła wyjątkowo oszczędzać.

– Tylko że one są puste – powiedział po krótkiej przerwie. – Już wtedy okoliczna ludność wyniosła wszystko, co tylko dało się ukraść. Dlatego wysłano nas do pilnowania tych obiektów. Jeszcze za mojej bytności wypompowano całe paliwo i usunięto większość urządzeń przepompowni oraz dystrybutorów.

– Niewątpliwie mówi pan prawdę, kapitanie – wtrącił szybko kanclerz Mróz, gdy Adam zamilkł – ale nie wie pan o jednej rzeczy. Dowództwo okręgu pomorskiego na wniosek sztabu generalnego wysłało w te rejony tuż przed wybuchem wojny osiemnastą dywizję pancerną z Żagania i czterdziestą czwartą z Zielonej Góry. To ponad sto czterdzieści najnowszych czołgów Twardy 2. Powinny tam też trafić jakieś samoloty choć, co do tego nie mamy dokładnych danych.

Adam popatrzył na niego podejrzliwie. Nie bardzo widział możliwość skrytego przetransportowania takiej ilości sprzętu. Choć Żagań i Zielona Góra były dość blisko.

– Nie wspomnę – kontynuował tymczasem Mróz – o kilkudziesięciu pociągach ropy i benzyny lotniczej z zapasów strategicznych, jakie mogły trafić do któregoś z tych zbiorników. Działania te podjęto dosłownie na kilka dni przed wybuchem wojny i stanowiły część planu zabezpieczenia naszego kraju na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Była to tajna operacja o najwyższym stopniu uprzywilejowania a z tego co wiem, założono, że większość żołnierzy w niej uczestniczących zostanie natychmiast przeniesiona w ramach uzupełnień do jednostek liniowych przy wschodniej granicy. To natomiast oznacza, że niewielu przeżyło wojnę, a niemal na pewno żaden nie wrócił z frontu ukraińskiego.

– W czym więc tkwi problem? – zapytał ostrożnie Zawada.

– W tym – odparł natychmiast Mróz – że nie wiemy, gdzie dokładnie rozlokowano te jednostki i czy w ogóle zdążono to zrobić. To bardzo rozległy obszar, obejmujący niemal kilka tysięcy kilometrów kwadratowych w większości zalesionego terenu o najniższym zaludnieniu w okresie przed Atakiem. Na dodatek jest to w tej chwili ziemia niczyja. Najbliższy garnizon gwardyjski znajduje się w odległości 30 kilometrów od interesującego nas obszaru. Nie wiemy nawet, co tam się dzieje.

– Minęły już ponad dwa lata od Ataku – dodał drugi z wrocławian, którego Zawada nie znał. – Czas i wojna zatarły wszelkie ślady tej operacji, a pan, kapitanie, jest jedynym żołnierzem, który służył w tamtej okolicy przed wojną i orientuje się w rozlokowaniu wszystkich obiektów.

– Sprawa była tak tajna – wtrącił Traczyk – że dopiero niedawno zorientowaliśmy się, o co chodzi. Oficer dyżurny odpowiedzialny za niszczenie dokumentacji znalazł pewien szyfrogram, który generał Wałdoch otrzymał w przeddzień Ataku. Sam w sobie meldunek ten nie był specjalnie interesujący. Zawierał jedynie kryptonimy poszczególnych kryjówek i listę jednostek wytypowanych do przeniesienia. Początkowo zbagatelizowaliśmy całą sytuację, ale informacje, które dotarły do nas w minionym tygodniu z Głogowa i Bytomia Odrzańskiego, mówiące o ludziach interesujących się miejscami, które wskazał pan na mapie, zmusiły nas do zrewidowania podejścia do tej sprawy...

Zawada zdziwił się. Głogów był daleko poza linią wpływów wrocławskich, podobnie Bytom Odrzański. Szybki rzut oka na mapę pozwolił na potwierdzenie tych domniemań. Flagi oznaczające garnizony kończyły się na linii Bolesławiec, Lubin, Rawicz.

– To może oznaczać – dorzucił wrocławianin spod mapy – że sprzęt rzeczywiście został tam ukryty przed wojną, i co więcej, nadal tam się znajduje. A jeśli tak, to ten, kto pierwszy zdobędzie do niego dostęp, zyska absolutną dominację nad krajem.

– Paliwa z Bastionu – powiedział Traczyk, patrząc w oczy Zawady – wystarczy jeszcze na kilka dni, góra dwa tygodnie działań operacyjnych w skali o wiele mniejszej niż dotychczasowa. Potem zaczniemy mieć problemy z transportem i utrzymaniem gotowości bojowej. To, co wydobywamy z kolejnych stacji benzynowych w terenie, jest zaledwie kroplą w morzu potrzeb. Przedwojenne składy paliw zostały doszczętnie zniszczone i spalone. Przynajmniej te na terenie przez nas opanowanym.

Tam – stuknął palcem w zieloną plamę na mapie – znajduje się klucz do władania tym krajem.

– A pan, majorze Zawada, wie doskonale, jak ten klucz zdobyć. – Sobieszczuk przysunął mapę do siebie i złożył ją, dając sygnał do zakończenia rozmowy.

Traczyk pierwszy pogratulował Adamowi awansu.

\*\*\*

Dostał dwa Gromy, sześć ciężarówek oraz Hummera przerobionego na wóz dowodzenia i centrum komunikacyjne. Do tego stu osiemdziesięciu żołnierzy wybranych z kilku jednostek pancernych, stacjonujących w tym czasie w okolicach miasta, i czterdziestu dwóch mechaników, przeważnie wrocławian.

Wyruszyli następnego dnia rano. Traczyk zgodził się na jedną noc odpoczynku; nie ze względu na Adama, ale z przyczyn zupełnie niezależnych. Zgromadzenie tak dużej grupy ludzi znających się na obsłudze czołgów musiało trochę potrwać. Do tego Zawada zażądał kilku saperów, specjalistów od elektroniki i... włamywaczy. Zdawał sobie bowiem sprawę, że pozostawiony w schronach sprzęt takiej wartości został na pewno zabezpieczony przed przypadkowymi i nie tylko, gośćmi. Największy problem marszałek miał z włamywaczami, ale jak się wkrótce okazało, kilku oficerów BORu służących teraz pod Burmistrzem posiadało pewne inklinacje w tym kierunku. Wybrano spośród nich dwóch najlepszych i dołączono do składu. Pozostali członkowie ekspedycji czekali już w koszarach przy Braterskiej. Zawada dał rozkaz wymarszu dosłownie w chwilę po tym, jak obaj BORowcy wsiedli do jego Hummera.

Podróż do Bolesławca minęła bez większych przygód, ale tutaj kończyła się cywilizacja. Już przed wojną tereny Borów Dolnośląskich były naprawdę rzadko zaludnione. Zwłaszcza po wycofaniu jednostek sowieckich niewiele się tu działo. Okolica była biedna i nie oferowała niczego prócz świeżego powietrza. Zresztą z tym ostatnim też różnie bywało. Pozostawione przez Rosjan w ziemi i bunkrach szkodliwe substancje niejednokrotnie stawiały na nogi służby sanitarne okolicznych województw. A i zapadalność na nowotwory dziwnie przekraczała tu normy. Wszystko to jednak przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie po

Ataku. Na rozległe i zalesione tereny nie spadła wprawdzie ani jedna głowica z ładunkiem nuklearnym, ale fale termiczne z eksplozji nad Żaganiem, Żarami i Bolesławcem spowodowały powstanie setek ognisk pożarowych. Efektem tego były ogromne połacie spopielonego lasu, który już nigdy nie odrósł. Zdjęcia ze zwiadu, jaki wykonał jeden z Sokołów, potwierdziły obawy Adama. Wiele punktów orientacyjnych w okolicach jednostki 18-210 zniknęło bezpowrotnie.

Droga krajowa numer 350 była jedyną szosą przecinającą Bory w pobliżu interesujących Adama terenów. Dwadzieścia kilka kilometrów, które musieli nią przemierzyć, prowadziło głównie przez wypalone lasy z dala od ludzkich siedzib. Na trasie znajdowało się jedynie kilka małych i zupełnie opuszczonych miejscowości. Od Kliczkowa jechali całkiem pustą szosą wśród niezmiernego morza rachitycznej zieleni. Nie zauważyli na całej długości ani jednego wraku czy porzuconego wozu. Pożary lasów zatrzymały się na linii drogi 357. Na pewno nie było to sprawą ludzi, bardziej wiatrów z północy, które przytłumiły ogień na ciągnących się tam młodnikach i uprawach sosny.

Starali się nie przekraczać najbardziej ekonomicznej prędkości, wynoszącej około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Gromy nie miały nawet połowy stanu paliwa. Zatankowano im ilość ropy wystarczającą na dojazd, powrót i ewentualne działania w terenie przez góra jeden dzień. Reszta zapasów została rozdzielona na dwa korpusy ekspedycyjne, które dzień później miały wyruszyć z Wrocławia na Poznań. Korpus pierwszy pod dowództwem pułkownika Gonczarka powinien ruszyć z Fortu Karłowice w kierunku Wzgórz Trzebnickich i Leszna. Ta część sił zbrojnych składała się głównie z transporterów opancerzonych i lekkich wozów bojowych. Trzon sił pancernych pełniły w nim dwa zgrupowania czołgów z Fortów Rawicz i Krotoszyn. Tamtejsze garnizony gwardyjskie, stanowiące wsparcie piechoty, już wyruszyły w kierunku punktów zbórnych, aby nie opóźnić ruchu jednostek zmotoryzowanych i samego uderzenia. W tym celu nie angażowano na razie i nie przenoszono w teren oddziałów gwardyjskich z samego Wrocławia i bardziej oddalonych miejscowości.

Drugi korpus ekspedycyjny, dowodzony przez pułkownika Tasaka, rozlokowano w Leśnicy. Stąd ciężkie czołgi, w asyście jednostek osłony i kilkudziesięciu ciężarówek z zaopatrzeniem, powinny lada godzina ruszyć

w kierunku Głogowa, by potem manewrem oskrzydającym przez Wschowę odciąć obrońców Leszna od zachodu i północy. Czołgi kapitana Mieczkowskiego z Krotoszyna, wspierające uderzenie Gonczarka, miały za zadanie blokadę kierunku wschodniego i zablokowanie drogi numer 34 w okolicach Kąkolewa, oraz, w razie napotkania mniejszego niż spodziewany oporu, zamknięcie okrążenia na linii Osiecznicy.

Plan był ryzykowny, ale przy zaangażowaniu tak potężnych środków miał wszelkie szanse powodzenia. Cała operacja powinna zakończyć się w ciągu najbliższych osiemnastu godzin. Potem, w przypadku dalszego oporu władz Leszna, Sobieszczyk zamierzał nakazać bezpośredni szturm na miasto. Traczyk zasugerował jednak Burmistrzowi ciężki ostrzał artyleryjski, który mógł oszczędzić strat tak w ludziach jak i w sprzęcie. Wydłużało to czas operacji, ale pozwalało na przygotowanie pozycji obronnych na wypadek odwetowej akcji z Poznania. Ta jednak spodziewana była najwcześniej po dwóch, trzech dobach od rozpoczęcia działań. Dlatego odwody z garnizonów Wrocławskiego i Opolskiego powinny wesprzeć siły korpusów ekspedycyjnych w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od rozpoczęcia operacji „Poznań”.

Machina wojenna została wprowadzona w ruch. Sam Pan Jan wystąpił na Rynku, wobec kilku tysięcy gwardzistów i specjalnie powołanych rekrutów, z niemal dwugodzinnym przemówieniem, dotyczącym aktualnej sytuacji w mieście i kraju oraz wykładem o ciężącym na wrocławianach obowiązku odbudowania ojczyzny.

Adam nie był na tym wiecu, ale kilkudziesięciu żołnierzy z jego jednostki wróciło grubo po północy i słyszał ich komentarze. O dziwo, wszystkie były bardzo pochlebne, tak dla Burmistrza jak i samej operacji. Zawadzie wydało się to dziwne, że ludzie, którzy przeszli przez piekło konfliktu nuklearnego, tak bardzo garnęli się do kolejnej walki. Sam uczestniczył w akcjach oczyszczania Strzelina, Nysy i Strzelec Opolskich, ale tam walczył z pozbawionymi skrupułów przestępcami. Z organizacją niejakego „Masona”, która mogła zniszczyć załóżki nowego ładu. Teraz wojsko miało uderzyć na ludzi, którzy chcieli bez niczyjego zwierzchnictwa odbudować swoje miasto. Lecz to była tylko jedna strona medalu. Drugą mogło stanowić faktyczne wewnętrzne rozbitcie Polski, prowadzące w niedalekiej przyszłości do serii poważnych konfliktów o strefy wpływów.



Takie myśli towarzyszyły mu niemal przez całą drogę, a zatrzymali się dopiero w Parowej, niewielkiej wsi oddalonej zaledwie o osiem kilometrów od Ruszowa. W tym miejscu Zawada postanowił rozbić obóz. Zbiegające się w centrum wioski betonowe drogi, wybudowane jeszcze w czasach stalinowskich, prowadziły wprost do pozostałości po pobliskich jednostkach wojskowych. Nie było przy nich żadnych drogowskich, ale Adam ich nie potrzebował.

Rozłożyli się w chatkach przy skrzyżowaniu. Żołnierze zajęli pobliskie zabudowania i ruszyli ku skrajowi wioski, sprawdzając każdą zagrodę. Nie znaleźli nikogo, ani żywego, ani tym bardziej martwego. Gruba warstwa kurzu, zalegająca w każdej chałupie, świadczyła o tym, że dawno nikogo tu nie było. Zawada odczekał, aż ostatni patrol wróci na skrzyżowanie i dopiero wtedy polecił nawiązać łączność z Wrocławiem.

– Wyślijcie meldunek do dowództwa, że dotarliśmy na pozycję wyjściową. Następny kontakt – spojrzaj na zegarek – o szesnastej zero zero.

Zastanowił się nad jeszcze jedną rzeczą.

– Rozstawcie wozy tak, żeby mysz się nie prześliznęła – rozkazał, mając w pamięci renegatów.

Wprawdzie tutaj, na odludziu, bandyci nie mieli czego szukać, a i atak na tak duży oddział wojska wydawał się bardziej niż nieprawdopodobny, ale wolał się zabezpieczyć na każdą ewentualność.

Szyfrant zapisał treść meldunku i wrócił do Hummera. Adam, nie czekając na potwierdzenie wysłania wiadomości, ruszył do pobliskiego domu, który wybrał na swoją kwaterę. Wnętrze było równie ubogie jak i cała okolica. Dyżurni zrobili jednak swoje i odkurzyli obie izby w stopniu pozwalającym na normalne użytkowanie.

– Zbierzcie dowódców drużyn – polecił Zawada obu porucznikom, siadając przy chybottliwym stole i rozkładając mapę. – Za piętnaście minut rozpoczynamy odprawę.

Zasalutowali i wybiegli, zostawiając go samego. Stół stał przy dużym oknie, więc ilość światła wpadającego do wnętrza pozwalała na spokojne studiowanie mapy. Każda z odnóg drogi prowadziła do oddalonych o cztery kilometry kompleksów wojskowych. Zawada zaznaczył najważniejsze punkty kolorowym pisakiem i do każdego z nich dopisał numer przydzielonej drużyny. Spojrzaj raz jeszcze na zegarek. Dochodziła jedenasta. Jeśli wszystko pójdzie gładko, do szesnastej przeprowadzą

rekonesans w Poświętnem i Ołoboku. Podziemne lotnisko zostawił na koniec. To było jedyne miejsce, w którym można ukryć myśliwce. Jeśli sprowadzono je tutaj, to stoją w jednym z czterech podziemnych hangarów. Bardziej interesowały go potencjalne schrony dla czołgów. Zaznaczył osiem możliwych lokacji. Dodał jeszcze trzy, które wprawdzie nie za bardzo pasowały do charakterystyki poszukiwanych obiektów, ale mogły kryć w sobie przynajmniej część sprzętu. W osiem minut był przygotowany do odprawy. Pozostało jeszcze siedem, zanim zgłoszą się dowódcy drużyn. Dużo czasu jak na zorganizowanego żołnierza. Nie mając nic do roboty, zabrał się raz jeszcze do przejrzenia mapy.

\*\*\*

Do czternastej sprawdzili sześć z wyznaczonych obiektów. Niestety, każdy z nich był zamknięty na głucho i kompletnie pusty. W okolicy nie było nawet śladu bytności człowieka, nie mówiąc już o jakimkolwiek sprzęcie bojowym. Sprawdzali dokładnie każdy bunkier, magazyn, nawet opuszczone koszary. Wszędzie znajdowali tylko martwą ciszę i zarastające dziką roślinnością ruiny.

Adam zaczął wątpić w prawdziwość komunikatu. Wiedział, że taka akcja była planowana, ale w żadnym z miejsc, które zapamiętał, nie znalazł nawet jednej śrubki czy naboju wskazującego na obecność żołnierzy. Coraz bardziej prawdopodobne wydawało się założenie, że poznaniacy nie wykonali rozkazu i cały sprzęt pozostał na północy. A to oznaczało, że rozpoczęta dziś kampania mogła zakończyć się zupełnie inaczej, niż tego oczekiwali decydenci z wrocławskiego Ratusza.

– Skontaktujcie się z „siódemką” – rozkazał radiotelegrafiście Zawada.

Numer siódmy nosił oddział wysłany do głównych zbiorników paliwa podziemnego lotniska za Poświętnem. Żołnierz wykonał rozkaz i podał mu słuchawki.

– Podchorąży Dębiński melduje się na rozkaz – usłyszał Adam.

– W porządku. Daleko jesteście?

– Dotarliśmy do sklepienia nad samymi zbiornikami. Wszystko zarosło zieliskiem. Nie znaleźliśmy jeszcze włączów do szybów przepompowni, ale budynek, o którym pan mówił, przypomina głowę blondynki.

– Słucham?

– Melduję, że budynek stacji pomp jest całkowicie pusty. Tylko ściany i kurz.

Adam zmełł w ustach przekleństwo. Wielkie i chronione betonowymi sklepieniami zbiorniki musiały być puste. Mógł iść o zakład, że nie było w nich więcej niż tysiąc, może dwa tysiące litrów paliwa. Po zdemontowaniu pomp nie dało się wyciągnąć brudnych resztek z potężnych zbiorników, w których Rosjanie trzymali prawie sto tysięcy ton ropy i benzyny lotniczej. Istniała wprawdzie nikła nadzieja, że jednostki tu wysłane zdemontowały sprzęt i pompy po wykonaniu zadania, ale nie bardzo wierzył w takie rozwiązanie. Nie odwoływał jednak grupy poszukiwawczej. Wolał sprawdzić każdą ewentualność. To nie zabierze więcej niż godzinę, a zyska całkowitą pewność.

– Sprawdźcie teren przy końcach betonowych osłon. Tam są dwa tunele inspekcyjne.

– Sprawdzamy, na razie wycinamy trawy i chaszczę. To prawdziwa dżungla, panie majorze.

– Zgłóście się, jak coś będziecie mieli.

– Tak jest.

– Bez odbioru.

Oddał słuchawki radiotelegrafiście i usiadł przy stole, na którym leżała rozłożona mapa. Sześć krzyżyków oznaczało cele sprawdzone, przez chwilę wahał się nad postawieniem siódmego krzyżyka, ale zrezygnował. Nie chciał zapeszyć, choć szanse na to, że ktoś tak dokładnie zatarł za sobą ślady, były znikome. Znikome, ale nie zerowe.

– Panie majorze, „ósemka” na linii – radiotelegrafista przerwał niewesołe rozmyślenia Adama.

– Już idę. – Zerwał się z krzesła i prawie podbiegł do radiostacji.

– Meldujcie – powiedział, ledwie słuchawka przyłgnęła do ucha.

– Pokonaliśmy ogrodzenie. Wysłałem ludzi do magazynów, ale pierwsze kontrole wykazują, że nie ma tu nic ciekawego.

– Ile budynków jeszcze zostało?

– Sześć za nami. To jeszcze dwa i ten wielki bunkier.

– Zostawcie budynki na później – rozkazał Zawada. – Zajmijcie się bunkrem.

– Tak jest.

Na chwilę w słuchawkach zapanowała cisza. Adam zaczął się już niecierpliwić, gdy usłyszał głos podoficera dowodzącego „ósemką”.

– Wrota bunkra są zamknięte i zabezpieczone. Zdaje się, że to ładunki wybuchowe, ale głowy dać nie mogę. Obudowy są skorodowane i nie bardzo można je rozebrać. Może pańscy specje dadzą temu radę?

– Zaraz ich tam wyślę. – Zawada odłożył słuchawki i przywołał dwóch żołnierzy w strojach komandosów, którzy popijali herbatę w głębi pomieszczenia. – „Ósemka” ma zabezpieczone drzwi. Chyba zaminowane, jedźcie to sprawdzić.

Wyszli bez słowa, jedynie salutując.

– Za dziesięć minut dostaniecie wsparcie, sprawdźcie teraz pozostałe budynki. – Adam poczuł żywsze bicie serca. Zabezpieczone w taki sposób drzwi muszą coś kryć!

\*\*\*

Pan Jan spojrzał na zegarek, dochodziła piętnasta. Pozostała jeszcze godzina do pierwszego kontaktu z jednostką Zawady. Meldunki od korpusów ekspedycyjnych były pomyślne: wszystkie kolumny dotarły do punktów wyjściowych. Przed dwiema godzinami czołgi zostały zdjęte z transporterów i teraz samodzielnie kontynuowały marsz na wyznaczone pozycje.

Szpica korpusu Tasaka docierała już do Głogowa, a nadal nie napotkano silniejszego gniazda oporu. Miejscowa policja i oddziały zmilitaryzowane na ogół poddawały się lub uciekały w popłochu. Nadawane przez megafony komunikaty propagandowe też robiły swoje. Nie zanotowano większych problemów z ludnością zajmowanych miejscowości. Zresztą, w niewielu z mijanych po drodze miasteczek można było zebrać choć kilkudziesięciu mieszkańców. Tam, gdzie zniszczenia były mniejsze, ludzie nie chcieli walki; Bijanowo, Góra, Poniec i Gostyń poddały się pierwszym oddziałom wrocławian. Ale te miejscowości znajdowały się do tej pory na ziemiach niczyich.

Prawdziwym sprawdzianem możliwości korpusów powinno stać się Leszno. Z wiarygodnych źródeł wiadomo było, że miasto posiadało sporą liczbę mieszkańców i regularne oddziały gwardii miejskiej, wspomagane przez artylerię i ufortyfikowane przedmieścia. Wyjątkowym zbiegiem

okoliczności Leszno nie stało się celem ataku nuklearnego podczas minionej wojny i niemal nietknięte przetrwało późniejszą zawieruchę. Na ludność z okolicznych miejscowości podziałało to jak magnes. Uwierzyli w niezwykłą rolę tej miejscowości i budowali opartą o to miasto społeczność.

Złamanie dobrej passy Leszna mogło drogo kosztować, może nawet zbyt drogo. Ale warte było każdego poświęcenia.

– Myśli pan, że koncepcja Traczyka ma jakiś sens? – zapytał Sobieszczuk jedyne go człowieka, który był w jego gabinecie.

– Nie jestem żołnierzem – odparł kanclerz Mróz – ale wierzę w rozsądek marszałka. Mamy wystarczającą ilość ciężkiej artylerii, żeby zrównać miasto z ziemią.

– Ale z politycznego punktu widzenia nie jest to rozsądna decyzja.

– Też prawda.

Pan Jan stanął przy oknie i opierając się o pogięty parapet wyjrzał na zewnątrz. Panorama miasta niewiele się zmieniła. Chociaż stała się jakby bardziej kolorowa.

– Ci ludzie doskonale pamiętają Atak – wskazał na rynek – i to, co po nim nastąpiło. Do tej pory ufali nam i wierzyli we wszystko, co im mówiłem. Niemniej, jeśli zrównamy Leszno z ziemią, wielu zacznie się zastanawiać czy postępujemy słusznie, zabijając tych, którym trochę się poszczęściło.

– Tak, to może być pewien problem – przyznał Henryk, delektując się kolejnym kieliszkiem wytrawnego Petrusa. – Ale przy odrobinie szczęścia możemy tego uniknąć.

– To znaczy?

– Wydaje mi się, że powinien pan zaproponować mieszkańcom uczciwy układ. Daleko posuniętą autonomię w ramach Czwartej Rzeczypospolitej w zamian za poddanie miasta bez walki.

– Proszę mówić dalej. – Pan Jan nie odwrócił się od okna, ale tym stwierdzeniem dał wyraźny znak swojemu rozmówcy, że jest zainteresowany pomysłem.

Kanclerz rozparł się w fotelu i nie wypuszczając kieliszka z ręki przymknął oczy.

– Potrzebujemy pewnych, powiedzmy to sobie, spektakularnych gestów. Przeciwnik musi uwierzyć w naszą potęgę. Musimy go przytłoczyć już na starcie.

– Nie bardzo mam czym. – Burmistrz nadal się nie odwracał, ale słuchał. Uważnie słuchał.

– Może nie jest tak źle. – Henryk Mróz zawsze pozostawał w cieniu ważniejszych polityków, ale taka rola bardzo mu odpowiadała. W razie potrzeby, jak osławiony kardynał Richelieu, podsuwał konkretne rozwiązania w zamian za rozległą i faktyczną władzę. W razie niepowodzeń, konsekwencje ponosili inni. Pomysłodawca zawsze zbierał tylko pochwały, porażki szły w zapomnienie wraz z tymi, którzy je realizowali. – Pańskie rozważania nasunęły mi pewną myśl, panie Burmistrzu.

– Tak?

– Możemy zgromadzić wokół Leszna ogromne siły. Wycofamy większość garnizonów z południa.

– W ten sposób narazimy się na utratę tych ziem.

– W chwili obecnej nie ma realnego zagrożenia atakiem. Kartel został rozbity...

– Nadal jednak w okolicach Nysy grasują bandy odszczepieńców tego degenerata Mansona czy Masona. Nie wiemy też, co dzieje się w Katowicach, Gliwicach i dalej na południe.

– Widział pan odczyty z przyrządów, tak w Bastionie, jak i pod Urzędem Wojewódzkim. Tam jest tylko radioaktywna pustynia. Bomby wodorowe to nie zabawki. Nawet w Strzelcach poziom promieniowania jest wyższy niż we Wrocławiu. A to dobre kilkadziesiąt kilometrów od Gliwic.

– No dobrze, założmy, że wycofamy tamtejsze garnizony, zostawiając, powiedzmy, dziesięć procent stanu osobowego na wypadek komplikacji.

– Genialna myśl, panie Burmistrzu. To da prawie sześć tysięcy ludzi i pozwoli zachować status quo na południu. – Henryk poczuł się w swoim żywiole. – Tak jak pan niedawno wspominał, możemy zastąpić regularną gwardię ochotnikami spośród mieszkańców tamtejszych miejscowości. Oni zaznali już łask Kartelu i na pewno będą lojalni wobec nas.

– Tak. – Sobieszczuk dość łatwo podchwycił pomysł kanclerza. – Przerzucenie takiej masy ludzi i sprzętu na północ sprawi, że będziemy mogli otoczyć Leszno szczelnym pierścieniem.

– Dokładnie. Musielibyśmy jednak zorganizować dodatkowe siedemdziesiąt dział.

– Możemy zabrać część haubic z umocnień wrocławskich fortów. Opole też ma na wyposażeniu trochę ciężkiego sprzętu.

– Tak, dokładnie. Zdziwił mnie pan, niby cywil, a jednak myśli pan jak rasowy strateg. Uszczuplenie jednostek artyleryjskich na murach Wrocławia nawet o pięćdziesiąt, sześćdziesiąt procent jest absolutnie realne i co więcej, na krótką metę nie spowoduje żadnych problemów. Chwilowo miasto jest bezpieczne, a i to, co zostanie, wystarczy do skutecznej obrony przed ewentualnym agresorem, którego nota bene nie jestem sobie w stanie wyobrazić.

– Sprowadzając taki arsenał pod Leszno, moglibyśmy przed atakiem zaprezentować naszą potęgę drugiej stronie, powiedzmy, zapraszając przedstawicieli władz na rozmowy.

– Genialne, genialne. – I tym razem Burmistrz poszedł dokładnie w kierunku wyznaczonym przez kanclerza.

– Pokaz siły. – Sobieszczuk wrócił do stołu i nalał sobie kieliszek wina. – Czołgi, artyleria, tysiące żołnierzy. To może załamać każdego.

– Dodałbym Sokoły.

– Wie pan doskonale, że nie mamy już paliwa do tych maszyn.

– Liczę, że Zawada sprawi się jak należy.

– Na pewno się sprawi, ale to, czy paliwo w ogóle tam jest, nie zależy od jego działań.

– Prawda. Założmy więc, że jest to rozwiązanie opcjonalne.

– Tak, możemy to założyć. Jeśli nadejdzie meldunek o paliwie, wyślemy Sokoły bezpośrednio do jednostki 18-210. Tam zatankują i przelecą na linię frontu. Zawada zabezpieczy teren i stworzy dla nich prowizoryczne lądowisko operacyjne.

– To całkiem realny plan. – Rozentuzjasmowany Henryk wstał z fotela.

– Trzeba by tylko podesłać tam kilkudziesięciu techników i parę ciężarówek z częściami i sprzętem. Podobno jest tam całe podziemne lotnisko.

– Owszem, ale jeszcze do niego nie dotarliśmy. Nie sądzi pan, że dzielenie skóry na niedźwiedziu jest cokolwiek przedwczesne?

– Przecież to rozmowa czysto teoretyczna. Rozważam tylko szanse pańskiego planu.

Sobieszczuk roześmiał się głośno i podnosząc kieliszek jak do toastu, powiedział:

– Zapominasz, drogi Henryku, że to ja jestem Machiavellim tej ziemi. Potrafisz sprytnie pogrywać, ale ja nie jestem żadnym władzy durniem, jak twoi poprzedni mocodawcy. Robiłem z premierem i ministrami to, co ty próbowałeś zrobić teraz ze mną, w czasach, gdy myślałeś tylko jak przelecieć panienkę z sąsiedniej ławki. Ale nie mam ci tego za złe. Pomysł jest dobry, nawet bardzo dobry, ale nie próbuj nawet słowem wspomnieć o tym, że pochodzi ode mnie. Nie lubię włazidupstwa. Nie lubię do tego stopnia, że mogę...

– Zrozumiałem. – Kanclerz stracił nagle ochotę na dokończenie wina. Wciąż miał przed oczami to, co stało się z Sawickim. – Przepraszam, panie Burmistrzu.

– Dopracuj szczegóły operacji z Traczykiem. Jeśli będzie pytał, kto to wymyślił, powiedz, że ja. To oszczędzi protestów z jego strony. Tylko z Sokołami poczekaj na meldunek od Zawady.

\*\*\*

Adam wsiadł do samochodu jako ostatni. Zabrał ze sobą dwóch ludzi z oddziału specjalnego: sapers i komandosa z ochrony. Czwartym pasażerem Hummera był kierowca i jednocześnie radiotelegrafista. Czas powoli się kończył, a nadal nie mieli niczego ciekawego do przekazania centrali. „Ósemka” właśnie likwidowała przeszkodę dzielącą ją od wnętrza głównego składu amunicji dawnej rosyjskiej bazy. To był jedyny punkt zaczepienia. Pozostałe obiekty były opuszczone i zdewastowane. Na pewno nie ukryto w nich niczego ciekawego.

– Utrzymujcie kontakt z „ósemką” – przypomniał kierowcy. – Muszę wiedzieć, co tam się dzieje.

Żołnierz skinął głową i przestroił nieco odbiornik. Przełączył też fonię na zewnętrzne głośniki tak, żeby wszyscy pasażerowie mogli słyszeć, co było mówione. Ale przez dłuższą chwilę nic ciekawego się nie działo. Jechali według lakonicznych wskazówek podawanych przez Adama, usiłującego odnaleźć w pamięci obiekty, które nie figurowały na mapie. Miał świadomość, że poznaniacy wybraliby na kryjówki miejsca najmniej rzucające się w oczy, takie, o których dawno zapomniano. Idąc tym tropem przypomniał sobie o starych zbiornikach zapasowych, umieszczonych w szczerym polu z dala od jakiegokolwiek jednostki. Były one najmniejsze ze



wszystkich składów, lecz pojemność każdego ze zbiorników i tak przekraczała kilkanaście tysięcy ton. Jeśli ktoś zamierzał ukryć paliwo, to było najlepsze miejsce. Dziwił się, że wcześniej na to nie wpadł, ale gwoli ścisłości jeszcze godzinę wcześniej w ogóle nie pamiętał o tym miejscu. Nawet studiując mapę nie potrafił przypomnieć sobie, jak tam dojechać. Dlatego zabrał ludzi, wóz i ruszył na poszukiwania „drogowskazów”, jakie zostawili odjeżdżając w dziewięćdziesiątym szóstym.

– Panie majorze, mam „ósemkę”. – Kierowca przestroił radio na odpowiednią częstotliwość.

– Melduje się Bończyk, panie majorze. – Głos dobiegający z głośników był dość wyraźny. – Pańscy specje poradzili sobie z zabezpieczeniami. Wchodzimy do bunkra. Przełączę się na kabel, w razie gdyby wewnątrz było ekranowane, odbiór.

– Zrozumiałem, odbiór.

Zawada kazał zatrzymać Hummera; nie chciał dekoncentrować się podczas rozmów przez radio żeby nie minąć któregoś z znaków. Stanęli pod rozłożystym ale uschniętym drzewem. Na żadnej gałęzi nie było widać nawet najmniejszego listka.

– Melduję, że jesteśmy wewnątrz składów. – Głos Bończyka nie był już tak wyraźny.

– Co widzicie?

– Niewiele, a to, co tu stoi, ma ładnych parę lat i w niczym nie przypomina sprzętu wojskowego. To pieprzona dziupla. Mam tu kilka otwartych kontenerów, a do tego sześć Mercedesów i zgrabnego Jaguara. Może przyda się panu majorowi.

– Bez głupich żartów.

– Tak jest.

– Sprawdźcie dokładnie, czy nie ma tam czegoś interesującego.

– No, jest jeszcze coś... – odpowiedział w tej samej chwili Bończyk.

– Tak?

– To napis na ścianie, panie majorze.

– Przeczytajcie.

– Tak jest.

Żołnierz odchrząknął, po czym wyrecytował:

*Był Wrzesień i Grunwald i było Lenino*

*Był Narvik i Arnheim i Monte Cassino  
Jagiełło, rycerze, lotnicy, piechota  
A wszystko spierdolił nam Andrzej Gołota.*

– Co wy mi tu... – zaczął Adam, ale śmiech dobiegający z kabiny udzielił się także i jemu. – Bończyk, zabierajcie stamtąd dupę i wracajcie do wsi – rzucił, tłumiąc chichot. – I jeszcze jedno, zabezpieczcie dobrze tę dziuplę. Może się kiedyś przyda.

– Tak jest – odparł żołnierz. – Ale przyzna pan major, że ktoś trafnie to ujął.

– Owszem, siedziałem wtedy prawie do szóstej rano, żeby zobaczyć tę walkę. Wielka Nadzieja Białych, w dupę kopany szybkobiegacz doszatniowy... dobrze, że go usadzili. Bez odbioru.

W tej chwili uświadomił sobie, że sam jest Wielką Nadzieją Wrocławia. Niestety nadal nie osiągnął niczego, co by pozwoliło wygrać tę walkę. Ale nie podda się i nie ucieknie, dopóki nie sprawdzi ostatniej mysiej nory na tym terenie. Nazywał się Zawada, a nie Gołota.

\*\*\*

O piętnastej trzydzieści szpica korpusu pułkownika Tasaka dotarła do wyznaczonych pozycji na północ od Leszna. Nadal nie napotkano oporu przeciwnika. Co więcej, do tej pory okoliczna ludność zachowywała się wręcz przyjaźnie, lub znikła na widok pancernych kolosów. Świeżo upieczony dowódca korpusu przyjmował to za dobrą monetę. Starał się osiągnąć wszystkie cele, jakie przed nim postawiono, i wykonać zadanie w przewidzianym harmonogramem terminie. A do tego brakowało zaledwie trzech kilometrów.

– Jak z paliwem? – zapytał swojego zastępcę.

– Mamy jeszcze sześćdziesiąt jeden procent. – Odpowiedź była tyleż szybka, co dokładna.

– Doskonale. – Tasak odszedł od monitorów podglądu i kierowania ogniem. Odsunął radiotelegrafistę i połączył się osobiście ze sztabem. – Orzeł Jeden do Gniazda – wywołał kryptonim marszałka Traczyka i poczekał kilka sekund. Ciche kliknięcia w słuchawkach świadczyły o przejściu na bezpieczny kanał łączności.

– Traczyk, słucham. – Głos marszałka brzmiał dziwnie metalicznie, szybkie transmisje niestety nadal sprawiały technikom trochę kłopotu.

– Tu Tasak. Osiągnęliśmy pozycje wyjściowe. Przygotowuję się do dyslokacji jednostek w rejonie Wilkowic, Gronówka i Klonowca.

– Jak wygląda sytuacja?

– Nadal brak kontaktu z przeciwnikiem. Gwardia przejęła kontrolę nad kilkunastoma posterunkami miejscowych organizacji militarnych i policji, ale obyło się bez jednego wystrzału. Część ludzi jest nam wyraźnie przychylna. Pomysł z użyciem biało-czerwonych flag przynosi spodziewane efekty.

Pan Jan zaproponował tuż przed wymarszem, by na każdym z wozów wywiesić polską flagę. Miało to przekonać mieszkańców Wielkopolski, że nadchodzące wojska nie są agresorem, a wręcz wyzwolicielem tych ziem. Wielu żołnierzy skwitowało to posunięcie kpiącymi uśmiechami, ale w tej chwili zdawać się mogło, że flagi rzeczywiście spełniły swoje zadanie. Nie witano ich kwiatami, ale też nie strzelano.

– Co ze Strzyżewicami? – zapytał Traczyk.

– Nie mam meldunku od kapitana Kudłatego, ale jego batalion ma jeszcze dziesięć minut na dotarcie na teren lotniska.

– Proszę rozlokować jednostki według planu i czekać na dalsze rozkazy. Pod żadnym pozorem nie rozpoczynajcie działań zaczepnych i nie przesuwaszcie się w kierunku Leszna.

– Nie bardzo rozumiem. – Tasak był przygotowany na rozkaz natychmiastowego natarcia, a zamiast tego kazano mu okopać się zaledwie kilka kilometrów od przedmieść miasta. – Stracimy efekt zaskoczenia i damy im czas na przygotowanie obrony.

– Nie dyskutujcie ze mną, Tasak. – Marszałek nie podniósł głosu, ale jego ton świadczył o tym, że się irytuje. – Powiedziałem, żeby czekać na dalsze rozkazy, to czekajcie. Plany uległy pewnym zmianom.

– Tak jest. Bez odbioru.

Pułkownik rzucił słuchawki na konsolę i wspiął się szybko na stanowisko dowodzenia. Siadł na fotelu i zapiął pasy. Jeszcze raz obrzucił spojrzeniem wszystkie ekrany. Zielony kolor nie zniknął z żadnego. Nadal nikt ich nie atakował, a podczas rozmowy grupy uderzeniowe pokonały ostatni fragment trasy. Leszno zostało odcięte od północy.

\*\*\*

Zawada kazał zatrzymać Hummera na polnej drodze obok wielkiego głazu narzutowego. Wsiadł z ciemnego wnętrza i natychmiast poczuł falę gorąca zalewającego głowę i odkryte przedramiona. Temperatura rosła z każdym dniem, tego był bardziej niż pewien. Nikt jednak nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Nikt z ludzi, których znał. Paru naukowców miało na ten temat dość logiczną teorię, ale zarówno oni, jak ich twierdzenia, trafiały zaledwie do kilku par uszu. Reszta musiała zadowolić się tylko domysłami, a te bywały naprawdę fantastyczne.

Adam obszedł wielki kamień o niemal fioletowej barwie przyglądając się jego dolnej części. Przesunął dłońią po chropowatej powierzchni i trafił na pokryte zeschniętym błotem wgłębienie. Oczyszczył to miejsce i zobaczył wykuty dość równy trójkąt. Uśmiechnął się, pamięć go nie zawodziła. Znaki, które zostawili w dziewięćdziesiątym szóstym, na wyraźne polecenie dowództwa, teraz rzeczywiście się przydały, chociaż wtedy mieli wiele zabawy, biegając z młotkami i przecinakami po tych polach. Dzisiaj okolica wydawała mu się absolutnie obca, a jednak ten niewielki trójkąt uświadomił mu, gdzie powinien się udać.

Zawada rozłożył mapę na głazie i zaznaczył na niej swoją pozycję. Potem dorysował niedługą kreskę, którą zakończył niewielkim kółkiem. Wrócił do wozu i kazał kierowcy jechać dalej polną drogą, niespełna dwieście metrów dalej skręcili na prawo i ruszyli wzdłuż niewysokich krzewów. Droga, po której jechali, zdążyła już zarosnąć trawą, ale wyraźne koleiny wskazywały kierunek jazdy. Po pięciu minutach Adam znów polecił zatrzymać Hummera. Wskazał dłońią niewysokie ogrodzenie z pordzewiałej siatki zwieńczonej drutem kolczastym, ledwie wystające ponad zielsko. Dwaj żołnierze wysiedli i pobiegli we wskazanym kierunku z maczetami w rękach. Zawada poczekał, aż wykarczują krzewy na tyle, by można było podejść do bramy.

Wsiadł i zabrał z pojemnika nożyce do metalu. Tak jak przypuszczał, wejście było zamknięte na dużą, kompletnie skorodowaną kłódkę, nie musiał nawet używać potężnych szczęk. Jedno kopnięcie otworzyło bramę: Adam oddał nożyce żołnierzowi i wszedł na teren przepompowni. Wewnątrz ogrodzenia znajdował się niewielki wybrukowany plac, w jego centrum można było dostrzec podwyższenie z betonu, coś na kształt włazu.

Zardzewiałą klapę zabezpieczały dwie kolejne kłódki. Po chwili obie leżały na bruku, a żołnierze pochwycili metalowe skrzydła i otworzyli je.

Adam wyjął z chlebaka latarkę i poświecił, zaglądając w głąb mrocznego otworu. Światło niknęło w oddali. Szyb miał co najmniej kilkanaście metrów głębokości i wąską drabinkę inspekcyjną prowadzącą w dół.

– Filipek!

Wezwany żołnierz podbiegł i przyjął postawę zasadniczą.

– Zejdziecie na dół i zbadacie szyb – rozkazał Zawada. – Ale bez brawury. Adamczyk będzie was asekurował liną. Meldujcie o wszystkim!

– Tak jest!

Komandosi nie mówili wiele i ściśle trzymali się rozkazów. Dlatego lubił z nimi pracować. Teraz też szybko i sprawnie założyli uprząż i dosłownie pół minuty później Filipek zniknął w mrocznym otworze.

Adam podszedł do krawędzi i patrzył jak snop światła z latarki zamocowanej na hełmie żołnierza zniża się coraz bardziej.

– Melduję, że dotarłem do poziomego korytarza – głos komandosa dobiegł ze słuchawek.

– Jesteś na... – Zawada sprawdził podziałki na linie – sześciu metrach. Czy szyb kończy się w tym miejscu?

– Nie, panie majorze. Mam badać korytarz, czy zejść na dół?

Adam zastanawiał się przez moment. Poziomy korytarz na tej głębokości powinien prowadzić do stacji pomp.

– Zejdźcie na dół, Filipek. Musimy najpierw sprawdzić zbiornik, potem wrócimy do odnogi szybu.

– Tak jest!

Dwie minuty później komandos zameldował:

– Jestem na dnie. Widzę kolejny korytarz.

– Sprawdzić!

– Tak jest.

Światło zniknęło z pola widzenia. Filipek wszedł w dolną odnogę szybu. Po chwili jednak blask pojawił się znowu i Zawada usłyszał w słuchawce zniekształcony głos:

– ...kują drzwi. Proszę o zezwolenie na użycie nożyc.

– Zezwalam. – Adam nie słyszał wprawdzie, co blokuje drogę, ale usunięcie przeszkody było widocznie możliwe, skoro Filipek prosił o

pozwolenie użycia narzędzi. Spuścili mu nożyce na drugiej lince i światło ponownie zniknęło. Teraz na dłużej. Wreszcie na dole znów pojaśniało.

– I jak? – zapytał Zawada, ledwie usłyszał sapanie żołnierza.

– Syf jak w koszarach po poborze – odparł Filipek. – Ale dostałem się do urządzeń pomiarowych. Wskaźnik ciśnieniowy numer jeden, oznaczenie literą D, dwadzieścia sześć kresek, wskaźnik numer dwa, oznaczenie literą D, dwadzieścia pięć kresek, numer trzy, oznaczenie literą K, trzydzieści kresek.

– Bingo! – Adam nie ukrywał radości. Dwa zbiorniki prawie pełne, trzeci wypełniony po kryzę. Osiemnaście i pół tysiąca ton czyściutkiej ropy, a do tego dziesięć tysięcy ton benzyny lotniczej. – Dobrze, Filipek, teraz sprawdzicie stację pomp na wyższym poziomie. Tylko uważajcie, tam może być jakaś niespodzianka.

– Spokojnie, panie majorze – odparł żołnierz. – Saper myli się tylko raz, a ja już mam pomyłkę na swoim koncie.

– To znaczy? – Zawada nie zawsze rozumiał, o czym mówią ci ludzie.

– Pechowo się ożeniłem, panie majorze, ot co.

Śmiali się wszyscy, nawet kierowca Hummera, który miał ich na nasłuchu.

– Nie filozofujcie, Filipek. Macie cztery minuty na wyjście i zbadanie korytarza.

Zawada odszedł od szybu i usiadł na betonowym rancie. Wyjął paczkę Marlboro i przeliczył papierosy. Miał ich jeszcze siedem. Spojrzał na Adamczyka. Komandos niby nie patrzył na niego, ale charakterystyczny ruch języka oblizującego spierzchnięte wargi powiedział wszystko.

– Jak skończycie, macie po fajce – rzucił Adam.

– Tak jest, panie majorze. Znaczy, da pan dwa papierosy? – zapytał żołnierz. Adam skinął głową.

– Ekstra, Filipek nie pali.

– W takim razie jeden.

– A słowo oficera?

Zawada uśmiechnął się.

– Niech będzie, moja strata.

\*\*\*

Czołgi pułkownika Gonczarka podeszły do Leszna od południa i wschodu. Linia blokady została jednak cofnięta w stosunku do pierwotnych planów. Teraz nakazano jednostkom korpusu zająć pozycje na linii Rydzyna-Kąkolewo-Osiecznica, rozciągającej się o niemal dwanaście kilometrów od przedmieść Leszna. O piętnastej zero zero większość wozów dotarła na wyznaczone pozycje. Jedynie kolumna Gromów, zmierzająca na drogę 323, miała niewielkie opóźnienie spowodowane starciem z uzbrojonym przeciwnikiem w okolicach Radosławia. Nie były to jednak regularne siły, bądź milicja, lecz dobrze zorganizowana grupa szabrowników, których zaskoczono podczas rabunku. Uzbrojeni w karabiny i granaty bandyci nie stanowili większego zagrożenia dla nowoczesnych wozów bojowych, ale oczyszczenie okolicy z niedobitków zabrało dodatkowe pół godziny.

Był to, prawdę mówiąc, jedyny incydent, jaki zanotowano podczas ostatniej fazy operacji. To nastrajało optymistycznie oficerów w sztabie, ale niepokoiło Gonczarka, który przed wojną służył przez rok w Macedonii. Tam nauczył się, co to wojna partyzancka, gdy musiał chronić prawie trzytysięczny korpus KFORu otoczony przez zgrupowanie niewielkich, acz bardzo ruchliwych oddziałów albańskich separatystów.

W ciągu trzech tygodni walk kapitan Marek Gonczarek przekonał się, że w warunkach polowych dobry sprzęt wart jest wiele, ale determinacja i planowanie akcji to równie wielki atut. Dowodem na to był incydent w Sroplijanie. Kilku chłopców z granatnikami, ukrytych w gęstym lesie, trzymało przez trzy dni w szachu batalion czołgów. KFOR stracił sześć maszyn i prawie trzydziestu ludzi, zanim opanowano sytuację. Dopiero napalm zrzucony z samolotów zlikwidował zagrożenie. A i to tylko na chwilę. Jednakże wystarczająco długą, by reszta otoczonej jednostki wydostała się z kotła. To były ostatnie chwile działalności sił pokojowych w tamtym rejonie; dwa tygodnie później wycofano wszystkie oddziały na terytoria Węgier i Bułgarii. Rada Europejska zdecydowała, że rozsądniej będzie otoczyć te ziemie szczelnym kordonem, niż tracić dziesiątki maszyn i setki żołnierzy na bezskuteczne próby pogodzenia zwaśnionych stron. Nie było to zbyt humanitarne rozwiązanie, ale kłopoty z recesją, jakie dotknęły większość rozwiniętych krajów na początku dwudziestego pierwszego wieku, szybko starły dobrotliwy uśmiech z twarzy polityków. Nikt nie chciał ginąć za Mitrovićę, jak kiedyś nie zamierzano oddawać życia za

Gdańsk. Blokada doprowadziła do głodu i ubóstwa kilkanaście milionów ludzi i sprowadziła na plan dalszy kwestie Wielkiej Albanii czy Macedonii, ale nie wygasiała wszystkich konfliktów w tym rejonie. Gdyby nie Atak, pewnie całe Bałkany zamieniłyby się w jeden Bejrut. Zresztą, kto wie, jak teraz układa się życie pamiętliwych górali. Chyba nie zmarnowano na nich wielu ładunków nuklearnych...

Gonczarek otrząsnął się z tamtych wspomnień. Potarł dłonią bliznę na policzku, jedną z niewielu pamiątek, jakie przywiózł z Macedonii. Nie mógł jednak odgonić od siebie dziwnego przeczucia, że cisza, która panowała na zewnątrz, jest przysłowiową ciszą przed burzą. W Sroplijanie ludność też wydawała się gościnna, częstowała wodą i winem. Nie szczędziła nawet jedzenia do momentu, gdy żołnierze przestali być czujni. Następnego dnia stu osiemdziesięciu trzech Włochów straciło cały sprzęt, a na dodatek życie. Zabito prawie cały batalion, by zrabować broń potrzebną do zaatakowania położonej w sąsiedniej kotlinie miejscowości. Zginęli żołnierze, którzy przybyli, żeby chronić miasteczko przed atakami z tamtej strony. Niepojęta jest logika wojny. Dlatego lepiej zachowywać czujność w każdej sytuacji i widzieć wroga nawet tam, gdzie go nigdy nie było. To paranoiczne podejście do życia pozwoliło młodemu podówcza oficerowi wydostać podległych mu ludzi z wielu pułapek. Z osiemdziesięciu dwóch polskich żołnierzy, których zastał w kotle Sroplijany, przy życiu pozostało siedemdziesięciu sześciu. Żadnemu innemu dowódcy nie udało się zachować nawet połowy stanu osobowego podczas tej akcji. Za to Gonczarek dostał odznaczenie i awans, a co najważniejsze, przeniesienie do sztabu i bilet powrotny do Polski. Dzięki temu trafił też do Bastionu i mógł dowodzić korpusem pancernym Czwartej Rzeczypospolitej. Uważał się za szczęściarza, ale ilekroć myślał o tym, jakie miał szczęście, jego ręka mimowolnie wędrowała do policzka, gdzie siedmiocentymetrowa szrama przypominała mu o kruchości bytu. Dlatego też postanowił, że nie pozwoli na jakiegokolwiek rozprężenie w podległych mu oddziałach.

– Przekażcie Mieczkowskiemu rozkazy z dowództwa – polecił radiotelegrafistom. – Dodajcie, że spodziewamy się ataku partyzanckiego. Być może na dużą skalę, a z pewnością bez ostrzeżenia.

\*\*\*



– Wszystkie oddziały na pozycjach. – Henryk Mróz pozbiierał szyfrogramy ze stanowisk łączności i podszedł z nimi do Burmistrza. – Jest za pięć czwarta. Może wywołamy majora Zawadę wcześniej?

– Nie. – Pan Jan pokręcił przecząco głową. – Te pięć minut nie zmieni sytuacji, a ja chcę dostać pełny raport.

– Rozumiem. – Kanclerz odłożył papierki na biurko i zrobił zatroskaną minę.

– O co chodzi? – zapytał Sobieszczuk.

– O ten meldunek Gonczarka – odparł po chwili Mróz. – Pułkownik sugeruje, że brak oporu ze strony obrońców Leszna i okolicznych miejscowości może nie być przypadkowy. Wskazał na kilka podobieństw z wydarzeniami na Bałkanach...

– Myślę, że przesadza.

– To doświadczony oficer liniowy. Bohater odznaczony krzyżem Virtuti Militari. Jeden z najszybciej awansujących oficerów w przedwojennej armii. Liczyłbym się z jego zdaniem.

Pan Jan spojrzał na kanclerza, ale się nie odezwał.

– To nie jest żadna sztuczka, panie Burmistrzu. – Mróz znał to spojrzenie aż za dobrze. – Czy nie wydaje się panu, że to dziwne?

– Ma pan na myśli brak oporu?

– Tak.

– W końcu to Polacy. Dlaczego mieliby walczyć z innymi Polakami?

– Wolność, godność i te sprawy...

– Tak, to jest argument. Ale w obecnej sytuacji wydaje mi się nieco naciągany.

– Pan by nie walczył?

– W obliczu przeważających sił wroga?

– Tak. – Mróz nie dał się zbić z tropu.

– Liczy pan na szczerą odpowiedź?

– Tak.

– Walczyłbym.

– Zatem...

– Ale to jestem ja, Jan Sobieszczuk, a nie jakieś wsiowe głupki spod remizy. Do tej pory siedzieli jak mysz pod miotłą, licząc na protektorat Poznania, który, łagodnie rzecz ujmując, pozostawia wiele do życzenia. Atak pozostawił ich niemal nietkniętych, to wiemy od agentów. Wątpię, by

chcieli teraz ryzykować zniszczenie miasta. A do tego by doszło w przypadku otwartego wystąpienia przeciw nam.

– To logiczne rozumowanie... – zaczął kanclerz, ale Burmistrz ponownie spojrział na niego lodowatym wzrokiem. – Nie lekceważmy jednak roli Poznania. Kto wie, co oni tam szykują. Naszym agentom nie udało się jak na razie przeniknąć do serca Republiki. Zwiad lotniczy też nic nie dał. Straciliśmy dwa Sokoły i...

– To prawda – przyznał Pan Jan.

Utrata dwóch maszyn nad Wielkopolską skłoniła go do zaniechania lotów nad tamtymi rejonami; rzadko rezygnował, ale zdawał sobie sprawę z ryzyka utraty większej ilości maszyn. Potem doszły kłopoty z paliwem i zaprzestano użytkowania floty powietrznej prócz naprawdę palących przypadków. – Zgadzam się na utrzymanie najwyższej gotowości we wszystkich jednostkach. A teraz pozwól pan, czas na rozmowę z Zawadą.

Sobieszczuk skinął ręką na jednego z oficerów odpowiedzialnych za łączność. Dwie sekundy później dostali bezprzewodowe słuchawki.

– Tu Ratusz, czy mnie słyszycie? – powiedział Burmistrz do mikrofonu. Odpowiedzi nie było. – Tu Ratusz, czy mnie odbieracie? – powtórzył Pan Jan. Tym razem coś zaświergotało i przez trzaski usłyszeli jakieś hałasy.

– Tu Tankowiec, tu Tankowiec, słyszymy was głośno i wyraźnie. Czy to pan, panie Burmistrzu?

– Tak – odparł krótko Sobieszczuk. – Jak poszukiwania?

– Pięć minut temu trafiliśmy na ukryte, zapasowe zbiorniki paliwa. Mamy ropę i benzynę lotniczą dla wszystkich maszyn. Co najmniej po kilkanaście tysięcy ton.

– Wspaniale, a co z czołgami?

Zawada nie odpowiedział od razu. Wahał się może przez sekundę, ale było to wyczuwalne wahanie:

– Sprawdziliśmy wszystkie lokalizacje, które mogły wchodzić w grę. Niestety, są puste.

– Ktoś nas uprzedził? – Mróz wtrącił się do rozmowy.

– Nie sądzę. Wszystkie obiekty wyglądają na opuszczone od dawna. Chyba nie przerzucono tutaj tych jednostek.

– Co z samolotami?

– Nie zdążyliśmy jeszcze sprawdzić lotniska. Szukaliśmy w pierwszej kolejności paliwa i ewentualnych miejsc garażowania jednostek

pancernych. Jeśli są tu jakieś samoloty, to tylko w podziemnych hangarach.

– Dobrze się spisaliście, Zawada. – Burmistrz nie wyglądał na szczęśliwego, ale nie zdradzał objawów zdenerwowania. – Sprawdźcie to lotnisko, ale przede wszystkim oznaczcie, zabezpieczcie i przygotujcie do użytku zbiorniki paliwa. Następnym kontaktem o osiemnastej. Zdążycie ze wszystkim?

– Tak jest. Ściągnąłem już ludzi do zabezpieczenia terenu. Saperzy sprawdzili instalacje. Za dwie, trzy godziny będziemy w stanie rozpocząć pompowanie paliwa.

– Znakomicie. W pierwszej kolejności dobierzcie się do benzyny lotniczej. Sokoły zaraz wystartują, włączcie namierniki, GPS czy co tam macie i oznaczcie lądowiska dla sześciu maszyn. Bez odbioru.

Burmistrz zdjął słuchawki i rzucił je na biurko.

– Mamy paliwo – powiedział ostrożnie – a to już połowa sukcesu.

– O czym pan mówi? – mruknął wyraźnie zirytowany Sobieszczuk. – Nie ma tam czołgów, a to oznacza jedno. Nie przerzucono ich w ten rejon.

– Nie rozumiem...

– Skoro ich nie przerzucono, to zostały przemieszczone gdzie indziej. Na przykład w pobliżu Poznania, w miejsce znane tylko im. – Pan Jan dźgnął palcem mapę, trafiając w zakreślony czerwonym kółkiem Poznań.

– Albo zostały zniszczone podczas Ataku. Żagań jeszcze dzisiaj śmierdzi spalenizną. Co do Zielonej...

– Widział pan rozkazy, które trzymał Wałdoch. Te jednostki zostały przeniesione. Pytanie tylko, gdzie? Jeśli poznaniacy je przejęli, to będziemy mieli kłopot. Duży kłopot.

– Może nie taki duży. – Kanclerz Mróz uśmiechnął się zagadkowo.

– Zechce mi pan wyjaśnić, co pana tak bawi? – zapytał Sobieszczuk tonem, którego dawno nikt nie słyszał.

– Paliwo...

– Co, paliwo?

– Paliwo trafiło do Borów, czołgi gdzie indziej. Zatem...

– Rozumiem. – Burmistrz usiadł ciężko w swoim fotelu. – To może oznaczać, że mają sprzęt, ale nie mogą go eksploatować.

– Dokładnie. Raczej nie mieli dostępu do innych składów. Stąd może wynikać ich dotychczasowa pasywna polityka.

– Są takie chwile, że nie żałuję, iż pozwoliłem panu żyć, panie Henryku – stwierdził Sobieszczuk, uśmiechając się złośliwie. Zabrzmiało to jak komplement. Wątpliwej jakości, ale jednak komplement.

\*\*\*

– No i gdzie jest to lotnisko? – zapytał Filipek, gdy tylko się zatrzymali. Zawada uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Wskazał jedynie ręką kierunek. Komandos wyjął lornetkę z futerału i uważnie zlustrował okolicę.

– Albo oślepiłem, albo pan major coś pomylił – oznajmił powoli.

– Albo pan major robi cię w ciula – wtrącił Adamczyk.

Spojrzeli na Zawadę z wyczekiwaniem, on jednak sprawdzał na mapie najlepszą drogę dojazdu do widocznej w oddali wysokiej skarpy.

– Pan major nie robi sobie jaj z żołnierzy – odparł po chwili, odrywając ich od obserwacji terenu. – Ci, którzy budowali to lotnisko, zadbali, by nikt niepowołany go nie widział.

– Jeśli jest, jak pan major mówi, to rzeczywiście sprawili się nieźle – mruknął Filipek. – Nadal nie widzę niczego podejrzanego.

– Zobaczysz – odparł Adam, składając mapę. – Gwarantuję, że zobaczysz.

Podjechali do skarpy z prawej strony. Skaliste zbocze miało sześćset metrów szerokości i trzydzieści wysokości. Całe podnóże osuwiska było wybetonowane. Płyta, na której chwilę później zatrzymał się Hummer, była popękana i zarośnięta pożółkłą trawą. Samosiejka potrafiła wcisnąć się w najdrobniejsze szczeliny zniszczonej wylewki. Wysiedli z wozu w trójkę i ruszyli wzdłuż ściany. Teraz, z niewielkiej odległości, widać było wyraźnie kilka żelbetonowych bunkrów wyłaniających się z litej skały. Niskie konstrukcje, niewidoczne dla postronnego obserwatora – a ten w czasach świetności lotniska, nie mógł znaleźć się bliżej niż kilka kilometrów od skarpy – strzegły dostępu do właściwego podziemnego kompleksu. Jednakże ani Filipek, ani jego partner nadal nie widzieli ogromnych wrót hangarów i pasów startowych. To właśnie ich wielkość powodowała, że były niedostrzegalne.

Każdy człowiek szukając drzwi, bramy czy wrót, wyobraża je sobie jako mniej więcej płaską konstrukcję o wymiarach kilka na kilka metrów. Tutaj jednak zamaskowane wyloty podziemnych pasów startowych miały

sześćdziesiąt pięć metrów szerokości i prawie dwadzieścia wysokości. I nie były równe. Zawada z rozbawieniem patrzył, jak komandosi przyglądają się skarpie, próbując zlokalizować maskowania. Patrzyli jednak za nisko. Drugim elementem, o którym nie wiedzieli, było to, że wrota zaczynały się siedem metrów nad ziemią.

Adam podszedł do metalowych drzwi prowadzących do jednego z bunkrów. Sprawdził kłódki, po czym przywołał Filipka.

– Rozetnijcie je. – Wskazał na pordzewiałe bryły metalu.

Zrobili to szybko i sprawnie. Potem wziernikiem sprawdzili, czy ktoś nie umieścił wybuchowej niespodzianki po wewnętrznej stronie drzwi. Droga do ciemnego korytarza była jednak czysta. Niestety, o powietrzu we wnętrzu bunkra nie można było tego powiedzieć. Z korytarza wydobywał się dość nieprzyjemny smród.

– W porządku, panie majorze – powiedział Adamczyk, podając Zawadzie maskę. – Możemy wchodzić.

Adam założył płat sprasowanej, profilowanej gazy na twarz, założył zaczepy za uszy, wyjął latarkę i ruszył przodem.

Łukowato sklepiony korytarz nie był długi. Wznosił się lekko ku górze, potem ostro skręcał na prawo. W tym miejscu rozgałęział się. Jedna z odnóg prowadziła do pomieszczeń wartowni i stanowisk strzelniczych, druga w głąb kompleksu. Wybrali tę drugą drogę. Kilka kroków od rozgałęzienia trafili na służbę powietrzną. Zamykane na elektroniczny zamek masywne drzwi były zamknięte na głucho.

– Problem – mruknął Adamczyk.

– Nie taki wielki – odparł Zawada i wyjął z chlebaka kilka kartek. Przejrzał je, po czym wyciągnął z kieszeni niewielki śrubokręt. Podszedł do panelu znajdującego się obok drzwi i zaczął odkręcać kolejne śruby. Komandosi przyglądali się temu w milczeniu.

Wreszcie metalowa płytką odsłoniła niewielką wnękę pełną kabli i przełączników. Adam odkurzył opuszkami palców kilka plakietek i przesuwając ręką wzdłuż jednego z kabli dotarł do kontaktu. Nacisnął podłużny przycisk i płytka zamka elektronicznego rozjarzyła się zielonym światłem.

– Pan major to prawdziwy David Copperfield – podsumował jego działania Filipek. – Jak to możliwe, że nadal jest tu napięcie?

– Baterie słoneczne i akumulatory doładowywane z podziemnej hydroelektrowni – wyjaśnił. – Ruscy zamontowali je na początku lat osiemdziesiątych a my usprawniliśmy ten system przed odejściem.

– To wszystko pikuś – dodał Adamczyk, ciągnąc za uchwyt przy drzwiach. Nie udało mu się jednak ich otworzyć. – Z kodem będzie gorzej.

Adam uśmiechnął się, nie mogli widzieć jego rozbawionego wyrazu twarzy. Maski ściśle przylegała do szczęki i zakrywała cały nos. Ale oczy, to chyba oczy za wiele powiedziały żołnierzom. Filipek trącił łokciem Adamczyka i pokazał na majora.

– Idę o zakład, że na tych karteluzkach są wypisane wszystkie kody.

– Przyjmuję.

Stuknęli na znak przybicia zakładu zwiniętymi w pięści dłońmi.

– O co?

– Przegrany bierze za wygranego trzy warty albo służby.

– Stoi.

– Żal mi was, Filipek – powiedział Adam, podchodząc do drzwi. – Przepieprzyliście właśnie trzy wieczory albo i całe nocki.

– Pan major nie zna kodów? – zdziwił się komandos.

– Zna, ale nie ma ich na tych kartkach. – Zamachał plikiem papierów.

– Zapamiętał je pan, czy jak?

Adam skinął głową.

To było proste. Ośmiocyfrowe kody ustawili przed laty na swoje daty urodzin. A te rzadko się zapomina. Problem mógłby wyniknąć, gdyby później zmieniono zapisy, ale wszystko wskazywało na to, że nikt nie odwiedził tego miejsca od wielu lat. Te bunkry i przejścia znane były niewielu Polakom. Powszechnie uważano, że należą do zewnętrznego pasa umocnień i jako takie nie mają połączeń z głównym kompleksem. Ale nie do końca była to prawda. Znalezienie właściwego przejścia w labiryntach korytarzy mogło zabrać wiele dni, jeśli nie znało się właściwej drogi, ale było możliwe. Adam miał kilka miesięcy na zapoznanie się z topografią tego obiektu. A jako człowiek sumienny zrobił to naprawdę dobrze. I wiele rzeczy nadal pamiętał. Szybko wcisnął kolejne klawisze, drzwi z cichym sykiem odsunęły się od framugi.

– *Voilà*. – Zawada wskazał zaskoczonym żołnierzom uchwyty. – Teraz wasza kolej.

Kręcąc głowami otworzyli szerzej śluzę.

Teraz czekał ich znacznie dłuższy marsz. Nawet przez okładzinę maski czuli wyraźnie fetor zgnilizny. Dotarli po kilkunastu minutach na koniec długiego i dość niskiego korytarza, po czym zeszli po stromych schodach na trzeci, najniższy poziom kompleksu. Zawada sprawdzał co chwilę napisy i znaki na ścianach. Dla pozostałych nie miały one najmniejszego sensu, jednakże major doskonale orientował się w kombinacjach liter i cyfr, które odnajdywali co kilkanaście metrów. W końcu, przed laty, współtworzył ten szyfr. Zrobiło się gorąco. Nie wietrzono wnętrza bunkrów nie tylko śmierdziały, ale i rozgrzewały się niczym hutnicze piece. Wreszcie stanęli przed masywną grodzią ze stali.

– Trzeba to będzie otworzyć – stwierdził Zawada.

Filipek podszedł do wysokich na trzy metry wrót i stuknął w nie pięścią. Wydały głuchy odgłos.

– Stalowa konstrukcja wypełniona betonem – ocenił okiem fachowca. – Sprać się nie da. Przynajmniej nie w kilka godzin i bez specjalistycznego sprzętu. Wysadzić może i dałoby radę, ale bez gwarancji. Za silny ładunek i pójdzie sklepienie.

– Powiedziałem otworzyć, a nie wysadzać. – Zawada wskazał na pokrętła i uchwyty znajdujące się po bokach. – Użyjcie trochę WD40 na tych mechanizmach. To wrota przeciwpożarowe. Hermetyczne, ale nie zamykane na żadne wymyślne zamki.

Nie wyglądali na przekonanych, ale posłusznie wykonali polecenia. Jednakże dopiero po trzeciej próbie i zużyciu całego sprayu udało im się poruszyć pokrętłami. Wrota z głośnym skrzypieniem rozsunęły się, odsłaniając mroczne wnętrze jakiejś hali.

– To maszynownia – objaśnił Adam. – Jeśli chcemy wejść do kompleksu, musimy uruchomić jeden z agregatów prądotwórczych. Bez zasilania nie zobaczymy wiele.

– Sądzi pan, że będą działały po tylu latach? – zapytał z powątpiewaniem Filipek.

– Jeśli przerzucono tu samoloty, to ktoś musiał zadbać o otwarcie głównych wrót i ich zamknięcie. A do tego musiał mieć prąd. I to nie dalej jak dwa lata temu. A jeśli to zrobił, to musiał zabezpieczyć wszystko na wypadek ponownego użycia...

– Logiczne...

Podeszli do kilku dziwacznych konstrukcji wznoszących się pośrodku hali. Rosyjskie agregaty wyglądały jak przedpotopowe bestie. Pełno było na nich ciśnieniomierzy i innej maści zegarów. Sprawdzili dwa, ale zbiorniki paliwa były puste, w trzecim, zgodnie z oczekiwaniami Adama, poziom paliwa przekraczał połowę stanu. Przy bardziej oddalonym końcu urządzenia znaleźli tablicę rozdzielczą. Wprawdzie wszystkie napisy wykonano cyrylicą, ale nietrudno było znaleźć główny wyłącznik. Obok stało kilka zabezpieczonych akumulatorów. Sprawdzili próbnikiem, czy któryś jeszcze się do czegoś nadaje. Niestety, były martwe. Na szczęście rozwiązanie tego problemu okazało się proste, wymagało tylko krótkiego wypadu na zewnątrz i przytaszczenia akumulatora z Hummera.

Wysłali Adamczyka; wrócił po trzydziestu minutach z kilkunastokilogramowym sześcianem i kierowcą. Ten ostatni znał się najlepiej na uruchamianiu agregatów. Podłączył fachowo baterię i przejrzał pobieżnie całą konstrukcję. Pomarudził nad stanem urządzenia zanim spróbował je odpalić. Opornie to szło. Mechanizm, choć dobrze nasmarowany i zakonserwowany, stał beczynnym przez kilka lat. Niemniej po piątej próbie silnik zaskoczył i dławiąc się, zaterkotał hałaśliwie. W chwilę później na stropie rozjarzyły się pierwsze żarówki. Po niespełna minucie mogli już zgasić latarki. Zawada odnalazł wielką tablicę rozdzielczą i poprzelączał na niej kilka kontaktów. Potem sprawdził raz jeszcze oznaczenia i wrócił do pozostałych.

– Co dalej, panie majorze? – zapytał Filipek, gdy zadowolony kierowca zniknął w tunelu z papierosem w zaciśniętej dłoni.

– Czas na wizytę w hangarach.

\*\*\*

Droga do Leszna zajęła limuzynie Burmistrza nieco ponad godzinę. Audi przejęte po arcybiskupie sprawiało się znakomicie. Dwunastocylindrowy silnik miał moc wystarczającą, by samochód rozwijał prędkość ponad dwustu kilometrów na godzinę. Przy pancерnej konstrukcji nadwozia był to wynik godny uwagi. Niemniej tego dnia kierowca nie przekraczał nawet setki. Jan Sobieszczuk nie lubił brawurowej jazdy. Poza tym Gromy z osłony nie mogły jechać szybciej.



Krótką kolumna posuwała się jednak sprawnie, co przy zerowym ruchu nie było żadnym wyczynem. Kwadrans po siedemnastej zatrzymali się przy prowizorycznym stanowisku dowodzenia Pierwszego Korpusu. Kilka Gromów rozlokowano przy drogach wjazdowych do Rydzyny. Okoliczne domy, nie noszące wielu śladów zniszczenia, zajęło wojsko i gwardia. Na środku charakterystycznego prostokątnego ryneczku stał rozpięty pomiędzy dwoma samochodami namiot. Przed nim czekali w szeregu oficerowie ze sztabu pułkownika Gonczarka. On sam wyszedł z cienia, gdy tylko wozy zatrzymały się na trawniku. Skinął ręką na żandarmów, którzy natychmiast podbiegli do limuzyny i otworzyli drzwi. Pan Jan wysiadł z klimatyzowanego wnętrza luksusowego samochodu i natychmiast poczuł wszechobecny żar. Nawet o tej porze roku słońce niemiłosiernie paliło skórę.

Zasalutował żołnierzom i ruszył ku namiotowi, nie czekając na kanclerza, który gramolił się ze swojej strony wozu. Jemu nikt nie otworzył drzwi.

– Witam, panie Burmistrzu. – Gonczarek strzelił obcasami i wyciągnął rękę na powitanie Sobieszczuka.

– Witam, pułkowniku – odpowiedział Pan Jan, odwzajemniając uścisk dłoni. – Jak widzę, ma pan wszystko pod kontrolą.

– Wszystko – pułkownik zrobił zafrasowaną minę – to może zbyt optymistycznie powiedziane. Przyjmijmy, że kontrolujemy zajęte miejscowości.

– O tym właśnie mówiłem. – Sobieszczuk ruszył do zbawionego cienia, jaki rzucały siatki maskujące rozpięte nad stanowiskiem dowodzenia. Reszta obecnych poszła w jego ślady.

– Przepraszam, że pytam – zaczął Gonczarek, ledwie znaleźli się przy stole operacyjnym – ale podobno zmienił pan rozkazy, opóźniając atak na Leszno?

– Zgadza się – odparł Burmistrz.

– Mogę wiedzieć, jaki był powód takiej decyzji? – zapytał pułkownik, wskazując Panu Janowi krzesło.

– Oczywiście, pułkowniku. Sytuacja zmieniła się radykalnie w ciągu ostatnich kilku godzin. Nie był pan o wszystkim informowany, z mojego rozkazu zresztą. Wiedza, jaką posiadaliśmy, nie była panu do niczego potrzebna. Uznałem, że problem, z którym się borykaliśmy, nie będzie miał

wpływu na bezpieczeństwo naszej operacji. Niemniej za godzinę może się okazać, że racja była po pańskiej stronie. Ta cisza może być ciszą przed burzą.

– Nie bardzo rozumiem... – zaczął pułkownik, ale Sobieszczyk uciszył go gestem ręki.

– Planując tę operację, przyjęliśmy pewne założenia, które przynajmniej w części okazały się mylne.

– To znaczy? – Gonczarek zajął sąsiednie krzesło.

– Marszałek Traczyk odkrył pewne dokumenty sprzed wojny, mówiące o dużych jednostkach pancernych, które miały zostać przerzucone tuż przed Atakiem w rejon Borów Dolnośląskich. Sprawdzamy właśnie ten teren. Niestety, wszystko wskazuje na to, że informacja była błędna lub fałszywa. A to z kolei może oznaczać, że wspomniane jednostki, będące przed wojną w gestii czynników związanych z Poznaniem, trafiły w ręce tamtejszych władz.

– Jak duże są to siły? – zapytał pułkownik.

– Dwie dywizje pancerne z pełnym wyposażeniem. Co najmniej.

– To...

Burmistrz znów uciszył pułkownika. Tym razem gestem prawej ręki.

– Jest jednak pewien pocieszający aspekt tej sprawy – powiedział. – My mamy paliwo przeznaczone dla tych jednostek.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Gonczarek kalkulował swoje szanse. Sobieszczyk czekał na wynik tych obliczeń. Reszta nie śmiała zabierać głosu. Wreszcie pułkownik przemówił:

– Mamy razem z drugim korpusem siedemdziesiąt dwa czołgi i sto dwanaście Gromów. Jeśli dobrze zrozumiałem, przeciw nam może stanąć co najmniej sto pięćdziesiąt Twardych i...

– Twardych 2, panie pułkowniku – poprawił go kanclerz.

– Mają dwójki? – zdziwił się Gonczarek. – Myślałem, że w ramach operacji „Orleń” wszystkie trafiły na front.

– No to źle pan myślał. – Pan Jan nerwowo stukał palcami w blat stołu.

– To miało być ostateczne zabezpieczenie na wypadek komplikacji podczas wyprawy na Kijów. Istnieje wprawdzie pewne prawdopodobieństwo, że nie zdążono ukryć tych maszyn, ale osobiście nie liczyłbym na to.

– My też odzyskaliśmy prawie trzydzieści wozów z koszar rozlokowanych wokół Wrocławia – mruknął zaszokowany tymi

wiadomościami pułkownik. – Wprawdzie dzięki częściom zapasowym z Bastionu, ale...

– Ale oni mogli w ten sam sposób naprawić swoje maszyny – wtrącił pospiesznie Mróz. – Nikt nie może zagwarantować, że w jednym z bunkrów gdzieś pod Poznaniem nie ukryto pewnej ilości takich komponentów. Zwłaszcza że w pobliżu stacjonowało kilka dużych jednostek pancernych.

– To właśnie miałem na myśli – powiedział Pan Jan.

– W takim razie, jaki ma pan plan? – zapytał pułkownik.

– Postępujemy według wcześniejszych ustaleń. Zamykamy okrążenie Leszna, ale czekamy na podciągnięcie artylerii z południa. – Na twarzach oficerów malowało się bezgraniczne zdumienie, ale Pan Jan nie zważał na to. – Jedyna zmiana polegać ma na odstąpieniu od natychmiastowego szturm na rzecz długiego i ciężkiego ostrzału pozycyjnego.

– Szkoda miasta – wyrwało się komuś.

– Szkoda ludzi – odparł Sobieszczuk. – Szkoda naszych ludzi, którzy zginęliby podczas szturm.

– To prawda, w ten sposób zminimalizujemy straty – przyznał Gonczarek. – Ale czekając, wystawiamy się na możliwość kontrataku ze strony poznaniaków. A to też może oznaczać straty.

– Zakładamy, że ich jednostki nie mają paliwa – ostrożnie powiedział Mróz, patrząc w oczy pułkownika.

– A jeśli jednak mają?

– To pan powinien nam odpowiedzieć na to pytanie – głos Sobieszczuka był spokojny, zbyt spokojny jak na tę sytuację.

– No, cóż... – Gonczarek wstał i podszedł do mapy. – Mamy dość sił, by powstrzymać natarcie tak silnego przeciwnika, o ile nie będzie skoncentrowane na jednym tylko kierunku. Musimy szybko wzmocnić nasze pozycje dodatkowymi oddziałami piechoty i broni przeciwpancernej. Radziłbym sprowadzić też wszystkie Sokoły. Twardy 2 to doskonała maszyna, lepsza od wielu konstrukcji zachodnich, ale na polu bitwy, bez wsparcia lotniczego, nie jest wcale taki groźny, jak o nim mówią.

– No, to nie mamy problemu – powiedział Burmistrz.

\*\*\*

Uruchomienie właściwego generatora było zaledwie pierwszym krokiem na drodze do sukcesu. Zawada sprawdził czas. Dwadzieścia po piątej. Do wyznaczonego kontaktu miał jeszcze czterdzieści minut. Niby morze czasu, ale w obecnej sytuacji sprawdzenie wszystkich zakamarków bazy mogło potrwać znacznie dłużej. Zwłaszcza że spodziewał się kilku pułapek.

Szli kolejnymi korytarzami, wspinając się cały czas do góry. Z tego co Adam pamiętał, na najwyższym poziomie kompleksu mieściły się sterownie i centra dowodzenia. Tam też, wzdłuż wszystkich pasów startowych, biegła galerijka inspekcyjna. Do niej chciał dotrzeć jak najszybciej. To była jedyna rozsądna droga, prowadząca przez cztery odrębne sektory lotniska.

– Co to jest, do kurwy nędzy, panie majorze? – wysapał mu w ucho Adamczyk. – Toż to całe podziemne miasto.

– Nie da się ukryć. – Adam też miał lekką zadyszkę, ale nie chciał pokazać tego podwładnym.

Dla zabicia czasu postanowił wyjawić im trochę z posiadanych wiadomości o tym, było nie było, niezwykłym miejscu.

– Jak zwykle zaczęło się od Niemców. To oni w czterdziestym trzecim wykuli cztery długie sztolnie, planując utworzenie tutaj filii najcenniejszych fabryk zbrojeniowych na wypadek kłopotów z nasileniem bombardowań. Tysiące niewolników drążyły skały przez ponad rok, wykuwając ogromne jaskinie, i budowały bocznicę kolejową ukrywaną pod kilometrami siatki maskującej. Potem, chyba po namierzeniu Pennemunde, ktoś wpadł na pomysł, by przenieść tu produkcję V1 i V2. Miejsce zdawało się idealne. Z dala od ludzkich siedzib, niedostępne dla wywiadów i odporne na konwencjonalne bombardowania. Niestety, kłopoty z logistyką przeszkodziły w tych planach, a może zabrakło czasu. Front zbliżał się nieubłaganie. W każdym razie sztolnie do końca wojny służyły nazistom za wytwórnie i składy amunicji. W czterdziestym szóstym teren został przejęty przez Rosjan i całkowicie zamknięty. Nikt nie wiedział, co się tu dzieje, nawet rząd, a działo się wiele. Kolejne tysiące bezimiennych jeńców wykuwało następne tunele i pomieszczenia. Poszerzono istniejące sztolnie i wzmocniono je żelbetonowymi elementami, przekształcając w podziemne lotnisko. Bodajże już w latach pięćdziesiątych stacjonował tu jeden pułk myśliwski, potem wraz z kolejnymi modernizacjami zwiększano długość

pasów startowych i ilość hangarów. Na lata zimnej wojny przypadła złoty wiek bazy. Nikt o niej nie wiedział, zbudowana przed erą satelitów, dobrze ukryta przed okiem postronnego człowieka, strzeżona w dzień i w nocy przez całą armię. Okoliczne lasy pełne są mogił tych, co wykuwali sztolnie. Przeważnie Niemców, ale nie brakowało wśród nich rosyjskich skazańców, a nawet Polaków, którzy zabłąkali się w okolicy. Żaden z jeńców nie wyszedł na wolność, żaden nie uciekł. Żołnierze, którzy tutaj stacjonowali, myśleli, że są na terenie Niemiec; kadra utrzymywała wszystkich w tym przekonaniu, co było o tyle łatwe, że przepustek nikt nie dostawał. Przyjeżdżali w zaplombowanych wagonach i tak odjeżdżali po kilku latach pobytu w środku lasu. Tylko piloci wiedzieli więcej, ale żaden nie pisnął słowa. Może się bali, a może płacono im dobrze, tego nigdy się nie dowiemy. W każdym razie baza 18-210 była największą tajemnicą Armii Czerwonej i pozostała taką aż do końca. Począwszy od lat sześćdziesiątych zaniechano jakichkolwiek prac na zewnątrz. Dla niepoznaki otwarto oddalone o dwadzieścia kilometrów lotnisko, gdzie ćwiczyli piloci i obsługa naziemna. Okoliczna ludność i ewentualni szpiedzy kojarzyli loty myśliwców tylko z tamtym obiektem. Wyobraźcie sobie, że nawet polski rząd nie wiedział o tym kompleksie. Zachód wyniuchał coś koło roku osiemdziesiątego. Ale wtedy zaczęto już podpisywać kolejne układy o ograniczeniu zbrojeń i zimna wojna odeszła w zapomnienie. Dość powiedzieć, że do połowy lat dziewięćdziesiątych było to jedno z największych i najbardziej tajnych lotnisk wojskowych Europy.

– Ponoć nie tylko – powiedział Filipek.

– Ponoć. Istniały takie pogłoski. Mówiono, że w pobliżu jest kilka silosów z rakietami międzykontynentalnymi. – Zawada zatrzymał się na chwilę, by odsapnąć. – Ale pomimo wielu międzynarodowych kontroli nie znaleźliśmy nawet śladu radioaktywności. Moim zdaniem to były zwykłe plotki.

– Kto wie, co oni tu ukryli, panie majorze. – Filipek spojrział w głąb tunelu i splunął, odsuwając na chwilę maskę.

– Obserwowaliśmy każdy transport, który stąd odszedł, nie było w nich niczego, co dawałoby jakikolwiek odczyt na licznikach Geigera. Jestem tego pewien, bo należałem do nadzoru. Wałęsa jednak wierzył w te pogłoski. Wymusił na dowództwie okręgu, by na przesłach jednego z

pobliskich wiaduktów zamontowano kompletną bramkę, przez którą musiały przejechać wszystkie pociągi.

– Nie znaleźli przy okazji tych setek wywożonych merców... – mruknął niezbyt wyraźnie Adamczyk. – To nie powinno być takie trudne.

– Wiedzieli o przemyście – odparł Adam – ale nikt nie chciał powodować skandali...

– A samoloty? Przecież drogą powietrzną mogli stąd zabrać co chcieli.

– Kontrolowaliśmy wszystkie maszyny. O ile w pociągu można jeszcze coś schować, to załadunek samolotów był nadzorowany przez komisję pod auspicjami ONZ. Zdaje się, że nie tylko „pan prezydent” miał hopla na tym punkcie.

– Daleko jeszcze? – zmienił nagle temat Adamczyk.

– Według mapy, z dwieście metrów – odparł Adam, sprawdzając cyfry ledwie widoczne na ścianie. – Jesteśmy w korytarzu inspekcyjnym najwyższego poziomu. Tam – wskazał mrok przed nimi – jest wyjście na galeryjki okalające wszystkie pasy startowe. Z góry będziemy mieli doskonały widok na wszystko.

– To chodźmy – zaproponował Adamczyk. – Mam takie dziwne uczucie, że coś jest nie tak...

Ruszyli, ale tym razem wolniej. Dwieście metrów nie było już tak abstrakcyjną odległością jak droga, którą do tej pory przebyli. Pokonali je w parę minut. Stalowy skobel u drzwi na końcu korytarza poddał się po kilku uderzeniach młotem. W chmurze rdzy i przy akompaniamencie nie oliwionych od lat zawiasów, odciągnęli je, wpuszczając do mrocznego wnętrza strugę jasnego światła.

\*\*\*

Przez lornetki obserwowali przedmieścia Leszna. Płaski teren, na którym leżało miasto stanowił problem przy ewentualnym ataku. Jednostki pancerne byłyby widoczne z daleka, a umocnienia z betonu i piasku, widoczne nawet z tej odległości, musiały opóźnić ich marsz...

– Nie mają ciężkiej artylerii, tylko mały kaliber – powiedział Gonczarek. – Możemy ustawić nasze pozycje ogniowe poza ich zasięgiem. Haubice dadzą sobie radę w tych warunkach, musimy tylko dać im

odpowiednie zabezpieczenie. Długotrwały ostrzał z pewnością złamie ducha obrońców.

– Problem w tym – odparł Pan Jan – że zgromadzimy potrzebne siły dopiero za dwa, trzy dni. W tym czasie poznaniacy mogą przeprowadzić frontalny kontratak, groźny nawet w sytuacji, gdy nie posiadają rzeczonych dywizji pancernych. Nie mamy czasu na tak ryzykowne rozwiązania.

– Każde rozwiązanie ma swoje plusy i minusy. – Pułkownik wydawał się niewzruszony. Teraz, gdy znał już dokładnie sytuację, przestał bać się czegokolwiek. Planował każde posunięcie tak, by maksymalnie zabezpieczyć swoje jednostki. – Obawiam się, że będziemy musieli podjąć jakąkolwiek decyzję. Odwlekanie jej nie da nam niczego.

– Zgadza się. – Sobieszczyk odłożył lornetkę i rozejrzał się wokół. – Znajdźcie mi jakieś prześcieradło, tylko żeby było białe!

Zapanowało małe zamieszanie, gdy żołnierze pobiegli do pobliskich domów szukać pościeli.

– Co pan zamierza zrobić? – zapytali niemal jednocześnie Mróz i dowódca korpusu.

– Nic wielkiego. Pójdę i postaram się przekonać ich do poddania miasta.

– To szaleństwo! – krzyknął kanclerz.

– W głębi serca życzy mi pan przecież szybkiej śmierci, panie Mróz – powiedział Burmistrz, patrząc mu prosto w oczy. Henryk nie wytrzymał tego spojrzenia i wbił wzrok w ziemię. – Ale wbrew pozorom i temu, co pan teraz myśli, nie jestem samobójcą. Mam jednak szczerzy zamiar powstrzymać rozlew bratniej krwi.

– Byle snajper może pana zastrzelić w każdej chwili – wtrącił Gonczarek. – Może wyślemy kogoś mniej znacznego. Jeśli pan zginie...

– ...to się wzajemnie pozabijacie walcząc o schedę po mnie – dokończył Burmistrz, ściągając wojskową kurtkę. W tym samym momencie z niezbyt oddalonego domu wybiegł żołnierz ze skłębioną, ale w miarę białą materią w dłoni. – Pan, panie Mróz, pójdzie ze mną. Ktoś musi nieść białą flagę.

\*\*\*

– Kurwa mać! – Tyle mógł wydobyć z siebie Filipek, na widok ustawionych w równych odstępach maszyn.

Stali na wąskim metalowym pomoście tuż poniżej sklepienia hangaru. Z tego miejsca, oddalonego od podłoża o dobre dwadzieścia metrów, mieli widok na większą część pasa startowego. A może raczej parkingu, bowiem na całej jego długości stały transportery i czołgi. Było ich kilkadziesiąt, może nawet ze sto. Ogromne, połyskujące oliwkowo maszyny stały w trzech rzędach na zabezpieczonych lorach.

Po prawej, najbliższej ściany hangaru, stały bok w bok nowiutkie Gromy i Błyskawice – nieco mniejsze wozy bojowe przystosowane do przewozu piechoty. Z lewej widać było dwa rzędy ciężarówek, samobieżne działa przeciwlotnicze Zenit oraz wozy wsparcia raketowego Kaskada.

– Bingo! – krzyknął Adamczyk. – To cała pieprzona dywizja pancerna.

– Wygląda na to, że cała... – przyznał Adam. – Ale według papierów powinna być jeszcze jedna.

– Dwie pełne dywizje? – W głosach obu komandosów dało się wyczuć niedowierzanie.

– Powinny być dwie. Przejdziemy nad następne pasy, to się okaże czy dane sztabu były dokładne.

Zawada poczuł wielką ulgę, gdy zobaczył niewyraźne kształty majaczące w dole. Zanim ustąpiły objawy porażenia nerwów wzrokowych, wiedział już, że wykonał zadanie. Potężnych, kanciastych kształtów Twardych nie można było pomylić z niczym innym.

Adam ruszył pierwszy. Poprowadził rozpromienionych komandosów galerią wzdłuż pasa startowego, a potem przez pomost na drugą stronę. Tam musieli wyważyć kolejne zamknięte drzwi. Nie trwało to dłużej niż pół minuty. Zanurzyli się w ciemny korytarzyk, tym razem znacznie krótszy. Drzwi przy jego końcu nie były zamknięte.

\*\*\*

Szli we dwójkę po pozółkłej trawie, sięgającej im prawie do kolan. Sobieszczuk pierwszy, a powiewający białą płachtą Mróz o dwa kroki za nim.

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem pana – przyznał kanclerz, gdy oddalili się od stanowisk korpusu. – Przecież każdy dupek może pana na



tym polu zabić. To zupełnie zbędne ryzyko. Zwłaszcza teraz, gdy realizuje pan ostatnią fazę swojego planu.

– Niby mądry z pana człowiek, panie Mróz – odparł Burmistrz – ale czasem gada pan jak jakiś Forrest Gump.

– Słucham?

– Nie widział pan tego filmu?

– Jakiego filmu?

– *Forrest Gump*. – Pan Jan zwolnił nieco, czekając na odpowiedź Henryka. – To dość stara produkcja i raczej znana.

– Nie pamiętam. W ogóle niewiele filmów widziałem.

– No, to ma pan czego żałować. To była taka przypowieść o głupku, który miał wiele szczęścia i jeszcze więcej maksym życiowych. Grał go Tom Hanks i chyba nawet Oscara za tę rolę dostał.

– Zaraz – kanclerz rozpromienił się nagle – wiem, o czym pan mówi. Byłem kiedyś w takiej knajpce, bodaj w San Francisco, a może na Hawajach, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie gdzieś w Ameryce. Nazywała się jakoś tak podobnie. Wiem, „Bubba Gump Shrimp Factory”. Tak, dokładnie tak. Pełno w niej było fotosów i rekwizytów jakby z filmu. Zapamiętałem ją, bo wyglądała jakby została zaprojektowana przez idiotę. Nie uwierzy pan, ale na stołach stały wiadra ocynkowane z rolkami papieru toaletowego i przyprawami. A dania podawano wysypując jedzenie na gazety, to znaczy pergaminy udające gazety.

– Ciekawe, ciekawe...

– Ale krewetki dawali tam znakomite.

– Wracając do tematu. – Sobieszczuk znów przyspieszył. – Jest pan rozsądnym człowiekiem, a jednak usiłuje mnie pan przekonać, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo.

– Takie niebezpieczeństwo zawsze istnieje.

– Ci ludzie – mówiąc to Burmistrz wskazał odległe fortyfikacje – boją się nas. Widzieli jak nadchodzimy. Z relacji uciekinierów wiedzą, że dysponujemy ogromną siłą. Dlaczego mieliby strzelać do posłów takiej armii, przecież to byłby sygnał do bezwzględного ataku? Rozmowa z nami może nie poprawi ich sytuacji, ale na pewno jej nie pogorszy. Nam jednak da pojęcie o tym czy będziemy musieli walczyć, czy nie.

– Niemniej mogliśmy wysłać któregokolwiek z oficerów, a potem wysłuchać jego raportu. Nadal uważam, że to, co robimy, jest

niebezpieczne.

– Chce pan żyć wiecznie? – zapytał retorycznie Burmistrz i nie czekając na odpowiedź, dodał: – To machaj pan tą flagą powyżej kolan.

Mróz zakręcił drzewcem młynka i znów opuścił białe prześcieradło.

– Nie chcę żyć wiecznie – powiedział – ale nie chcę też umierać w tej chwili.

– Ja też nie mam zamiaru umierać, ale jeśli moja misja się powiedzie, zyskam wiele, nie tylko w oczach wrocławian. Będę wodzem, o którym ktoś kiedyś powie, że się kulom nie kłaniał.

– Był już taki jeden.

– Doprawdy?

– Karol Świerczewski, generał z czasów drugiej wojny światowej.

– No proszę, każda okazja jest dobra na naukę.

– Zastrzelili go zaraz po wojnie – mruknął kanclerz. – Na polu...

– Widocznie igrał z losem o jeden raz za dużo – sentencjonalnie odparł Pan Jan i odkaszlnął.

Do linii obrony zostało im jeszcze z dwieście metrów. Burmistrz już widział podnoszących się zza fortyfikacji żołnierzy. Wszyscy mieli w rękach broń, ale żaden nie mierzył do nadchodzących. Niemniej kanclerz Mróz, nie czekając na kolejną reprimendę, zaczął mocniej machać białą flagą. Na wszelki wypadek.

\*\*\*

Drugi pas startowy wypełniały kontenery. Setki wielkich metalowych skrzyń stały w równych szeregach. Nosiły znaki wielu firm przewozowych i armatorów, ale Zawada mógłby pójść o zakład, że właściciele niewiele wiedzieli o miejscu ich ostatecznego spoczynku. Najprawdopodobniej zostały zarekwirowane w portach albo bazach przeładunkowych.

– Ciekawe, co się w nich mieści. – Adamczyk próbował przez lornetkę znaleźć jakiegokolwiek napisy mówiące o zawartości kontenerów.

– Jeśli dobrze rozumię – powiedział Zawada – to są tam części zamienne i osprzęt dla wozów bojowych. Cała intendentura.

– Też tak myślę – zgodził się z nim Filipek. – Swoją drogą, dobrze to świadczy o tych, którzy umieścili tutaj cały ten majątek. Części zamienne są na wagę złota. Zwłaszcza teraz.

– Idziemy – ponaglił ich Adam. – Mamy jeszcze dwa pasy do sprawdzenia, a czasu nie więcej niż kwadrans. Wolałbym nie spóźnić się z raportem dla sztabu.

\*\*\*

Zatrzymali się przy głazie narzutowym, kilkanaście metrów przed pierwszym okopem. Pan Jan wspiął się na kamień, stanął na lekko rozstawionych nogach i założył ręce do tyłu. Mróz stanął obok, ale na ziemi, i pomachał raz jeszcze białą flagą. Niestety, nie wywołało to żadnej reakcji na twarzach żołnierzy wyglądających z transzei.

– Chcemy rozmawiać z waszym dowódcą! – zawołał Burmistrz. – Przybyliśmy z propozycją zawarcia pokoju.

Nadal nie było reakcji ze strony lesznian. Pan Jan zagryzł wargę, ale nie poruszył się. Śmiało spoglądał na wylęknionych ludzi w okopach.

– Ostatni raz powtarzam! – krzyknął po kilkunastu sekundach milczenia. – Chcemy rozmawiać z waszym dowódcą o warunkach zawarcia pokoju!

Ledwie przebrzmiały jego słowa, z obłożonego workami bunkra wygramolił się młody człowiek w bluzie mundurowej i brudnych, mocno sfatygowanych dzinsach. Otrzepując kolana z grudek ziemi, podszedł do Pana Jana. Zasalutował dość przepisowo i zameldował załamującym się głosem:

– Porucznik Zajac, trzeci batalion Strzelców Wielkopolskich.

– Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że jest pan dowódcą obrony Leszna? – powiedział Burmistrz, zeskakując z głazu. Popatrzył prosto w oczy wystraszonego młodzieńca.

– Obawiam się, że nie ma tu nikogo – tamten przełknął ślinę – kto mógłby aspirować do tego miana, proszę pana.

– Nie rozumiem.

– Dowództwo mieści się w centrum miasta. Wysłałem już gońca, ale to musi potrwać chwilę, zanim ktoś do nas przybędzie.

– W porządku. – Sobieszczyk uśmiechnął się do żołnierza i oparł się o kamień. – Poczekamy. Mamy jeszcze czas.

\*\*\*

Zgodnie z oczekiwaniami Adama, w następnej grocie znaleźli drugą z ukrytych dywizji pancernych. Maszyny stały w niemal identycznym szyku jak te na pierwszym pasie startowym. Było ich jednak trochę mniej. Za to na przedzie kolumny stało kilkanaście motorów i nowoczesnych samochodów terenowych. Minęli ten sektor lotniska nie zatrzymując się nawet. Zawada starał się zmieścić w czasie, a tego zaczynało brakować. Przeszli do ostatniej z wielkich grot.

– Samoloty! – krzyknął Filipek, idący na szpicy. – Jak pragnę zdrowia, to samoloty.

Adam nie odpowiedział, jedynie skinął głową. Pod ścianą stały w równym rzędzie amerykańskie myśliwce F-16 z kilku dywizjonów Okręgu Pomorskiego, a nieco dalej w głębi starsze MiG-29. Maszyny ustawiono obok siebie, w równych odstępach, pod kątem czterdziestu pięciu stopni do wylotu tunelu.

– Mieliśmy tyle F-16? – zdziwił się Adamczyk, pokazując następne szeregi maszyn w głębi hangaru. – Dlaczego nie wysłano ich nad Ukrainę?

– Bo tak naprawdę, to wtedy jeszcze ich nie mieliśmy. – Zawada postanowił przekazać komandosom informacje zawarte w dokumentach, które otrzymał ze sztabu marszałka Traczyka. – Te myśliwce przyleciały ze Stanów zaledwie dwa miesiące przed Atakiem. Przeznaczono je dla Czechów, Węgrów i Litwinów. My mieliśmy je tylko przebroić w Mielcu i dostosować do standardów NATOwskich. Ale, jak widać, nie zdążyliśmy. Wybuchła wojna i cały ten złom znalazł się tutaj...

– Niezły numer. – Adamczyk wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Niezły – przyznał Zawada – ale chyba niezamierzony. Wydaje mi się, że ktoś w ostatniej chwili wpadł na ten pomysł. Może wtedy, gdy postanowiono przerzucić tutaj czołgi? Samoloty czekały na remont w Dęblinie i Rzeszowie.

Filipek z niedowierzaniem pokręcił głową.

Szli po galeryjce, spoglądając z podziwem na srebrno-oliwkowe, smukłe kadłuby myśliwców. Zawada liczył je w myślach. Dwanaście sztuk F-16, osiemnaście Migów-29 i czternaście Su-34. W głębi stały kolejne dwadzieścia dwie amerykańskie maszyny przeznaczone dla Mielca. Pokażna siła. Nawet przed wojną taka ilość samolotów musiała stanowić

znaczącą siłę uderzeniową w tej części kontynentu. Dzisiaj była wręcz nieoceniona.

– Panie majorze. – Głos Adamczyka wyrwał Zawadę z zamyślenia. – Niech pan tam spojrzy... – Komandos wskazywał w odległy i niedokładnie oświetlony kąt jaskini, gdzie mieściły się kiedyś warsztaty.

– Co to jest, do kurwy nędzy? – zapytał Filipek, przykładając lornetkę do oczu.

Adam spojrział w dół i poczuł, że nogi się pod nim uginają. Znał te czarne, kanciaste kształty z wielu filmów, ale nie spodziewał się ujrzeć ich w tym miejscu. Zdrowy rozsądek zaprzeczał temu, co widziały oczy. Niemniej, major Adam Zawada, cokolwiek by o nim mówiono, nie miał nigdy omamów wzrokowych. Na dodatek obaj towarzyszący mu żołnierze najwyraźniej widzieli to samo.

\*\*\*

Czekanie przedłużało się. Porucznik Zając nie wrócił do okopu. Stał przed posłańcami korpusu i nerwowo przebierał nogami. Widać było, że sytuacja go przerosła. Młody chłopak bez doświadczenia frontowego rzucony na pierwszą linię trafił na sytuację, której nie opisywano w podręcznikach. Oto, zamiast frontalnego ataku, którego się spodziewał, miał na karku dwóch cywili, zamierzających pertraktować.

– Wie pan, kim jestem? – zapytał porucznika Pan Jan.

Tamten pokręcił głową.

– Nazywam się Sobieszczyk, Jan Sobieszczyk i jestem Burmistrzem Wolnego Miasta Wrocławia.

Oczy porucznika zrobiły się okrągłe jak spodki. Nazwisko Pana Jana nie było mu obce. Henryk Mróz wziął to za dobrą monetę. Skoro znali przeciwnika, musieli wiele o nim słyszeć. Burmistrz tymczasem podszedł do oficera i objął go ramieniem. Zanim kanclerz zdążył zareagować, ruszyli razem w kierunku okopów. Porucznik szedł bezwolnie, jakby był kukielką sterowaną rękami Sobieszczyka.

Zatrzymali się dosłownie o dwa kroki od pierwszej linii okopów. Mróz, rad nie rad, poszedł za nimi, trzymając się jednak z tyłu. Opuścił flagę i oczekiwał w milczeniu tego, co za chwilę miało się wydarzyć. Burmistrz puścił wreszcie porucznika i podszedł jeszcze bliżej okopu. W ciszy,

panującej na przedpolu, kanclerz usłyszał kilka cichych kliknięć, charakterystycznych dla odbezpieczanej broni.

– Pozdrawiam was, obrońcy Leszna! – krzyknął Pan Jan, stając na szańcu.

Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

– Nazywam się Jan Sobieszczuk i jestem Burmistrzem Wolnego Miasta Wrocławia – powtórzył słowa, jakimi przed chwilą przedstawiał się Zającowi. Reakcja była podobna. Szmery wielu przyciszonych rozmów dobiegały i z prawej, i z lewej strony. – Nie przyszedłem tutaj, by was zniszczyć – Pan Jan mówił głośno i wyraźnie, tak by wszyscy go usłyszeli – choć mam ze sobą największą potęgę militarną, jaka istnieje we współczesnej Europie.

– Mogę sprawić – powiedział po kilku sekundach milczenia – mogę rozkazać, by nie pozostawiono w Lesznie kamienia na kamieniu. Mogę, ale nie zrobię tego. Nie zrobię, o ile i wy wyciągnięcie do mnie pomocną dłoń.

Przerwał raz jeszcze, pozwalając ludziom w okopach na zebranie myśli.

– Jak widzicie, przyszedłem tu sam, ryzykując własne życie, by złożyć taką ofertę waszym dowódcom, ale jak widzę, nie mają zamiaru pokazać się na tym polu. Wiecie chyba, dlaczego? Wasi dowódcy mogą zlekceważyć sobie mój gest, bo to nie oni będą ginąć w tej bitwie. Kto wie, może nawet poddadzą miasto za kilka dni, gdy łuna pożarów pochłonie całkowicie to, co zostało oszczędzone w czasach Ataku. Zastanówcie się nad moimi słowami, zanim utoną w wyciu spadających pocisków i chrzęście gąsienic nacierających dywizji pancernych. Nie musicie ginąć za czyjeś iluzje.

Oni oferują wam idee wolności bez pokrycia. Złudnej wolności, która tak czy owak skończy się zniszczeniem tego wspaniałego grodu. W całej historii tego kraju, tej planety, nie było miasteczka, które samo w sobie stanowiło prawa. Naturalną kolejną rzeczą jest, że mniejsze społeczności łączą się w plemiona, te zaś w narody, by wspólnie, z większą siłą, bronić swoich wierzeń, poglądów i tego, o co chcecie teraz walczyć, wolności. Wbrew pozorom za mną nie stoi zniszczenie, terror, niewola. Zapytajcie, co gna tysiące ludzi w kierunku Wrocławia. Zapytajcie ich, oni stoją za tamtym lasem, gotowi przelać krew dla idei, którą im wpoilem.

Ja, moi panowie, przynoszę wam *Pax Vratislaviana*. Prosty ale genialny w swej prostocie zestaw praw, które sprawiły, że Wolne Miasto Wrocław ma dzisiaj prawie pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców i armię zdolną

zjednoczyć nasz kraj! Podstawą tego kodeksu jest równość wobec prawa każdego obywatela i absolutna nienaruszalność własności prywatnej. We Wrocławiu nie ma złodziei, nie ma morderców! Nie ma wyzysku i danin zwanych podatkami! Jest za to wolność i poczucie bezpieczeństwa, którego wy z pewnością nie znacie.

Zamilkł, a szmery w okopach przybrały na sile.

– Zastanawiacie się teraz, na ile moje słowa są prawdziwe. Czy aby nie mamie was mirażami, które w efekcie przyniosą wam zgubę? Macie rację, czując zwątpienie. To jest wojna, a ja jestem waszym przeciwnikiem. Przeciwnikiem, ale nie wrogiem. Rozważcie w swoich sercach i duszach jedno, jedyne zdanie. To zdanie, które teraz wypowiem.

Postąpił jeszcze o krok i stanął niemal na krawędzi okopu, rozkładając ręce. Milczał i spoglądał na twarze zebranych w transejach żołnierzy.

– Jestem Polakiem, jak i wy jesteście Polakami! Oto cała prawda o sytuacji, w której się znaleźliśmy. Nie prowadzę hordy najeźdźców, tylko polskie wojsko, pod polskimi sztandarami. Nie przyszedłem odbierać wam wolności, tylko przyłączyć was i wasze miasto do załóżka Czwartej Rzeczypospolitej. Tam, gdzie było i jest wasze miejsce, przez wzgląd na przodków, wiarę, język, którym władacie! Jeśli wasz wywiad jest choć w połowie tak dobry, jak uważamy, musicie wiedzieć, czego już dokonałem. Nie minęły jeszcze dwa lata, odkąd przewodzę tym ludziom, a już zniszczyłem Kartel, który terroryzował te ziemie. Dotarłem do kopalń Wałbrzycha i największych miast Dolnego Śląska, jednocząc je w jeden zdrowy i potężny organizm! Zatknałem tymi rękami biało-czerwony sztandar na gruzach Jasnej Góry! Ja, i tylko ja, jestem władny odbudować państwo polskie. Wasze państwo, moje państwo, nasze państwo!

Po raz kolejny umilkł, ale tym razem nie tylko szmery były odpowiedzią na jego słowa. Z kilku miejsc do uszu kanclerza dobiegły nieśmiałe okrzyki, a nawet oklaski.

– Nie wstyďte się swoich myśli! – krzyknął Pan Jan. – Miejcie odwagę wystąpić przeciwko staremu porządkowi! Ja jestem przyszłością tej ziemi! Ja, nie ludzie, którzy kazali wam wejść do tych okopów z gołymi rękami i stawić czoła setkom czołgów, śmigłowców i samolotów. Nie macie szans na utrzymanie tego pięknego miasta, o ile nie znajdziecie mocniejszego protektora od Wrocławia, a takiego nie ma na tej ziemi. Dzisiaj my stoimy pod waszymi murami, oferując nadzieję na pokój.

Możecie ją odrzucić, ale już jutro ze wschodu albo zachodu może nadejść kolejne zagrożenie. Nie wiecie, co dzieje się tam, daleko za horyzontem, na równinach Niemiec. Lecz nie to jest najgorsze. Nie macie pojęcia o tym, czy na stepach Rosji nie zbierają się dzikie, wygłodzone hordy, jak te, które pokonać musieli nasi przodkowie przed wiekami. Nikt tego nie wie. Nikt nawet o tym nie myśli. A jeśli mam rację i owo niebezpieczeństwo istnieje, nikt mu nie będzie się mógł przeciwstawić. Nikt, prócz mnie. Dlatego poświęciłem wszystko, aby odbudować struktury naszego państwa, dlatego przygarniam każdego, kto chce je współtworzyć. Dlatego pięćdziesiąt tysięcy ludzi stanęło za mną murem, gdy przyszedł czas tej wyprawy. Tam, na tych polach – wskazał ręką za siebie – czeka wielka siła, która nigdy nie dopuści, aby kiedykolwiek, ktokolwiek nami pomiatał. Nie dopuści, bez względu na to, czy stawicie opór, czy przyłączycie się do nas. Musicie bowiem wiedzieć jedno; ten kraj podzielony na republiki, dystrykty i wolne miasta nie zdoła przeciwstawić się żadnemu najeźdźcy. Tak już bywało, jeśli znacie historię, a nie wątpię, że znacie, wiecie, że to prawda. I powiem więcej, tak być może, i to w najbliższej przyszłości. Tylko w jedności tkwi nasza siła, a kto da wam tę jedność, jeśli nie ja? Liczycie na Poznań? A gdzie jest dzisiaj jego potęga? Gdzie, pytam? Dlaczego nie zagroziła nam drogi do Leszna? Nie wiecie? To wam powiem. Nie ma już czegoś takiego jak Republika Wielkopolska. Wystarczyło byśmy ruszyli na północ i przysł mit o protektoracie Poznania. Jakkolwiek bolesna to prawda, musicie o niej wiedzieć. Jest jedna, jedyna alternatywa dla nas wszystkich. A zwie się ona Czwarta Rzeczpospolita Polska. Jedna, jedyna, niepodzielna. Sięgająca od Bałtyku aż po Tatry, a nawet dalej, jeśli taka będzie moja wola! Ale nie tylko ja będę ją budował. Nie tylko ja. Od was zależy, czy za kilkadziesiąt lat wasze wnuki będą mogły spokojnie żyć w świecie wolnym od przemocy. W kraju, gdzie piastowski orzeł będzie świętą wartością nie tylko dla tych, którzy mówią po polsku! W Polsce!

Ta przerwa w przemówieniu zakończyła się już głośną wrzawą, dobiegającą z okopów. Ku zdumieniu Henryka, prości żołnierze zdawali się kupować slogany rzucone przez Burmistrza.

– Dzisiaj ja, Jan Sobieszczuk, daję wam wolne i nieprzymuszone prawo do podjęcia takiej decyzji. Co więcej, nie oczekuję, że odpowiecie mi w tej chwili. Wrócę teraz do swoich oddziałów i dam wam dwadzieścia cztery godziny na przedyskutowanie tej sprawy z kolegami i dowódcami. Nie chcę



waszej śmierci! Nie chcę, ale jeśli zmusicie mnie, by na waszych kościach powstało nowe, potężne państwo polskie, to uczynię wszystko, żeby tę bitwę wygrać! I wygram, tak jak wygrywałem dotychczas, albowiem może być tylko jeden naród i jeden kraj! Polska!

Wiwatowali na jego cześć. Krzyczeli jeszcze, gdy już się odwrócił i szedł w kierunku osłupiałego Mroza. Dumny, z wyprostowanymi plecami i rozwianymi rzadkimi, siwymi włosami, które zdobiły jego skronie. Na twarzy miał triumfujący uśmiezek, a oczy mu błyszczały, jakby ktoś je podświetlił. Już w tym momencie Jan Sobieszczyk wiedział, że wygrał tę bitwę i to bez jednego strzału.

– Jeden naród! Jeden kraj! – skandowali ludzie w okopach, gdy pozdrawiał ich uniesieniem ręki.

– Jeden führer... – mruknął Henryk Mróz, odrzucając z obrzydzeniem poszewkę, która do tej pory służyła mu za białą flagę.

Ruszył za odchodzącym Burmistrzem.

– Zaczekajcie! – Krzyk, który przebił się przez wrzawę, osadził ich w miejscu. Zatrzymali się, spoglądając ciekawie na Zająca, który nerwowo oblizywał wargi, stojąc na skraju transzei.

– Słucham, synu – powiedział spokojnie Pan Jan.

– Ja... ja tylko chciałem powiedzieć – jękał się lesznieński oficer – że to pole... przez które przeszliście... – wskazał na płaski teren oddzielający linie obrony miasta od pozycji jednostek pułkownika Gonczarka – to jest... pole minowe...

\*\*\*

– Niech mnie pan uszczypnie, panie majorze. – Filipek odłożył lornetkę.  
– Ja chyba śnię.

– Nie sędzę – odparł Zawada, lustrując wzrokiem drugą część pasa startowego. – Nie widzę na tych maszynach gołych babek...

– To są, te, no... – Adamczyk starał się przypomnieć sobie nazwy stojących w pobliżu kontenerów samolotów.

– F117-A2. Stealthy – dokończył Filipek. – Niech skonam, niewidzialne dla radaru myśliwce bombardujące. – Nikt mi nie wmówi, że dali nam je do przeróbek.

– Bo nie dali. – Adam z równym niedowierzaniem spoglądał na pozbawione oznaczeń kadłuby.

– A te maszyny z tyłu, to co za modele? – zapytał Filipek, wskazując na kolejne, klasyczne tym razem, maszyny stojące za Stealthami.

Zawada przeniósł wzrok na wskazane samoloty. Były mu znajome, ale nie bardzo mógł odnaleźć w pamięci ich nazwę. Adamczyk naprowadził go jednak na dobry trop.

– Nie jestem pewien – powiedział – ale to chyba te nowe myśliwce amerykańskie. Predatory, czy jakoś tak... Widziałem je na CNN.

– *Predator*, to film ze Stallonem – mruknął Filipek.

– Ze Schwarzeneggerem – sprostował Zawada. – A te maszyny to nie Predatory, tylko Raptory. Jednym słowem F-22. Predatory, gdyby ktoś pytał, to te małe gówna, tam z tyłu – wskazał na trzy, przykryte brezentem, cygarowate kształty.

– Z tego, co wtedy mówili, to zrozumiałem, że F-22 dopiero wchodzi na wyposażenie US Air Force. Albo, że dopiero mają wejść.

– Bo to prawda. Nie wyprodukowano do Ataku więcej niż dwadzieścia egzemplarzy tego myśliwca.

– No, to mamy przed sobą dwadzieścia procent stanu, jak nie więcej – powiedział z szelmowskim uśmiechem Filipek. – Niech mi ktoś wytłumaczy, jak to jankeskie badziewie się tu dostało?

– Tego, być może, nie dowiemy się nigdy – odparł Zawada.

– A może to modele? – zastanawiał się Adamczyk. – Takie makiety dla zmylenia przeciwnika. Jak kartonowe czołgi w Serbii.

Spojrzeli na niego z dezaprobatą. Ale już po chwili musieli przyznać, że ta myśl mogła być jedynym rozsądnym wytłumaczeniem obecności ośmiu najnowocześniejszych amerykańskich myśliwców w hangarach dawnej bazy rosyjskiego lotnictwa.

\*\*\*

Spacer do stanowiska dowodzenia nie trwał długo. Jan Sobieszczuk szedł szybkim krokiem, nie zważając na zadyszkę swojego zaufanego. Tym razem jednak uważniej stawiał kroki, starając się iść po własnych śladach.

– Mimo wszystko uważam, że to było szaleństwo. – Henryk ledwie dyszał, ale wciąż narzekał na pomysł wyprawy.

– Doprawdy?

– Jeden strzał i byłoby po zabawie. Nie mówiąc już o tym. – Splunął i odruchowo drgnął, przypominając sobie o setkach min zakopanych w tej ziemi.

– Ten strzał już oddano. – Sobieszczuk zatrzymał się nagle i spojrzał w oczy swojego kanclerza. – I to dość dawno temu.

– Nie rozumiem...

– To jest pan szczęśliwcem – odparł Burmistrz i ruszył dalej.

Henryk podjął marsz, ostrożnie stawiając stopy i przeklinając swoją sytuację. Nie dość, że został upokorzony przed wszystkimi oficerami i potraktowany jak zwykły tragarz, to jeszcze Pan Jan raczył go dziwnymi wypowiedziami.

– Widział pan, jak zareagowali na moje słowa? – zapytał Sobieszczuk, gdy Henryk go dogonił.

– Owszem, nie było w tym nic dziwnego. Zostawieni sami sobie, z dala od dowódców...

– Jak to? Przecież przed chwilą mówił pan, że tylko czekali, by nas zastrzelić.

– Niezupełnie...

– Doprawdy?

– Chodziło o to, że każdy z nich mógłby nas zastrzelić. Choćby nie wytrzymując nerwowego napięcia, jakie im zafundowały czołgi Tasaka.

– A ja właśnie na tych czołgach oparłem moje przekonanie, że jednak nic nam nie zrobią.

– Słusznie zresztą – przyznał Mróz, mając nadzieję, że to zakończy rozmowę.

– Wiem, że słusznie. – Burmistrz jednak nie zamierzał zamilknąć. – Pan za często opiera się na swoich przekonaniach. A w takich sytuacjach ważniejsza jest analiza okoliczności.

– Czy mogę zapytać o coś osobistego?

Do pierwszych wozów bojowych pozostało im nie więcej niż pięćdziesiąt kroków. To był ostatni moment, by zadać pytanie, jakie gnieździło się od kilku chwil w głowie Henryka.

– Słucham.

– To, co powiedział pan przed chwilą... To o strzale... Czy to znaczy, że...

– Może pan to wreszcie z siebie wydusić? – Burmistrz zatrzymał się i spojrzał na zdyszanego kanclerza.

– Czy to znaczy, że jest pan śmiertelnie chory?

– A czy wyglądam na chorego?

– Szczerze mówiąc, nie bardzo.

– To dlaczego zadał pan to pytanie?

– Zastanawiam się nad tym, co pan powiedział. Tak mi się skojarzyło...

Sobieszczyk spojrzał mu w oczy.

– Obaj nie jesteśmy wieczni. Kiedyś trzeba będzie umrzeć, a oceniać nas będą, nie po tym, co mówiliśmy, ale czego dokonaliśmy. Zanim dożyję swoich dni, chcę zobaczyć Polskę jako mocarstwo. To moja obsesja, dla której gotów jestem oddać wszystko, nawet życie. Rozumie pan?

– Rozumiem.

– Nic pan nie rozumie. Co najwyżej ma pan podejrzenia do pewnych spraw, ale nie pewność.

Zeszli z pasa zieleni, w którym tkwiły miny. Henryk miał zamiar odpowiedzieć, lecz zauważył, że zbliża się do nich kilku żołnierzy. Spojrzał na zegarek. Było już dobre dwadzieścia minut po terminie, w którym Zawada miał złożyć meldunek.

– Panie Burmistrzu – zawołał oficer, machając słuchawką. – Major Zawada na linii.

– Dawajcie. – Pan Jan nieomal wyrwał ciężki radiotelefon z ręki żołnierza. – Tu Sobieszczyk, słucham.

– Mamy je! – Zniekształcony głos majora wypowiedział słowa, na które czekał nie tylko Burmistrz, ale i cały Wrocław.

– Czołgi?

– Tak jest, są obie dywizje, tak jak było w notatce. Pełne składy, czołgi na transporterach, wszystkie zakonserwowane i zatowotowane. Same nówki. Do tego sprzęt dla kilku kompanii wsparcia. Nawet samobieżne wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych. Zdaje się, że ktoś zachomikował tutaj kilka kontraktów eksportowych.

– Doskonale, przygotować je do natychmiastowego wymarszu.

– Tak jest. – Głos Zawady nagle stał się mniej pewny: – Ale to może potrwać. Te maszyny wymagają przeglądów.

– Ma pan najlepszych ludzi, jakich zebraliśmy – odparł Pan Jan – i dwadzieścia cztery godziny na przygotowanie tych maszyn do opuszczenia

Borów.

- Jest coś jeszcze...
- Co takiego?
- Znaleźliśmy samoloty.
- Znakomicie. F-szesnastki?
- Tak jest! I nasze, i te z Mielca, ale oprócz nich jest tu coś jeszcze.
- Co?
- Jakby to powiedzieć...
- Krótko i zwięźle będzie najlepiej, panie majorze.
- Tak jest!
- Zatem?
- Znaleźliśmy nadprogramowe maszyny.
- Świetnie. Będzie na czym latać.
- Obawiam się, że z tym mogą być kłopoty.
- A to dlaczego?
- To samoloty najnowszej generacji. Stealthy i F-22.
- Czy pan coś wypił? – zapytał Sobieszczuk.
- Nie, panie Burmistrzu.
- Skąd takie maszyny mogłyby się wziąć w naszym kraju?
- Tego, niestety, nie wiem, ale potwierdzam, co powiedziałem. Cztery F117-A2 i cztery F-22 stoją razem z innymi maszynami.
- Niewiarygodne...
- Też tak myślę.
- Dziękuję, pułkowniku Zawada.
- Tak jest! – krzyknął zaskoczony ale i zadowolony Adam.
- Chociaż nie, nie pułkowniku – Pan Jan ostudził jego radość. – Podpułkowniku. Miał pan złożyć meldunek prawie pół godziny temu. A ja nie toleruję spóźnień, zwłaszcza podczas wojny.
- Tak jest. Melduję, że opóźnienie spowodowało sprawdzenie, czy aby nie mamy do czynienia z makietami tych samolotów.
- Być może. Ale, jak mówiłem, nie toleruję żadnych spóźnień i niesubordynacji. A rozkaz, to rzecz święta. Mam nadzieję, że zrozumiał pan, o co mi chodzi.
- Tak jest.
- To doskonale. Zaraz wydam odpowiednie dyspozycje, aby przerzucono do Borów kolejnych pancerniaków. Te czołgi muszą znaleźć

się tu jak najszybciej.

– Ciężko jest? – zapytał Zawada.

– Niezupełnie, ale w każdej chwili sytuacja może się zmienić. Wyruszamy prosto na Poznań.

To mówiąc, Burmistrz oddał słuchawkę zaskoczonemu łącznościowcowi. Wszyscy obecni wpatrywali się w niego z wyrazami szczerzego zdziwienia na twarzach.

– O co chodzi? – zapytał Pan Jan.

– Powiedział pan, że ruszamy na Poznań... – Henryk o sekundy uprzedził oficera, który już zbierał się do wypowiedzenia podobnych słów.

– I co z tego?

– A co z Leszmem? – zapytał kanclerz przestraszony wizją szturmującego kolejnego miasta.

– Do jutra będzie nasze, i to bez jednego wystrzału – mruknął lekceważąco Sobieszczuk, ruszając w stronę namiotu pułkownika Tasaka.

\*\*\*

– Podpułkownik – mruknął Adamczyk, siadając na skrzyni z osprzętem do F-16, gdy wrócili do hangaru po nadaniu meldunku.

– A jak, po takim odkryciu. – Filipek przysiadł się do niego. – Tylko nam nic nie skapnie.

– Spokojna głowa. – Zawada wyjął papierosy i poczęstował komandosa. Ku jego zdziwieniu Filipek też wyciągnął rękę.

– Myślałem, że nie palicie – zdziwił się Zawada.

– Kto tak powiedział?

– Adamczyk.

– Sukin... i pewnie załapał się na mój przydział!

– Taki tam przydział – mruknął Adamczyk. – Po wojnie ci oddam.

– Trzy warty anulowane i będziecie kwita – zaproponował Zawada widząc, że papieros może stać się zarzewiem kłótni.

– Stoi – potwierdził Filipek.

– Obiecanki, macanki, a głupiemu stoi – powiedział z przekąsem Adamczyk i wybuchnęli śmiechem.

– Jak stoi, to już połowa sukcesu – odparł sentencjonalnie Zawada. – Jeszcze tylko znaleźć partnerkę...

– Albo partnera. – Filipek poklepał znacząco swojego kolegę po plecach i odpalił papierosa.

– Spadaj, znudziłeś mi się – odparował tamten, zaciągając się aromatycznym dymem. – A co gorsze, nie masz cycków jak Pamela.

– Jeśli mowa o Pameli Anderson, to miała sztuczne cycki. Czysty silikon, zresztą potem się go pozbyła – wtrącił Adam.

– Pieprzyć tam – Adamczyk nie dawał za wygraną – sztuczne nie sztuczne a dorwałbym się do nich, aż by skrzypiały. Widziałem taki fikuśny filmik kiedyś, nakręciła go sobie z tym, no, jej facetem...

– Nieźle skrobała kijaszka – przyznał Filipek.

Rozmarzyli się i milczeli przez chwilę, paląc i pożerając oczami wyobraźni pamelopodobne istoty. Nagle Adamczyk drgnął i rozejrzał się po wielkiej jaskini.

– Co jest? – zapytał Zawada.

Komandos delikatnie zgasił na wpół wypalonego papierosa, przyłożył palec do ust i wskazał głową na odległy koniec pasa startowego. Filipek płynnym ruchem zdjął z ramienia pistolet maszynowy, i przyklęknął za skrzynią. Zawada z niedowierzaniem patrzył, co robią, dopóki nie ściągnęli go na beton.

– No, co wy... – zdążył powiedzieć, zanim Filipek nie zatkał mu dłonią ust.

– Nie jesteśmy tu sami – szepnął komandos raz jeszcze, pokazując tonący w półmroku kraniec podziemnego lotniska.

Zawada spojrzął nad krawędzią skrzyni i starał się przebić ciemności wzrokiem. Nie widział jednak niczego, jego uszy też nie odbierały sygnałów świadczących o obecności innych ludzi.

– Nic nie widzę – szepnął, i w tym samym momencie zauważył, że mrok się porusza. Jeden, dwa, trzy ciemniejsze obiekty przesunęły się wzdłuż ściany. Po chwili było ich już kilkanaście.

– Kurwa – szepnął Filipek. – Trochę ich za dużo jak na mój gust.

– Racja. – Adamczyk skinął głową i popchnął Zawadę w kierunku ściany. – Musimy spadać, jeśli nie chcemy być zauważeni. Pan podpułkownik zna ten teren. Którędy możemy się wydostać?

Adam rozejrzał się i wskazał na drabinkę przeciwpożarową prowadzącą na galerię. Umieszczono ją w niewielkim wgłębieniu, co pozwalało

przynajmniej częściowo ukryć się przed intruzami. Zwłaszcza jeśli nie spodziewali się obecności innych ludzi. Ale tego nie był do końca pewien.

– Tylko po cichu – szepnął Filipek i przełożył automat przez ramię, zabezpieczając lufę za paskiem uprząży. – Pan podpułkownik pierwszy.

Zawada podczołgał się do drabinki i powoli zaczął się wspinać. Nie spoglądał za siebie, starał się stawiać stopy na kolejnych szczeblach pewnie i jak najciszej. Gumowe podeszwy jego butów na szczęście były na tyle elastyczne, że nie czyniły żadnego hałasu. Nie miał broni automatycznej, co z jednej strony stawiało go na przegranej pozycji w wypadku konfrontacji z przeciwnikiem, ale z drugiej strony ograniczało możliwość ujawnienia przez nieostrożny ruch i uderzenie metalu o metal. Szedł w górę, miarowo stawiając stopę za stopą, dopóki nie dosięgnął chłodnej kratownicy galerii. Wczołgał się na nią i zamarł. Filipek i Adamczyk po kilku sekundach dołączyli do niego.

Na dole widać było już całkiem wyraźnie kilkudziesięciu ludzi w panterkach, którzy ze zdziwieniem, nie mniejszym od tego, jakie towarzyszyło wrocławianom, przyglądali się maszynom stojącym w skalnym hangarze.

– Poznaniacy – mruknął Filipek, odbezpieczając broń.

\*\*\*

Siedzieli w chałupie zaadaptowanej na pomieszczenie sztabowe i milczeli.

Pułkownik Gonczarek studiował mapę i zaznaczał na niej możliwe przegrupowania jednostek na wypadek kontrataku sił wielkopolskich, Henryk popijał herbatę zaparzoną dla sztabowców, a Pan Jan w zamyśleniu wystukiwał palcami nieskomplikowany rytm na blacie drewnianego stołu, pamiętającego bez wątpienia czasy poprzedniej wojny światowej. Przedłużającą się ciszę przerwało wejście jednego z gońców.

– Panie pułkowniku, sier... – zameldował ubłocony żołnierz, ale zamilkł w pół słowa, widząc Burmistrza i kanclerza.

– Spocznij. – Pan Jan machnął ręką w jego kierunku. – Nie przejmujcie się naszą obecnością, meldujcie dowódcy, co macie zameldować.

Żołnierz zasalutował i odwrócił się do pułkownika, który wstał od stołu i nerwowo poprawiał mundur.



– Melduję, że na odcinku północnym nie zanotowano żadnej aktywności przeciwnika – wyrecytował sierżant.

– Kompletna cisza – powiedział Pan Jan, gdy żołnierz opuścił izbę.

– Może to cisza przed burzą... – mruknął Henryk.

– Może – odparł Sobieszczuk, na tyle zamyślony, że nie spiorunował nawet wzrokiem swojego podwładnego, który w najoczywistszy sposób się defetyzm.

– Nie sądzę. – Pułkownik wrócił do studiowania mapy. – Przechesaliśmy teren na kilkanaście kilometrów od naszych linii. Tam nie ma żywej duszy.

– Tym lepiej. – Burmistrz ożywił się nagle i wstał z krzesła. – To znaczy, że oni rzeczywiście nie mają czym walczyć. Te dywizje pancerne dadzą nam absolutną przewagę nie tylko nad poznaniakami, ale i nad każdą siłą, która przetrwała na tym kontynencie.

Wszyscy patrzyli na niego z uwagą, ale nie zauważył tego. Spoglądał przez brudne okno gdzieś daleko, na linię horyzontu, za którym krył się Poznań.

– Myśli pan, że... – Mróz nie wstawał, nadal grzał ręce o cynowy kubek wypełniony do połowy mało aromatycznym płynem.

– Nie myślę, ja to wiem. – Sobieszczuk założył ręce za plecy i odwrócił się do sztabowców zebranych za stołem. – Znając radykalne poglądy naszego ostatniego premiera-krzykacza, rząd przygotowywał tę akcję przez wiele miesięcy a nawet lat. Nikt w Europie nie podejrzewał nawet, że budujemy Bastion, że możemy ukryć tyle jednostek przed skutkami działań wojennych. Zdaje się, że parę osób jednak zachowało trzeźwy osąd w tej politycznej awanturze. Te czołgi nie pochodziły z jednostek liniowych. Zawada mówił, że wyglądają na nieużywane egzemplarze. O ile mnie pamięć nie myli, przed wojną Łabędy otrzymały zamówienie na dwieście czołgów dla Indii. Część wysłano, część została w fabryce. Podobno były jakieś problemy z opóźnioną płatnością... Sądzę, że to właśnie te maszyny trafiły po cichu do schronów. Dobrze się złożyło...

– To znaczy?

– To znaczy, że mając takie siły możemy pokusić się o zjednoczenie nie tylko naszego kraju, ale także reszty kontynentu.

Szeroko otwarte oczy dowódcy korpusu pancernego mówiły same za siebie, ale Burmistrz na to nie zważał.

– To jedyna szansa w historii, by nasz kraj, nasza ukochana ojczyzna odegrała ważną rolę w dziejach Europy i świata.

– Na razie nie udało nam się zdobyć konkurencyjnego Wolnego Miasta – mruknął Henryk, wskazując głową na nieodległe przedmieścia Leszna.

Sobieszczyk spojrział na niego z pogardą i nieukrywaną wyższością.

– Pan, panie Mróz, jest człowiekiem małej wiary – powiedział, wolno cedząc słowa. – Pan nigdy nie zostanie wielkim przywódcą. Nie potrafi pan ogarnąć wzrokiem horyzontu szerszego niż jedno miasto.

– I dobrze mi z tym...

– A mnie nie. Przez ostatnie dwieście lat kraj, w którym się urodziłem, przechodził z rąk do rąk. Mieliśmy wielkie powstania i wielkie nadzieje, ale zawsze znalazł się ktoś większy, silniejszy, kto nami pomiatał. Dzisiaj ta sytuacja uległa zmianie. Dziś to my mamy siłę, jakiej nie ma nikt inny w promieniu tysięcy kilometrów.

– Jeden zespół uderzeniowy floty amerykańskiej... – zaczął mówić pułkownik Gonczarek.

– Bzdura! – przerwał mu Pan Jan, uderzając zniemacka w stół z taką siłą, że stojące na nim kubki herbaty wywróciły się, plamiąc wielką płachtę mapy. – Nie ma już US Navy, nie ma żadnej liczącej się floty. Może kilka łodzi podwodnych przetrwało tę wojnę, ale na powierzchni oceanu nie mogło zostać nic, co ma realną wartość bojową. A jeśli nawet, to w tak odległym rejonie świata, że możemy nigdy się o tym nie dowiedzieć.

– Skąd pan to może wiedzieć? – zdziwił się Henryk, pozostali zdawali się w milczeniu podzielać jego pogląd.

– Takie było założenie taktyczne Rosjan. Nie chodziło o fizyczne unicestwienie tychże sił, ale o sparaliżowanie ich, a do tego celu wystarczyło zdetonować kilkadziesiąt megaton w sporej odległości od takiego zespołu, a potem poprawić dwoma, trzema precyzyjniejszymi głowicami, wystrzelonymi z okrętów podwodnych. Nasz wywiad zdobył kilka lat temu plany podobnych ataków na szóstą i siódmą flotę.

– Skoro nasz wywiad je zdobył, to i Amerykanie je mieli – mruknął Henryk.

Ironiczny uśmiech Pana Jana zdradził mu, że myli się, i to bardzo.

– Nie przekazano ich dalej? – zapytał zdziwiony kanclerz.

– Powiedzmy, że czekaliśmy na odpowiednią okazję, która, niestety, nigdy nie nadeszła...

– Przecież to nielogiczne. Nie poinformowaliśmy sojusznika o tak istotnych planach? – Gonczarek właśnie kończył ścierać resztki ciemnobrązowego płynu z powierzchni mapy polowej.

– Ano, nie poinformowaliśmy. Ale to naprawdę nieistotne. Jeśli Rosjanie zrobili to, co zamierzali zrobić, to dzisiaj po powierzchni oceanów pływają dziesiątki „Latających Holendrów”. Może w pełni wyposażonych i gotowych do walki, ale martwych jak bunkry Radzymina.

Po tych słowach zapadła cisza. Tym razem nie zakłócało jej nawet nerwowe stukanie palców o blat.

– Zresztą, gdyby nawet któryś z lotniskowców ocalał, w co szczerze wątpię – dodał Pan Jan po chwili – to jego dowódca jest teraz królem jakiegoś wyspiarskiego państwa na Pacyfiku.

– To mi nasuwa pewną myśl... – wtrącił Henryk.

– Chodzi o te samoloty? – domyślił się Gonczarek.

– Dokładnie. Wręcz nie do wiary, że znalazły się tam najnowocześniejsze maszyny amerykańskie. Stealthy i F-22...

– To zagadka, której być może tak szybko nie rozwiążemy – dodał pułkownik dosuszając impregnowaną mapę.

– Jeśli panowie pozwolą... – Jeden z adiutantów, szczupły, wysoki blondyn, noszący okulary w grubej rogowej oprawie, strzelił obcasami przed Burmistrzem.

– Na co mamy pozwolić? – spytał Pan Jan zaskoczony.

– Myślę, że wiem, skąd mogły się wziąć te samoloty.

– Tak? – Sobieszczuk wziął chłopaka pod ramię i przeszedł z nim do okna. – W takim razie słucham.

– Jeśli mogę prosić, wolałbym pokazać – powiedział tamten, wskazując drzwi.

– Czemu nie – zgodził się nadspodziewanie łatwo Burmistrz.

Ruszyli za tyczkowanym blondynem, wychodząc na podwórze, a potem przez furtkę na ulicę. Po przeciwnej stronie, na ścianie kamieniczki znajdowały się dwa wypłowiałe billboardy. Górny przedstawiał kiedyś reklamę popularnej stacji radiowej, dolny natomiast...

– Niech mnie... – jęknął Henryk, wpatrując się w wyblakłą i poszarpaną płachtę zadrukowanego papieru.

Czas zostawił swoje piętno na tym kolorowym ongiś plakacie, reklamującym kolejny Air Show w Radomiu. Z tej odległości niełatwo było

odczytać największe napisy, nie mówiąc o mniejszych. Mimo to, bez trudu, dało się odcyfrowanie datę, która była zaledwie o jeden dzień wcześniejsza od Ataku.

– Znakomicie. – Pan Jan poklepał żołnierza po ramieniu. – Znakomicie, kapitanie...

Chłopak nie zrozumiał nagłego tytułowania go wyższym stopniem.

– Jak się nazywacie, kapitanie?

– Melduję posłusznie, że Starzec, ale... – wyjąkał blondyn.

– ...ale jak na starca, to jesteście całkiem młodzi – zażartował Pan Jan – i potraficie dobrze kojarzyć. Przypomnijcie mi się po tej akcji. Przenieś was do sztabu głównego, tam potrzebują tak bystrych umysłów.

\*\*\*

– Dlaczego oni zachowują się, jakby o nas nie wiedzieli? – To pytanie Adamczyka wciąż dźwięczało w uszach Zawady.

– Żebym to ja wiedział...

– Śladów nie zostawiliśmy – mruknął Filipek. – Tej odrobiny popiołu nie są w stanie zauważyć.

– Musieli zwrócić uwagę na zapalone światło... – mruknął drugi komandos.

– Niekoniecznie. – Zawada usiadł pod ścianą i nerwowo skubał jednodniową szczecinę na brodzie.

– To znaczy? – zapytali obaj jak na komendę.

– Oni weszli oficjalnie od frontu, my od zaplecza, po cichu. Te generatory, które wam pokazałem, należą do obiegu zastępczego. Bardzo możliwe, że oni uruchomili agregaty główne przed wejściem do tej części kompleksu. Jeśli tak, to energia dostarczana jest z obu źródeł. Mogą sądzić, że sami zapalili te światła.

– To jeden problem z głowy...

– Nie do końca. Jeśli zaczną kontrolować stan bazy z dyspozytorni, zauważą, że system awaryjny jest uruchomiony.

– Myśli pan, że będą tak dociekliwi?

– Ja bym był... A pewnie mają kogoś takiego jak ja. Kogoś, kto zna ten teren.

Przycupnęli na skraju galerii i obserwowali, jak w dole trwa krzątania. Przeciwnik sprowadził na lotnisko co najmniej dwie kompanie piechoty. Pomiędzy sylwetkami ludzi ubranych w mundury zauważyli kilkunastu cywili. Mundurowi traktowali ich z szacunkiem, ale Adam zauważył, że żaden z nich nie wydaje poleceń.

– Powinniśmy się wycofać – mruknął, spoglądając na ledwie widoczne w półmroku twarze komandosów. – Jest nas tu trzech, a ich...

– Nie możemy oddać tego sprzętu. – Adamczyk z twarzą wysmarowaną pastą kamuflującą był rozpoznawalny jedynie po głosie.

– Za ile dotrą tu nasi? – zainteresował się nagle drugi z komandosów, spoglądając na zegarek.

– Najprędzej za pół godziny – odparł Adam – ale będą czekać na zewnątrz kompleksu.

– Pół godziny? – mruknął Adamczyk. – To da się zrobić. Pan wycofa się do Hummera i sprowadzi chłopaków, my zajmiemy się opóźnieniem przeciwnika.

– Nie znacie tego terenu – zaproponował Zawada.

– Oni też nie powinni znać – zbył go żołnierz. – Mamy przewagę zaskoczenia...

– Jak zacznie się strzelanina, będą musieli przerwać prace... To może się udać.

– Zwłaszcza jeśli do akcji wkroczą Sokoły.

Adam rozważał przez chwilę ich argumenty. Użycie Sokołów zmieniłoby diametralnie sytuację, kolumna pancerna zaatakowana z powietrza przy wyjeździe... Jakkolwiek by szanował opinie swoich podwładnych wiedział, że poznaniacy raczej nie zechcą przerwać operacji na czas strzelaniny, a i ta potrwałaby raczej krótko szacując bilans sił.

– Nie zgadzam się. Zrobimy inaczej – powiedział, ruszając do tunelu łącznikowego. Bez szemrania ruszyli za nim.

– Przedostaniemy się do pomieszczeń zapasowej centrali dowodzenia na najwyższej kondygnacji kompleksu. Jeśli dotarli już i tam, to zdejmiecie ochronę i zabarykadujemy się we wnętrzu. Nie użyją cięższej broni przy ewentualnym szturmie, bojąc się zniszczyć systemy kontrolne lotniska, a ja będę mógł przygotować im pewną niespodziankę.

– A co z naszymi? Z tych jaskiń nie nawiążemy kontaktu radiowego.

– W sterowni była kiedyś radiostacja – szepnął Adam, zwalniając przy wyjściu na sąsiednią galeryjkę. – Jeśli uda nam się podpiąć do systemu...

Przywołał gestem Adamczyka i przepuścił go przed siebie. Komandos przełożył pistolet maszynowy na plecy i zabezpieczył go. Z nożem w ręce wyjrzał na zewnątrz. Jednym skokiem znalazł się na pomoście prowadzącym na drugą stronę hangaru i rozejrzał się raz jeszcze. Potem dał znak pozostałym. Szli powoli, obserwując uważnie to, co działo się na dole. Także i tutaj trwały gorączkowe przygotowania do wyprowadzenia sprzętu. Silniki dwóch transporterów zakaszlały w momencie, gdy docierali do przeciwległej ściany.

– Cholernie się spieszą – mruknął Zawada.

– Mamy naprawdę niewiele czasu. – Adamczyk pociągnął go za sobą w mrok kolejnego tunelu.

\*\*\*

Traczyk nie czekał, aż rotory Sokoła zwolnią do bezpiecznych obrotów, i otworzył boczne drzwiczki śmigłowca. Głośny ryk bliźniaczych silników i wiatr o sile huraganu wtargnęły do wnętrza kabiny zrywając czapki z głów oficerów, którzy właśnie odpięli pasy i sięgali po swoje bagaże. Głośne złożeczenia jednego z nich, otyłego pułkownika, którego podmuch dodatkowo cisnął na przegrodę kabiny pilota, nie dotarły do uszu marszałka. W tej właśnie chwili, trzymając obiema rękami czapkę zeskakiwał już na ziemię. Niewiele widział przez tumany kurzu, ale ruszył na ślepo wprost przed siebie, licząc kroki i starając się zachować równowagę pośród miniaturowego cyklonu. Po kilku sekundach zmagania z żywiołem mógł już otworzyć oczy. Jak się okazało doszedł niezupełnie tam gdzie zamierzał. Pan Jan i sztabowcy Gonczarka stali kilkanaście metrów na prawo od miejsca, w którym opuścił strefę zasięgu wirników.

Otrzeptał mundur z kurzu i kawałków pożółkłej trawy, po czym skierował się wprost ku oczekującej go grupie żołnierzy.

– Przyleciałem najszybciej jak się dało – powiedział, wyciągając rękę do Burmistrza.

– Musimy porozmawiać – odparł tamten lakonicznie, odwzajemniając uścisk. – Zabrał pan ze sobą tych lotników?

– Oczywiście. Zaraz do nas dołączą.

– Znakomicie. – Pan Jan uśmiechnął się i wskazał ręką na namiot rozłożony pod kilkoma uschłymi drzewami, opodal pierwszych zabudowań wsi. – Proszę się rozgościć. Zaraz tam przyjdę.

Traczyk zasalutował i skinął na swoich ludzi, którzy pochyleni walczyli z wciąż silnym wiatrem.

– Pan, pułkowniku Gonczarek, pójdzie ze mną, pozostali z panów mogą wrócić do swoich jednostek. Myślę, że omówiliśmy wystarczająco dokładnie wszystkie punkty planu.

Sztabowcy zasalutowali i grupą ruszyli w kierunku zabudowań. Burmistrz wraz z towarzyszącym mu pułkownikiem przeszli do czekających już w namiocie lotników. Podoficerowie na ich widok zerwali się ze składanych krzesełek i wyprężyli w postawie zasadniczej.

– Spocznij – polecił Pan Jan, zajmując jedno z wolnych siedzeń. Rozejrzał się po twarzach otaczających go żołnierzy i sięgnął do teczki leżącej na białym plastikowym stole ogrodowym. – Nasi chłopcy znaleźli na terenie jednostki 18-210 samoloty, które zostały dostarczone najprawdopodobniej na radomski Air Show...

Na twarzach pilotów pojawiło się wyraźne zainteresowanie. Wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Burmistrz słusznie domyślił się, że Traczyk nie powiedział nawet słowa na temat tej odprawy. Zgodnie z rozkazem zresztą.

– Poleciałem sprowadzić tutaj panów, abyśmy wspólnie opracowali plan działania. Nie da się ukryć, że jestem laikiem w tych sprawach. Chciałbym, abyście zastanowili się, przez chwilę studiując te dokumenty, i wydali opinię, czy maszyny w nich wymienione mogą wspomóc nasze działania bojowe.

Rozdał kartki papieru, na których spisano wszystkie dane, które przekazał drogą radiową Zawada. Zapoznanie się z nimi nie trwało długo. Pan Jan obserwował uważnie reakcje lotników. Tak wiele dawało się wyczytać z ich mimiki. Zanim odłożyli papiery, już wiedział, jaka będzie odpowiedź.

– Słucham waszych opinii, panowie piloci, ale nade wszystko chciałbym wiedzieć, dlaczego uważacie, że nie da się włączyć tych sił do naszego lotnictwa.

Spojrzeli po sobie, zdziwieni, ale żaden nie zabrał głosu. Burmistrz wskazał pierwszego z brzegu, noszącego na naszywce nazwisko Sztreit.

- Jaka jest pańska opinia, poruczniku?
- Wydaje mi się, że bez odpowiedniego przeszkolenia możemy mieć duży problem z pilotażem tych maszyn. Nie wspominając o logistyce i... paliwie.
- Jak duży? – zapytał bezbarwnym głosem Pan Jan.
- Bardzo duży – odparł lakonicznie drugi z pilotów, Balcerzak. – Szczerze mówiąc, nie wiemy nawet, na czym to lata...
- Z tego, co słyszałem, przeszli panowie kilkumiesięczne szkolenie w Stanach na okoliczność przejęcia F-16 – kontynuował Burmistrz po chwili ciszy. – Czy obsługa tamtych maszyn różni się tak zasadniczo od tego, co przekazano wam w Fort Wallace?
- Obawiam się, że tak. Stealthy to zupełnie nowa generacja maszyn. – Sztreit nerwowo przygryzał wargę po każdym wypowiedzianym zdaniu. – Nigdy nie pozwolono nam nawet zbliżyć się do nich. Wiemy tylko tyle, co usłyszeliśmy od Amerykanów i co wyczytaliśmy w prasie specjalistycznej, a to naprawdę niewiele. Zresztą, nie mając praktycznej styczności z tymi maszynami, nie wiemy nawet czy wiadomości zawarte w publikacjach nie były typową dezinformacją.
- Komplikacje systemów komputerowych i ilość zabezpieczeń, praktycznie rzecz biorąc, uniemożliwią nam uruchomienie którejkolwiek z tych maszyn, o ile nie będziemy mieli dostępu do książek kodów... – dodał milcząco do tej pory chorąży Skórka.
- Zostawmy chwilowo Stealthy – powiedział Pan Jan. – Co z tymi drugimi... – szukał przez chwilę w pamięci nazwy – ...Raptorami?
- Co do F-22 to myślę, że nie powinno być większych trudności. Major Skawina odbył nawet kilka lotów z instruktorem na takiej maszynie podczas szkolenia.
- Major Skawina? – zainteresował się Burmistrz. – Dlaczego nie ma go z nami?
- Obawiam się, że pan major w chwili obecnej nie byłby w stanie przetrzymać tego lotu – odparł jeden z podoficerów.
- Może pan wyrażać się jaśniej?
- Major Skawina – Traczyk wyręczył swojego podwładnego – odniósł poważne rany podczas pierwszej fazy walk o Strzelce Opolskie. W chwili obecnej znajduje się pod troskliwą opieką służb medycznych w Bastionie.



– Mam nadzieję, że nie umrze. – Sobieszczyk wstał dość gwałtownie od stołu.

– Jego stan jest stabilny – stwierdził Traczyk – ale o lataniu może zapomnieć...

– To znaczy?

– Stracił obie nogi...

– Kurwa mać. – Pan Jan nie usiadł, zaczął przechadzać się nerwowo za plecami lotników, którzy nie bardzo wiedzieli, jak się w tej sytuacji zachować. – Czy to był jedyny człowiek, który latał na F-22?

– Tak, to jedyny człowiek z naszej armii, który miał tę przyjemność i zaszczyt – potwierdził Balcerzak.

– Skoro stracił nogi...

– Ale nie stracił głowy, panie Burmistrzu.

– To znaczy?

– Może być instruktorem dla innych. Major Skawina to naprawdę doświadczony pilot. Wielu z nas miało przyjemność uczyć się od niego.

– To dobra wiadomość. – Pan Jan uśmiechnął się i wrócił na swoje miejsce. – Wybaczą panowie ten wybuch przed chwilą, ale sytuacja jest naprawdę napięta i sam fakt posiadania tych maszyn mógłby zaoszczędzić nam wiele czasu i... strat.

– Jeśli dobrze się zastanowić – zaczął ostrożnie porucznik Sztreit – to może z tymi stosedemnastkami nie będzie tak źle.

– Tak?

– Z tego, co wiemy, ktoś przetransportował te maszyny z Radomia na podziemne lotnisko w przeddzień wybuchu wojny. Nie zrobili tego Amerykanie, oni raczej zabraliby swoje maszyny do baz na terenie Niemiec. Zatem...

– To nie takie pewne – wtrącił Balcerzak. – Pamiętam dość dobrze, że pokaz tych maszyn miał się odbyć w ostatnim dniu Air Show. Zatem już dzień po Ataku. Bardzo możliwe, że Amerykanie nie polecili do Radomia. Zażądali dostępu do dobrze zabezpieczonej bazy gdzieś w pobliżu i właśnie tutaj przygotowywali się do pokazu. Wskazuje na to chociażby obecność w hangarach całego parku maszynowego, łącznie z polowym centrum dowodzenia.

– To by znaczyło, że znajdziemy tam również te książki kodów, o których pan wspomniał – ucieszył się Pan Jan.

– Jeśli nawet je znajdziemy, to niewiele zmieni. One również są zakodowane. Z tego, co słyszałem, tego typu dane Amerykanie trzymają tylko w formie elektronicznej.

– Kody do kodów. To jakaś paranoja... – mruknął Pan Jan.

– Biorąc to na zdrowy rozsądek – powiedział Balcerzak. – można obejść wszystkie mechaniczne zabezpieczenia, ale ta maszyna ma wartość bojową jedynie jako w pełni sprawny system. Bez komputerów z oryginalnym oprogramowaniem to tylko pięknie wyglądająca zabawka.

– Zatem możemy skreślić Stealthy z listy naszego uzbrojenia – podsumował dotychczasowe wypowiedzi Pan Jan.

– Niekoniecznie. – Sztreit nadal wpatrywał się w kartkę papieru z meldunkiem Zawady. – Możemy podjąć prace nad usunięciem wszystkich blokad, nad zastąpieniem niektórych układów przez podobne...

– Ile potrwałyby takie prace?

– Co najmniej kilka miesięcy. To naprawdę skomplikowana maszyna, a z tego, co tu widzę, to części zapasowych raczej nie ma...

– Jeśli przylecieli na Air Show, to musieli zabrać ze sobą trochę złomu. Awaryjność tych maszyn nie jest wielka, ale pokaz to pokaz.

– A jeśli to nie samoloty z jednostek liniowych? – wtrącił milczący od dłuższej chwili Skórka. – Może to maszyny przeznaczone na pokazy, pozbawione większości skomplikowanych systemów bojowych.

– Tę pewnośc uzyskamy dopiero po ich obejrzeniu – uciął jego rozważania Sztreit.

– Jak tylko nasze oddziały zabezpieczą teren, zostaniecie panowie przetransportowani do jednostki 18-210. – Pan Jan wstał, dając tym samym znak do zakończenia rozmowy. Spodziewał się nieco więcej konkretów, ale rozumiał, że przy tak skąpej ilości danych żaden z żołnierzy nie wyda dokładniejszej opinii.

\*\*\*

Pomieszczenia kompleksu dowodzenia były puste. Zamknięte na głucho włązy, opuszczone pancerne rolety na nielicznych oknach i gruba na palec warstwa kurzu zalegająca podłogi oraz pokryte brezentem nieliczne meble, świadczyły niezbicie, iż poznaniacy nie byli zainteresowani tym miejscem, bądź w ogóle o nim nie wiedzieli. Zawada podłączył do panelu kontrolnego

przy drzwiach wejściowych baterijkę z latarki i wprowadził sześciocyfrowy kod. Cichy syk i osypujący się z hermetycznego kołnierza pył były jedyną reakcją ciężkiej bramy.

– Zacięła się. – Adamczyk, pilnujący tyłów, z niepokojem spojrzął na stalowy krąg, blokujący wejście do kompleksu.

– Nie sądzę. – Adam chwycił za wpasowaną w drzwi kłamkę i pociągnął do siebie. Drzwi wydały cichy zgrzyt, ale posłusznie odsunęły się na bok. Były grube na półtora metra i ważyły ze dwie tony, a jednak dało się je poruszyć jedną ręką.

– W mordę jeża, wyglądają jak drzwi do skarbcza w banku – ocenił je Filipek, zaglądając przez wąską szczelinę do wnętrza. – Brakuje tylko zamka czasowego i pokręteł na środku.

– Nie ma też dziurki na klucz. Idziemy po kasę. – Adam popchnął go w kierunku ciemności panującej po drugiej stronie. Komandos nałożył noktowizor i posłusznie wślizgnął się do wnętrza. Po chwili zauważyli jego rękę z wysuniętym w górę kciukiem.

– Adamczyk. – Zawada klepnął w ramię drugiego komandosa. – Wchodzimy.

Żołnierz skinął głową i zaczął się cofać, nie spuszczać z oka korytarza. Adam nakierował go wprost na drzwi. Razem dociągnęli masywną stalowo-betonową pokrywę na miejsce. Zrobiło się ciemno jak w grobie, lecz z noktowizorami na oczach byli w stanie poruszać się po pomieszczeniu.

– Nie ma wewnętrznego zamka – zameldował Filipek.

– Jest. – Zawada przeszedł na prawo od kołnierza i przesunął ręką po ścianie, zgarniając kurz.

Po chwili znalazł to, czego szukał. Stuknął lekko w nieco jaśniejszą płytkę, odsłaniając niewielką wnękę. Podłączył zasilanie do panelu i wprowadził kolejny kod. Przez kilka sekund nic się nie działo, a potem usłyszeli zwielokrotnione echem stuknięcie i towarzyszący mu lekki wstrząs. Wrota wróciły na swoje leże.

– Niech się stanie światłość – rzucił Adamczyk, ale nadal panowały nieprzeniknione ciemności.

– Jesteście za niski szarżą, żeby wydawać takie rozkazy – stwierdził Zawada, kierując się dalej na prawo.

Szybko znalazł następny, znacznie większy panel. Przeszukał go i wcisnął kilka guzików. Potem wyłączył noktowizor i przesunął go na czoło. Obaj komandosi zrobili to samo. Cichy pomruk jarzeniówek wypełnił sąsiedni korytarz, a potem przedsiónek kompleksu dowodzenia.

– Idziemy – rzucił Zawada, ruszając w głąb dwustumetrowego, prostego jak strzełił korytarza.

Mijali kolejne drzwi opatrzone żółtymi napisami w cyrylicy i trzycyfrowymi kodami. Filipek w przelocie nacisnął kilka klamek, ale wszystkie przejścia były zamknięte. Wreszcie Zawada zatrzymał się przy dwuskrzydłowych drzwiach po prawej. Raz jeszcze powtórzył rytuał z panelem i weszli do przestronnej, okrągłej sali wypełnionej sprzętem. Zawada wskazywał im kolejne sekcje, które odkrywali, ściągając zakurzone płachty brezentu. Prymitywnie wyglądające panele, pełne przełączników i wyświetlaczy pamiętających zapewne początki elektroniki, wyglądały dość śmiesznie, ale żołnierze wiedzieli, że nie zacofanie technologiczne sprawiło, iż taki właśnie sprzęt zainstalowano w tym miejscu. Ta centrala mogła i miała działać nawet w warunkach gdy najdoskonalsze komputery zamieniały się w stopy dymiącego złomu. W przypadku ataku nuklearnego nie zagrażał im paraliż spowodowany impulsem elektromagnetycznym, były też w stanie wytrzymać znacznie większe wstrząsy i uszkodzenia niż zachodnie odpowiedniki, A nade wszystko były znacznie tańsze.

Zawada uruchomił niewielkie generatory ustawione w pokoiku po prawej. Odczekał chwilę, a gdy potężne diesle uzyskały pożądane obroty, wrócił do centrali dowodzenia. Usiadł przed głównym panelem i obserwował uważnie, jak na szerokim pulpicie zapalają się kolejne kontrolki. Tylko kilkanaście punktów błyszczało krwistym szkarłatem w morzu zieleni. Zanotował szybko numery wadliwych układów i otworzył szafy zajmujące fragment ściany po obu stronach szybu windy, umieszczonego na wprost wejścia do centrum dowodzenia. Wyjął potrzebne moduły i wymienił je w ciągu dwóch minut, rzucając uszkodzone wprost na zakurzoną podłogę. Ledwie zakończył tę operację, wszystkie kontrolki załśniły na zielono.

– Filipek, weźcie nasze radio i spróbujcie podłączyć je do systemu anten. Wprawdzie został zdemontowany przed wojną, ale możliwe, że któryś z drutów wystaje jeszcze na powierzchnię. – Adam wskazał

komandosowi konsolę łącznościowców. – Klucze i wszystkie narzędzia znajdziecie tam – pokazał na niebieską szafkę.

Żołnierz zasalutował i poszedł we wskazane miejsce. Odłożył automat na pulpit by mieć wolne ręce podczas przeszukiwania przepastnych szuflad szafki narzędziowej.

– No, to zaczynamy. – Zawada usiadł na fotelu i włączył kilka monitorów. Zobaczyli na nich czarno-białe i mocno zniekształcone wnętrza hangarów. Większość transporterów miała już włączone silniki, niektóre pracowały teraz na wolnych obrotach. Jednostki pancerne były o krok od uzyskania gotowości do wymarszu.

– Za kilka minut zaczną wyprowadzać je na powierzchnię – mruknął Adamczyk. – Jaką mamy szansę na ich powstrzymanie?

– Ogromne. – Zawada odwrócił się na moment i uśmiechnął. – Z tego miejsca mamy praktycznie absolutną władzę nad całym kompleksem. A zatrzymamy ich w prosty sposób. – Wskazał na panel po prawej. – Tutaj mamy kontrolki wszystkich wrót pancernych, prowadzących na zewnątrz. Jest ich sześć, po dwa dla każdego pasa startowego. O ile nie zostały wysadzone, a nie zostały, bo nie słyszeliśmy ani nie czuliśmy wybuchu, możemy je zamknąć.

– Albo zablokować.

– Niestety, nie. To jest zapasowe centrum dowodzenia. Można te wrota otworzyć też z głównego, które odwiedziliśmy w drodze do hangarów. Tam jednak są już poznaniacy.

– Czegoś tu nie rozumiem – zachnął się Adamczyk. – Skoro oni mają dostęp do takiego samego centrum, to będą mogli znów otworzyć te wrota.

– Zgadza się, ale jeśli przeprowadzimy procedurę awaryjnego zamknięcia obiektu, to zajmie im to niemal pół godziny. Jeśli w tym samym czasie przeprowadzimy skuteczną dywersję, zyskamy jeszcze kilkanaście minut. W trzy kwadranse spokojnie wydostaniemy się na powierzchnię i ściągniemy naszych ludzi. Dowództwo wysłało sześć Sokołów do tankowania. Te maszyny skutecznie zablokują przedpole. Proste?

– Proste i genialne, panie pułkowniku. – Komandos usiadł na szafce z jakimiś przyrządami. – Jak zawsze. Ale jak się stąd wydostaniemy?

– Winda awaryjną. Ten szyb prowadzi do tuneli ewakuacyjnych, umieszczonych głęboko pod lotniskiem. Jedno z wyjść jest ulokowane

około kilometra od miejsca, w którym weszliśmy do wnętrza. Stamtąd przekazemy meldunki jeśli nie da się podłączyć do systemu.

– Genialne panie pułkowniku – powtórzył Adamczyk wyjmując z kieszeni niedopałek i wkładając go do ust.

– Jest tylko jedno ale... – powiedział Adam, patrząc mu prosto w oczy.

– To znaczy?

– Jeśli oni mają na dole kogoś, kto zna tę bazę tak jak ja, mogą nam skutecznie pokrzyżować plany i odciąć tę drogę ucieczki.

– No, to musimy się pospieszyć. – Komandos zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął. – Pan zaczyna, panie pułkowniku, to pan jest tu bogiem.

Adam odwrócił się do pulpitu i przez moment studiował wyrysowane na nim diagramy. Potem szybko przełączył kilka chromowanych dźwigni i wcisnął dwa czerwone przyciski. Pomieszczenia centrum wypełniło wycie syren alarmowych. Widoczni na ekranach monitorów ludzie na moment zamarli, po czym zaczęli kryć się za maszynami.

– Alarmowe zamknięcie bazy – wyjaśnił Adam. – Procedura potrwa około czterech minut i w tym czasie nie może być przerwana. Odwołanie jej i wprowadzenie wszystkich haseł, potrzebnych do odzyskania kontroli nad obiektem, zajmie kolejne dwadzieścia dwie minuty. O ile wiedzą, co robić...

– Oby nie wiedzieli – mruknął Adamczyk.

– Nie liczyłbym na to. – Zawada poruszył kilka następnych przełączników, mając wciąż przed oczami cywili, towarzyszących poznaniakom. Ekran monitorów ściemniały.

– Straciliśmy wizję? – zaniepokoił się komandos.

– Nie, to oni stracili światło. Teraz odcinam wywietrzniki w hangarach. Poziom spalin zmusi ich do wyłączenia silników...

W tym momencie przygasło światło w sterowni. Na moment tylko, ale wyraźnie. Adamczyk poderwał się ze swojego siedziska i chwycił za broń.

– Co to było?

– Odłączyli nam zewnętrzne zasilanie – wyjaśnił Adam spokojnym głosem.

– Jak?

– Ze sterowni na dole. Na szczęście przewidziałem ich ruch i przeszliśmy od razu na awaryjne. – Głową wskazał na pomieszczenie z

agregatami prądotwórczymi, które teraz zasilają kompleks.

– To znaczy, że już wiedzą... Nie możemy ich odciąć, jak oni nas próbowali?

– Nie możemy, a gdyby nawet, to tam też są generatory i na pewno już działają. Liczyłem na dezorientację. Liczyłem na to, że przez jakiś czas się nie połapią, iż jest to celowe działanie. System mógł przecież sięść po tak długim czasie... – Zawada pokręcił głową. – Trochę za szybko się zorientowali, jak na mój gust. Obawiam się, że nasz plan wyjścia poza kompleks jest już nieaktualny.

– Jeśli się pospieszymy...

– Tunele są zaminowane... Można je też zaczopować jednym przyciskiem z każdej sterowni w razie... – zamilkł i wskazał na pojawiające się na tablicy czerwone diody. – Ten skurwysyn jest za dobry. To z pewnością ktoś z dawnej obsługi lotniska. Chyba mamy problem.

– Można się było tego spodziewać, w końcu to oni chowali tutaj ten sprzęt – wtrącił Adamczyk.

– Drzwi do kompleksu wyglądają solidnie, nie da się ich całkowicie zablokować? – zawołał Filipek z drugiego końca sali.

– Możemy uszkodzić zamek, ale z tamtej strony...

– To nienajlepszy pomysł – przyznał żołnierz.

– Za ile tu będą? – spytał Adamczyk.

– Zważywszy tempo, w jakim odzyskują kontrolę nad systemem, nie dają nam więcej niż dziesięć minut.

– To z radia nici, nie uda się sprawdzić wszystkich połączeń w tak krótkim czasie.

– Sprawdźcie tyle, ile się da, i nie marnujcie czasu, Filipek. – Adam odwrócił się do konsoli.

– A kody do drzwi? Przecież pan je zmienił.

– Oni mają kody nadrzędne.

Nie wiedział czy zrozumieli, w każdym razem nie pytali już o nic.

Adamczyk podszedł do windy i otworzył drzwi. Sprawdzał okrągłą kabinę, podważył też lufą właz w suficie.

– Co wy tam kombinujecie, Adamczyk? – Zawada odwrócił wzrok od pulpitu.

Stracił już kontrolę nad połową systemów lotniska. Na dole ponownie zapalono światło, ale zgodnie z oczekiwaniami transportery miały

wyłączone silniki. System wentylacyjny był znacznie bardziej skomplikowany, a w sytuacji alarmowej udroźnienie obiegu zamkniętego wymagało nie tylko zdolności, ale i czasu.

– Tak sobie myślę, że nie pobronimy się tu za długo. Jeśli sforsują drzwi, to wykurzą nas dość szybko. Korytarz jest prościuteńki i nie ma żadnego załomu. Nie da się nawet założyć i zamaskować miny...

– Do rzeczy.

– Udamy, że wycofaliśmy się do tuneli, a przeczekamy na dachu windy. Jeśli w to uwierzą, zaczopują tunele, albo je wysadzą, a my...

– Właśnie, a my wyjdziemy stąd głównymi drzwiami. Zmieszamy się z tłumem na zewnątrz...

– To nierealny plan. – Adam kręcił głową.

– Ale jedyny, jaki mamy.

– Niezupełnie... – Zawada potarł brodę wierzchem dłoni i rozejrzał się po pomieszczeniu. – Podajcie mi te plany!

\*\*\*

Polowa stacja paliwowa, ustawiona przez ludzi kapitana Zacharskiego, rozpoczęła przepompowywanie ropy w dwadzieścia minut po wyjeździe Zawady. Do każdego z terminali podpięto cysterne i do tego momentu sześć wozów stało już napełnionych po górne włązy. Jeszcze dwa Stary stały w kolejce.

– Nie powinno zająć więcej niż pół godziny – ocenił Zacharski, spoglądając na zegarek.

– Dziwne, że Zawada jeszcze się nie odezwał – powiedział jeden z czekających kierowców.

– A skąd wiecie, że się nie odezwał? – zapytał kapitan.

– Mam radiostację w wozie, przed chwilą znowu pytali czy nie mamy jakiejś wiadomości.

Zacharski spojrział w kierunku wznoszącej się na horyzoncie zalesionej góry, kryjącej lotnisko. Potem raz jeszcze sprawdził godzinę. Fakt, Zawada powinien już dawno złożyć następny meldunek. Mechanicy i czołgiści czekali przy ciężarówkach w punktach zbornych od ponad dwudziestu minut.



– Łącz ze sztabem. – Kierowca podał mu mikrofon i zniknął w kabinie, by włączyć radio. – Twierdza Jeden, tu Woziwoda. Powtarzam, tu Woziwoda – powiedział, gdy w słuchawce rozległ się cichy szum.

– Tu Twierdza Jeden, słucham cię.

Głos telegrafistki zaskoczył Zacharskiego, rzadko komunikował się ze sztabem, za rzadko, by pamiętać, że tam posady w łączności zachowało kilka kobiet z Bastionu.

– Melduje się kapitan Zacharski z punktu przeładunkowego paliwa. Chciałbym rozmawiać z oficerem nadzorującym operację 18-210.

– Łączę.

Ciche kliknięcie poprzedziło pojawienie się nowego głosu, tym razem głębokiego basu.

– Pułkownik Izworski, słucham.

– Melduje się kapitan Tadeusz Zacharski z punktu przeładunkowego paliwa w jednostce 18-210. Wydaje mi się, że mamy mały problem.

– Jaki problem?

– Kapitan Zawada nie zameldował się w wyznaczonym terminie. Proszę o pozwolenie sprawdzenia...

– Odmawiam. Wasza jednostka ma chronić przepompownię, nie możecie ruszyć się z miejsca. Za kilkanaście minut pojawią się tam pierwsze Sokoły. Teren ma być zabezpieczony. Jeśli którejś z tych maszyn coś się stanie, pan będzie za to odpowiedzialny osobiście.

– Tak jest, ale... – próbował Zacharski.

– Nie ma żadnego ale, kapitanie. My zajmiemy się sprawą Zawady. Bez odbioru.

Szum umilkł jak ucięty nożem.

– Ci tam, we Wrocku, nie mają pojęcia, co to służba liniowa – mruknął kierowca, odbierając słuchawki.

Zacharski machnął ręką na ten komentarz i sięgnął do kieszeni po papierosa. Sięgnął, ale nie wyciągnął wygniecionej paczki Cameli, przypominając sobie o absolutnym zakazie palenia na terenie przepompowni. Zaklął pod nosem i ruszył do stacji pomp. W tym momencie wiatr wiejący z południa przyniósł cichy ale rozpoznawalny dźwięk syren alarmowych. Zacharski przystanął, wsłuchując się w zawodzące dźwięki. Nie trwało to dłużej niż dziesięć sekund, ale był

pewien, że słyszy odległe odgłosy alarmu. Zrozumiał wszystko w jednym momencie. Obrócił się na pięcie i ryknął w kierunku cystern:

– Spierdalać mi stąd! Jazda na punkt zborny i nie zatrzymywać się pod żadnym pozorem!

Zdziwieni kierowcy patrzyli na niego jak na wariata, ale gdy wyjął z kabury pistolet i pognął w kierunku namiotów, ruszyli z kopyta po wyboistej drodze prowadzącej wzdłuż starej boczniczy kolejowej. Gromy osłony dołączyły do kolumny kilkaset metrów dalej, wyjeżdżając z zamaskowanych stanowisk.

Zacharski dopadł prowizorycznego stanowiska dowodzenia. Złapał wąskopasmowy telefon polowy i wybrał numer jednostki transportowej, czekającej na Zawadę w pobliżu lotniska.

\*\*\*

Zawada mówił krótko i konkretnie. Mieli naprawdę niewiele czasu na wykonanie tej części planu, ale alternatywy nie było. Wsiedli do windy i zjechali na niższy poziom. To była część sypialna, dla załogi centrum dowodzenia. Kompleks niewielki, ale złożony z ponad dwudziestu pokoi połączonych krzyżującymi się korytarzami. Adamczyk posłał windę na dół i dołączył do Zawady na pierwszym skrzyżowaniu.

– Zostawiamy za dużo śladów – powiedział, wskazując na wyraźnie widoczne w kurzu odciski butów.

– Spokojnie. – Zawada odpiął jeden z granatów Adamczyka. – Posprzątamy.

Wyjął zawleczkę i wskazał komandosom pierwszy z brzegu pokój. Otworzyli drzwi i zlustrowali wnętrze. Adam cisnął walcowaty przedmiot za załom ściany i rzucił się do pomieszczenia. W tej samej chwili ogłuszający huk wypełnił przestrzeń. Wstrząs był niewielki. Grube betonowe mury mogły znieść znacznie potężniejsze eksplozje bez większego uszczerbku. Do pomieszczenia, szparą pod drzwiami, wdarła się chmura dławiącego pyłu. Odczekali jeszcze dwie minuty, oddychając przez maski tlenowe. Pył opadał dość szybko. Gdy powietrze stało się mniej więcej przejrzyste, Zawada wstał.

– Zbierajmy się. – Otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz.

Granat hukowy spełnił swoje zadanie znakomicie. Podmuch uniósł zasłonę kurzu, która, opadając powoli na podłogę, ukryła wszelkie ślady, jednocześnie nie zostawiając żadnych odłamków czy uszkodzeń na ścianach.

– Genialne. – Adamczyk wyjrzał zza rogu i ocenił widok korytarza. – Musi pan nauczyć tego moją starą.

– Żeby nie nauczył jej czegoś innego. – Filipek pociągnął go za pasek i ruszyli korytarzem za Adamem.

Po sześciu minutach dotarli na drugą stronę kompleksu. Weszli do długiego pokoju wypełnionego pustymi regałami.

– Za chwilę przekonamy się, czy dali się nabrać – powiedział Zawada, przyglądając się płataninie rur biegnących po ścianie. Odcyfrowywał napisy na nich i wreszcie wskazał na trzecią od góry. Miała średnicę niewiele większą niż udo dorosłego mężczyzny i niknęła w ścianie mniej więcej w połowie długości pomieszczenia. – To ta!

Adamczyk powiesił na rurze, przy samej ścianie, pas z granatami, i poczekał, aż opuszczą pomieszczenie. Przeżegnał się, wyjął jedną z zawleczek i pobiegł do drzwi. Miał co najmniej sześć sekund zapasu. Spokojnie dołączył do pozostałych. Pokazał wyciągnięty kciuk i obrócił dłoń znaczącym gestem dokładnie w momencie eksplozji. Wrócili do pokoju nie zważając na kurz. Zgodnie z przypuszczeniami, w miejscu, gdzie rura zniknęła w ścianie, pojawił się nieregularny otwór.

– Claymore’y – zarządził Zawada, a obaj komandosi ustawili w wyłomie cztery ładunki, dwa zostawiając na zapas.

– Pospieszcie się. – Sprawdził czas na zegarku. Powinni mieć jeszcze dwie, trzy minuty, ale wolał nie ryzykować.

– Gotowe – zameldował Filipek.

– Na korytarz.

Wycofali się i na znak Adama komandos odpalił zdalnie wszystkie miny. Szybko wbiegli do pokoju. Otwór powiększył się nieznacznie, ale w stopniu wystarczającym do przejścia na drugą stronę dorosłego człowieka.

– Zapraszam. – Adam wskazał ciemność po drugiej stronie ściany. Dokładnie w tym momencie zgasło światło.

– Są już w sterowni – mruknął Adamczyk, zakładając wolną ręką noktowizor.

– Staszek szybki jest – dodał Filipek i obaj zaśmiali się z żartu, którego major najwyraźniej nie zrozumiał.

– Za dwie minuty będą w windzie – ponaglił ich Zawada.

Zamknęli pomieszczenie magazynowe od wewnątrz i przecisnęli się za Adamczykiem na drugą stronę muru, na zewnętrzną powłokę betonowego kompleksu rosyjskiej bazy. Fragment betonu runął w głąb szybu, z którego wybiegał szereg rur niknących w ścianie.

– To nasza droga do wolności. – Zawada wskazał wąskie wgłębienie obok. – Tam powinna być drabina.

– Oby, bo na Jackie Chana to się chyba pan pułkownik nie nadaje. – Adamczyk wyszczerzył zęby w uśmiechu.

\*\*\*

Sokoły zatoczyły kolejny krąg wokół wzgórza, lecąc nisko i na pełnych obrotach. Minęły pozycje kompanii piechoty wydzielonej do pilnowania stacji przepompowni, i poleciały dalej, w kierunku betonowych placów, stanowiących zaplecze lotniska. Wielkie wrota w ścianach pod skalnym nawisem były otwarte. W jednych stał trafiony rakietą transporter, blokując całkowicie wyjazd. Inne były puste.

Wszystkie ciężarówki na przedpolu płonęły bądź dogasały. Wokół widać było wiele umundurowanych sylwetek ludzkich leżących bezwładnie na spękany beton. Pierwsze uderzenie było zaskakujące i precyzyjne. Ostrzeżeni w porę lotnicy, zamiast tankować, przypuścili szturm na wejście do kompleksu. Sześć Sokołów wyłoniło się w szyku zza linii drzew odpalając wszystko, co miały na pokładzie, dziesiątkując ludzi i sprzęt znajdujący się na zewnątrz. Skoordynowany atak piechoty dokończył dzieła zniszczenia. Teraz trwała złowieszcza cisza. Uwięzieni we wnętrzu góry poznaniacy nie mieli drogi odwrotu. Z Wrocławia ściągano pośpiesznie kilka batalionów gwardii i nieliczne wozy bojowe, które pozostały w garnizonach. W ciągu najbliższych sześciu godzin kordon wokół lotniska powinien się zamknąć.

Pozbawieni paliwa i żywności oblężeni nie mogli się długo utrzymać. Wiedzieli o tym, ale dysponowali jednym, niezwykle ważnym argumentem. Posiadali pełną kontrolę nad dwiema setkami czołgów i niemal

pięćdziesięcioma samolotami ukrytymi wewnątrz góry. Sprzętem, który, jak wszyscy doskonale wiedzieli, stanowił niezwykłą wartość dla przeciwnika.

\*\*\*

Zejsście szybem trwało nieskończenie długo. Adam celowo nie patrzył na zegarek, by nie dobijać się psychicznie. Gdy stanął wreszcie na ziemi, odważył się spojrzeć na cyferblat. Osiem minut! Tyle upłynęło od momentu, gdy postawił stopę na najwyższym szczęblu. Cholerne osiem minut, a wydawało się, jakby to było wczoraj... Chciał coś powiedzieć do towarzyszących mu żołnierzy, ale nie potrafił złapać tchu. Adamczyk pokazał mu gestem, aby usiadł i odsapnął. Zawada posłuchał i osunął się na kamieniste podłoże jaskini. Kątem oka obserwował obu towarzyszy. Wydawali się wypoczęci i rześcy. Znowu palili papierosy, nadal te same, którymi poczęstował ich na górze, przed akcją.

– Zostawcie to... – wyszeptał Zawada, sięgając do kieszeni.

– Co mamy zostawić, panie pułkowniku? – Adamczyk zbliżył się z papierosem w ustach.

Adam zmrużył oczy, gdy żołnierz się zaciągnął.

– Szlag by to – jęknął, usiłując zdjąć z oczu noktowizor.

– Chwileczkę, panie pułkowniku. – Adamczyk przyklęknął i dopasował przyrząd tak, by Zawada miał pole widzenia zarówno w podczerwieni jak i normalne.

– Jak jest za ostry blask, to patrzy pan w dół – wycedził przez zaciśnięte wargi, w których trzymał papierosa.

– Wyplujcie ten niedopałek – wychrypiał Adam.

– Dlaczego? – zdziwił się komandos. – Mam jeszcze kilka machów.

Zamiast odpowiedzi, na kolanach żołnierza wylądowała paczka Marlboro. Pełna, zapasowa, którą Zawada trzymał na czarnej godzinę.

– To dla mnie? – zdziwił się Adamczyk.

– Dla was, ja i tak już umieram...

– Złego licha nie bierze. – Filipek pojawił się jak duch za plecami kucającego Adamczyka.

– Dlatego wy przeżyjecie. – Adam wyjął paczkę, którą napoczął przed wyjazdem z Wrocławia. Zapalił ich sposobem, mrużąc jedno oko i

rozkoszując się dymem wypełniającym skołatane płuca. Zakrztusił się kilka razy, ale nie wyjął papierosa z ust.

– To pana zabije – stwierdził Filipek.

– Oby! Jak na razie widzę parę innych, znacznie realniejszych przyczyn śmierci.

– Gdzie? – zainteresował się komandos. – Czyżby ktoś ukrył tutaj trochę bimberku?

– Poprzedni gospodarz tego lokalu potrafił odsączyć bez strat kroplę wódki, która wylała się na gazetę robiącą za obrus – powiedział Adam. – Wątpię, żeby zapomniał o jakimś baniaczku.

– Nawet jeśli schował go na czarną godzinę?

– Tutaj każda godzina była czarna.

– A tak właściwie, to gdzie jesteśmy? – zapytał nagle poważnym tonem Adamczyk.

– Bunkry centrum dowodzenia osadzone są na kilkuset filarach i sprężynach, które miały kompensować częściowo siłę wstrząsu po eksplozji nuklearnej. To jest właśnie to miejsce.

– Fascynujące.

– Nie bardzo. Teraz musimy znaleźć wyjście, a nie będzie to zbyt łatwe.

– Dlaczego? Mam plany.

– Plany dotyczą tylko wnętrza bunkrów.

– To fatalnie...

– Fatalnie.

Siedzieli przez chwilę milcząc i paląc papierosy.

– Czas się zbierać...

– Chwilę, panie pułkowniku. – Adamczyk przytrzymał Zawadę za ramię.

– Tak?

– Tak się zastanawiam – komandos wskazał na dziesiątki rur znikających w oddali – do czego one służą?

– Pojęcia nie mam – przyznał Zawada.

– Nie są zaznaczone na planach?

– Są, ale...

– Ale co?

– Nic, możemy to sprawdzić. Dlaczego pytacie?

– Tak sobie pomyślałem, że gdyby to były jakieś ważne arterie, to moglibyśmy zrobić im tam na górze kuku.

Adam podrapał się po karku. Komandos miał rację. W niektórych rurach z pewnością znajdowały się przewody elektryczne, prowadzące do central, linie komunikacyjne i mnóstwo innych ciekawych łączy.

– Wiecie, Adamczyk, to jest niezły pomysł. Możemy ich sparaliżować.

– Gdyby dało się odciąć systemy wentylacyjne...

– Tego nie obiecuję, ale... – Ściągnął noktowizor, rozłożył plany i zapalił latarkę przypiętą do ramienia. – Tutaj – wskazał miejsce palcem – tutaj jest węzeł, którym biegają najważniejsze przewody zasilające. Jeśli go wysadzimy, odetniemy im zasilanie w centrali, systemy wymiany powietrza na pasach, oświetlenie, wodę i cholera wie co jeszcze.

– To mi się podoba. – Adamczyk zgasił latarkę Zawady i nałożył noktowizor. – Gdzie to jest?

– Jakieś sto osiemdziesiąt metrów na północny zachód od tego miejsca.

\*\*\*

Traczyk obserwował przedpole przez lornetkę. Wokół panowała absolutna cisza. Tylko jeden wrak płonął nadal, ale znajdował się daleko w głębi i dym nie przesłaniał widoku. Sokoły tankowały, kolejne jednostki rozłokowywano wokół lotniska.

– Co robimy? – zapytał kanclerz, stając obok marszałka.

W autobusie przerobionym na ruchomy punkt dowodzenia panował nieznośny skwar. Niewielki, umieszczony na stole wiatraczek, nie zdawał egzaminu, zwłaszcza, że w ciasnym wnętrzu zebrało się kilkanaście osób.

– Czekamy – odparł Traczyk. – Jeśli na nich uderzymy, zaczną niszczyć sprzęt...

– Myśli pan, że posuną się do tego?

– A pan by im oddał taką siłę niszczenia?

Mróz zamilkł i obejrzał się na Pana Jana, który siedział z tyłu, bliżej uchylonych drzwi. Burmistrz milczał od pewnego czasu. Był wściekły. Wprawdzie poznaniakom nie udało się wyprowadzić dywizji pancernych, ale i wrocławianie ich nie mieli.

– Jak bardzo mogą uszkodzić Twardego? – zapytał nagle Sobieszczuk.

Traczyk zastanowił się.

– Przede wszystkim elektronika. To najłatwiej rozmontować. Kto wie, czy już tego nie robią... Przynęty celownicze, zatarcie silników, granaty w lufach...

– Dość! Musimy rozwiązać tę sytuację. Tu i teraz.

Sobieszczuk poderwał się ze składanego krzeselka i uszył do wyjścia. Henryk spojrział na Traczyka, tamten wzruszył tylko ramionami.

– Frontalny atak niczego nie zmieni – bąknął marszałek zanim Burmistrz opuścił pojazd. – Zdążą zniszczyć wszystko, zanim przedrzemy się do wnętrza.

– Idiota.

To jedno słowo, które padło z ust wychodzącego, spowodowało, że Traczyk najpierw spurpurowiał na twarzy, a potem zbladł. Nie ruszył się jednak z miejsca. Henryk udał, że niczego nie słyszał, i ruszył w ślad za Burmistrzem. Pozostali oficerowie spoglądali na siebie niepewnie.

– Chyba nie zamierza pan tam iść? – kanclerz dogonił Sobieszczuka, gdy ten obszedł już autobus i skierował się wprost na pierwsze z widocznych w oddali wejść.

– Dlaczego by nie? Skoro ta banda debili nie jest w stanie powstrzymać dzieła zniszczenia, może mnie się to uda.

– To regularne oddziały poznańskie, nie pospolite ruszenie z byle wiochy. To nie Leszno. Z nimi nie da się pogadać.

– Doprawdy? Proszę za mną.

– Nie... – wyszeptał Mróz.

– Co pan powiedział?

– To pewna śmierć.

– Pewna śmierć czeka pana, jeśli nie wykona pan mojego polecenia. – Sobieszczuk skinął ręką na żołnierzy pilnujących sztabu.

Henryk zbladł, wiedział, że Burmistrz nie daruje mu odmowy, ale wiedział też, że wyjście na przedpole zakończy się śmiercią. Samo wspomnienie pola minowego sprawiło, że poczuł zimny pot na plecach.

Dwaj wartownicy podbiegli do Pana Jana.

– Zdecydował się pan?

Henryk powoli skinął głową. Prawdopodobieństwo zastrzelenia przez wroga było jednak mniejsze...

– Zorganizujcie mi jakąś białą płachtę – zarządził Burmistrz. – Ale migiem!



– Kusi pan los – mruknął Mróz, gdy żołnierze pobiegli w zarośla.  
– Doprawdy? – Uśmiech na twarzy Sobieszczuka na pewno nie był oznaką radości.

– Któryś z nich kiedyś nie wytrzyma.

– To zrobi panu przysługę.

– O ile to nie ja znajdę się na celowniku pierwszy...

Zamiast odpowiedzi rozległ się śmiech Burmistrza. Zdawał się być szczerze ubawiony uwagą swojego kanclerza.

– Bawi pana to, że nie chcę zginąć w jakiejś bezsensownej pokazówce.

– Nie, panie Mróz, to nie są bezsensowne pokazówki. – Pan Jan spoważniał nagle. – Nie zauważył pan, jak na nas patrzą żołnierze? Proszę sobie przypomnieć Leszno. Przeszliśmy obaj przez pole minowe, bo nie wiedzieliśmy, że to jest pole minowe. To fakt, ale w oczach tamtych ludzi byliśmy prawdziwymi bohaterami, rozumie pan? Nie dlatego, że przeszliśmy przez to pole, o nie. Dlatego, że oszczędziłem w ten sposób setki istnień po obu stronach barykady. Dlatego, że powstrzymałem rzeź i zniszczenie miasta, ryzykując własną głową. Właśnie dlatego ci ludzie mnie uwielbiają. Nie wiem czy pan zauważył pewien fakt dotyczący władców. W całej historii ludzkości albo ich uwielbiano, albo się bano. Ja chciałbym zostać zapamiętany jako ten, o którym lud układa pieśni, a nie tylko ukradkiem spluwa pod pomnikami.

– I dlatego chce pan zginąć na polu bitwy?

– Nie chcę zginąć. Może mi pan wierzyć, że tam pod Lesznem, mając świadomość, że stąпам po minach, zrezygnowałbym z tej formy wystąpienia. Zapewne dotarłbym na linię frontu w jakiś inny, bezpieczniejszy sposób. Jednakże to zdarzenie dało mi do myślenia. Prawdopodobieństwo przejścia przez to pole jednej osoby było jak jeden do stu. Przejście dwóch graniczyło z cudem, nieprawdąż? Zatem, skoro siły wyższe troszczą się o nas, nie powinniśmy się specjalnie przejmować tak niewielkim ryzykiem.

– Pan jest szalony... – Henryk wyszeptał to zdanie.

– Nie bardziej niż Napoleon, Aleksander Wielki...

– A może jak Neron, albo...

– Proszę dokończyć. – Sobieszczuk spojrział z rozbawieniem na czerwieniącego się Henryka.

– Może lepiej nie...

– Śmiało, chodziło panu o Hitlera? – naciskał Pan Jan.

– Czy to ważne? – Mróz wiedział, że zapędził się w kozi róg. Czy odpowie, czy zmilczy, i tak narazi się Burmistrzowi.

– Kto wie? Może nawet bardzo ważne.

– Tak. – Zabrzmiało to mało stanowczo, ale wreszcie przeszło przez gardło kanclerza. – W rzeczy samej. Chodziło mi o Hitlera.

– On też był kanclerzem, czy to nie zabawny zbieg okoliczności? – zapytał Pan Jan.

– Nie widzę w tym niczego zabawnego.

– A ja owszem. Nieprzypadkowo nadałem panu ten tytuł...

– Słucham? – Henryk spojrzał na Sobieszczyka ze zdziwieniem.

– Nie domyślał się pan, czemu mianowałem pana kanclerzem?

– Nie, ale wierzę, że mi pan to powie...

Na tym jednak skończyła się chwilowo wymiana zdań. Jeden ze strażników podbiegł do Burmistrza z białą koszulą. W zasadzie białą, bowiem jedna jej część, teraz nierówno oddarta, musiała być mocno zakrwawiona.

– Nie było niczego lepszego? – zachnął się Pan Jan.

– Melduję, że nie. – Wartownik stanął na baczność. – Sierżant Borowy, to nawet chciał oddać własne gacie, ale były mniejsze i... nie tak białe.

– Niech będzie. – Koszula trafiła w ręce Henryka, który natychmiast zaczął nią powiewać.

– Chodźmy – rzucił Burmistrz.

Ruszyli ku otwartej przestrzeni, ale nie zdążyli zrobić nawet pięciu kroków, gdy z autobusu wypadł jeden z łącznościowców. Rozejrzał się niepewnie, oślepiiony blaskiem słońca, i dopiero po chwili, gdy zaczął odróżniać kształty, pobiegł w kierunku machającego białą flagą Henryka.

– Panie Burmistrzu, panie Burmistrzu! Nawiązaliśmy kontakt radiowy z poznaniakami.

– Bez mojej wiedzy?! – Okrzyk Sobieszczyka zatrzymał telegrafistę w pół kroku.

Zaskoczony, nie wiedział czy mówić dalej, czy milczeć w obliczu gniewu Burmistrza.

– Kto wam pozwolił łączyć się z nimi?

– To... oni... się zgłosili... – wydukał kapral.

– I czegoż to chcą nasi przeciwnicy? – W głosie Pana Jana pojawiła się nutka drwiny.

– Tam coś się dzieje... Wysyłają emisariuszy – wyrzucił z siebie żołnierz. – Chcą negocjować.

\*\*\*

Dotarcie do głównej życiodajnej arterii jednostki 18-210 trwało dłużej niż planowali, ale zorientowanie się tylko po oznaczeniach na rurach i przewodach nie było takie łatwe, jak na początku zakładali. Wiele rozgałęzień tej samej linii powodowało, że musieli lokalizować wszystkie końcówki, by ustalać kierunek marszu. Dokładnie po dwudziestu minutach znaleźli miejsce, którego szukali. Nie wyróżniało się niczym. Taki sam beton, takie same rury, ten sam wszechobecny brud i mrok. Niemniej wszystkie symbole zgadzały się z planem. Zawada zaznaczył to miejsce. Pozostało założyć ładunek. Zdecydowali się na jedną minę. W razie czego mogli poprawić drugim ładunkiem, a gdyby jeden wystarczył, pozostawiali sobie możliwość użycia drugiego w razie palącej konieczności.

Filipek wyszukał kryjówkę w pobliżu. Masywne, żelbetowe łożysko sprężyny było na tyle głębokie, że zmieścili się w nim wszyscy. Adamczyk poklepał grubą jak jego talia, skręconą metalową konstrukcją. Jedną z setek, które utrzymywały kompleks bunkrów nad jego głową.

– Mam nadzieję, że nie siądzie – powiedział, posyłając sprężynie całusa.

– Chyba że ten Claymore ma głowicę wodorową, ale wtedy i tak najpierw wyparujemy – odparł Filipek z szelmowskim uśmiechem, niemniej, przed naciśnięciem wyzwalacza, przeżegnał się.

Sprężyna wytrzymała, nie drgnęła nawet, choć pył obsypał ich rześistym deszczem. Zawada, plując szarym proszkiem i przecierając okular maski, wygramolił się pierwszy. Chciał podbiec do otworu, lecz komandos pociągnął go z powrotem.

– Co robicie – jęknął major, tłukąc się boleśnie w kolano, gdy druga eksplozja rozdarła powietrze, a za nią kolejna i jeszcze jedna.

– Kurwa – szepnął, wystawiając głowę ponad krawędź betonowej osłony. – Pomyliliśmy się. To jakiś magazyn amunicji...

– Raczej odpowiedź naszych przyjaciół – mruknął Filipek po kolejnej eksplozji. – Chyba przebiliśmy się do wnętrza kompleksu. Najwyraźniej ktoś rzuca granatami. Posłuchajcie.

Zamilkli. Cisza nie trwała długo, metaliczny klekot poprzedził kolejne dwie eksplozje.

– Ale jaja. – Adamczyk zaśmiał się, ale zaraz zrzędała mu mina. – Jeśli otwór jest wystarczająco duży...

– Dokładnie, mogą tu zejść...

– Musimy się rozdzielić – uznał Adam. – Rozstawimy się po trzech stronach i likwidujemy tych, którzy pojawią się w otworze. Strzelamy kolejno, Adamczyk pierwszy, Filipek drugi, ja trzeci...

– Zanim zejda, puszcza tu kilka hukowych.

– To mamy przetrenowane.

– Panowie – Adamczyk przerwał rozmowę. – Nie wiem czy zwróciliście uwagę, ale przestali pukać.

Rzeczywiście, zapadła cisza. Kurz i dym powoli opadały. Otwór w betonowej powłoce bunkra rzeczywiście sięgał wnętrza centrum dowodzenia. Adam musiał zdjąć noktowizor, żeby nie oślepnąć. Widocznie zapasowe generatory w centrum nadal pracowały. Poznaniacy byli naprawdę ostrożnymi ludźmi. Chciał coś powiedzieć, ale komandos dał mu znak, by szeptał.

– A może by tak podczołgać się tam i wrzucić im na zgodę parę cukierczków? – zaproponował ściszym głosem Adamczyk.

– Nie radzę. – Adam spojrzał raz jeszcze w kierunku otworu. – Na pewno czają się wokół dziury i tylko czekają.

– Mam jeszcze jednego Claymore'a. – Filipek wziął do ręki minę. – Mogę go przyczepić do betonu tuż obok otworu, nie wchodząc w pole widzenia. Jeśli zrobię to dość cicho, nawet się nie zorientują, a potem sprowokujemy ich do otwarcia ognia i odpalimy ładunek.

Komandos wyjrzał zza zasłony i przez dłuższy moment lustrował teren.

– Na prawo od dziury jest niewielki występ skały, doskonałe miejsce na kryjówkę przed ewentualnym granatem. Odłamkiem nie dostanę, co najwyżej ogłuchnę...

– A rykoszety? – Adam nie bardzo wierzył w powodzenie tego planu.

– Odłamki wejdą w beton jak w masło. – Adamczyk lekceważąco machnął ręką. – Raczej nie ma się czym przejmować.

– To idę. – Filipek wysunął się z kryjówki ciszej niż wąż wypełzający z nory. Adam ze zdziwieniem spostrzegł, że ciężar spoczywający na jego nogach jest automatem komandosa. Spojrzał zdziwiony na Adamczyka, a ten uspokajająco skinął głową.

– Tam nie będzie mu potrzebny, a my w razie czego możemy go osłaniać.

Adam skinął głową i podniósł pistolet. Sprawdził bezpiecznik i przełożył pas przez ramię.

– Dokąd to? – zapytał komandos, widząc jego przygotowania.

– Mieliśmy się rozdzielić.

– Pan tu zostanie, pułkowniku, ja pójdę.

– Ale...

– Nie ma o czym dyskutować. Mam w tym większą wprawę. Jeśli coś usłyszą, zadbają na pewno o rozrywkę, a nie chciałby pan pewnie zeszkrobywać naszego uroczego przyjaciela z munduru. Poza tym to on ma nasze fajki.

Zawada musiał przyznać mu rację. Klepnął Adamczyka w plecy, po czym ułożył się wygodniej i obserwował okolice otworu. Pył jeszcze całkiem nie opadł, więc niewiele widział. Spoglądał co chwilę na zegarek, ale czas jakby zwolnił. Mógłby przysiąc, że sekundnik zatrzymuje się, gdy na niego nikt nie patrzy. Wreszcie dostrzegł pojedyncze błysniecie latarki skierowane wprost na jego stanowisko. Znak niewidoczny z góry. Sięgnął do swojej latarki i mignął raz w stronę Adamczyka. W każdym razie obrał najbardziej prawdopodobny kierunek, jaki mógłby wybrać komandos. Okazało się, że pomyłka wynosiła tylko kilka stopni.

Odpowiedź nadeszła natychmiast. Trzy krótkie błyski. Adam skulił się za osłoną, gdy usłyszał grzechot rzuconego kamienia. To była podpucha, o której mówili komandosi. W kompletnej ciszy usłyszeli jakiś głos i znajomy już metalowy klekot. Tym razem wybuch nastąpił znacznie szybciej. Filipek odpalił Claymore'a, gdy usłyszał pierwszy toczący się granat. W kilka sekund po pierwszej eksplozji rozległy się następne, ale już nie po tej stronie ściany bunkra. Wybuch miny zaskoczył kilku następnych obrońców centrum z odbezpieczonymi granatami. Jeśli nie zginęli od pierwszej eksplozji, ich własna broń dokończyła dzieła. Dzwonienie w uszach spowodowane hukiem powoli znikało, Adam zaczął rozróżniać kolejne dźwięki. Ktoś krzyczał przeraźliwie, ktoś inny kłął.

Zawada wychylił się z kryjówki w samą porę, by zobaczyć jakiś ruch w miejscu, gdzie jeszcze nie tak dawno znajdował się prowadzący do centrum otwór. Odbezpieczył automat, ale nic więcej nie zobaczył; po odpaleniu miny, światło na górze zgasło, a pył utrudniał patrzenie przez noktowizor. Nagle w ciszę wdarły się krótkie serie z broni maszynowej i towarzyszący im suchy trzask małokalibrowego pistoletu. Dobiegały z wnętrza centrum.

– Sukinsyny – mruknął Adam i wyskoczył zza osłony.

Dopadł do otworu i zobaczył, że drugi wybuch wyrwał niemal dwumetrową dziurę w podłodze centrum. Stanął na rumowisku i zajrzał ostrożnie do wnętrza sterowni. Omiótł spojrzeniem połowę sali, ale widział tylko nieruchome ciała i iskrzące panele. Podciągnął się na górę i zamarł. Ktoś poruszył się w odległym kącie sali. Zawada przypadł do podłogi mierząc w stronę, z której dobiegł dźwięk. Przez kilka sekund nie słyszał nic prócz przytłumionych strzałów z korytarza. A potem szelest powtórzył się. Szelest i ciche jęknięcie.

– Wiem, że tam jesteś – odezwał się na tyle głośno, żeby tamten na pewno usłyszał, i przywarł do krawędzi otworu, gotów na każdy podejrzany dźwięk zsunąć się na dół.

– Poddaję się... – jęknął człowiek ukryty za generatorami. – Nie mam broni... Nie jestem nawet żołnierzem.

– Wstań i wyjdź z ukrycia! – rozkazał Zawada.

Szelest przybrał na sile. Tamten najwyraźniej wstawał. Robił to jednak bardzo niezdarne, może był ranny.

– Wyjdź powoli i trzymaj ręce na widoku.

Sylwetka mężczyzny pojawiła się w polu widzenia niczym zielonkawa zjawa. Adam nie mógł widzieć szczegółów, ale tamten musiał być ranny, może nawet poważnie. Stał krzywo i przyciskał jedną rękę łokciem do ciała. Obie dłonie trzymał zgodnie z instrukcją na widoku.

– Kim jesteś? – zapytał Zawada.

– Jestem technikiem. Żołnierze zabrali mnie, bo znam się na hydraulice i mechanice, a we Wrocławiu brakowało specjalistów...

– Jesteś z Wrocławia? – zdziwił się Zawada.

– A niby skąd mam być? – odparł tamten nie mniej zdziwiony.

– To dlaczego kolaborujesz z poznaniakami? – padło następne pytanie.

– Z jakimi poznaniakami? – Mężczyzna nagle wyprostował się i wyjął automat zza pleców; już nie udawał rannego. – Pan jest pewnie z tego

oddziału, który wysłano na rekonesans? – powiedział i głośno odetchnął.

Adam przytaknął, choć tamten nie mógł tego widzieć.

– Co to wszystko znaczy? – zapytał zdziwiony.

– To pan nic nie wie? – odpowiedział kolejnym pytaniem wrocławianin.

– Oni się poddali...

Zawada nie słuchał dalszych wyjaśnień. Sięgnął do komunikatora i zaczął wywoływać swoich ludzi.

\*\*\*

Zmierzchało już, gdy dotarli za most Zwierzyniecki. Transportery opancerzone zatrzymały się na parkingu przy dawnej wytwórni filmów. Adam spojrział przez wizjer na szpalery ludzi z pochodniami, rozciągające się z tego miejsca aż do wejścia do Hali Ludowej. Zadrżał bezwiednie, gdy poczuł na ramieniu rękę gwardzisty.

– Idziemy. – Czyjeś ręce pociągnęły go do włazu i znalazł się na ulicy.

Nadal było gorąco, ale po spędzeniu kilkudziesięciu długich minut w dusznym transporterze, teraz mógł chociaż odetchnąć pełną piersią. Ruszył przed siebie mechanicznym krokiem, zbyt zmęczony, by zwracać uwagę na rozkrzyczanych ludzi, zajmujących każdy skrawek wolnej przestrzeni. Nawet na przewróconej iglicy siedziało pełno gapiów. To zauważył, ale raczej mimowolnie. Zaraz też o nich zapomniał. W głowie pulsował mu niepokojący rytm. W oddali ktoś bił w bębny.

Obaj strażnicy pilnowali, żeby nie zataczał się za bardzo. Pilnowali też, by się nie zatrzymywał. Do wejścia było tak blisko, a zarazem tak daleko. Kilka stopni, których nawet nie zauważył, doprowadziło go do holu, a boczny korytarz do wnętrza największej budowli Wrocławia. Okrąglą salę, zdolną pomieścić kilkanaście tysięcy ludzi, w połowie wypełniał skandujący tłum. Sznury gwardzistów trzymały się za ręce, odgradzając pusty środek od zatłoczonych niemiłosiernie boków.

Zawada wszedł pod ogromną kopułę wąskim przejściem między zgromadzonymi, co rusz szarpany przez zbyt krewkich wrocławian. Starął się nie zwracać uwagi na tych ludzi.

Wiedział, dlaczego go tu przyprowadzono. Rozumiał, ale szczerze mówiąc wolałby spędzić ostatnie godziny w swojej kwaterze i spać, po prostu spać. Niestety, rozkaz Burmistrza był wyraźny. Na szczęście kilka

kroków dalej szpalery rozchodziły się i na podest dotarł już bez większych problemów.

Strażnicy doprowadzili go na miejsce i posadzili w fotelu obok Adamczyka. Komandos uśmiechnął się, ale była to namiastka uśmiechu. Trzeci fotel stał pusty, ale Zawada wiedział, że i Filipek musi pojawić się na tym przedstawieniu. Pomimo ran, jakie odniósł w czasie walki o lotnisko, na pewno zostanie przewieziony do Hali. Taki był rozkaz Pana Jana, polecenie, którego nie mogli zlekceważyć. Zwłaszcza że mieli być jednymi z głównych bohaterów zbliżającego się widowiska.

Adam powoli odpływał w błogą nieświadomość. Ciepło, wygodny fotel i wrzawa zlewająca się w monotonny dźwięk, usypiały go jak szum wiosennego deszczu.

– Nie zasypiaj. – Gwardzista potrącił go lekko ręką.

Drugi ze strażników pochylił się i przesunął pod nosem Adama kapsułkę amoniaku. Głęboki wdech niemal wyrwał mu oczy z orbit. Zakrzuszył się i próbował poderwać z fotela, lecz silni wartownicy przytrzymali go na miejscu. Otrzeźwiony, spojrzał na „oprawców” z wyraźną pogardą, ale zlekceważyli jego miażdżące spojrzenie.

– Zmęczony? – Adamczyk trzymał się znacznie lepiej, choć i on musiał być wykończony.

– Śmiertelnie...

– Tak, to chyba właściwe określenie – mruknął komandos. – Miejmy nadzieję, że to się szybko skończy.

Adam skinął głową i spojrzał na prawo, widząc małe zamieszanie. Kuśtykająca mumia, zbliżająca się do ich sektora, musiała być Filipkiem. Tak sądził, bowiem pokrywające niemal całą twarz bandaże nie pozwalały rozpoznać niedawnego towarzysza walki.

– Skoro jesteśmy w komplecie – powiedział Zawada, gdy posadzono jęczącego z bólu komandosa w ostatnim wolnym fotelu – to i przedstawienie powinno się lada moment zacząć.

I miał rację. Zagrały surmy, a w każdym razie jakieś instrumenty dęte, które nazwano surmami. Ludzie zamilkli, a po chwili salę wypełnił ryk. Zebrani śpiewali hymn, z trudem jednak można było rozpoznać w nim brzmienie starego Mazurka Dąbrowskiego. Tak melodia jak i słowa uległy pewnym zmianom. Adam wstał razem z innymi, ale nie śpiewał. Nie, żeby chciał w ten sposób coś zamanifestować. Nie znał słów, zbyt rzadko



przebywał w mieście, by myśleć o nauce nowego hymnu, a w polu zawsze miał wiele innych zajęć.

Ledwie rozbrzmiały pierwsze słowa pieśni, wszystkie drzwi wejścia frontowego otworzyły się i do wnętrza Hali zaczęli wchodzić nowi ludzie. Ci, w odróżnieniu od zebranych w bocznych sektorach, nie mieli pochodni. Szli w milczeniu i zajmowali swoje miejsca na pustym parkiecie. Jeden za drugim, w idealnie odmierzonych odstępach, szereg za szeregiem, rząd za rzędem. Nim umilkła patriotyczna pieśń, wszystkie miejsca były zajęte. Teraz brakowało już tylko głównego aktora. Ledwie ta myśl przemknęła w umyśle Adama, surmy zagrały raz jeszcze, a wrzawa, jaka podniosła się w bocznych sektorach, sięgnęła zenitu. Tłum skandował imię nadchodzącego, ale najpierw do sali wkroczyli gwardziści, maszerujący równo, jak na paradzie, z pochodniami w uniesionych dłoniach. Ognista linia podzieliła okrągłą salę na dwie równe części. Na sygnał, szereg rozdzielił się, tworząc szpaler. Co drugi gwardzista przeszedł trzy kroki w bok i odwrócił się ku środkowi sali, pochylając pochodnię tak, by dotykała trzymanej przez stojącego naprzeciw. Szlak ognia ciągnął się od drzwi aż do podestu, na którym siedział Adam. Sala zamarła na moment i znów rozbrzmiała skandowaniem, gdy pierwsze, znajdujące się przy drzwiach pochodnie rozdzieliły się przed nadchodzącym człowiekiem.

– Pan Jan! Pan Jan!

Stare, wypalone mury, które nie poddały się nawet nawale atomowego ognia, drżały od krzyku tysięcy zebranych w ich wnętrzu ludzi. A Burmistrz szedł powoli pomiędzy swoimi gwardzistami. Powoli i dostojnie, nie reagując na krzyki. Nie zatrzymywał się, nie pozdrawiał ludzi. Szczerze mówiąc i tak niewielu go widziało. Jedyнным znakiem, że porusza się w kierunku podium, były opadające ognie.

– Ciekaw jestem, kto mu to wymyślił? – szepnął Adamczyk.

– Podobno jakiś facet, który organizował przed wojną galę boksu zawodowego... – Zawada słyszał tę plotkę w koszarach, ale nie dałby głowy, że tak w istocie było. W każdym razie inscenizacja miała wiele cech wspólnych z prezentacją czempionów przed walką.

Burmistrz dotarł do podwyższenia i wszedł na mównicę. Teraz mogli go zobaczyć wszyscy. Ubrany był w czysty mundur polowy, na głowie nie miał jednak czapki. Uniósł ręce i tłum umilkł, jakby ktoś nagle wyłączył fonię.

– Witaj ludu Wolnego Miasta Wrocławia! – Wódz pozdrowił swoich poddanych, a jego głos wzmocniło kilka policyjnych megafonów, przymocowanych do drewnianych poręczy obiegających całą halę.

– Witaj! – odpowiedziały jego zastępy.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj, bowiem chwila jest szczególna. Oto stoją przed wami ludzie, którzy proszą o zaszczyt zostania obywatelami naszej społeczności. Dwa tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci. Dwa tysiące Polaków, z tak odległych miejsc jak Nysa, Kłodzko, Wieluń, Ostrów. Ale nie tylko nasi rodacy przybywają do Wrocławia, zwabieni jego potęgą i mitem! Są między nimi także Niemcy, Czesi, Słowacy, a nawet jedna rodzina z bratnich nam przed wojną Węgier. Ludzie ci przebyli setki kilometrów, setki, powiadam, pozostawiając za sobą wszystko, i po wielu miesiącach tułaczki dotarli tu, do Wrocławia, który nawet w tak dalekich stronach jest już legendą. Wybrali się w podróż nie wiedząc, czy słowa przekazywane z ust do ust są prawdziwe, wybrali się, bo uwierzyli w przeznaczenie. A tym przeznaczeniem jest dla nich i dla nas nowa cywilizacja. Cywilizacja, którą budujemy na gruzach potraktowanej nuklearnym ogniem Europy. Cywilizacja, która pozwoli odbudować to, co w ciągu jednej chwili zostało zaprzepaszczone i zniszczone przez uwikłanych w spiski i korupcję możnowładców w każdym kraju od Uralu po Gibraltar, a nawet dalej.

Pan Jan zamilkł, ale nie zapadła cisza, ludzie krzyczeli jak szaleni. Uciszył ich jednym gestem ręki.

– Oto dwa tysiące oddanych nam sercem i duszą obywateli, którzy swoją pracą udowodnili, że zasługują na miano wrocławian. Tu i teraz przyjmujemy od nich przysięgę na wierność naszemu miastu. Tu i teraz staną się naszymi braćmi, równymi pośród równych, i takimi zostaną, dopóki przestrzegać będą praw rządzących Wolnym Miastem. Wraz z obywatelstwem otrzymają przywilej osiedlenia się w obrębie murów obronnych i zajęcia dla siebie dowolnego lokum, pod warunkiem, że nie jest ono już przez kogoś zajęte.

Znów zamilkł, ale nie opuścił ręki, nakazując ciszę.

– Podobno naśladuje styl mowy Fidela Castro – szepnął Adamczyk.

Stojący obok strażnik, syknął ostrzegawczo. Zawada, nie chcąc się narażać, potwierdził skinieniem głowy, że usłyszał jego słowa.

– Powtarzajcie za mną – powiedział Pan Jan, kierując te słowa do milczących szeregow stojących na środku sali. – Przysięgam na wszystko,

co dla mnie jest cenne... – sala powtarzała za nim, jak echo – ...że przestrzegają będę praw i obowiązków... wolnych obywateli Wolnego Miasta Wrocławia... od dnia dzisiejszego, aż po dzień mojej śmierci...

Ledwie umilkły ostatnie słowa, gwardziści oddzielający boczne sektory przerwali szereg, i tłum zlał się w jedność. Ludzie z pochodniami weszli między nowych obywateli. Ściskali ich, częstowali jedzeniem, przekazywali pochodnie.

– Witajcie w naszej społeczności! – zagrział przed megafony Pan Jan i dał sygnał trębaczom. Surmy zagłuszyły wrzawę i znów nastał moment ciszy.

– Chciałbym wam teraz zakomunikować, drodzy moi rodacy, iż postępy w pracach przy fortyfikacjach miasta są tak duże, że niebawem zakończymy ostatni z fortów, strzegących waszego bezpieczeństwa. Ale... – tu Burmistrz zawiesił głos. – ale, to dopiero pierwszy krok na długiej drodze do odbudowy naszego państwa. Dlatego, w porozumieniu z rajcami Poznania, postanowiliśmy, że w dowód naszej odwiecznej przyjaźni i jedności, wybudujemy nową wielopasmową trasę, łączącą oba miasta. Drogę, która w przyszłości będzie naszym oknem na świat. Autostradę, która połączy nie tylko dwa miasta, ale i społeczności je zamieszkujące, w jeden państwowy organizm. Autostradę na Poznań!

Wrzawa, jaka wypełniła salę, wydała się Zawadzie jeszcze głośniejsza niż poprzednie owacje. Nie wiedział czy to subiektywne odczucie, czy raczej reakcja zmęczonego umysłu. Powoli zamykał oczy. Tymczasem Burmistrz znów uciszył zebranych.

– Tradycją już jest – zaczął, a Adam poczuł na ramieniu dłoń budzącego go strażnika – że w dniu tak uroczystym, jak Dzień Ślubowania, ja, burmistrz Wrocławia, w wasze ręce składam los trzech wyrzutków, którzy podnieśli rękę na święte prawa Wolnego Miasta. Trzech ludzi, którzy złamali Pax Vratislaviana. To wy, nowi obywatele, macie dzisiaj przywilej wydania na nich wyroku!

Skinął ręką i trzech winowajców zostało podniesionych z krzeseł i wywleczonych na środek podestu. Silne dłonie gwardzistów zmusiły ich do klęknienia.

– Oto i oni. Niech imiona tych złoczyńców na zawsze pozostaną w niepamięci. Decydujcie, decydujcie o ich losie.

Strażnicy podnieśli pierwszego.

– Ten oto plugawy niewdzięcznik – Burmistrz wskazał na skazańca – i jego dwaj pomocnicy, miast służyć społeczeństwu, które im zaufało, podnieśli rękę na współbraci, w sytuacji, gdy wszyscy na nich liczyliśmy. Co wybieracie? Jaka kara ma ich spotkać?

Ryk, jaki podniósł się po tych słowach w Hali, zagłuszył nawet najgłośniejsze bębny z Agrykoli. Tłum oszalał, gdy Pan Jan podniósł prawą dłoń, oznaczającą śmierć dla oskarżonych. Las uniesionych rąk był gęsty, nie pozostawiał wątpliwości co do losu skazanych.

– Wydać ich rodzinom pomordowanych – rozkazał Burmistrz, gdy tłum w Hali umilkł.

Rozkaz wypełniono natychmiast, prowadząc oszołomionych mężczyzn na tyły i dalej, korytarzem na Agrykolę, gdzie czekali kaci. W chwilę później głośniejszy i szybszy rytm oznajmił wszystkim zebranym, że sprawiedliwości stało się zadość.

– Jako że dzień ten jest dniem niezwykłym, tak i na koniec pozostawiłem dla was jeszcze jedną niespodziankę. Widzieliście, jak kończą ludzie łamiący prawa, które z mocy urzędu Burmistrza Wolnego Miasta ustanowiłem. Teraz zobaczycie, jak nagradzani są ci, którzy miastu temu służą... – Przerwał na chwilę i wskazał fotele, w których siedział Zawada i obaj komandosi. – Oto bohaterowie dni ostatnich, oto synowie tej ziemi, którzy zasłużyli na najwyższe zaszczyty. Ci, którzy stanęli samotnie do walki z całą armią. Ci, którzy w trójkę powstrzymali siły Republiki Wielkopolskiej przed zdobyciem setek czołgów i samolotów, maszyn, które mogłyby zniweczyć dzieło, jakie wspólnie budujemy. Ci, którzy swoimi czynami oszczędzili życie setek żołnierzy, waszych ojców, braci i synów, a może i was samych. Od dzisiaj generał Adam Zawada jest honorowym obywatelem Wolnego Miasta Wrocławia. Od dzisiaj majorowie Paweł Adamczyk i Tomasz Filipek są honorowymi obywatelami Wolnego Miasta Wrocławia. Niech będą przykładem, jak doceniamy ludzi, którzy nie wahają się oddać życia za naszą sprawę. Okażcie im szacunek i cześć.

Tłum ponownie zaczął skandować. Adam uśmiechnął się, spojrzał na Adamczyka i poczuł nieodpartą chęć zaśnięcia. Prawie dwie doby nieustannego wysiłku przy naprawach szkód w centrali całkiem go wykończyły. Niestety, a może na szczęście, gwardzista z amoniakiem stał tuż obok.

\*\*\*

Namiet rozstawiono na niewielkim żuźlowym parkingu opodal drogi. Pod jasną tkaniną stał prosty, przykryty zielonym sukmem stół turystyczny i sześć krzeseł, z których połowę zajmowali wyżsi oficerowie korpusu. Palili papierosy w milczeniu i spoglądali na asfaltową drogę, znikającą za niewielkim, spalonym motelem. Delegacja rady Poznania powinna być na miejscu już od piętnastu minut, nadal jednak nikt nie nadjeżdżał. Jeden z oczekujących wstał i rzucił wypalonego do filtra papierosa na ziemię. Przeszedł za namiot i przywołał żołnierza, trzymającego wartę przy pierwszym Hummerze. Powiedział do niego kilka słów, a potem, nie zwracając uwagi na krzątanie, jaką zapoczątkowała jego komenda, ruszył na krótki spacer.

Za namiotem rozciągała się szeroka równina zakończona lasem. Osiemset metrów od tego miejsca zaczynała się ściana drzew. Większość z nich była uschnięta, ale czas już leczył rany i w kilku miejscach pojawiły się plamy soczystej zieleni. Natura coraz lepiej radziła sobie z nowymi warunkami. Nie to, co ludzie.

Marszałek Traczyk założył ręce do tyłu i odprowadził wzrokiem wyjeżdżający na drogę samochód. Nie znosił beczynności, a spóźnienie delegatów z Poznania spowodowało, że spędził cały kwadrans gapiąc się na ruiny tandetnego motelu i przylegającego doń parkingu. Potrafił już z pamięci podać numery telefonów i adres do firmy transportowej „Prima” ze Szczecina. Kierowca wielkiej Scanii, należącej do tego przewoźnika, zatrzymał się na pobliskim parkingu przed Atakiem i nie miał już szans na odjechanie. Teraz wrak zasłaniał część widoku na wioskę, a łopocząca na wietrze plandeka przyciągała wzrok jak magnes.

– Panie marszałku! – Okrzyk wartownika wyrwał go z zamyślenia. Spojrzał w kierunku nadbiegającego żołnierza.

– Słucham?

– Mają ich – wysapał grubas ledwie łapiąc oddech. – Jechali bryczką i odpadło im koło na przejeździe kolejowym cztery kilometry stąd. Podobno czekali na drugą bryczkę, ale pod ręką był tylko karawan.

Traczyk uśmiechnął się lekko. To by naprawdę wyglądało ciekawie. Rada Poznania zajeżdżająca w karawanie. Gdyby nie było to tragiczne, zasługiwałyoby na wybuch śmiechu. Ale głównodowodzącemu wojsk

Rzeczypospolitej takie zachowanie nie przystoi. Zmierzył wzrokiem sypiącego i spoconego żołnierza.

– Jak się nazywacie kapralu? – zapytał.

– Baryła, panie marszałku – odparł grubas, usiłując zapanować nad zadyszka.

Miał czerwoną z wysiłku twarz, choć przebiegł zaledwie kilkadziesiąt metrów. Ale przy tej budowie ciała, krótkich i krzywych nóżkach, na których opierał się beczkowaty korpus o wadze znacznie przewyższającej standardy wojskowe, nie mógł wyglądać inaczej.

– Pytałem o nazwisko – mruknął Traczyk. – Nie o to, jak na was mówią.

– Ale ja naprawdę nazywam się Baryła – wyjaśnił żołnierz najwyraźniej dumny ze swojego nazwiska.

– No, tak. – Traczyk nie zamierzał podtrzymywać rozmowy, zwłaszcza, że w oddali pojawił się wracający patrol. – Odmaszerować. I pomyślcie, nad jakimś innym zajęciem, Baryła, bo w wojsku to wy kariery nie zrobicie.

– Tak jest! – ryknął ponownie grubas. – Melduje posłusznie, że mój ojciec był oficerem, i dziadek, i pradziadowie. Tak i ja w ich ślady idę, żeby...

– Postarajcie się szybko awansować, zanim dostaniecie zawału biegnąc do ataku – marszałek uciął wypowiedź kaprała i poszedł w stronę namiotu, zastanawiając się, czy przodkowie tego żołnierza wyglądali tak samo jak on.

Dotarł na miejsce w samą porę. Ledwie usiadł, na żwirową nawierzchnię parkingu wjechał Hummer i z chrzęstem zahamował na wprost stolika. Jeden z żołnierzy kompanii wartowniczej podbiegł do tylnych drzwiczek i otworzył je na całą szerokość, zastygając obok w postawie zasadniczej.

Z wnętrza łazika wysiedli trzej mężczyźni. Byli dość porządnie i czysto ubrani, co zaskoczyło Traczyka. Do tej pory napotkani w terenie ludzie wyglądali żałośnie. Dwa lata życia w realiach wypalanej atomowym ogniem Europy sprowadziły ich do poziomu włóczęgów, jacy kiedyś zaludniali dworce i grzebali po śmietnikach. Teraz jednak widział przed sobą starszych, zadbanych mężczyzn w nienagannie skrojonych garniturach, które wprawdzie nosiły ślady pewnego znoszenia, ale

wyglądały imponująco wobec przykurzonych mundurów żołnierzy jego korpusu.

Wyszedł zza stolika, aby ich przywitać i stanął przed najstarszym z przybyłych. Siwy, szczupły jegomość o szczurzej twarzy, zmierzył go wodnistymi oczami zza okularów w szylkretowych oprawach. Trwało to chwilę, ale w końcu poznaniak wyciągnął dłoń na powitanie.

– Hrabia Jędrzej Maria Banecki – przedstawił się. – Jestem przewodniczącym Rady Miasta Poznania i faktycznym przywódcą społeczności Republiki Wielkopolskiej. Oto moja wizytówka.

Traczyk przyjął niewielki kartonik, po czym uściśnął chudą i wiotką dłoń starca, wkładając w ten uścisk jak najmniej siły.

– Adam Traczyk – przedstawił się kolejno wszystkim nowoprzybyłym.  
– Naczelnny wódz armii Czwartej Rzeczypospolitej Polskiej.

– My nazywamy ją armią wrocławską – skwitował jego wypowiedź Banecki. – Przynajmniej na razie.

Traczyk nie odpowiedział, wskazał dłonią wolne miejsca przy stole, zapraszając tym gestem delegatów, by usiedli. Mimo optymistycznych zapowiedzi Burmistrza, który już fetował we Wrocławiu zwycięstwo, wiedział, że negocjacje nie będą łatwe. Poznaniacy byli akademikami z wieloletnim stażem i wybitnymi postaciami przedwojennej nauki. Tak określili ich ludzie z wywiadu, którzy operowali w okolicach Poznania kilka dni temu, by zebrać dokładniejsze dane o sytuacji w mieście. Dlatego Traczyk postanowił osobiście stawić się na to spotkanie na przedmieściach miasta. Wybrał też dwóch najinteligentniejszych oficerów sztabowych, jakich miał do dyspozycji. Zapowiadały się ciekawe rokowania.

– Zdaje sobie sprawę – zagał marszałek – że sytuacja jest dla panów dość krępująca, ale musimy jak najszybciej dojść do konsensusu w jednej sprawie. Poznań jest ostatnim znanym nam zorganizowanym miastem, które nie przyłączyło się do Rzeczypospolitej...

Przerwał, dla podkreślenia wagi słów, jakie zamierzał wypowiedzieć za chwilę, ale hrabia Banecki zabrał głos dosłownie na sekundę przed podjęciem wątku.

– Panowie żądacie od nas bezwarunkowej kapitulacji, jak sadzę – podsumował wypowiedź marszałka.

Zaskoczony Traczyk skinął głową.

– Przedwczoraj, na ostatnim posiedzeniu Rady Miejskiej, wydano dyrektywę, która nakazywała mi odmówić jakichkolwiek rozmów na ten temat.

– W takim przypadku narazi pan Poznań na frontalny atak naszych wojsk, których rozlokowanie i siłę, jak mniemam, zdążył pan już poznać.

– Mniej więcej – odparł enigmatycznie hrabia. – To, że posiadaliście wcześniej setkę czołgów i kilkanaście helikopterów, to fakty ogólnie znane. Podobnie jak to, że dwie kolumny wojsk zmechanizowanych z jednostki 18-210 stoją już niemal u bram miasta.

– Nie kryliśmy się z tym specjalnie.

– Wiem. Jak już mówiłem, przedwczorajsza dyrektywa obligowała mnie do pewnego zachowania, ale postanowiłem, że negocjacji nie będzie.

– To znaczy? – Traczyk aż pochylił się nad stołem, słysząc te słowa.

– Oto klucze do bram miasta – powiedział Banecki.

Jeden z towarzyszących mu mężczyzn wyjął z teczki mahoniowe pudełko. Otworzył je pokazując wszystkim trzydziestocentymetrowy, złoty klucz.

– Oto akt kapitulacji – kontynuował hrabia, a zarazem przewodniczący rady, wyciągając z kieszeni marynarki złożoną we czworo kartkę papieru. – Bezwarunkowej, jak panowie tego sobie życzyli. Podpisałem ją dzisiaj rano.

– Nie bardzo rozumiem. – Traczyk przez dłuższą chwilę nie mógł pojąć, co się dzieje. Znał twarde stanowisko poznaniaków, był przygotowany na długie i żmudne rozmowy, a tymczasem po minucie miał już wszystko. Coś tu śmierdziało, i na pewno nie był to zapach znajomy żołnierzowi.

– Czego pan nie zrozumiał? – zapytał spokojnie hrabia Banecki.

– Dlaczego pan to robi, wbrew woli rady?

– A kto powiedział, że robię cokolwiek wbrew woli rady?

– Pan...

– Nic podobnego. Stwierdziłem, że jeszcze przedwczoraj rada była temu przeciwna, ale dzisiaj, w świetle nowych faktów, uznaliśmy, że każda przelana niepotrzebnie kropla krwi może mieć wielkie znaczenie. Dlatego poddaliśmy nasze oddziały w Borach Dolnośląskich i nie pozwoliliśmy na zniszczenie tych czołgów i samolotów, które wyprowadziliście na przedpola naszego miasta, choć było to w naszej mocy.



– Pan coś wie – mruknął marszałek. – Coś, o czym i ja powinienem się jak najszybciej dowiedzieć.

Hrabia, a zaraz potem i pozostali poznaniacy skinęli głowami.

\*\*\*

Królicki siedział w pierwszym transporterze kolumny osłony, stojącym zaledwie o czterdzieści metrów od wozu dowódcy. Nie wystawił nosa na zewnątrz od kilku godzin. Wprawdzie Rada Poznania dała gwarancje nietykalności żołnierzom wjeżdżającym na teren przez nią kontrolowany, ale dowództwo korpusu wolało nie ryzykować. Sami zainteresowani też woleli siedzieć na tyłkach z bronią gotową do strzału i czekać na rozkazy. Królicki zastosował się do poleceń obserwując otoczenie przez wizjery kamer. Początkowo nie dostrzegł niczego niezwykłego; ot normalne widoki miasta zrujnowanego Atakiem. Dzielnica, przez którą przedostali się do Poznania, nie była nawet tak zniszczona, jak się tego spodziewali.

Kamienice na ulicy prowadzącej do centrum miały nawet szyby w niektórych oknach. Popękane jak szlag i poklejone, ale wciąż trzymające się w ramach. Niewiele było śladów po pożarach, z ulic uprzątnięto gruz, choć wielkie pryzmy cegieł, betonu i spróchniałego drewna nadal zagradzały chodniki. Królicki żywił nadzieję, że zatrzymają się gdzieś przy Starym Mieście, może przy Dworcu Głównym, skąd miałby kilka kroków do domu, ale nie dane mu było zobaczyć znajomego skweru, i szarej kamienicy w której spędził kilkanaście najszcześniejszych lat życia.

Kolumna pancerna przemknęła przez miasto i wkrótce minęli północne rogatki Poznania, kierując się ku Pniewom. Zdziwieni, wyglądali od czasu do czasu przez wizjery, ale kierujący kolumną nie odpowiadali na coraz częstsze pytania. Dopiero godzinę później, tuż przed miastem, zaczęli zwalniać. Pierwsze, na razie rzadkie zabudowania wyglądały na nietknięte, choć, jak się dokładniej przyjrzeć, widać było skutki odległej eksplozji nuklearnej. Gdy wozy zwolniły, Królicki postanowił wyrzeć na zewnątrz. Klimatyzacja przy większej szybkości chłodziła wewnątrz transportera, ale gdy stawał...

Odciągnął rygiel i wysunął głowę przez właz. Poczł orzeźwiający powiew świeżego powietrza na twarzy, a po chwili zimny dreszcz wędrujący powoli od lędźwi w górę. Tego, co zobaczył za kikutami

spalonych drzew, nie spodziewał się w najgorszych koszmarach. Szeroka, choć nie piaszczysta plaża, pofalowana powierzchnia wody i wyłaniające się z niej ruiny domów...

– Kurwa... – jęknął chorąży Marzec, żegnając się odruchowo. Przepchnął się obok nóg dowódcy i zobaczył obraz na monitorach. – Co to jest, skąd ta woda? Myślałem, że jedziemy na Pniewy?

– Powódź chyba... – odpowiedział mu kapitan. Odruchowo, bowiem to, co widział, nie mieściło mu się w głowie i z pewnością nie mogło być dziełem przyboru wód odległej o kilka kilometrów Mogilnicy. Nagle przypomniał sobie, że jego mechanik pochodził z tej właśnie miejscowości.

Ktoś otworzył przedni właz. Promienie słońca wdarły się do wnętrza wozu, podświetlając miriady drobin kurzu unoszącego się w kabinie. Królicki spojrzał nieprzytomnie na jasny krąg, w którym poczęli znikać kolejni członkowie jego załogi. Marzec nadal gapił się w wizjer, Zbyszek pociągnął go za ramię. Żołnierz poddał się temu naciskowi i bezwolnie podążył za dowódcą.

Wysiedli z wozu i ruszyli, jak wszyscy niemal uczestnicy konwoju, ku poszarpanemu krańcowi szosy, która urywała się nagle, przed zderzakiem pierwszego Groma.

Poniżej, kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym zatrzymali transporter, kończył się ląd, a zaczynało morze. Dwieście kilometrów od dawnej linii brzegowej. Szum przyboju docierał wyraźnie do uszu Królickiego, w powietrzu wyczuwało się ulotny zapach jodu. Szara pofalowana powierzchnia wypełniała pole widzenia aż po horyzont, ale wciąż nie mógł uwierzyć swoim zmysłom.

Marzec ruszył mechanicznym krokiem w kierunku niezbyt stromego osypiska, potykając się o kawałki gruzu i fragmenty jezdni. Minął obojętnie Hummera, z którego wydostali się już oficerowie i towarzyszący im radni. Zsunął się po ziemistym zboczu i dotarł do brzegu. Nie zwracając uwagi na obmywającą mu stopy zimną wodę, szedł dalej. Ktoś krzyknął. Jeden głos, potem drugi przemknęły mu przez głowę. Znajome, ale jakże dalekie. Dopiero odgłos wystrzału osadził go w miejscu. Odwrócił się do zebranych na plaży towarzyszy broni. Potem raz jeszcze spojrzał na morze, którego nie powinno tutaj być. Opadł na kolana i nabrał w ręce zielonkawej wody. Przepływała szybko pomiędzy palcami, ale poczuł charakterystyczny zapach i pieczenie soli na każdej świeżej ranie. A tych miał na dłoniach wiele.

Ktoś szarpnął go za ramię. Poczuł ręce, które wywlekają go z wody. Nie reagował, dał się podnieść i przetransportować na brzeg. Ułożono go obok wozu dowodzenia, na brezentowej płachcie, która zazwyczaj służyła do przykrywania skrzyń z amunicją i uzupełnieniami na postojach. Siedział tak, jak go zostawili czując łyzy spływające po policzkach. Słone, jak wody morza, które uderzało w kamienisty brzeg zaledwie kilka kroków stąd.

– Żołnierzu!

Ostry głos Traczyka wyrwał go z apatii. Spojrzał w górę i zobaczył grupę ludzi.

– Tak? – wymamrotał.

– Co z wami, do cholery?! Wstańcie, jak do was mówię!

Wstał. Nie czuł się zbyt pewnie, ale wstał.

– Stopień i nazwisko! – ryknął Traczyk.

– Chorąży Andrzej... Marzec... Mechanik... Drugi batalion piechoty zmechanizowanej... – odpowiadał mechanicznie, nie bardzo skupiając się na tym, co mówi.

– Po jaka cholere włąziliście do wody? – nie ustępował marszałek.

– Tam mieszkam – wymamrotał pancerniak, wskazując na morze. – Tam jest mój dom... Ten szary, przechylony... Tam są okna mojego pokoju, te otwarte, przez które przelewa się teraz fala...

\*\*\*

Traczyk stał na końcu chodnika, zaledwie o metr od miejsca, w którym ziemia przegrała z naporem wody. W sztabie już od dawna krążyły opowieści o powodziach na północy, ale wszyscy brali je albo za propagandę, mającą na celu odstraszyć potencjalnych agresorów, albo za bujdy wyssane z palca i legendy. Nigdy nie wysłano Sokołów tak daleko na północ, pierwsza maszyna wysłana na rekonesans nad Wielkopolskę nigdy nie wróciła. Druga zdążyła nadać tylko jeden meldunek, po którym powstały te pogłoski. Potem zaczęła się ofensywa na południe i kłopoty z paliwem, a wieści wędrownych kupców i uchodźców – w te nigdy nie wierzone. Tymczasem wszystko to okazało się prawdą.

– Dla nas to codzienność – stwierdził stojący obok hrabia Banecki. – Poziom wody wciąż się podnosi, ale proces jakby słabnie. Profesor Grzegorz Gałuszka wyliczył kiedyś, że ilość wody z roztopionych w

wyniku nuklearnej wojny lodowców może podnieść poziom oceanów w stopniu wystarczającym do zalania kilkunastu procent znanych lądów, a procesy geologiczne z tym związane spowodują zapadanie się płyt kontynentalnych w wielu miejscach. Zwłaszcza w centralnej Europie. Na Światowym Forum Geologicznym naśmiewano się z niego. Żałuję, że żaden z jego interlokutorów nie dożył do dzisiaj. Z przyjemnością pokazałbym im ten widok.

– Tak, trudno w to uwierzyć...

– Znacznie trudniej z tym żyć – odparł stary arystokrata. – W wietrzne dni szum fal jest nie do wytrzymania. Obawiam się, że za rok, dwa, będziemy musieli przyzwycząić się do tego i w Poznaniu.

Traczyk spojrział na Baneckiego i uśmiechnął się, widząc jego raczej rozbawione oblicze.

– Widzę, że nie opuszcza pana humor, panie hrabio.

– W ciężkich czasach tylko to mi pozostało.

– Jesteście w stanie to wytłumaczyć? – marszałek wskazał na morze.

– Naukowo? Tak, oczywiście.

– A przystępnie? – zapytał Traczyk raz jeszcze, ale już mniej zdecydowanym tonem.

– Przystępnie też. – Banecki ujął go za łokieć i ruszyli wzdłuż zerwanego chodnika. – Wedle naszych ocen, w pierwszej fazie wojny kilka mocarstw użyło głowic jądrowych do destabilizacji uskoków tektonicznych. Wiele się pisało na ten temat przed wojną, ale decydenci zbywali takie publikacje śmiechem. Niemniej Amerykanie i Sowieci, a nawet Chińczycy, pracowali nad sprawdzeniem, jak groźne może być odpalenie ładunków nuklearnych w miejscach, gdzie stykają się płyty tektoniczne. Nie wiem czy pan ma świadomość, że traktaty o zakazie prób podziemnych właśnie z tego powodu były kilkakrotnie łamane. Swego czasu, pod koniec lat dziewięćdziesiątych minionego stulecia, pewien profesor z PAN wysnuł ciekawą teorię na ten temat. Po kolejnej próbie w Chinach prorokował serię wstrząsów na południu Europy, w Turcji, Grecji, nawet na Półwyspie Apenińskim. Wyśmiano go i wyrzucono z pracy. A potem w ciągu kwartału mieliśmy kilka potężnych wstrząsów, musi pan to pamiętać, między innymi wtedy zawalił się strop katedry w Asyżu.

– Rzeczywiście, pamiętam. Wcześniej były wstrząsy w Turcji; wysyłałiśmy nawet kilku ratowników z naszej jednostki.

– Widzi pan, u nas traktowano to jak nedorobione teorie, ale mocarstwa drażyły temat. Nie mnie sądzić, jakie wyniki otrzymano w tych testach, ale chyba na tyle obiecujące, że doktryna wojenna przyjęła uderzenia na uskoki jako więcej niż pożądane. A to, drogi panie marszałku, jest pośredni efekt takiego działania. – Banecki zatoczył laską półkole, wskazując na horyzont widoczny pomiędzy podtopionymi domami.

Traczyk zdjął czapkę i otarł pot z czoła.

– Zawsze zdawało mi się, że Polska leży z dala od takich uskoków.

– Bo i leży. – Hrabia uśmiechnął się i pokręcił lekko głową. – Też i skutki u nas są raczej mało odczuwalne. Nie wiem czy pan kiedykolwiek słyszał o pewnej teorii, którą głoszono w związku z potopem. Tym biblijnym.

– Szczerze mówiąc, nie śledziłem...

– Rozumiem, rozumiem. – Banecki pokiwał głową, nie komentując – Otóż kilku naukowców wysnuło taką tezę, iż niemożliwe jest, by woda na całym globie podniosła się tak znacznie. Niemożliwe, bo nie ma tyle wody na powierzchni planety, zważywszy całkowite roztopienie czap polarnych, co z oczywistych względów nastąpić nie może.

– Wierzę na słowo.

– Ale ślady na Araracie i w innych miejscach wyraźnie świadczą, że kataklizm taki mógł mieć miejsce.

– Czyżby interwencja sił nadprzyrodzonych? – W zamierzeniu miał to być żart, ale suchość w gardle marszałka sprawiła, że słowa te sugerowały coś wręcz przeciwnego.

– Otóż nie. – Hrabia chyba nie zwrócił na to uwagi. – Jakkolwiek i takie rozwiązanie ludzie, zwłaszcza wierzący, mogą brać pod rozwagę. Już jakiś czas temu stwierdzono, że pod powierzchnią skorupy ziemskiej są wielkie morza, ogromne oceany nawet, i w pewnych warunkach ta woda, ściśnięta ogromnym ciśnieniem naporu miliardów ton skał, uwolniła się na skutek czynnika, którego nie sposób dzisiaj określić. Uwolnienie to było na tyle gwałtowne, że lądy znalazły się w krótkim czasie pod wodą, i tylko najwyższe szczyty znajdowały się na powierzchni, a proszę pamiętać – Bliski Wschód, kolebka naszych cywilizacji, w wysokie góry nie obfituje.

– I co się stało z tą wodą?

– Nie mnie powinien pan pytać... Jak już wspomniałem, to jedna z teorii, nie pamiętam jej dokładnie, ale myślę, że mamy tu do czynienia z

podobnym zjawiskiem. Podnoszący się poziom wody powoduje większy nacisk na dolne pokłady skorupy ziemskiej, które miejscami nie wytrzymują tego naporu i zapadają się. Szczecin, Koszalin, Gdańsk, te miasta zniknęły z powierzchni ziemi zaraz po Ataku, przy pierwszych trzęsieniach ziemi. Jedyne świadectwa tych kataklizmów przynieśli uchodźcy, ale upadek Bydgoszczy albo Piły już obserwowaliśmy sami. Ziemia po prostu zapadała się, gdy woda pokryła dany teren. Nie została wypłukana, ale zapadała się, jakby naciskana dodatkowym ciężarem. W jednym miejscu o pięć metrów, w innym nawet dwadzieścia i więcej. Jeśli pan ma ochotę, możemy wybrać się do Torunia, to kwestia dni, zanim to miasto podda się żywiołowi. Podobno część starówki już runęła, nie dalej jak przedwczoraj...

– Skąd pewność, że ten proces nie będzie trwał dalej, aż pochłonie cały kraj? – Traczyk spoglądał na morze z przestachem, a gdy jedna ze skrajnych płyt chodnika, na którą stąpił nieostrożnie, zsunęła się po piaszczystym zboczu, odruchowo się przeżegnał.

– Pewności nie ma, ale jak już wspomniałem, ostatnimi czasy procesy te wyraźnie słabną. Dysponujemy wyliczeniami, które świadczą, że już za rok sytuacja powinna się ustabilizować. To bardzo złożony proces. Nie znamy wszystkich jego przyczyn, niemniej z tego, co wiemy, zapadliska były pochodną trzęsień ziemi, a te, dzięki Bogu, już od roku nie nawiedzają naszego regionu.

– Czyli nie ma powodu do obaw.

– Wy we Wrocławiu, nie macie czego się bać, my i owszem.

– Jesteśmy pięćdziesiąt kilometrów od rogatek Poznania. Skoro proces wygasa, a te upały...

– Nie widział pan najlepszego. – Hrabia strącił kamyk, leżący na skraju urwiska i patrzył jak ten, pociągając za sobą następne, toczy się na brunatną plażę.

– Skoro pan tak mówi...

– Od strony Obornik, wzdłuż koryta Warty i parku krajobrazowego, już w pierwszych miesiącach po Ataku utworzyło się ogromne, szerokie na kilkadziesiąt kilometrów zapadlisko. Jego południowy skraj jest oddalony zaledwie o siedem kilometrów od tablicy z napisem Poznań.

– Rozumiem. Przyznał pan jednak, że zdecydował się na poddanie miasta ze względu na nowe okoliczności. Jak rozumiem, to nie należy do

nowości... – Marszałek wskazał na morze.

– Raczej nie – przyznał hrabia. – Niedługo zobaczy pan, co skłoniło nas do zmiany zdania. A raczej usłyszysz.

W tonie, jakim Banecki wypowiedział to zdanie, była nuta prawdziwego niepokoju, nieobecna do tej pory w głosie starego arystokraty. Stali jeszcze przez chwilę, spoglądając na Bałtyk, którego fale rozbijały się zaledwie kilka metrów od skraju urwiska. Widok setek wystających z wody domów był naprawdę niesamowity. Zważywszy słoneczną, wręcz upalną pogodę i charakterystyczny szum, zdawało się, iż to kadr z filmu fantastycznego.

– Panie hrabio!

Ten głos należał do jednego z miejscowych policjantów. Traczyk drgnął, wyrwany niespodziewanym okrzykiem z zamyślenia.

– Już czas, panie marszałku. – Rajca wskazał laską wejście do pobliskiej chałupy.

Ruszyli w tamtą stronę, dostosowując tempo marszu do kroków Baneckiego. Na środku okolonego grubymi murami placu, pod maskującą siatką, znajdowało się stanowisko nasłuchu. Na drewnianych stołach ustawiono stare radiostacje, wyciągnięte chyba z muzeum techniki. Ebonitowe obudowy, skale i pokręta wywoływały uśmiech na ustach wrocławskich żołnierzy. Ale lampowe urządzenia działały bez zarzutu, nawet po tylu latach. I sprawały się doskonale.

Banecki spojrzał na zegarek.

– Jeszcze trzy minuty – powiedział.

– Do czego?

– Zaraz pan zobaczy.

Hrabia podszedł do pierwszego z brzegu stanowiska i odebrał od żołnierza ciężkie słuchawki. Podał je marszałkowi, a sam wziął drugą parę.

– W zasadzie powinienem powiedzieć, że zaraz pan usłyszysz – poprawił się Banecki, gdy już mieli archaiczne urządzenia na uszach.

Brak pianki powodował, że dźwięki z otoczenia były słyszalne równie dobrze, jak dobiegający ze słuchawek szum. Operator kręcił cały czas gałkami dostrajając częstotliwość. Static w słuchawkach to stawał się głośniejszy, to cichł, ale nadal nie udało się wyodrębnić z niego niczego ciekawego.

– Nie bardzo rozumiem... – zaczął Traczyk, ale uniesiony w górę palec hrabiego uciszył go.

Radiotelegrafista trafił na coś, co przypominało przekaz. Zniekształcone słowa stawały się coraz głośniejsze wraz z dostrojeniem, i wkrótce odbierali dwa wyraźne głosy:

– ...*Xie sie... ai zhen shi an, da Jiang...*

– ...*da xie, dui zhang...*

Traczyk spojrział zdziwiony na stojących wokół ludzi i ściągnął słuchawki, nie czekając na zakończenie transmisji.

– Zrozumiał pan coś z tego? – zapytał Baneckiego.

Tamten pokręcił głową.

– Nic a nic. Co więcej, choć to może wydawać się nieprawdopodobne, nie mamy w Poznaniu nikogo, kto zna dialekt mandaryński albo kantoński. Jak się okazało, wszystkie restauracje orientalne, a było ich przed wojną wiele, prowadzili Wietnamczycy.

– To nie to samo? – zapytał z głupia frant Traczyk. – Zdaje się, że te kraje graniczą ze sobą.

– Graniczyły, to prawda. Ale to nic nie znaczy. Powiedzmy, że ich języki mają podobny stopień pokrewieństwa jak polski i ugrofiński. A przypomnę, że swego czasu mieliśmy wspólną granicę z Austro-Węgrami.

– Jest pan pewien, że to Chińczycy?

– Absolutnie. Wiem to od naszych Wietnamczyków. Nikt, tak jak oni, nie przyrządza szczurów...

– Jednego nadal nie rozumiem – powiedział zamyślony marszałek. – Co w tym strasznego, że odbieracie transmisje z Chin?

– Rzecz w tym, drogi panie – odparł Banecki, zdejmując swoje słuchawki – że założyliśmy ten posterunek celem uściślenia namiarów, ponieważ mieliśmy dość uzasadnione podejrzenia, iż ta transmisja nie pochodzi z Chin. Nasi krótkofalowcy twierdzą, że sygnał został nadany z odległości nie większej niż dwa i pół tysiąca kilometrów. Dlatego chciałbym, by i wasza stacja radiolokacyjna we Wrocławiu dokonała synchronicznego namiaru. To da nam całkowitą pewność.

– Niech Bóg ma nas w opiece – mruknął Traczyk, biegnąc do wozu dowodzenia. Miał nadzieję, że poznaniacy się mylą. Bardzo chciał mieć taką nadzieję. Ale po dziesięciu minutach wiedział, że wyliczenia krótkofalowców były więcej niż dokładne.



## Część Trzecia

# Granica

Zawada rozejrzał się po zrujnowanym centrum dowodzenia. Dziurę w podłodze załatano, przewody połączono, ale większość pulpitów nie nadawała się do niczego. Odłamki granatów przerobiły je skutecznie na iskrzącą wciąż kupę złomu.

– Cholera, żebym to ja wiedział... – Zdawało mu się, że przeklął w myślach, ale ciekawe spojrzenia żołnierzy i techników uświadomiły mu, że albo są telepatami, albo zaczyna mówić sam do siebie.

Naderwane drzwi skrzyknęły, gdy popchnęło je od zewnątrz czyjeś ramię. Adam rzucił okiem na wchodzącego i uśmiechnął się. Major Adamczyk przyjechał na lotnisko dzień wcześniej. Został szefem ochrony obiektu i w momencie przyjazdu nowego dowódcy jednostki 18-210 ustawiał zewnętrzne linie komunikacyjne. Dopiero teraz wrócił i od razu przyszedł się zameldować. W czystym, świeżo wypranym mundurze oficerskim prezentował się znakomicie.

– Spocznij. – Zawada poklepał go po ramieniu i wskazał głową korytarz. Wyszli na zewnątrz.

– Zastanawiałem się, kogo przyślą na to stanowisko – powiedział komandos – a kiedy usłyszałem, że to pan, uznałem, że mam niespotykane szczęście.

– Liczy pan na stare znajomości, majorze? – Uniesiona brew *a'la* James Bond nadała twarzy generała groteskowy wygląd.

– Raczej na szczodropliwość dowódcy na odcinku fajek – odparł z kamienną twarzą Adamczyk.

– Tak, na to może pan liczyć, majorze. A tak na marginesie, jak wygląda zabezpieczenie obiektu?

– Absolutnie zadowolająco. Mamy cztery kompanie wartownicze w bunkrach i starych umocnieniach przedpola, stanowiska artyleryjskie na wzgórzu i po dwie Loary z każdej strony. Teren jest już uprzątnięty, wszystkie wraki wylądowały w parowie na północnym zachodzie. Poznaniacy zabrali swoich zabitych, nasi polegli zostali pochowani tutaj, obok starego cmentarza Rosjan.

Adam nie powiedział ani słowa. Z dwunastu zabitych, dziewięciu padło z rąk Adamczyka i Filipka. A mogło być o wiele więcej ofiar, gdyby nie pewien rezolutny mechanik...

– Nie wiem, dlaczego sprowadzono tutaj tyle sprzętu i ludzi – mówił tymczasem komandos. – Przecież poznaniacy są już po naszej stronie, a innych pretendentów do skopania tyłka nie widać.

Adam rozejrzył się i zniżył głos do szeptu.

– Mam nieco inne informacje.

Major zatrzymał się i spojrzał zaciekawiony na swojego dowódcę.

– To dlaczego ja o tym nic nie wiem? Mam wszystkie certyfikaty dostępu...

– Droga służbowa, majorze, droga służbowa. Na razie to tajemnica, i zaledwie kilka osób z otoczenia Burmistrza orientuje się w sprawie. Z tego, co wiem, dzisiaj o osiemnastej dostaniemy szczegółowe rozkazy i informacje dotyczące tej sprawy.

– A tak nieoficjalnie?

– Wiem tyle, że wywiad namierzył kogoś, kto może nam zagrazać.

Adamczyk potarł palcem brodę.

– Niemcy? Bo chyba nie Ruscy...

– Nie pytaj, bo nie wiem. Dostałem rozkaz sprawdzenia stanu lotniska do godziny osiemnastej. Muszę mieć szczegółowe raporty. Zadbaj o nie ze swojej strony. Będziemy mieli kilku ważnych gości.

– Tak jest, panie generale.

– Nie tak oficjalnie, przynajmniej tam, gdzie jesteśmy sami... – Zawada wyjął paczkę Marlboro i poczęstował komandosa. – Co tam słyhać u Filipka?

\*\*\*

Ostatni w sali odpraw pojawił się Pan Jan. Punktualnie o osiemnastej przekroczył próg stołówki w sektorze mieszkalnym centrum dowodzenia, który zamieniono na pomieszczenia sztabowe do momentu zakończenia prac remontowych w pozostałych sekcjach bazy 18-210.

Zawada przygotował wszystko zgodnie z życzeniem sztabu. Ściągnięto stoły, odkurzono korytarze prowadzące do windy, ustawiono nadesłane z Wrocławia meble. Przy stole w wygodnych fotelach siedzieli już marszałek Traczyk i jego dwaj zastępcy w randze pułkowników, których jednak Adam nigdy wcześniej nie widział. Sąsiednie miejsca zajmowali dwaj cywile, jak go poinformowano, poznaniacy. Byli to starsi, nienagannie ubrani panowie o dość wyszukanych manierach. Zawada z przyjemnością patrzył, jak z dystynkcją słodzili herbatę podaną w obitych cynowych kubkach, pamiętających chyba poprzednią wojnę światową. Prócz tej piątki, w sali znajdowało się trzech oficerów z ochrony i Adamczyk, zajęty do ostatniej chwili sporządzaniem raportów o stanie lotniska. Tylko dwa fotele były wolne; dla Burmistrza i jego kanclerza.

– Witam panów – powiedział Pan Jan, gdy poderwali się z miejsc, by go przywitać. – Myślę, że nie powinniśmy tracić czasu na konwenanse, jeśli mamy stąd wyjść jeszcze dzisiaj. Panie Henryku, proszę o wprowadzenie obecnych w stan naszej wiedzy...

Mróz otworzył trzymaną pod ręką teczkę i podszedł do stojaka, na którym ochroniarze zawieszali właśnie zwiniętą w rulon mapę.

– Każdy z panów posiada częściową wiedzę o tym, o czym mam zamiar mówić, ale żaden nie wie wszystkiego. Dlatego pozwolą panowie, że pokrótce streszczę sytuację, w jakiej się aktualnie znajdujemy.

Odwrócił się do stojaka i pociągnął za dolną krawędź płótna, rozwijając je na całą długość. Szepty, jakie rozległy się za jego plecami, świadczyły o tym, że przynajmniej dla kilku osób mapa ta była całkowitym zaskoczeniem.

– Tak, moi panowie, wzrok was nie myli. – Odsunął się, by mogli zobaczyć więcej szczegółów. – Oto nowa mapa naszego kontynentu, sporządzona przez naszych najlepszych analityków na podstawie zdjęć, jakich dostarczyły bezzałogowe samoloty zwiadowcze, mimowolny dar od zaprzyjaźnionej Ameryki.

Zamilkł, spoglądając na opadnięte szczęki Zawady, Adamczyka, nawet pułkowników z otoczenia Traczyka. Sam marszałek też wyglądał na zaskoczonego, wiedział, że kataklizm przybrał ogromne rozmiary, ale to, co zobaczył, przekraczało zdrowe pojęcie.

Na wyblakłych konturach Europy czarnym kolorem naniesiono nowe linie brzegowe. A zmiany były ogromne. Poziom wody w oceanach podniósł się zaledwie o kilkanaście metrów, ale kilkumiesięczna aktywność sejsmiczna i ogromne zapadliska sprawiły, że miejscami, morza wdarły się w głąb lądu na setki kilometrów.

Nie było już państw nadbałtyckich. Jarosław, Twer i Smoleńsk byłyby miastami portowymi, gdyby nie fakt, iż nuklearna pożoga pozostawiła z nich jedynie zgliszcza. Z Białorusi zostało samo wspomnienie. Od Orszy, przez Babrujsk i Baranowice po Brześć ciągnęły się rozlewiska, z których gdzieśgdy wystawały niewielkie archipelagi skalistych wysp. Polska skurczyła się o jedną trzecią. Siemiatycze, Maków, Płock, Włocławek, Poznań, Gorzów, wytyczały nową linię brzegową. Podobnie jak Berlin, Magdeburg, Kassel, Dortmund i Kolonia. Holandia, Belgia i Luksemburg zniknęły. Nawet jedna wysepka nie wyłaniała się ze srebrzystej toni nad masowym grobem wielu nacji.

Francuzi mogli zapomnieć o Paryżu; jedno z najbardziej przygnębiających zdjęć, jakie dotarły do centrum analitycznego pochodziło właśnie z tego miasta. Tylko dwa punkty wystawały z wody: szczyt wzgórza Montmartre z wypalonymi ruinami bazyliki i samotny wierzchołek przechylonej, ale nadal stojącej wieży Eiffla. Cała reszta wielomilionowej metropolii została pochłonięta przez chłodne wody Atlantyku. Wieżowce dzielnicy La Defence nie sprostały falom przyboju i trzęsieniom ziemi. Czterdziestokondygnacyjny nowy Łuk Triumfalny podzielił ich los. Dzisiejsi Frankowie, o ile jeszcze jacyś istnieli, mogli podziwiać przypiływ w Reims, Orleanie, Clermont-Ferrand. Wietrzna Bretania spoczęła na dnie oceanu, dzieląc los mitycznej Atlantydy.

Los Wysp Brytyjskich nie był jeszcze znany. Armia posiadała tylko trzy maszyny typu PredatorPlus, wprawdzie nie były one przystosowane do zbyt dalekich lotów, ale dzięki dogodnym o tej porze roku wiatrom i dodatkowym zbiornikom paliwa miały zasięg dwóch tysięcy dwustu kilometrów. Zdecydowano, że będzie to przelot w jednym kierunku, co pozwalało na prawie dwukrotne zwiększenie zasięgu, ale i utratę co

najmniej dwóch z trzech zwiadowców. To właśnie te ograniczenia sprawiły, że badanie statusu Brytanii pozostawiono na później.

Już pierwsze przesłane zdjęcia utwierdziły nadzorujących operację oficerów co do słuszności tego założenia. Dwa skazane na rozbicie samolociki ruszyły na zachód wzdłuż nowych wybrzeży, rejestrując obiektywami szpiegowskich kamer każdy metr nowych granic kontynentu. O ile na północy sprawa była jasna, to na południu postanowiono podzielić zadanie pomiędzy dwa samoloty. Strefa bałkańska została w gestii trzeciej maszyny badającej wschód. Jakiegokolwiek odstępstwa od wytyczonej trasy nie wchodziły w grę, paliwa było tyle, by maszyny mogły dotrzeć w pobliże hiszpańskiej granicy. Tam też znalazły się po siedmiu godzinach spokojnego lotu i zanim zakończyły funkcjonowanie, zdążyły zbliżyć się do siebie na odległość sześćdziesięciu kilometrów. Nie oddalając się specjalnie od linii brzegowej...

Hiszpania ukryła przed oczami zebranych swoje tajemnice. Prócz jednej. Wiadome było, że jest teraz wyspą. Woda wdarła się do stóp Pirenejów od północy i południa, łącząc chłodniejszy Atlantyk z ciepłymi prądami Morza Śródziemnego. Cała Prowansja z zabytkowymi miasteczkami, całe Lazurowe Wybrzeże z setkami kurortów było teraz wielkim trzystukilometrowym archipelagiem.

Półwysep Apeniński ze zrozumiałych przyczyn został sfotografowany do połowy, ale tu, o dziwo, prócz kilku wąskich cieśnin dzielących dawną Italię na trzy części, nie zanotowano wielu zmian. Wezuwiusz, sterczący jako wyspa z wód znacznie większej niż dotychczas Zatoki Neapolitańskiej, zasnuwał niebo wielokilometrową warstwą dymu. Osady i popiół, pokrywające oddalony o szesnaście kilometrów brzeg, świadczyły o długotrwałej aktywności tego wulkanu. Aktywności, która bez wątpienia zabiła wszelkie życie na ogromnych połaciach półwyspu. Górzyście tereny na północ od tego miejsca oparły się żywiołom, ale z Rzymu zostały tylko szkliste zgliszcza.

Bałkany, podobnie jak Grecja, znalazły się w strefie aktywności sejsmicznej i zmiany, jakie zarejestrowano na tym terenie, świadczyły dobitnie, że krainy, w których powstawały zaczątki najstarszych europejskich kultur, odeszły w niepamięć. Dziesiątki czynnych wulkanów, miasta zrównane z ziemią, popękana na setki wysp płyta kontynentalna nie dawały żadnej nadziei Helladzie. Okrutny los był bardziej łaskawy dla

Rumunii i Bułgarii. Wody wdarły się szerokim frontem na rozległe równiny tych krain, tworząc ogromne rozlewiska sięgające Sofii i Bukaresztu, ale obie metropolie przetrwały. Oszczędzone im zostało nawet bombardowanie podczas wojny. W każdym razie na zdjęciach nie było śladów poważniejszych eksplozji, jednak trzęsienia ziemi odcisnęły tam swoje piętno.

Trzeci samolot rozpoznawczy po zbadaniu tych obszarów wrócił na lotnisko, by zatankować zbiorniki i wyruszyć raz jeszcze, prosto na południowy wschód. Tym razem dotarł aż do granicy ukraińsko-rosyjskiej. Zdjęcia tamtego rejonu nie pozostawiły żadnych wątpliwości. Po zagłębieniach Doniecka i Zaporozu nie zostało nic. Krym był malutką, odległą o setki kilometrów od nowego wybrzeża wysepką, w której centrum ział ogromny krater trafionego głowicą wodorową Symferopolu.

Wielu z tych szczegółów zebrani nie mogli zobaczyć, ale Henryk widział wszystkie zdjęcia. Nadzorował osobiście przenoszenie danych na mapę. Był chyba jedyną osobą, która ogarnęła wcześniej całość, lecz nie odczuwał z tego powodu dumy.

– Jak rozumiem, to w pełni potwierdzone dane? – zapytał jeden z poznaniaków, szczupły starszy jegomość.

– Tak, panie hrabio, w stu procentach – odparł Henryk bez chwili namysłu. – Zdjęcia nie kłamią.

– A co ze Skandynawią? – To pytanie padło z ust zastępcy Traczyka.

– Jeszcze opracowujemy dane. Od kilku dni nad tamtym terytorium szaleją huragany, nie mogliśmy w pełni zweryfikować uzyskiwanych danych, a na dodatek musimy oszczędzać ostatnią maszynę na wypadek...

– Panowie. – Burmistrz pochylił się do przodu i oparł obie dłonie na blacie stołu. – O czym wy do cholery mówicie? Jakie znaczenie ma w naszej sytuacji, czy na terenie Szwecji i Norwegii istnieje jeszcze jakakolwiek cywilizacja? Marginalne, moi panowie, marginalne. Wikingowie i ich długie łodzie mieli swoje pięć minut w historii ludzkości, od setek lat te rejony już się nie liczą. Naszym problemem nie jest fakt, że Europa została w tak wielkim stopniu zalana, ale to, że w chwili obecnej znajdujemy się osamotnieni na jej wschodniej flance. Dokładnie w najwęższym i najłatwiej dostępnym miejscu. A to rodzi problemy. Prawdziwe problemy. Proszę kontynuować, i nie odbiegać od tematu.

– Obawiam się, że to ma jednak wielkie znaczenie – odparł hrabia. – Z tego, co tu widać, nie ma już dostępnych pól naftowych na Ukrainie, jak sądzę, Bliski Wschód też zniknął z powierzchni ziemi, to nawet więcej niż pewne. Jeśli mamy przetrwać, musimy dowiedzieć się, co z platformami wiertniczymi na Morzu Północnym i złożami gazu w Norwegii.

– Z całym szacunkiem, jeśli nawet te platformy ocalały, to nasze rafinerie znajdują się głęboko pod wodą – uciął dyskusję Pan Jan. – Nie zdołamy odbudować tej gałęzi przemysłu, zanim nadejdą Chińczycy. Poza tym, jeśli nie ma złóż na wschodzie, nasz przeciwnik ma ten sam problem. Proszę kontynuować.

– Oczywiście, panie Burmistrzu. Informacja, jaką za chwilę panom przekażę, a którą Pan Jan przed chwilą anonsował, jest na razie ściśle tajna. Wywiad Republiki Wielkopolskiej odebrał cztery tygodnie temu, drogą radiową, pierwsze sygnały pochodzące ze wschodu. Nie udało się ich do tej pory odczytać, mimo iż przekonani jesteśmy, że nie są szyfrowane. Trwają wciąż usilne poszukiwania osób, które studiowały orientalistykę, ale jak na razie znaleźliśmy tylko dwóch japonistów. Obaj potwierdzili nam, że meldunki, które odbieramy, są pochodzenia chińskiego, ale nie potrafili w żaden sposób pomóc w ich rozszyfrowaniu.

– Do rzeczy panie Mróz – ponaglił go Burmistrz.

– Oczywiście. – Henryk odwrócił się do niego. – Chciałem jedynie naświetlić wszystkim zebranym sytuację...

– To już pan naświetlił. Przejdźmy do konkretów.

– Tak jest. Wczoraj zyskaliśmy całkowitą pewność, że meldunki te pochodzą z korpusu ekspedycyjnego, który zmierza prosto na nasze wschodnie rubieże.

Zapadła cisza.

Wszyscy zebrani, prócz Burmistrza, wyglądali na mocno podenerwowanych.

– Czy dysponujemy jakimkolwiek rozpoznaniem? – zapytał po chwili Adamczyk.

– Oczywiście. – Mróz sięgnął do swojej teczki i położył na stole kilka zdjęć. – To cały materiał, jaki udało nam się chwilowo zebrać. Staramy się zachować daleko idącą ostrożność, żeby zbyt wcześnie nie odkryto naszej obecności.

Major sięgnął po plik zdjęć zrobionych z dużej wysokości i lupę, którą zapobiegliwi sztabowcy przygotowali przed spotkaniem. Studiował przez kilkanaście sekund pierwsze z nich, potem następne i kolejne. Pozostali zebrani czekali, milcząc i obserwując jego coraz bardziej skupioną twarz. Wreszcie odłożył plik na stół i przesunął go w kierunku Zawady. Ten spojrział pobieżnie na zdjęcia, ale brak wprawy w czytaniu takich obrazów sprawił, że od razu przekazał je dalej, do rąk zastępcy Traczyka.

– I co pan o tym sądzi, majorze? – zapytał niespodziewanie Burmistrz.

Adamczyk milczał. Nerwowo przygryzał dolną wargę.

– Proszę się nie obawiać, my nie zabijamy posłańców, niosących niepomysłne wieści. – Opanowany, ale chłodny ton wypowiedzi Pana Jana nie pozostawił komandosowi wyboru.

– Nie jestem autorytetem w tych sprawach... – zaczął.

– Autorytety już się wypowiedziały – przerwał mu Burmistrz. – Pytam o pańskie zdanie w tej sprawie, zdanie praktyka.

– Nie mamy szans.

– Nawet z tym arsenałem, który tu odkryliśmy? Razem z siłami Republiki możemy wystawić prawie czterysta wozów bojowych, siedemdziesiąt dwa samoloty myśliwsko szturmowe i szesnaście tysięcy przeszkolonych żołnierzy.

– Za pozwoleniem pana Burmistrza, cały ten sprzęt jest tyle wart, co paliwo do niego, a tego nie mamy w wystarczającej ilości, by prowadzić walkę pozycyjną nawet przez kilka tygodni. Dane z przepompowni były optymistyczne, ale nie dla skali działań, jakie dotychczas prowadziliśmy. Zapasu paliw lotniczych wystarczy może na kilkadziesiąt godzin lotów treningowych i do zatankowania wszystkich samolotów do pełna podczas misji, ale jednym uderzeniem nie zniszczymy tego korpusu.

– Tych korpusów... – uściślił Henryk, wpadając w słowo majorowi.

– Słucham?

– Są co najmniej trzy takie korpusy, posuwające się równolegle na zachód. W tej chwili przeczesujemy wschodnią Ukrainę w poszukiwaniu kolejnych, ale na dziewięćdziesiąt dziewięć procent mogę powiedzieć, że są tylko trzy takie zgrupowania. Każde o podobnej liczebności. – Mróz podszedł do mapy i wskaźnikiem pokazywał kolejne pozycje wojsk chińskich. – Południowy korpus zajął przed tygodniem Żytomierz, a teraz zmierza prosto na Tarnopol. Drugi, centralny, pozostał jak na razie z tyłu,



przegrupowując się w okolicach Czernobyla. Trzeci zmierza szosą na Brześć. W chwili obecnej znajduje się o sześćdziesiąt kilometrów od Pińska. Na szczęście jednostki te posuwają się bardzo wolno.

– Pięknie, myślałem, że to zdjęcia jednej formacji z różnych okresów czasu.

– I to wszystko, co może nam pan powiedzieć?

– Nie, oczywiście, że nie. – Adamczyk zebrał zdjęcia i analizował je raz jeszcze, tym razem znacznie dokładniej. – Ciężko ocenić to w tak krótkim czasie, ale widzę tu trzy zgrupowania cywilno-wojskowe, bez wątpienia dość liczne. Szacowałbym ich liczebność na 20-30 tysięcy ludzi w każdym korpusie. Oczywiście mogę się mylić, ale jeśli nawet przeszacuję dane o sto procent to nadal stanowią potężną siłę uderzeniową. Formacje te są rozciągnięte na dość dużej powierzchni, co czyni je odpornymi na ataki bronią masowego rażenia. Ten korpus, na przykład, podzielony jest na sześć sekcji, każdej z nich towarzyszą duże stada bydła, które prócz jedzenia, dostarczają też siły pociągowej dla cięższego sprzętu widocznego w ostatnich sekcjach. Jeśli się nie mylę – Adamczyk wziął do ręki jedno z powiększeń – to większość zwierząt jest zaprzęgnięta do samochodów i ciężkiego sprzętu. Tutaj widać wyraźnie, że transportowane w ten sposób są też działa. Jeśli je zliczyć...

– Staraliśmy się to zrobić – przerwał mu Henryk. – Nasi analitycy szacują, że każdy z korpusów ma powyżej stu dział na wyposażeniu.

– No właśnie, to nie są działka małego kalibru, a przy tej liczebności piechoty, nawet słabo uzbrojonej, w co osobiście wątpię, nie utrzymamy linii frontu. Mimo tego, że nie dysponują bronią pancerną.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Nasz Predator sfotografował na torach w pobliżu Briańska kilkadziesiąt potężnych składów transportowych, chronionych przez samobieżne wyrzutnie rakiet i artylerię przeciwlotniczą... W tym wiele cystern... Niestety, nie mogliśmy się do nich zbliżyć bez wykrycia, zatem dysponujemy zapisami z dużych wysokości.

– W pobliżu Briańska? To grubo dalej, niż wynosi punkt bez powrotu – jęknął Adamczyk. – Straciliśmy ostatnią maszynę zwiadowczą?

Kanclerz spojrział na Pana Jana, ten skinął lekko głową.

– Wprawdzie nie należy to do tematu, ale mogę panów uspokoić, maszyna ta jest w pełni sprawna i cały czas patroluje tamten teren –

powiedział Mróz.

– Wyśleliśmy niewielki oddział zwiadu elektronicznego w okolice Nowohradu – dodał Burmistrz.

– Pięknie, to oznacza, że Chińczycy mają też od cholery ciężkiego sprzętu – powrócił do tematu Adamczyk, spoglądając na kanclerza jak wygłodniałe dziecko na niedostępne ciastka z wystawy cukierni. – Mógłby pan naświetlić wszystkie fakty zanim zdecydujemy, czy popełnić rytualne samobójstwo?

– Przedstawiłem już wszystkie sprawdzone fakty. Jakkolwiek by to nie wyglądało, zwiadowcy zarzekają się, że torowiska na przestrzeni niemal stu kilometrów zajęte są przez kilkadziesiąt bardzo długich pociągów.

– To najlepszy sposób na transport ciężkiego sprzętu przy chronicznym braku paliwa. – Niespodziewanie poparł majora jeden z pułkowników siedzących obok Traczyka. – Takie rozłożenie sił wydaje się bardzo prawdopodobne. Piechota wsparta lekkim uzbrojeniem posuwa się w głąb terytorium przeciwnika, siły pancerne podążają w pewnej odległości za nimi, gotowe wkroczyć do akcji, jeśli awangarda napotka silne gniazda oporu. Wprawdzie sam trzymałbym odwody pancerne bliżej szpicy, ale w tym wypadku Chińczycy mogą mieć pewne opóźnienia związane z naprawą szlaków.

– Skoro pokonali już główne rzeki Rosji – wtrącił Adamczyk – tempo przemieszczania się transportów może ulec znacznemu przyspieszeniu.

– Dokładnie taką taktykę zastosowalibyśmy – drugi z pułkowników odłożył zdjęcia – w przypadku prowadzenia podobnej operacji. W momencie konfrontacji straż przednia zatrzymuje się i jeśli wymagają tego warunki czeka na trzon sił pancernych. Tak też zapewne się stanie, gdy pierwszy z korpusów napotka nasze siły.

– Moglibyśmy zniszczyć tory na dużych odcinkach, co opóźniłoby... – wtrącił jeden z cywilów.

– Wątpię, Karolu, czy to coś da, prócz odwleczenia wyroku – przerwał mu drugi, nazwany przed chwilą hrabią. – Panowie nie zwracają uwagi na jeden szczegół. To nie jest zwykła wyprawa wojenna. Ryzykowałbym stwierdzenie, iż wojska te szukają ziemi obiecanej dla swojego narodu. Sugerowałbym sprawdzenie, jak wygląda sytuacja za Uralem, a może już po tej stronie gór. Być może mamy do czynienia z nową Wiosną Ludów, z zapowiadany w przepowiedniach zalewem żółtej rasy.

– Azja zdrowo oberwała, to wiemy z odczytów – powiedział Burmistrz.  
– Wojna rozpoczęła się na terenie Indii i Pakistanu. Tamtejsza broń atomowa nie była najczystsza. Środki przenoszenia też nie były najlepsze. Chiny dostały i od Rosji, i od Ameryki. Obie części Korei zapewne nadal świecą w nocy.

– Proszę nie zapominać o trzęsieniach ziemi – przypomniał hrabia.

– Ma pan rację – zgodził się Pan Jan. – Jeśli traktować hipotezę o bombardowaniu uskoków jako prawdziwą, a wstrząsy rejestrowane i na naszym terenie świadczyły, że jest to wielce prawdopodobne, to skala zniszczeń w południowo-wschodniej części kontynentu była niewyobrażalna. To mogło sprawić, że Chińczycy zapragnęli znaleźć nową ojczyznę. A droga do Europy była dla nich najprostszym rozwiązaniem.

– W takim razie wypadałoby założyć, że za tymi korpusami posuwa się reszta nacji – uznał Hrabia.

– Nie chcę nawet zgadywać ilu ich idzie – mruknął Traczyk.

– Może nie tak wielu... – odparł drugi z cywilów towarzyszących hrabiemu.

– Skoro korpusy ekspedycyjne są tak liczne – Banecki mówił to z zafrasowaną miną – a proszę zauważyć, że ich liczebność musi być ograniczona przez zdolność pozyskania pożywienia, to śmiem twierdzić, że czeka nas wizyta, co najmniej kilku milionów zdesperowanych Azjatów.

– Z każdym słowem zbliżamy się do katastrofy – mruknął Adamczyk. – Po obejrzeniu tych zdjęć wiedziałem, że walka nie ma wielkiego sensu, ale byłem gotów ją podjąć. Po stwierdzeniu, że są trzy korpusy, uważałem, że byłoby to samobójstwo, ale nadal widziałem szansę w uderzeniu znienacka i zdecydowanej wojnie pozycyjnej. Pociągi uświadomiły mi, że nawet taki romantyczny, typowo polski zryw zakończyłby się pewną klęską. Ale dobiliście mnie informacją o milionach uchodźców. Pomijając inne aspekty tej sprawy, nie mamy tyle amunicji, żeby ich powstrzymać, a co dopiero przegnać.

– Może powinniśmy się wycofać... – szepnął Adam.

– Dokąd? Za Cieśninę Pirenejską? Na resztki Wysp Brytyjskich? Pomijając starcia z tamtejszymi mieszkańcami, o ile tacy są, tylko opóźnimy naszą przegraną. Oni zajmą cały kontynent i jeszcze im będzie mało.

– A może da się ich skierować... – zaproponował mężczyzna zwany Karolem – do Afryki.

– To raczej niewykonalne – odparł Henryk, nadal stojący pod mapą. – Zważywszy zniszczenia w Europie, Bliski Wschód przestał fizycznie istnieć, nie ma już lądowej łączności z Afryką. To prawie pewne.

– Co najmniej dwa z tych korpusów tak czy inaczej zahaczą o Polskę, a jeśli okaże się, że stanowimy problem, trzeci może nas oskrzydlić od południa – powiedział Adamczyk. – Nie jesteśmy w stanie pilnować naszych granic na tak rozległym terenie.

– Pańskim zdaniem nie mamy szans w otwartym starciu? – Burmistrz wstał powoli ze swojego fotela i ruszył w kierunku mapy.

– Przy tym stanie zapasów, najmniejszych.

– A panowie, co sądzą? – Te słowa skierowane były do pułkowników Traczyka.

– Bez paliwa nie damy rady – podsumował jeden.

– Nawet z paliwem będzie to walka z góry przegrana – dodał drugi. – Przetrzymają nas. Mamy amunicję na dwa, trzy tygodnie niezbyt intensywnych zmagañ. Potem już tylko bagnety.

– A pańska opinia, generale Zawada?

– Rozciągną front na takiej przestrzeni, że nie będziemy w stanie się bronić. Mimo zapadania się gruntu, nadal mamy trzysta, czterysta kilometrów potencjalnej linii starć. To po jednym wozie bojowym i po trzeciej części samolotu na kilometr. Nie mówiąc już o zapasach. Zarzucają nas czapkami.

– Rozumiem, a co powie nasz głównodowodzący?

Traczyk rozłożył bezradnie ręce.

– Tylko cud może nas uratować – powiedział Pan Jan. – Ale nie mamy wyjścia, musimy opracować najlepszy z możliwych planów obrony...

\*\*\*

Oficjele wyjechali jeszcze przed północą. Burmistrz pożegnał wszystkich chłodno, ale bez wielkiej złości. Nawet on musiał przyjąć z pokorą tak jednoznaczne opinie wszystkich zebranych. Historia niejednokrotnie udowadniała, że pewne szczytne przedsięwzięcia upadały ze względu na nieprzewidywalne okoliczności. Dzisiaj wszystko

wskazywało na fakt, że i tym razem dzieło odtworzenia państwa polskiego, choć tak sprawnie prowadzone, mogło spełznąć na niczym.

Zawada stał na betonowej rampie, obserwując, jak odlatuje Sokół ze sztabowcami i odjeżdża samochód z Poznania. Pan Jan stał obok niego, kanclerz zszedł już do kolumny samochodów.

– Dokonaliście panowie wielkich czynów – powiedział Burmistrz, ściskając dłonie Adama, a potem majora Adamczyka. – Miałem nadzieję, że wasz osąd będzie się różnił od zdania moich analityków, którzy zawsze szukają dziury w całym...

– Jeśli dojdzie do walki, będziemy bić się do końca – zapewnił komandos – ale nie mogliśmy skłamać.

– Rozumiem. – Pan Jan wziął głęboki wdech. – Zrobiłem wiele, aby ten kraj nie musiał już nigdy cierpieć pod jarzmem najeźdźcy. Zrobiłem naprawdę wiele... nie dla siebie, nie tylko dla siebie... Mam nadzieję, że to rozumiecie...

– Tak jest – potwierdzili w tym samym momencie.

– Mam nadzieję, że naprawdę to rozumiecie... – Te słowa Burmistrz wypowiedział już znacznie ciszej, tuż przed tym nim ruszył ku samochodowi.

Milczeli, nie chcąc wypaść na pochlebców. Samochody ruszyły z parkingu i skierowały się do podnóża rampy. Zasalutowali, gdy mijała ich czarna limuzyna.

\*\*\*

Tajemnicę udało się utrzymać przez dwa tygodnie. W tym czasie zebrano dokładne dane o liczebności i uzbrojeniu chińskich korpusów. Każdy z trzech członów nadchodzącej armii liczył od dwudziestu sześciu do trzydziestu tysięcy żołnierzy. Każdy posiadał wsparcie niemal stu czterdziestu dział średniego i dużego kalibru oraz stu lekkich wozów bojowych, transportowanych teraz w zaprzęgach wołów, czy też innych rogatych zwierząt. Śladów obecności wrogiego lotnictwa nie stwierdzono, za to nowe zdjęcia pociągów potwierdziły najgorsze przypuszczenia. Były to ogromne transporty ciężkiego sprzętu pancernego i zaopatrzenia dla pierwszej linii. Jak wkrótce obliczono, na lawetach znajdowało się ponad sześćset czołgów, a do tego kilkadziesiąt ruchomych wyrzutni rakiet

średniego zasięgu. Istniało duże prawdopodobieństwo, że kilka z nich mogło być wyposażonych w głowice jądrowe, ale nie mówiono o tym głośno. Ku zgrozie wywiadu, na kolejnych zdjęciach transportów odkryto zamaskowane konstrukcje, które mogły być kadłubami śmigłowców bojowych. Zatem przeciwnik w razie czego nie musiał być ślepy i głuchy, na co po cichu liczono w Bastionie. Co gorsza, ilość cystern w korpusach i transportach sugerowała, że siły te mogą pozostawać w gotowości operacyjnej znacznie dłużej niż dywizje Traczyka.

Gwoździem do trumny była jednak wiadomość potwierdzająca przypuszczenia o fali uchodźców, zmierzających za armiami Państwa Środka. Na wypalonych stepach Kazachstanu i u podnóża Uralu kamery Predatora zarejestrowały ogromne masy ludzi, wędrujących w kierunku żyznych równin Europy. Miliony Chińczyków szły pieszo, niekiedy z dobytkiem, w poszukiwaniu ziemi obiecanej. Wielu zostawało w napotkanych miejscowościach, w miejscach oszczędzonych przez wojnę, ale ta ludzka rzeka zdawała się nie mieć końca.

Sztab generalny obliczył, że konfrontacja nastąpi najpóźniej za cztery do sześciu miesięcy. Tyle bowiem czasu potrzebowały szpice skośnookich armii na dotarcie do linii Wisły, które w zamierzeniu strategów miały być ostatecznymi pozycjami obronnymi armii Rzeczypospolitej. Zamierzano wybudować tam ogromne linie umocnień i rozlokować wszystkie dostępne siły pomiędzy Warszawą a Krakowem, by powstrzymać marsz korpusów Północnego i Centralnego. Sztabowcy liczyli, że stanowczy opór silnych i zorganizowanych jednostek może zmusić agresora do obejścia terytorium Polski i pozostawienia jej chwilowo w spokoju. Zwłaszcza gdyby udało się pozbawić Chińczyków zaplecza...

Taktyka taka, choć krótkowzroczna, zdawała się być jedyną sensowną alternatywą wobec poddania się napływającej masie uchodźców. Nie rodziło to nadziei na długotrwały pokój i trwałość państwa, ale odsuwało widmo natychmiastowej klęski. O ile trzeci z korpusów nie przyszedłby w sukurs atakowanym siłom i nie rozbił linii obrony od tyłu... Rozważano i taki rozwój sytuacji, ale jedynie w zaciszu sztabowych gabinetów. Propaganda starała się przedstawić sytuację w jak najlepszych barwach, a ci, którzy znali całą prawdę, milczeli. Z jednej strony obawiali się zapowiedzianych kar, a z drugiej nie chcieli odbierać tysiącom rodaków nadziei.

Zawada doprowadził jednostkę 18-210 do stanu pełnej gotowości bojowej na tydzień przed terminem. W sztabie zdecydowano, że podziemne lotnisko w Borach Dolnośląskich będzie miejscem stacjonowania wszystkich sił lotniczych Czwartej Rzeczypospolitej. Doskonale ukryte i zaopatrzone, miało stanowić zaplecze frontu podczas zbliżającej się konfrontacji. Mechanicy dokonali przeglądu wszystkich zgromadzonych tam maszyn i wyselekcjonowali trzydzieści dwie najlepsze. Osiem kluczy F-16 miało stanowić trzon uderzeniowy, Suchoje i Migi uzupełniały te siły. Niestety, amerykańskie myśliwce nowej generacji wciąż były niesprawne. Zresztą użycie większej liczby samolotów uszczupliłoby zapasy paliwa w stopniu uniemożliwiającym dłuższe działanie w warunkach frontowych, a właśnie na wsparcie lotnictwa sztabowcy liczyli najbardziej. Głównie ze względów psychologicznych.

Takie były plany, ale rzeczywistość powoli zaczęła dominować nad zamierzeniami teoretyków. Wkrótce okazało się, że paliwo lotnicze zmagazynowane przed wojną nie ma wystarczająco dobrych parametrów, by wykorzystać je dla F-22, a elektronika łamana przez specjalistów nadal szwankuje. To był w sumie niewielki problem, bowiem można było zastąpić te maszyny kolejnym kluczem F-16 z rezerw mieleckich, ale jak dowiodły pierwsze testy, leciwe samoloty pożerały znacznie większe ilości kerozyny, niż wykazywały to wszystkie książki i tabele. W związku z tym musiano ograniczyć ilość samolotów przewidzianych do działań polowych o dwadzieścia pięć procent, a potem o kolejne sześć maszyn. Pozostało więc osiemnaście samolotów, które miały rozbić w puch chińskie zaplecze. Cholernie mało, zważywszy, że znajdowało się tam ponad dwa tysiące sześćset wagonów ze sprzętem oraz amunicją i co najmniej tysiąc cystern. Cholernie mało...

Prace nad umocnieniami też posuwały się ślamazarnie. O ile wykopanie okopów nie nastroczało trudności, to bardzo niski stan wody w Wiśle i niekończące się upały sprawiały, że na wielu odcinkach nie była to przeszkoda trudna do pokonania dla silnych i licznych oddziałów piechoty. Po miesiącu od rozpoczęcia przygotowań okazało się, że plan nie jest wcale tak dobry, jak go zachwalano. Chińczycy docierali już do Lwowa i Łucka, a morale po tej stronie Wisły było coraz gorsze. Coraz częściej zdarzało się, że ludzie migrujący do Poznania czy Wrocławia opuszczali obozy przejściowe i uciekali na zachód, gdy usłyszeli o nadciągającej nawale.

Zjawisko to powoli przybierało na sile, nawet zaprzysiężeni obywatele porzucali czasami swoje domostwa i cichcem znikali w mroku nocy.

Sytuacja powoli wymykała się spod kontroli...

\*\*\*

– Nie, nie, nie i jeszcze raz nie! – Zawada rzucił słuchawkę na widełki. Antyczny aparat na korbkę, wykopany w jakimś muzeum, był jedynym źródłem informacji z głębi kompleksu. Normalne linie telefoniczne nie działały, rozmontowano je na długo przed Atakiem, a nowoczesne środki komunikacji nie sprawdzały się wobec grubych na kilka metrów żelbetonowych ścian i stopów.

– Jakiś problem? – zapytał Filipek. Po rekonwalescencji został przydzielony na lotnisko na specjalną prośbę Adama. Teraz był dowódcą sił specjalnych, miał pod swoimi rozkazami czterdziestoosobowy oddział odpowiedzialny za bezpieczeństwo wewnątrz kompleksu Centrum Dowodzenia. Adamczyk był bogiem na zewnątrz, a Filipek po tej stronie betonu. Ale działali naprawdę zgodnie, jak za dawnych czasów, ustępując sobie wtedy, kiedy było trzeba.

– Nic nowego. – Adam wstał zza biurka i nałożył bluzę mundurową. Nawet tutaj, czterdzieści metrów pod ziemią, mimo działającej wentylacji ciężko było wytrzymać w pełnym mundurze, ale dowódcy nie wypadało pokazać się w nieregulaminowym stroju. – Znowu zacięła się winda w szybie trzynastym. Chcą ją odłączyć na kilka dni do kapitalnego remontu.

– To ta, którą zjeżdżaliśmy z centrum – przypomniał sobie major.

– Ta sama.

– Niech ją odetną.

– A jak dostaniemy się do kwater?

– Szybem ewakuacyjnym...

– Filipek, bądźcie poważni. Może i zejście na dół nie byłoby takie trudne, ale ciekaw jestem jak wyobrażacie sobie wychodzenie po tej drabinie. – Zawada puknął się w czoło. – Mamy tu kobiety, techników w wieku emerytalnym, nawet inwalidów.

– Wie pan, generale, że ja to bym chciał wchodzić za którąś z sekretarek pionu zaopatrzenia.



Adam uśmiechnął się, widząc rozmarzone spojrzenie komandosa. Bliźniaczki „Barbie” z Kłodzka stały się obiektem westchnień każdego faceta w tym kompleksie. Niestety, pozostawały nieczułe na wszelkie starania adoratorów. Zaczęto nawet rozpuszczać plotki, że są lesbijkami, ale prawda była bardziej prozaiczna. Dziewczyny miały po prostu wyższe aspiracje, o czym Adam przekonał się na własnej skórze, jeśli można było to tak określić. I jak przystało na prawdziwe bliźniaczki, robiły wszystko razem.

– Możesz zapomnieć – mruknął, rzucając Filipkowi czapkę. Komandos pogroził mu palcem, zapewne zauważył rozmarzoną minę Adama, ale jakże można zachować kamienną twarz, gdy się ma takie wspomnienia.

– Trzeba ich pogonić, może skończą naprawę przed fajrantem – powiedział Zawada.

– Musi mi pan kiedyś o tym opowiedzieć. – Filipek zatrzymał go przed drzwiami gabinetu. – Z którą to?...

– Jako pierwszą?

– Chyba nie chce pan powiedzieć... – Zaskoczenie na twarzy majora było tak widoczne, że mogło stanowić modelowy przykład.

– Dokładnie. – Adam pchnął drzwi i ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku szybu windy. Odkurzone i pobielone korytarze z naprawionym światłem sprawiały wrażenie o wiele przytulniejszych niż podczas pamiętnej ucieczki. O ile szalowane drewnem betonowe mury mogły budzić pozytywne skojarzenia. Przy otwartych drzwiach stało dwóch techników w brudnych pomarańczowych kombinezonach. Zaglądali do ciemnego szybu i zawzięcie o czymś dyskutowali.

– Czy mogę się dowiedzieć, co tu się dzieje? – zapytał Zawada, podchodząc do nich.

Starszy z techników odwrócił się i spokojnie, jakby nie zauważając szarży, powiedział:

– Mamy problem z kabiną. Zablokowała się na górnym poziomie, metr poniżej Centrali. Kolega sprawdzał zabezpieczenia prowadnic i odpalił ładunki hamulcowe...

– To dlaczego jesteście tutaj, a nie na górze? – przerwał mu Zawada.

– Szukamy przeciwwagi.

– Skoro kabina jest na górze, to przeciwwaga powinna być na dole, a tu jest środkowe piętro. – Adam mówił bardzo wolno, tak wolno, żeby

zrozumieli. Ale technik nie zwrócił na to uwagi.

– Byliśmy na dole, panie generale. Ale przeciwwagi tam nie ma.

– Może w tej konstrukcji nie ma przeciwwag?

– Jakżeby nie. – Drugi technik skończył lustrować wnętrze szybu i wysunął głowę na korytarz. – Są prowadnice, są liny, musi być przeciwwaga.

– A zeszliście na dno szybu? – zapytał Filipek.

– Nie – zaprzeczył starszy. – Tam nie ma drabiny. Ale oświetliliśmy wszystko, te pieprzone liny jakby znikwały w podłodze.

– Może tam jest jakaś zapasowa maszynownia albo coś – wtrącił Filipek.

– Co pan, panie majorze – obruszył się technik. – Jaka znowu maszynownia? Przecież to by nie mogło tak działać. Ja znam te ruskie wynalazki, robiłem remonty pod KW od siedemdziesiątego piątego.

Adam zerknął na Filipka, a ten odpowiedział mu zdziwionym spojrzeniem.

– Macie łączność z górą? – zapytał Zawada.

Technik uśmiechnął się.

– Sie wie.

– To poproście kogoś z waszych, żeby wszedł do pomieszczenia z wyciągarką.

– Nie ma sprawy. – Stary wsunął głowę do szybu i wrzasnął: – Kazek! Kazek, słyszysz mnie?!

Z góry dobiegła bełkotliwa odpowiedź.

– A wpuść tam magistra do wyciągarki! – ryknął znowu technik i odwrócił się do Zawady. – Co jeszcze trzeba?

– Niech obliczy, ile liny asekuracyjnej jest na bębnie – podpowiedział Filipek.

– Niech magister obliczy, ile liny asekuracyjnej jest na bębnie! – ryknął technik w mrok.

Czekali chwilę, może z pięć minut, zanim nadeszła odpowiedź.

– Będzie ze sto sześćdziesiąt metrów, plus minus pięć – przetłumaczył technik.

– Ile? – Zawada uprzedził tym razem majora w wyrażeniu zdziwienia.

– Tak mówi magister, to gównozjad jeszcze, panie generale, ale liczy jak żaden z nas. – Technik miał zafrasowana minę, jemu też te dane nie

bardzo pasowały. – Ale jak trzeba, to pošlę tam kogo innego.

– Nie trzeba – oznajmił Filipek i odciągnął Adama na bok.

– Wie pan, co to może oznaczać? – zapytał.

– Nie bardzo. – Zawada jeszcze nie kojarzył.

– Ten szyb ma czterdzieści pięć metrów wysokości i kończy się na poziomie ewakuacyjnym, czyż nie tak?

– Dokładnie – potwierdził Adam.

– A liny zdają się znikać w podłodze...

– Nie ma na nich przeciwwagi, pomimo iż kabina jest na samej górze – załapał Adam.

– To nie jest dno szybu! – powiedzieli razem.

– A jeśli to nie jest dno – mruknął Filipek – i kabina może zjechać jeszcze sto dwadzieścia metrów...

– ...to znaczy, że Ruscy zostawili nam jakąś niespodziankę – dokończył Adam.

Podszedł do techników i rozkazał:

– Za pięć minut widzę na dole zapasowy zespół techniczny z drabinami i sprzętem do wspinaczki. A wy odblokujcie mi tę kabinę i podłączcie ręczne sterowanie wyciągarki. I to migiem!

\*\*\*

Pomieszczenia sztabowe świeciły pustkami. Już od kilku dni przenoszono akta i biura do nowych siedzib ulokowanych w Bastionie. Ale to właśnie tutaj Burmistrz wezwał na zebranie swoich zaufanych ludzi.

Zasiedli w tej samej sali, w której Zawada opowiadał o jednostce 18-210. Teraz było ich tylko pięciu: Traczyk, Mróz, Dąbek, Banecki i sam Sobieszczuk.

– Zdajecie sobie sprawę, moi panowie, że stoimy u progu kolejnej katastrofy – zagał Pan Jan. – Morale ludzi upada, nawet w najbliższym gronie słyszę głosy pełne defetyzmu. Jeśli nie zrobimy czegoś w najbliższych dniach, obawiam się, że nie będzie żadnej linii obrony na Wiśle. Ci, którzy nie uciekną do tego czasu, po prostu poddadzą nasz kraj.

– Wojsko, jak na razie, trzyma się dobrze – powiedział spokojnie Traczyk.

– W oficjalnych raportach – przerwał mu Burmistrz. – Nie sądzi pan, że takie akcje, jak przenoszenie sztabu do Bastionu, pozostaną bez echa?

– Przecież to nie ma nic wspólnego z...

– Dla pana nie ma, a dla ludzi jest ewidentnym przykładem tego, że władza przygotowuje się do kolejnego uniknięcia konsekwencji.

– Jakich znowu konsekwencji?

– Pan naprawdę niczego nie rozumie, panie marszałku. Zastanawiam się, czy nie powinien pan ustąpić miejsca młodszemu, bardziej otwartemu i dynamiczniejszemu oficerowi...

– Ale...

– Ale nie zrobię tego jeszcze. To też mogłoby pogłębić chaos. Musimy być zwarci, musimy pokazać ludziom, że jesteśmy z nimi i z nimi będziemy ginąć, jeśli zajdzie taka potrzeba, a nawet więcej, że gotowi jesteśmy zginąć za nich.

Zapadło niezręczne milczenie. Przerwał je dopiero hrabia Banecki.

– Nigdy nie byłem biegły w sprawach militarnych, ale zauważam tu pewien paradoks. Sprostujcie mnie, jeśli się mylę. Czas teoretycznie powinien nam sprzyjać. Im więcej go mamy, tym lepiej możemy przygotować się do wojny, ale z drugiej strony, ta wojna wydaje się z góry przegrana, co sprawia, że ludzie miast się do niej sposobić, szukają drogi ucieczki. Toż to istny węzeł gordyjski.

– I dlatego musimy opracować plan awaryjny – stwierdził Pan Jan.

– Znając pana, panie Burmistrzu – Mróz spojrzał na Sobieszczuka ze strachem – taki plan już istnieje...

– Owszem – powiedział spokojnie Burmistrz. – Najlepszą obroną jest atak.

\*\*\*

Zgodnie z oczekiwaniami, dno szybu było dobrze zamaskowaną klapą, która otwierała się pod naciskiem kabiny windy. Wprawdzie nie doszli jak sprawić, by kabina zjechała na niższe poziomy, nie było w niej żadnego przycisku, który mógł uaktywniać taką funkcję, ale znając paranoiczne uwarunkowania poprzednich właścicieli, nietrudno było się domyśleć, że nawet za czasów świetności jednostki 18-210 była to jedna z najbardziej strzeżonych tajemnic tego miejsca.

Adamczyk dołączył do Zawady na najniższym poziomie zaraz po uruchomieniu kabiny. Zjechała tam w czasie, gdy on schodził po drabinkach.

– Co jest, jak pragnę zdrowia – wysapał, wchodząc do korytarza. – Czemu mnie nikt, do kurwy nędzy, nie poinformował, że ta winda już działa?

– Nie oburzaj się tak, bo ci żyłka pęknie. – Filipek podał mu manierkę z wodą. – Starzejesz się, bracie, musisz trenować, a nie tylko wozić dupę windami. Spójrz na mnie...

– Dzięki. – Nie wiadomo czy podziękowanie to tyczyło wody, czy dalszej części wypowiedzi. – Ostatnio zrobili ci tu z gęby tatara... i uwierz mi, we Wrocławiu nie ma dobrych chirurgów plastycznych, cokolwiek by o sobie mówili.

– Gadaj zdrów... Ten, co mnie składał, miał przedtem prywatną praktykę w Beverly Hills.

– Tak, a jego najbardziej udanym dziełem był nos Michaela Jacksona.

– Patrz, a zastanawiałem się, kogo mi przypomina ta twarz w lustrze co rano przy goleniu, i nie rozumiałem dlaczego tak cienko śpiewam... – Filipek złapał się charakterystycznym gestem za krocze i zsunął na oczy hełm.

– Cienko śpiewacie, Filipek, bo odłamek trafił was w... – Zawada wtrącił się do rozmowy, ale przerwał widząc, że technicy wychodzą z kabiny.

– Wszystko gotowe, panie generale – powiedział starszy technik, podając Zawadzie ebonitową słuchawkę montera. – Zamontowaliśmy gniazdko obok panelu w kabinie. Podłączy się pan i będziemy mieli kontakt. Musimy was opuszczać ręcznie, bo hamulce są odłączone. Powiedzmy dziesięć metrów na minutę. Zablokowaliśmy też drzwi, żebyście nie minęli jakiegoś wyjścia. Wszystkie narzędzia, które mogą się przydać, są w tych torbach. – Wskazał dwa plecaki, leżące na podłodze.

– Dobrze.

Zawada wszedł do kabiny i poczekał na obu komandosów. Potem podłączył słuchawkę i wydał krótkie polecenie. Ruszyli w dół, kabina opadała nierówno, często się zatrzymując. Milczeli, wpatrując się w chropowatą powierzchnię betonu, oświetlaną promieniami naramiennych

laterek. Z góry co chwilę napływały kolejne meldunki o postępach w opuszczaniu kabiny.

– Siedemdziesiąt metrów... siedemdziesiąt pięć...

Na setnym Zawada zauważył ciemniejszy obrys. Docierali do jakiejś wnęki.

– Zwolnijcie – rzucił do słuchawki, a potem, gdy kabina zrównała się z podestem, krzyknął: – Stop! Zablokować!

– Jest zablokować – odpowiedział zniekształcony głos w słuchawce.

Oświetili masywne metalowe drzwi, osadzone w zardzewiałej i grubej na dłoń futrynie. Nie miały żadnego panelu kontrolnego ani zamka. Żadnych oznaczeń czy napisów. Prowadził do nich niewielki ażurowy podest o długości jednego metra.

– No i mamy pierwszy problem – mruknął Filipek, podchodząc do przeszkody. Uderzył pięścią w gładką powierzchnię, ale wydała jedynie głuchy odgłos. – To kurestwo jest grube jak te drzwi na górze. Te ze skarbcza...

Zawada przepchnął się obok komandosów i dokładnie obejrzał powierzchnię.

– Muszą mieć jakiś zamek...

– Nic nie muszą mieć – upierał się Filipek. – To ruska robota, pewnie są otwierane od środka...

– Jak ty coś powiesz. – Adamczyk stuknął go w czoło otwartą dłonią.

– Pamiętasz, jak trenowaliśmy z Niemcami? W tym ośrodku pod Monachium. Oni tam mieli w programie opanowywanie ruskich instalacji nuklearnych.

– Pamiętam, i co z tego.

– Drzwi do silosu otwierały się tylko od wewnątrz.

– Tego nie pamiętam...

– A ja zapamiętałem.

– Gdyby były zamykane od środka, to wychodząc musieliby zostawić je otwarte...

Adamczyk pchnął drzwi z całej siły. Nawet nie drgnęły. Filipek uśmiechnął się.

– Dasz spróbować?

– Jasne.

Komandos podszedł do drzwi i przyjrzał im się dokładniej, świecąc w każdą szparę latarką punktową.

– Zaspawali, dranie – mruknął, wskazując na nierówne nagary spawów, ukryte w głębi szpary pomiędzy drzwiami a stalową futryną. – Te wrota się nie uchylają, ale obracając, chowają w ścianie. Zupełnie jak w Monachium.

\*\*\*

Pan Jan śmiał się. Szczerze i głośno. Po raz pierwszy od wielu dni. Pozostali jednak zachowywali się powściągliwie. Propozycja, jaką przed chwilą usłyszeli, na razie nie mieściła im się w głowach.

Strategia Burmistrza była prosta jak szalona; zmasowany atak lotniczy z zaskoczenia. Wszystkie dostępne samoloty miały uderzyć z niskiego pułapu. Na wszystkie znane cele. Na korpusy piechoty i na transporty kolejowe ze sprzętem pozostające na razie daleko w tyle za szpicą chińskiej armii. Cysterny i wagony towarowe miały absolutny priorytet w tym ataku, co skutkowałoby sparaliżowaniem jednostek pancernych z dala od przyszłej linii frontu. Straty wyrządzone przeciwnikowi byłyby olbrzymie, ale i Rzeczpospolita odsłaniała się całkowicie w razie jakiegokolwiek niepowodzenia.

Ale nie to było w tym planie najbardziej szalone. Ostatnie zdania Burmistrza wprawiły wszystkich w osłupienie.

– Panowie, panowie. – Burmistrz usiadł wygodniej i nadal uśmiechnięty obserwował ich reakcje. – Nie patrzcie na mnie jak na wariata. Przypomnijcie sobie, jak taka metoda sprawdziła się w Lesznie, a nawet w jednostce 18-210.

– Nie wiem, jak było w Lesznie – hrabia przygładził wąsa, zanim rozpoczął przemowę – ale nasze oddziały na lotnisku nie poddałyby się bez walki, gdyby nie wyraźne rozkazy od Rady. Chcieliśmy przejąć kontrolę nad sprzętem, by przekonać was do rozsądnych rozmów, ale w obliczu kryzysu chińskiego, że tak go nazwę, priorytetem wydało się zawiązanie sojuszu, nawet za cenę uznania dominacji Wrocławia.

– Za pozwoleniem, panie hrabio – przerwał mu Burmistrz. – Nie wie pan, jaką niespodziankę przygotowywałem dla pańskich negocjatorów.

– Jakakolwiek by była, nie poddałiby się bez walki i uszkodzenia tanków oraz samolotów.

- A ja panu mówię, że poddaliby się.
- Pańskie słowo przeciw mojemu. – Hrabia oparł obie dłonie na lasce trzymanej pomiędzy kolanami.
- Dobrze, w takim razie zrobmy eksperyment. Pan zastąpi teraz swoich negocjatorów, a ja spróbuje pana przekonać. Jeśli przekonam, uzna pan, że mój plan jest realny.
- Zgoda. – Banecki uśmiechnął się pod wąsem. – Musi pan jednak wiedzieć, panie Burmistrzu, że poker był moja pasją w czasach, gdy pan nosił jeszcze koszulę w zębach.

\*\*\*

- Zajebista konstrukcja. – Sprowadzony z góry spawacz krótko ocenił pancerne drzwi.
  - Dacie radę usunąć te spawy? – zapytał Zawada.
  - Lekko nie będzie, ale powinny puścić.
  - Ile to potrwa?
  - Zależy, jak grubo spawali...
- Spawacz przyłożył policzek do chłodnego metalu i przyświecając latarką, przyglądał się spoinie.
- Trza będzie popróbować gumówki – powiedział po chwili i sięgnął do worków pozostawionych przez techników. Niewielka akumulatorowa szlifierka o miękkiej tarczy zabuczała krótko, gdy sprawdzał obroty.
  - Poczekajcie chwilę. – Zawada podszedł do pulpitu i wpiął słuchawkę.
  - Ile liny zostało na bębnie? – zapytał, gdy uzyskał połączenie z górą.
  - Dwadzieścia metrów z okładem – zameldował technik.
  - Opuszczamy się na sam dół – zdecydował Zawada po chwili zastanowienia. – Tempo takie jak przedtem. A wy – rzucił do czekającego spawacza, zasłaniając mikrofon – zajmiecie się w tym czasie usunięciem spawów. Ale nie wchodzić mi do środka, bo nogi z dupy powyrywam.
  - Sie wie. – Robotnik machnął ręką i przymierzył się do pierwszego spawu.

Kabina ruszyła bez ostrzeżenia, ledwie wyrzucili na podest torby z narzędziami. Zanim opuściła się na tyle, by stracili drzwi z oczu, do wnętrza wleciał snop iskier towarzyszących zgrzytowi piłowanego metalu. Odkoczyli pod tylną ścianę, ale iskry zniknęły tak nagle, jak się pojawiły.



Teraz słyszeli tylko dźwięk szlifierki pracującej nad ich głową. Jazda nie trwała długo, po niespełna dwóch minutach kabina dotknęła dna szybu.

Zawada wysiadł pierwszy. Zeskoczył na pokrytą żwirem płytę betonu i włączył szerokokątną latarkę, którą przezornie zabrał technikom. Silny promień światła wyłuskał z mroku króciutki, góra dwumetrowy korytarz, a za nim...

– Co to jest, u licha? – mruknął Filipek, stając obok Zawady. Jego latarka o znacznie mniejszej mocy nie potrafiła przebić ciemności panujących w olbrzymiej hali. – Jakaś jaskinia, czy co?

– Świątynia Przeznaczenia – powiedział cicho Adam.

– Że co?

– Taki kryptonim nadano temu miejscu jeszcze przed wojną – wyjaśnił Zawada. – Rosjanie mieli w Europie kilka ukrytych i ściśle tajnych wyrzutni rakiet z głowicami nuklearnymi. Plotki głosiły, że jedna z nich znajdowała się na terenie naszego kraju. Podczas ewakuacji Armii Czerwonej przekazano nam opróżnione wyrzutnie rakiet balistycznych w Zielonogórskim i bunkry tajnego centrum dowodzenia na wypadek wojny w Puszczy Białowieskiej, ale wywiad twierdził, że nie były to jedyne instalacje tego typu. Rosjanie zaprzeczali, a my, niestety, nigdy nie trafiliśmy na żaden ślad...

Omiotana reflektorami przestrzeń rzeczywiście nie zawierała niczego prócz odłamków gruzu i zwykłych kamieni.

– To chyba była naturalna jaskinia...

– Prawdopodobnie. – Zawada podszedł do ściany i przyjrzał jej się w świetle latarki. – Tu mamy klasycznie szalowany beton – poświecił wyżej – ale tam jest skała.

– Nie mieli szans na wykopanie takiego pomieszczenia. – Adamczyk zakręcił się, próbując oświetlić sklepienie. – Trzeba by wywieźć stąd miliony ton skał.

– Jak nie więcej...

– Jeśli coś tu mieli, to już dawno posprząтали – uznał Adamczyk. – Tu jest pusto, jak w moim żołądku...

– Nie sądzę, ta hala to raczej przedsiónek czegoś znacznie większego...  
– Adam wpiął słuchawkę i przekazał obsłudze wyciągarki, by pozostała na nasłuchu. Potem zgasił latarkę i założył noktowizor. – Lepiej przejdźmy na tego typu wizję.

Obraz przekazywany przez soczewki noktowizorów był niewyraźny, ale pozwalał zorientować się w rozmiarach budowli i dostrzec ukryte dotychczas w ciemnościach szczegóły. Ruszyli ostrożnie w głąb hali, mijając pojedyncze głązy, które musiały oberwać się ze sklepienia podczas niedawnych trzęsień ziemi. Jedynymi odgłosami, jakie im towarzyszyły, było ciche kapanie wody, dobiegające gdzieś z daleka, i chrzęst miazdzonego butami grysu, który zalegał całe podłoże. Po stu metrach marszu, Filipek pociągnął Adama za rękaw. Wskazał na prawo, gdzie pomiędzy dwiema okrągłymi wieżami bunkrów zaczynał się jakiś tunel.

Zawada skinął, głową i przeszli do wylotu szerokiego na osiem metrów korytarza, wykutego z dużą precyzją w litej skale.

– Te bunkry są tak usytuowane, jakby miały bronić dostępu z obu stron – powiedział Adamczyk, przyglądając się rozlokowaniu otworów strzelniczych. – I nigdzie nie widzę wejścia do nich.

– Były drabinki, ale je zdemontowano. – Filipek pogrzebał palcem w jednym z parzystych otworów, jakie znalazł na betonowej ścianie. – A skoro mieli drabinki, to pewnie wejścia są od góry.

– Sprytne.

– Możemy spróbować...

– A po co? – zdziwił się Zawada. – Przecież to zwykłe bunkry wartownicze... Mnie bardziej ciekawi ten tunel.

– To sprawdzmy tunel. – Adamczyk od razu porzucił myśl o penetracji umocnień.

– Nie tak szybko – zgasił jego zapal Filipek. – Nasi przyjaciele byli nadzwyczaj skrytymi ludźmi. Nie wiem czy przypadkiem nie zostawili tutaj paru niespodzianek dla nieproszonych gości...

Spojrzeli po sobie niepewnie. Zaminowanie supertajnych instalacji na wypadek ich odkrycia nie było wcale takie nieprawdopodobne.

\*\*\*

– Wie pan, panie hrabio, że na terenie kamieniołomów w Strzelinie mieściła się ściśle tajna jednostka chemiczna, której zadaniem była utylizacja kilkudziesięciu ton gazów bojowych, jakie odkryliśmy w poniemieckich sztolniach.

– Nie, nie posiadam takiej wiedzy.

– Niemniej ludzie z pańskiego sztabu powinni o tym wiedzieć. Może pan u nich potwierdzić moje słowa. – Pan Jan wskazał telefon, stojący na biurku Traczyka.

– Sprawa jest na tyle ważna, że skorzystam z tej propozycji. – Banecki wstał i podszedł do aparatu. Telefonistka połączyła go z misją Republikanów, którą otwarto niedawno we Wrocławiu.

– Z pułkownikiem Surmaczem – poprosił hrabia; zapadła kilkunastosekundowa cisza. – Tu Banecki, czy mógłby mi pan przybliżyć w paru słowach sprawę Strzelina, tak, chodzi w szczególności o te gazy bojowe... Tak, tak, to wszystko co chciałem wiedzieć. Dziękuję.

Słuchawka, a potem sam hrabia, powędrowali na swoje miejsca.

– Mam już jasność w tej sprawie, panie Burmistrzu – powiedział, upijając łyk wody ze swojego kubka. Było zbyt gorąco i za duszno na herbatę. – Proszę kontynuować.

– Doskonale. To, o czym panu przed chwilą wspomniałem, było oficjalną wersją zdarzeń. Tak naprawdę, laboratoria na terenie kamieniołomów miały zupełnie inne zadanie.

– Doprawdy? Jakież to?

– Jeszcze za Gierka rozpoczęto w nich produkcję naszej broni chemicznej.

– To ciekawe zagadnienie, ale nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z naszymi rozmowami.

– To proste. Zadanie zostało wykonane. Na bazie ponemieckich zasobów wyprodukowaliśmy ponad dwie tony jednego z najbardziej śmiertelnych gazów, jakie poznał człowiek. Polak potrafi, jak to mówią, panie hrabio.

– Cóż, wprawdzie natura była dla nas skąpa i nie wyposażyła ludzi w organa chroniące przed gazem, ale od czegoś są maski przeciwgazowe. Zresztą, pomijając już aspekty humanitarne, kompleks lotniska jest dostatecznie zabezpieczony przed tego typu atakami. Rosjanie byli zdecydowani pod tym względem i dlatego brali swoją miarę przy projektowaniu podobnych miejsc. Zapewne udałoby się zagazować nieszczęśników przy wlotach korytarzy, ale zajęłoby to tyle czasu, że reszta wykonałaby zadanie zniszczenia samolotów i tanków.

– Zatem przyjąłby pan za pewnik, że nie zawaham się użyć tych gazów, by odbić lotnisko.

– Muszę uczciwie przyznać, że takie założenie nie wydałoby mi się nierealne.

– To proszę posłuchać mojej propozycji. Godzina na opuszczenie lotniska i pozostawienie sprzętu w stanie nienaruszonym. Za to udzielam gwarancji na wolne opuszczenie Borów, po wcześniejszym rozbrojeniu wszystkich, którzy się poddadzą.

– A alternatywa?

– Atak chemiczny...

– Jak już mówiłem, podjąłbym to ryzyko...

– ...na Poznań.

Hrabia zamilkł. Spojrzał prosto w zimne oczy Sobieszczuka. Starł się wywnioskować z tego spojrzenia, na ile słowa Burmistrza mogły być blefem, ale w beznamiętnych, stalowych źrenicach nie znalazł najmniejszej wskazówki. Za to twarz kanclerza zdawała się wyjaśniać sprawę. Przerazenie człowieka, który wierzy w to, co przed chwilą usłyszał, było bardzo przekonujące.

– Nie odważyłby się pan na taki czyn...

– A co mogłoby mnie przed tym powstrzymać? Opinia publiczna? Ta po naszej stronie wychwalałaby mój postępek pod niebiosa. W końcu oszczędziłbym tym życie setek naszych żołnierzy i zdobył upragnione czołgi. A opinia waszej strony? Powiedzmy, że zapadłoby tam wymowne milczenie, by nie powiedzieć: martwa cisza.

Banecki pokiwał głową.

– To mocny argument, przyznaję, że musiałbym wziąć pod rozwagę pańskie słowa.

– Dla dodania im powagi, mógłbym nakazać zrzucenie kilku pojemników, tak na zachętę...

– To jednak nie poker. – Hrabia opuścił wzrok. – Poddaję się. Znając moich partnerów z Rady zapewne wygrałby pan to starcie.

– Dla pańskiej informacji, panie hrabio. – Burmistrz wstał ze swojego fotela i podszedł do drewnianej skrzyni, stojącej w kącie. Podniósł wieko i wyjął z wnętrza żółty pojemnik oznaczony serią cyfr. Położył go przed Baneckim na stole. – Oto wszystko, co pozostało po projekcie „Śniadecki”. Jeden, jedyny pojemnik sarinu. Na dodatek pusty, jego zawartość pomogła w pewnym... oczyszczeniu. Nie ma polskiego arsenału chemicznego.

Niestety, to tylko kolejny mit, który jednak mógł okazać się bardzo przydatny w konkretnych okolicznościach.

\*\*\*

– Nie dajmy się zwariować – stwierdził Zawada. – Jeśli nawet zaminowali ten teren, to wstrząsy sejsmiczne skutecznie zlikwidowały takie przeszkody.

– Tak pan sady? – Filipek nadal był nastawiony sceptycznie.

– Owszem, spójrzcie na to. – Wskazał pryzmę kamieni, leżących pod ścianą po prawej.

Przerzucił kilka z nich i wydobył to, czego szukał, fragment metalu wbity w jedną z brył. Adamczyk przyjrzał się odłamkowi w świetle latarki.

– Mina przeciwpiechotna. Nie ma wątpliwości.

– To co? Idziemy?

– Sprawdźmy najpierw halę – zaproponował Adamczyk. – Potem sprowadzimy kilku saperów, techników. Założymy oświetlenie i zajmiemy się przeszukiwaniem reszty.

– To niegłupia myśl – poparł kolegę drugi z komandosów.

– Zgoda. – Zawada niechętnie, przystał na odłożenie wyprawy w głąb tunelu.

Zgasili latarki i ponownie, opierając się tylko na przyrządach optycznych, ruszyli na zwiedzanie ogromnej konstrukcji. Po kwadransie mieli już dokładny obraz całości. Znaleźli jeszcze trzy podobne tunele i prowadzące w górę jednej ze ścian hali, metalowe schody. Miały co najmniej dziesięć kondygnacji i niknęły gdzieś wysoko w mroku.

– Proponuję wracać do windy – powiedział Adamczyk, gdy znaleźli się u podnóża schodów. – Wezwiemy tu dwie drużyny saperskie i ściągniemy trochę lekkiego sprzętu. Nie uśmiecha mi się bieganie po tych korytarzach bez rozpoznania...

– Nie ciekawi cię, co znajdziemy? – zapytał Zawada.

– Ciekawi i owszem, ale jestem odpowiedzialny za ochronę tej bazy, i to ja dostanę po dupie, jeśli coś się stanie panu, a nawet tej łajzie, Filipkowi.

– Chrzań się, cykorze... – Drugi komandos nie podzielał obaw kolegi. Właśnie sprawdzał czy schody nie są zbyt pordzewiałe. – Przygoda *a'la*

Indiana Jones się kłania, a ty tylko o regulaminie.

– Zapomniałeś, że to nie film. Kaskader nie fiknie za ciebie...

– Sranie w banie. Coś po tym awansie zaczynasz trząść dupą.

– Może mam dla kogo – odciął mu się Adamczyk.

– A, to co innego. – Filipek puścił poręcz. – Chyba mnie nie zostawisz dla jakiejś podfruwajki...

Roześmiali się wszyscy, łącznie z Zawadą, który podczas ich przekomarzania badał ścianę, odchodząc coraz dalej.

– Wygląda na to – powiedział po chwili – że to nie nasi przyjaciele są budowniczymi tego miejsca.

– Jacy przyjaciele? – Filipek nie od razu zrozumiał o co chodzi dowódcy.

– Wielcy Czerwoni Bracia... – mruknął Zawada.

– Jak nie oni, to... – zaczął Adamczyk.

– ...to niemiecka robota – dokończył jego kolega.

– Skąd pan wie? – zainteresowali się obaj.

– Z kwitów na węgiel. – Zawada przywołał ich i wskazał na odcisk w betonie.

– 1941 Heinz Bosch GMBH, Berlin. Wykonawca nie zapomniał się podpisać, nie ma to jak niemiecka solidność. Ale nie tylko to mnie naprowadziło. Znalazłem na ścianie resztki napisu, niewiele da się odczytać, ale kształt liter wskazuje na stary dobry gotyk. Ruscy raczej nie używali takich czcionek.

– Fakt. – Adamczyk i Filipek oświetlili ścianę swoimi latarkami, teraz widać było dość duży jej fragment i cztery wysokie na metr zarysy ongiś białych liter „...in Re...”

– Ein Reich... jedna Rzesza...

– Ciekawe, co tu kombinowali...

– Myślę, że lepiej będzie wrócić na górę. – Zawada spojrzał na swoich oficerów. – To zaczyna być coraz bardziej intrygujące, a my mamy jeszcze coś do zrobienia... Sprowadzimy tu pluton z nadzoru technicznego, założą światło, sprawdzą teren.

– Pan generał czegoś nam nie mówi... – Filipek zastąpił przełożonemu drogę.

– Problem w tym, że nigdy nie znaleziono cmentarza jeńców, którzy w czterdziestym trzecim i czwartym pracowali przy budowie tej bazy.

Obawiam się, że właśnie rozwiązaliśmy tajemnicę zniknięcia kilku tysięcy ludzi.

– Rozumiem... – Komandos stracił nagle rezon.

Chociaż Zawada wątpił, żeby jego podwładni byli ludźmi zabobonnymi, to zdawał sobie sprawę, że odkrycie zbiorowej mogiły nie będzie należało do rzeczy przyjemnych. Niech ten zaszczyt przypadnie w udziale komu innemu.

– Wracamy na górę – rzucił, ruszając w kierunku widocznego w oddali jaśniejszego punktu.

– Pozostaje jeszcze sprawa zaspawanych drzwi – nie zrezygnował Adamczyk. – Zostawiliśmy cywila bez nadzoru, a nie wiadomo, dokąd te drzwi prowadzą.

– Racja – poparł go Filipek.

– Z tego, co mówiłeś, to powinno być wejście do pomieszczeń kontroli stanowiska odpalania – przypomniał mu Zawada.

– Wygląda jak wejście do takiego stanowiska – zgodził się komandos – ale stuprocentowej pewności nie mam.

Przeszli do windy i po chwili unosili się już w górę szybu. Technicy zaznaczyli na linie miejsce postoju, zatem Adam nie musiał już wydawać dodatkowych poleceń, by kabina zatrzymała się na wprost pomostu. Torby leżały tak, jak je zostawili, ale po spawaczu nie było nawet śladu. Odsunięte na bok masywne drzwi odsłaniały niewielki kawałek mrocznego korytarza.

– Sukinsyn – szepnął Adamczyk sięgając po pistolet.

Już podnosił nogę, by przekroczyć wysoki kołnierz okalający wejście, gdy zaterkotał telefon techniczny w kabinie.

– Poczekaj. – Zawada złapał wiszącą na przewodzie słuchawkę. Słuchał przez chwilę potoku słów płynącego z góry i marszczył od czasu do czasu brwi.

– Stało się coś? – zapytał zaniepokojony Filipek, gdy słuchawka wróciła na swoje miejsce.

– Ogłoszono pogotowie bojowe dla jednostek lotniczych, mamy natychmiast przygotować wszystkie maszyny do startu.

– Przecież Chińcole nie doszły jeszcze do Lwowa – zdziwił się Adamczyk.

– Może zmieniliśmy taktykę. Podobno Burmistrz odleciał z Bastionu w nieznanym kierunku. Zabrał ze sobą cztery Sokoły z zapasowymi

zbiornikami paliwa...

– Rozumiem, że wracamy na górę, ale co z tym? – Filipek wskazał drzwi.

– Alarm został już ogłoszony, nie muszę osobiście nadzorować wszystkiego. Dokończmy robotę i zgarnijmy kolejne zaszczyty. – Roześmiany Zawada przepchnął się między komandosami. – I schowaj tę pukawkę, nasz cywil jest od dawna na górze. Otworzył drzwi i zabrał stąd dupę, bo jest członkiem grupy alarmowej.

\*\*\*

Pan Jan osobiście nadzorował ustawienie głównego namiotu. Wcześniej spędził dwie godziny w jednym z Sokołów, wybierając najlepsze miejsce. I trzeba przyznać, znalazł idealny teren. Szeroka ściana lasu przecinała rozległą trawiastą równinę, rozciągającą się aż po horyzont. Międzynarodowa droga E-40 biegła tutaj na długim odcinku prosto jak strzełił ze wschodu na zachód, opadając nieznacznie w kierunku lasu, co sprawiało, że z tego miejsca, w którym rozbito obozowisko, widać było jej kilkukilometrowy odcinek. W zasięgu wzroku nie było żadnej wioski, ani nawet pojedynczej chaty. Co więcej, najbliższa miejscowość oddalona była o ponad trzydzieści kilometrów.

Po prostu pustkowie.

– Panie Burmistrzu, melduję, że stanowisko jest już przygotowane! – Pan Jan przyjął słowa oficera skinieniem głowy i spojrzał przelotnie na ustawionych w szeregu żołnierzy.

– Zaraz do was przyjdę – powiedział. – Dajcie mi minutę na zebranie myśli.

– Tak jest! – kapitan zsalutował i wrócił do oddziału.

Burmistrz spojrzał po raz kolejny na odległy horyzont. Morze pożółkłej trawy, chwastów i dzikiego zboża porastało całą równinę wysokim na metr gąszczem. Kiedyś były to zapewne pola uprawne, teraz jednak próżno było szukać jakichkolwiek śladów działalności człowieka. Szpica chińskiego korpusu oddalona była o zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów. Może nawet kilku zwiadowców dostrzegło już obóz. Kto wie...

Odwrócił się i ruszył w stronę dwuszeregu. Stali tam wszyscy, których wyselekcjonowano na tę akcję, czterdziestu ośmiu żołnierzy i oficerów.



Najlepszych, jakich mógł znaleźć.

– Czołem, żołnierze – powiedział z uśmiechem, choć nie do śmiechu mu było.

– Czoł... Pan... Jan! – odpowiedzieli, zgodnie z żołnierskim obyczajem, połykając końcówki wyrazów.

– Myślę, że to najlepszy moment, aby wyjaśnić sobie kilka spraw. Po pierwsze, dlaczego znaleźliście się tutaj, o dwieście pięćdziesiąt kilometrów na wschód od dawnych granic naszej ojczyzny, na środku pustkowia pomiędzy Łuckiem a Równem. To nie będzie krótka ani prosta opowieść, ale mam nadzieję, że zdołam wam wszystko wytłumaczyć, bo od waszych zachowań w najbliższym czasie będzie zależeć naprawdę wiele... Zagramy z Chińczykami o naprawdę wysoką stawkę. Większą niż nasze życie.

\*\*\*

Korytarz wypełniał wszechobecny pył. Osiem lat, które upłynęły od zamknięcia go na głucho, nie powstrzymało drobinek kurzu i oderwanych od porowatej powierzchni betonu kamyków, zalegających teraz niemal centymetrową warstwą każdą płaską powierzchnię. Wszystkie żarówki pozostały na swoich miejscach, kable biegnące wzdłuż ścian były całe, a bezpieczniki pozostawiono w pozycjach włączonych, niemniej światła nie dało się zapalić za pomocą tradycyjnych przełączników. Adamczyk szedł przodem, sprawdzając wszystkie załomy korytarza, który zdawał się być produktem chorej wyobraźni zapijaczego architekta. Co kilka kroków musieli skręcać bądź zawracać, gdy doszli do końca ślepego zaułka.

– Sukinsyny, nieźle to zaprojektowały – stwierdził Filipek, gdy mijali piąty czy szósty taki załom.

– Niby, co? – zapytał Zawada, dla niego ta konstrukcja nie miała logicznego wytłumaczenia.

– Klasyczne łamacze fal. W przypadku eksplozji, fala uderzeniowa nie przejdzie dalej niż za jeden taki załom. Gdyby, dajmy na to, przywalili w centrum na górze głowicą penetrującą, te drzwi w szybie powinny wytrzymać naprawdę wiele, ale gdyby puściły, to nawet impet takiej eksplozji nie spowodowałyby w tym miejscu wielkich zniszczeń. Nie mówiąc już o próbach wykurzenia obrońców przez siły konwencjonalne.

Szli dalej za Adamczykiem, który nadal sprawdzał każdy cal podłogi i ścian. Nagle zatrzymał się i podniósł dłoń w ostrzegawczym geście. Stanęli, nie pytając nawet, co go zaniepokoiło. Kolejny gest nakazał im się cofnąć i ukryć. Wykonali bez szemrania. Komandos dołączył do nich po chwili.

– Dotarliśmy do końca korytarza – powiedział, odkładając automat i odpinając ładownice.

– I co tam jest? – Filipek odezwał się pierwszy, uprzedzając Adama o ułamek sekundy.

– Zabezpieczyli drzwi. – Odpowiedź była lakoniczna, ale dużo wyjaśniła.

– Skoczki?

– Tak.

– Kierunkowe?

– Tak.

– Sensory?

– Też.

– Jakie, kurwa, sensory? – zirytował się Zawada, który nic z tej rozmowy nie rozumiał.

– Nie wiem, może ruchu, może dźwiękowe albo termiczne. Cholera wie, z tej odległości i w tym oświetleniu niewiele widać.

– I co zamierzasz zrobić? – Adam złapał komandosa za ramię.

– Spróbuję rozbroić.

– Jak?

– Pamięta pan zacieranie śladów? – Adamczyk pokazał mu granat. – Schowajcie się w tym ślepych zaułku po prawej. – Wskazał głęboką na sześć metrów odnogę korytarza. – Załóżcie maski i na podłogę. Jeśli są tam jakieś przewody na ścianach, to starajcie się do nich przywiązać.

– Dłaczego? – zapytał Zawada.

– Może was zassać – wyjaśnił spokojnie Adamczyk.

– Jak to, zassać? Co tam jest, bomba atomowa?

– Prawie.

– Tam nie ma przewodów – szepnął Filipek, który w tym czasie zlustrował zaułek.

– To kładźcie się na podłodze. Jak najdalej od wlotu.

– A ty?

– Nic mi nie będzie, mam doświadczenie.

- Nie ma innego sposobu? – zapytał znów Zawada.
- Jest. Znajdzie pan tego, kto to zakładał, na pewno ma pilota...
- Może lepiej, żeby zajęli się tym saperzy... – nie ustępował Adam.
- Ja jestem najlepszym saperem, jakiego mamy... – odparł komandos.

Filipek pociągnął przełożonego za róg, zabierając po drodze sprzęt Adamczyka.

– On naprawdę wie, co robi. Te szczeniaki z góry narobiłyby tylko bałaganu.

– Ale dlaczego zdjął kamizelkę...

– Blokuje ruchy, a jemu będzie potrzebna swoboda.

– Aha – Zawada mechanicznie przytaknął, chociaż nadal nie wiedział, co zamierza komandos.

Rozłożyli się na samym końcu wnęki.

– Nie rozumiem. – Adam odwrócił się do Filipka. – O co chodziło z tym wysaniem?

– Ten korytarz... – komandos zauważył, że mówi przez maskę strasznie niewyraźnie, dlatego odciągnął ją na chwilę – został tak skonstruowany, żeby utrudnić przejście fali uderzeniowej...

– No właśnie.

– Ale w tę stronę, w drugą powietrze ma jakby poślizg. Cała energia wybuchu zostanie skierowana tam. – Wskazał korytarz na wprost. – Powietrze stąd zostanie wysane przez ogień i falę uderzeniową.

Adam spojrzał na niego z przerażeniem.

– Przecież on nie ma żadnych...

– Proszę zdjąć ten...

Zawada nie dosłyszał końca zdania. Maskę Filipka wróciła na miejsce. Kątem oka zauważył jakiś kształt, przesłaniający wylot korytarza. To była sylwetka człowieka, który zrobił jeden krok w głąb, po czym rzucił się szczupakiem ku miejscu, gdzie zalegli. Zrobił to w tej samej chwili, w której Zawada poczuł drgnienie podłogi. Potem stracił wzrok. Rozbłysk wybuchu sprawił, że okulary noktowizora zapłonęły intensywnym blaskiem, nie pomogło zaciśnięcie powiek.

Wrzasnął z bólu, ale krzyk zniknął w ryku, jaki wypełnił korytarz. Powietrze z sykiem zostało zassane przez ognisty wir. Jego pęd niemal zerwał mu z twarzy maskę. Poczuł, że przesuwa się w kierunku piekła, szalejącego zaledwie o kilka metrów od jego stóp. Nie widział, dlatego

opierał się na innych zmysłach. Coś uderzyło go w nogę. Coś miękkiego. Poczłwał gwałtowny nacisk na kostkę, jakby stalowe szczęki zagłębiały się w ciało. Chciał krzyknąć raz jeszcze, ale poczuł, że podłoga coraz szybciej ucieka spod jego pleców. Okrzyk utknał w gardle. Stracił przytomność.

\*\*\*

– ...żyje, mówiłem ci, że nic mu nie będzie...

Głos, który rozbrzmiewał pod czaszką Adama, był jakby znajomy, ale przypasowanie go do konkretnej osoby na razie przekraczało zdolności i możliwości skołatanej pamięci.

– ...dzięki Bogu...

I znowu znajomy głos, ale należący do innej osoby.

– Ciemno tu... – powiedział Adam.

– ...myślisz, że odzyska przytomność?

– Co znaczy, odzyska? – krzyknął Zawada. – Przecież was słyszę. I dlaczego nic nie widzę?!

– ...jak nie odzyska, to dzielimy się jego fajkami...

– No, to już, kurwa, wolne żarty – ryknął, aż zbolałe gardło odmówiło mu posłuszeństwa. Zaniósł się ostrym kaszlem. Ból zwinął go w kłębek i przypomniał o niedawnych zdarzeniach.

– Mówiłem, żeby nie robić sobie jaj z generała – stwierdził Filippek, podnosząc Adamowi głowę.

– Nie, to ja mówiłem, żeby tego nie robić – skontrolował Adamczyk.

Głosy komandosów dochodziły gdzieś z większej odległości.

– To ty chciałeś go nabrać.

– Gównu dostaniecie, nie fajki. – Adam wciąż się dławił, ale postanowił nie zostać im dłużny. Przez moment naprawdę myślał, że jest w zaświatach.

– Dlaczego ja nie widzę? – zapytał, ale zanim skończył mówić, już przypomniał sobie ostrzegawczy okrzyk Filipka i nagły rozbłysk wybuchu.

– Czy to minie?

– Minie, ale trochę czasu może upłynąć.

– Zależy ile luksów pan dostał.

– Szlag by to... – Adam usiadł dzięki wsparciu komandosa. Z podstawionej pod usta manierki łapczywie wypił kilka łyków wody.

Pieczenie w gardle powoli mijało, ale przed oczami nadal wirowały mu setki gwiazd. – Udało się? – zapytał, oblizując spierzchnięte wargi.

– Musiało.

– Zdążyłeś, jak słyszę...

– W ostatniej chwili. – Adamczyk chyba stał na zakręcie korytarza; Zawada słyszał go słabiej – skoczyłem do ślepej odnogi w momencie wybuchu. Byłoby mnie wyciągnęło, gdybym nie chwycił się czyjejś nogi.

– Mojej, dokładnie rzecz ujmując – wyjaśnił Adam. – Pewnie jeszcze mam na łydce odciski po twoich palcach.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – rzucił Filipek, podnosząc Zawadę. – Czas wracać.

– Jak to, wracać, a co z tymi drzwiami? Spieprzyliście coś?

– Niezupełnie. – Głos Adamczyka przybliżył się. – Wybuch był kierunkowy, drzwi nawet nie osmaliło.

– To dlaczego nie idziemy sprawdzić, co tam jest?

– Bo to już sprawdziliśmy. – Poczul klepięcie w plecy, a zaraz potem drugie ramię, które go wsparło. – Jak był pan nieprzytomny.

– Jesteście sukinsyny. Zostawiliście mnie takiego bezbronego...

– Skąd, miał pan na kłacie odbezpieczony granat; gdyby ktoś pana palcem ruszył...

Rechot dochodzący z obu stron zabrzmiał naprawdę złowrogo.

– Wiem, prezent od Matyldy...

– Co? – Filipek nie załapał.

– Taki cytat z filmu.

– A, rozumiem.

– *Z Leona zawodowca* – podpowiedział Adamczyk. – Rewelacyjne kino. Ciekaw jestem czy Jean Reno jeszcze żyje?

– A gdzie mieszkał?

– Gdzieś na południu Francji, ale gdzie dokładnie, to nie wiem. Miał jakąś farmę w górach, czy coś.

– To mógł przeżyć.

– Dobrze by było, bo naprawdę lubiłem faceta.

– A *Wielki Błękit* pamiętasz?

– Panowie... – przerwał tę rozmowę Zawada, który przez moment zajął się czymś innym. Zdawało mu się, że dostrzega jakieś rozmyte kontury i starał się na nich skupić, ale zaraz przypomniał sobie, że w korytarzu jest

ciemno, a on nie ma już na twarzy noktowizora, więc to mogło być tylko przywidzenie. – Proszę was, rozmawialiśmy o czymś innym.

– Jasne. – Filipek zareagował pierwszy. – To trzy niewielkie pomieszczenia pełne jakiejś aparatury. Kupa monitorów, przełączników i napisów po rusku. Z tego, co wyczytałem, to chyba stanowiska odpalania rakiet międzykontynentalnych.

– Bingo... – ucieszył się Adam.

– Niezupełnie, zdaje się, że oni zabrali zabawki ze sobą.

– Niemożliwe, obserwowaliśmy proces wycofywania do samego końca. Mogli zniszczyć te rakiety, ale na pewno ich stąd nie zabrali.

– Wystarczy, że zabrali głowice.

– Gdyby tak było, zdemontowaliby te stanowiska, a nie zastawiali pułapki na potencjalnych intruzów. Moim zdaniem cały system został tutaj na wszelki wypadek.

– Może... Trudno się połapać, bo nie ma zasilania.

– Jestem tego pewien. – Adam zatrzymał się, żeby złapać oddech. – Odpowiedź znajdziemy tam, na dole... Te tunele prowadzą do wyrzutni.

\*\*\*

Żar doskwierał wszystkim, ale czekali cierpliwie w kompletnych mundurach zapiętych na ostatni guzik. Przy rozkładanym stole siedział Pan Jan, obok niego Henryk, a po lewej stronie Traczyk. Kilku wartowników otaczało namiot, czujnie wypatrując jakiegokolwiek ruchu w wysokiej trawie. Oczywiście dla pozorów, bowiem tak naprawdę zabezpieczeniem terenu zajmowało się ośmiu snajperów, siedzących na drzewach pobliskiego lasu. Tych z kolei pilnowali komandosi ukryci nieco głębiej w gąszczu na wypadek prób obejścia obozu przez większe siły przeciwnika. Burmistrz zdawał sobie sprawę, że w przypadku frontalnego ataku te zabezpieczenia były wręcz śmieszne i nikt nie zdążyłby dobiec do helikopterów, stojących za namiotami. Ale zakładał, że dowódcy zbliżających się od wschodu sił będą na tyle zaciekawieni przedstawieniem, które przygotował, by nie uderzać od razu.

Na tyle liczył i miał rację. Chińczycy zauważyli ich już cztery godziny temu. Zatrzymali się tuż za horyzontem, niemal dokładnie w miejscu, które wytypował i przygotował wywiad. Miniaturowe kamery szpiegowskie

rozłokowane na rachitycznych drzewkach przekazywały dokładny obraz z obozu przeciwnika, od straży przedniej, po wielkie stado wołów służące za siłę pociągową korpusu. Chwilowo nic się tam nie działo, ale nasiadówka zwołana w pozbawionym silnika autobusie, który był zapewne czymś w rodzaju wozu sztabowego, świadczyła, iż Chińczycy potraktowali polską delegację z odpowiednią atencją.

Nagle drzwi autobusu otworzyły się. Chyba z niezłym hukiem, bo wystraszone bawoły, zaprzężone do tego niezwykłego pojazdu, ruszyły z miejsca. Zanim opanowano sytuację, wóz przesunął się o metr, a może więcej, ścinając z nóg oficera, który zamierzał wysiąść. W namiocie wywołało to salwę śmiechu, który jednak umilkł, gdy do stóp wściekłego żołnierza podbiegło kilku cywilów pilnujących zwierząt. Czyścili nerwowo jego spodnie, nie podnosząc nawet wzroku na rękę uzbrojoną w pistolet. Strzału zebrani przy monitorze nie słyszeli, ale drgnęli, gdy jeden z kłęczących upadł bezwładnie na ziemię.

– I co pan na to? – Burmistrz spojrział na bladą twarz Henryka.

– Zwierzęta – odparł drżącym głosem Mróz.

– Ci na kolanach, czy oficerowie? – Pytanie Pana Jana pozostało bez odpowiedzi. Zarówno kanclerz jak i marszałek popatrzyli na Burmistrza ze zdziwieniem.

– Jeśli mamy ich pokonać – rzucił stanowczo Sobieszczuk – to nie możecie robić w gacie na każdy przejaw okrucieństwa. Nie powinni widzieć naszej słabości.

– To nie słabość – powiedział Henryk. – Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi.

– Doprawdy? Znałem wielu takich, którzy zachowywali się do niedawna zupełnie jak on. – Wskazał na ekran.

Tymczasem Chińczycy przygotowali samochód terenowy. Wyprzęgli woły i zdjęli plandekę. Z autobusu wysypało się kilku następnych oficerów. Uśmiechniętych, zadowolonych z niedawnego pokazu siły. Zabójca otrzymał kilka przyjacielskich klepnięć po plecach. Zajął miejsce za kierownicą, a trzech spośród tych, którzy opuścili przed chwilą autobus, usiadło z tyłu.

– Ruszają. Wszyscy na stanowiska.

\*\*\*

Po zdjęciu opatrunku i kilkakrotnym przemyciu oczu, Zawada zaczął dostrzegać niewyraźne kształty. Po godzinie mógł już samodzielnie chodzić, a po następnej zyskał niezachwianą pewność, że odzyska wzrok całkowicie. Sekretarka zreferowała mu pokrótce wydarzenia ostatnich kilku godzin. Ekipy saperów sprawdziły halę Świątyni Przeznaczenia i dwa z trzech tuneli. Zgodnie z przewidywaniami Adama, prowadziły one do silosów, w których stały ogromne rakiety balistyczne. Po dwie na każdy tunel, co dawało razem sześć wielogłowicowych pocisków. To były pocieszające wieści. Postanowił jednak potwierdzić te dane osobiście. Wolał nie ryzykować wysyłania niepełnego bądź niesprawdzonego raportu do sztabu.

W momencie, gdy zjechał na dół, sprawdzano jeszcze trzeci tunel, ale nie wątpił, że na jego końcu znajdą się kolejne dwa stalowe cygara. Porozmawiał chwilę z saperami, a potem udał się na przeciwległy kraniec oświetlonej rżęsiście sali, gdzie czekali na niego obaj majorowie.

– Jakie wiadomości z góry? – zapytał Filipek.

– Jesteśmy gotowi, samoloty zatankowane i uzbrojone we wszystko, co zdołaliśmy znaleźć w magazynach. Chłopcy czekają tylko na rozkazy. A co u was?

– Nie za dobrze...

– Dlaczego? Słyszałem, że mamy sześć wielkich rakiet...

– Rakiety może i mamy – odparł Filipek – ale gorzej z resztą.

– Z jaką resztą? – zdziwił się Adam.

– Głowice, paliwo i takie tam sprawy...

– Nie rozumiem, rakiety są, a nie ma głowic?

– Korpusy rakiet są, i to doskonale zabezpieczone, głowice też są, tyle że nie mamy zapalników ani kodów uzbrajających. Skurwysyny, wydymały was bez mydła. Zostawili to, co mogło ich zdradzić, ale zabrali wszystko, co potrzebne do odpalenia...

– Albo gdzieś ukryli – wtrącił Adamczyk – choć to raczej mało prawdopodobne.

– A co z paliwem?

Filipek wskazał na schody, pod którymi stali. Adam spojrział w górę, a potem na komandosa.



– Tam są pomieszczenia techniczne, przepompownia, i cholera wie, co jeszcze. Chłopaki z uniwerku starają się rozszyfrować całe to bagno.

Zawada zastanawiał się przez chwilę, czy opłaci się wspinać na tak wysokie schody, ale zrezygnował z tego pomysłu.

– Mamy to paliwo, czy go nie mamy? – powtórzył pytanie.

– Coś mamy, ale nie wiemy co. Rusy używały cholernie żrących paliw ciekłych. Dlatego tankowali rakiety tylko w razie alarmów, albo przed wystrzeleniem. Odkryliśmy kilka zbiorników z jakimiś płynami, ale co to za gówno i w jakich proporcjach je wymieszać, tego najstarsi górale nie wiedzą.

– To klops...

– Zawsze można zdemontować poszczególne głowice i używać ich jak zwykłych bomb – zauważył Adamczyk. – Jeden z naszych fachmanów twierdzi, że to całkiem wykonalne, jeśli uda się wyprodukować zapalniki.

– A ile mamy tych głowic? – zapytał Adam.

– Osiemdziesiąt, ale ani jedna nie jest kompletna. Nie wiemy jeszcze, jak wygląda sytuacja w trzecim silosie. Jeśli podobnie jak w tych przebadanych, to dodamy ze czterdzieści.

– Sto dwadzieścia głowic... – Zawada już kalkulował, jak przekazać tę wiadomość do sztabu. – Jakiej mocy? Megatona, dwie, dziesięć?

– Raczej nie. Chłopcy twierdzą, że to drobnica. Prawdopodobnie od dwustu do czterystu kiloton.

– A czy jesteśmy w stanie wyprodukować zapalniki?

– Sądząc z tego, co mówią jajogłowi, istnieje taka możliwość, ale...

– Ale co? – zapytał Zawada.

– Ale to potrwa minimum kilka miesięcy. I efekty mogą być różne.

\*\*\*

Samochód zatrzymał się na środku szosy, dwadzieścia metrów przed namiotem. Chińczycy wysiedli z niego powoli i poczekali na żołnierza, który po nich poszedł. Potem udali się wprost do stołu rokowań, jak nazwano tę część obozu.

Pan Jan wstał, podobnie jak jego zastępcy, by okazać szacunek gościom. To wystarczyło. Dwaj starsi oficerowie usiedli, pozostali stanęli za nimi. Ten, który strzelał, stał po lewej.

– Do you speak English? – zapytał Burmistrz.

Emisariusze siedzieli z kamiennymi twarzami.

– Goworitie pa ruskij? – Traczyk studiował w Moskwie, od biedy potrafił jeszcze porozumieć się po rosyjsku.

– Parlais vous Francaise?

– Sprechen sie Deutsch?

Chińczycy nie zareagowali na żaden z tych zwrotów, co znacznie zawężyło szanse na komunikację. Polskiego nie powinni znać tym bardziej.

Pan Jan rzucił okiem na ściekającą po policzku Traczyka kroplę potu. Skrzywił się i przywołał gestem wartownika, czekającego z mapą sztabową. Rozłożył ją przed sobą tak, by wschodnia jej część znalazła się przy Chińczykach, a zachodnia po jego stronie. Naniesiono już na nią nowe linie brzegowe tej części kontynentu. Pozostałe zostały celowo zniekształcone, na wszelki wypadek, by nie dawać przeciwnikowi zbyt wielu informacji, bo czego jak czego, ale zwiadu powietrznego nie posiadał, albo nie wykorzystywał.

Sobieszczuk wyjął z kieszeni pisak i zrobił krzyżyk w miejscu, gdzie się teraz znajdowali. Obserwujący go Chińczycy skinęli głowami. Potem narysował kreskę od wybrzeża poszerzonego Bałtyku, aż po rozlane wody Morza Czarnego. Nie była specjalnie długa i wędrowała od Brześcia przez Łuck do Tarnopola. Spojrzał na delegację Azjatów. Patrzyli na mapę z niezmiennym wyrazem twarzy. Narysował drugą kreskę, oddaloną od pierwszej o trzysta kilometrów. W kierunku wschodnim. O ile poprzedni rysunek musiał być choć trochę zrozumiały dla strony przeciwnej, to ta linia budziła ich zdziwienie.

– We, zdies – powiedział Pan Jan, pokazując palcem na siebie, a potem na mapę po stronie zachodniej kreski. – You zdies... – analogicznie wytknął palcem oficera o największej ilości medali i znaczków na pagonach, a następnie wskazał na tereny położone na wschód od drugiej kreski. Gdy podniósł wzrok, zauważył rozbawione miny Chińczyków.

– You zdies – wskazał palcem na środkową część mapy – i buuum! – Zakreślił w powietrzu kształt atomowego grzyba.

Najstarszy stopniem Chińczyk rzucił coś krzykliwym głosem, a pozostali zaczęli się głośno śmiać. Sobieszczuk pogardliwie wyduł wargi i popchnął w stronę delegatów papierową teczkę, którą podał mu oficer łącznikowy. Przestali się śmiać. Jeden z adiutantów, ten stojący po prawej,

sięgnął po teczkę, otworzył ją, przejrzał zawartość i natychmiast podał staremu. Były w niej zdjęcia lotnicze centralnego korpusu, z naniesionymi szkicami zrobionymi przez fizyków z Poznania, którzy obliczali skutki ograniczonego ataku nuklearnego na to zgrupowanie.

Azjaci spoważnieli w jednym momencie. Spoglądali na zdjęcia z wyraźnym rozdrażnieniem, ale i lekkim rozbawieniem. Pan Jan nie wiedział, co bardziej ich denerwuje: fakt, że Polacy znali doskonale rozkład ich sił, czy naniesione na zdjęcia siatki, obrazujące strefy zniszczeń ewentualnych ataków. Wiedział za to doskonale, skąd te uśmieszki.

Najstarszy z emisariuszy raz jeszcze rzucił okiem na zawartość teczki i odłożył ją na stół. Gest, jaki wykonał w chwilę później, był czytelny dla wszystkich. Nie zgadzał się na propozycję Sobieszczuka. Najwyraźniej wyczuwał bluff. Henryk zaczął się nerwowo kręcić na swoim krześle. Traczyk miał zaciętą minę, ale widać było, że i jego zaczyna zjadać stres. Pan Jan wziął pisak i narysował kolejną kreskę na mapie, tym razem przesuniętą o następne dwieście kilometrów na wschód. Potem odpiął zegarek i położył go na stole. Sądził, że to będzie, bardzo czytelny znak dla strony przeciwnej. I nie pomylił się.

Licytacja się rozpoczęła.

\*\*\*

Zawada od dziesięciu minut siedział przed telefonem i myślał. Kalkulował, co i w jakiej formie może powiedzieć o znalezisku pod lotniskiem. Zdawał sobie sprawę, że w obecnej sytuacji broń nuklearna rozbudzi wielkie nadzieje w Burmistrzu i generalicji, lecz z drugiej strony te rakiety i głowice były tak naprawdę gównem warte. Bez specjalistów od atomistyki, wrocławianie mogli liczyć jedynie na eksperymenty. Kilku fizyków z Instytutu Niskich Temperatur zgłaszało wprawdzie chęć popracowania nad głowicami, ale to byli teoretycy, znali idee, lecz nie mieli w przeszłości żadnej styczności z taką technologią. Efektem ich pracy równie dobrze mogły być niewypały.

– Pieprzony dylemat – mruknął do siebie i odpalił kolejnego papierosa od niedopałka. Starał się oszczędzać cenne Marlboro, i osiągnął imponujące efekty, ograniczając się do kilku sztachnięć cztery razy dziennie, ale dzisiaj puściły mu nerwy. To była ostatnia paczka i właśnie przyszedł na nią kres.

Sięgnął po słuchawkę. Telefonistka zgłosiła się od razu. Jak wszyscy, czekała na jego decyzję.

– Połącz mnie ze sztabem – polecił.

Postanowił przedstawić sprawę w najczarniejszych barwach.

\*\*\*

Chińczycy dyskutowali między sobą przez kilka minut. Stary odcinał się od opinii wygłaszanych przez swojego zastępcę, a ci z tylnego rzędu starali się ich pogodzić. Pan Jan obserwował ich z kamienną twarzą, ale była to tylko przykrywka. Pod tą maską walczył z niewesołymi myślami. Wyłożył na stół wszystkie mocne karty, a przeciwnik wciąż podnosił stawkę. Nie mógł się teraz wycofać, oznaczałoby to przegraną, brnął więc coraz dalej, rozpaczliwie szukając argumentów, które pozwoliłyby na ostateczne przekonanie tamtej strony. Wyglądało na to, że młodszy oficerowie uwierzyli w zagrożenie. Stary generał jednakże wciąż odmawiał rokowań, pewien blefu, a może wierząc w siłę pozostałych korpusów. Gdyby tak dało się wyeliminować tego dziada... To było nawet możliwe i wykonalne, pozostawał jednak problem, czy następcy zabitego będą bardziej skorzy do negocjacji, czy też potraktują egzekucję jako akt wojny.

Jeśli nie uda się ich przekonać o zagrożeniu atakiem nuklearnym, nie pozostanie nic innego, jak wydać rozkaz nalotów na transporty. Konwencjonalnych nalotów, rzecz jasna, i pozbawionych elementu zaskoczenia w stopniu, jaki był możliwy jeszcze parę godzin wcześniej. W odróżnieniu od korpusów, zaplecze posiadało sprawne radary i silną obronę przeciwlotniczą. Jeśli atak nie odniósłby pełnego sukcesu, mogli liczyć tylko na cud. Z drugiej jednak strony nie zdradził, że wie o zapleczu chińskiej armii. Pociągi wciąż stały przed kolejną przeszkodą, wystawione na atak. Gdyby tak zrewidować poprzedni plan i przeprowadzić zmasowany nalot wszystkimi siłami... Pozbawiony całego wsparcia pancernego, dowódca korpusu mógłby zmienić nastawienie. Albo wręcz przeciwnie.

Sobieszczuk znalazł się w kropce. Europa była w kompletnej rozsypce. Pomimo ogromnych wysiłków, nie udało się złapać żadnego sensownego przekazu z zachodniej części kontynentu. Ogromniszyszczeń, widocznych na zdjęciach z lotów rozpoznawczych, nie zostawiał miejsca na rozważania. Rosjanie uderzyli wszystkim, co mieli, a i Chiny dołożyły pewnie swoje

trzy grosze. Tylko kraje Trójkąta Wyszehradzkiego wyglądały jako tako, ale były zbyt małe, by podzielić się ziemią i wpływami z ogromnymi rzeszami ludzi, napływającymi ze wschodu. Pan Jan nie miał co do tego wątpliwości. Gdyby nawet udało się obronić linię Wisły, a korpusy ekspedycyjne przeszły bokiem, to za kilka miesięcy problem pojawiłby się ponownie. Zniszczenia w zachodniej części kontynentu były znacznie większe, nie wiadomo czy w ogóle dałoby się tam żyć. Nawet górzysta Szwajcaria, pomimo neutralności, została potraktowana podczas tej wojny jak śmiertelny wróg. Żadne z jej większych miast nie ocalało, a żyzne alpejskie doliny, które nawet podczas wojny stuletniej dawały schronienie całym nacjom, były teraz wypalonymi do gołej ziemi pogorzeliškami.

Dzisiejsze rokowania musiały zdecydować o losie Rzeczypospolitej. Ich klęska oznaczała w perspektywie roku fizyczną likwidację państwa i jego obywateli.

Burmistrz musiał przekonać Chińczyków, że dysponuje siłą zdolną do starcia na proch ich potęgi. Tylko jak, na Boga, jak? Starął się zachować kamienną twarz, ale drgnął, gdy padł na niego cień. Oficer łącznikowy podał mu kartkę z meldunkiem. Przeleciał wzrokiem po dwóch linijkach tekstu. Uśmiechnął się drwiąco i podniósł wzrok na starego Chińczyka. Przez moment zdawało mu się, że widzi zaniepokojenie w oczach tamtego. Nawet jeśli było to tylko złudzenie, Sobieszczuk podjął decyzję. Wszystkie fragmenty łamigłównki, jaką były do tej pory pertraktacje, znalazły się na właściwym miejscu.

Najlepszą obroną jest atak...

Pan Jan szepnął coś do ucha żołnierzowi obok, podał ostentacyjnie kartkę Traczykowi i powoli wstał. Podniósł zegarek z mapy i zapiął go ponownie na nadgarstku. Wskazał na niższego stopniem chińskiego oficera, stojącego po prawej, potem na Sokoła. Tamten zrobił zdziwioną minę, ale Pan Jan raz jeszcze wskazał na śmigłowiec, a potem na siebie i na niego. Stary uśmiechnął się krzywo, ale skinął powoli głową, zezwalając na tę podróż.

Oficer przeszedł obok stołu i skierował się do Sokoła, który zaczął właśnie grzać silniki. Burmistrz na migi pokazał, że to potrwa, co najmniej osiem godzin. Była dopiero dziewiąta rano, więc miał szansę wrócić jeszcze przed zmrokiem. Wsiadając do maszyny widział, że Chińczycy idą do swojego samochodu.

\*\*\*

– Dajcie mi Zawadę – rozkazał Pan Jan, gdy już wystartowali.

Spojrzał przez ramię na wnętrze maszyny. Szczupły Chińczyk siedział w kabinie pomiędzy dwoma roslymi żandarmami. Wyglądał przy nich jak dziecko. Miał na głowie kulisty hełm, ale wtyczka radia była wyjęta z gniazda. Burmistrz zadbał o każdy szczegół, wprawdzie prawdopodobieństwo zrozumienia, o czym mówią między sobą, było znikome, ale wolał nie ryzykować. Nie w takim momencie.

– Tu jednostka 18-210. – Głos był zniekształcony, ale na tyle czytelny, by zrozumieć głośno i wyraźnie wypowiedziane słowa. – Mówi Zawada, nie wiem, co panu przekazano, ale...

– To teraz nieistotne. Słuchajcie, Zawada, nie mam za dużo czasu na gadanie, więc skupcie się teraz na tym, co mówię. Lecimy do was z ważnym gościem. Chcę, żebyście przygotowali dla niego małe przedstawienie. Ustawcie wszystkie maszyny na pasach startowych. Chcę, żeby wyglądało na to, że zamierzamy je wysłać w najbliższym czasie do akcji.

– To nie będzie trudne, dostaliśmy rozkaz z Bastionu, by przygotować wszystkie maszyny...

– Nie przerywajcie mi w pół słowa, generale. To jeszcze nie koniec, z tego, co zrozumiałem, odkryliście silosy z ruskimi rakietami. Niesprawnymi...

Przez chwilę na łączach panowała cisza. Zawada dopiero po kilku sekundach zorientował się, że to była forma pytania.

– Te rakiety nadają się na złom. Nie potrafimy nawet napełnić ich zbiorników paliwem. Nie znamy składu mieszanki.

– Nie na złom generale, ale na pokaz.

– Słucham? – Adam albo nie dosłyszał, albo nie zrozumiał.

– Na pokaz – powtórzył Burmistrz. – Chcę je wykorzystać jako element dekoracyjny. Zróbcie wszystko, żeby wyglądały na gotowe do startu. Nie wiem jak to zrobicie, ale musimy sprawiać wrażenie, że nie zawahamy się ich użyć.

– Spróbujemy.

– Macie trzy godziny czasu.

- Trochę mało.
- Nie mogę dać wam więcej. Nie chcę, żeby żółtek zorientował się, że coś kombinujemy. Musimy lecieć prosto do was.
- Rozumiem.
- Zawada – Pan Jan zawiesił głos – liczymy na was.
- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.
- Improwizujcie, ale z głową.

\*\*\*

– Słyszeliście? – Zawada spojrzał na zebranych wokół oficerów. Kiwali głowami, potakując. – To na co jeszcze czekacie. Do roboty.

Ruszyli do drzwi.

– Jeśli ktoś ma jakiś pomysł, to niech się nie zastanawia, tylko przychodzi z nim od razu do mnie! – krzyknął za nimi Adam i usiadł za biurkiem.

Spojrzał na plan bazy i po raz dziesiąty zaczął się zastanawiać, jaką drogą poprowadzić gościa, i jakie pokazy mu po drodze zorganizować. Samoloty, łącznie ze startem jednego bądź dwóch skrzydeł na początek. Potem drugi pas startowy i Stealthy. Tak, tu można było zorganizować konkretną niespodziankę. Na przykład...

Wcisnął przycisk interkomu.

– Dajcie mi tu Filipka i Adamczyka – rzucił. – Natychmiast.

Nie czekał długo. Dowódca Służby Bezpieczeństwa i Szef Ochrony pojawili się jednocześnie.

– Siadajcie. – Zawada wskazał im krzesła pozostawione po niedawnej naradzie. – Chciałbym, żebyście zorganizowali grupę, która przetransportuje kilka z tych fełernych głowic z dołu na drugi pas.

Filipek skrzywił się, słysząc o co go proszą, ale nie powiedział ani słowa. Skinął jedynie głową.

– Sprawdźcie też, czy mamy w arsenale bomby półtonowe, albo i większe. Jeśli tak, to chciałbym, żeby rozbrojono kilka i umieszczono w nich właśnie te głowice.

– To nie zadziała – stwierdził Adamczyk. – Nie da się zrobić w tak prosty sposób bomb atomowych.

– Mylicie się, a ja, mimo że nie jestem fizykiem, udowodnię wam, że się da.

\*\*\*

Sokół podchodził do lądowania na betonowej płycie tuż przed rampą prowadzącą na podziemne pasy startowe. Pan Jan przed pięcioma minutami połączył się z Zawadą po raz drugi i przyjął raport z postępu prac. Nie wyglądało to za różowo, ale ludzie generała zrobili chyba wszystko, co było możliwe.

Maszyna delikatnie siadła na powierzchni ziemi. Kompania wartownicza wysypała się z bunkra pod rampą i utworzyła szpaler prowadzący do pierwszego wejścia. Burmistrz zdjął hełm i otworzył drzwi kabiny. Gorące powietrze natychmiast zrosiło mu twarz i kark kropelkami potu. Pochylił się i pobiegł do oficerów stojących opodal. Uścisnął dłoń Zawady i przywitał się z pozostałymi, zanim żandarmi podprowadzili Chińczyka.

– Nie wiem, jak on się nazywa, ani jaki ma stopień – powiedział Pan Jan, zanim nadchodzący znaleźli się na tyle blisko, by usłyszeć jego słowa. – Wygląda na to, że nie mówi żadnym znanym językiem, ale sugeruję, żeby nikt w jego obecności nie poruszał żadnych tematów związanych z tym, co tu przygotowaliśmy. Zrozumiano!

– Tak jest. – Łącznicy pobiegli do wnętrza kompleksu z nowymi poleceniami.

Oficerowie pozdrowili gościa salutami i razem ruszyli na obchód lotniska. Wejście korytarzem technicznym do przestronnej i mrocznej hali nie uchroniło nikogo przed temperaturą. We wnętrzu góry panował wręcz hutniczy żar. Wentylatory pracowały na pełnych obrotach, ale dziesiątki uruchamianych silników sprawiały, że nie było czym oddychać. Szli środkiem pasa, mijając rzędy ustawionych pod ścianami Migów i F-16, przy których uwijali się mechanicy i zbrojmistrze. Podłączano rakiety, bomby, zasobniki. Wszystko, co tylko można było pod te maszyny podwiesić. Piloci przeprowadzali kontrole kokpitów, albo podpisywali jakieś papierki. Pan Jan uśmiechnął się pod nosem. Nie był zawodowym żołnierzem, ale scena wyglądała naprawdę autentycznie. Z tego, co mu powiedziano, wzorowano ją na jakimś amerykańskim filmie.



Dotarli właśnie do jednej z wind, gdy narastający ryk silnika odrzutowego sprawił, że wszystkie głowy zwróciły się w stronę źródła hałasu. Srebrzysta sylwetka myśliwca ruszyła w kierunku wylotu z ogromną prędkością. Na podziemnych pasach startowych zamontowano takie same systemy odbojników jak na lotniskowcach. Specjalne katapulty nadawały odpowiednie przyspieszenie startującym maszynom, a przy lądowaniach pomagały liny i haki.

Zawada wskazał wszystkim drzwi opodal windy towarowej. Weszli do wąskiego łącznika prowadzącego na sąsiedni pas. Tutaj musieli chwilę poczekać, bowiem wartownicy uzbrojeni w broń maszynową sprawdzili dokładnie wszystkie przepustki. Na chińskiego oficera spoglądali z wyższością i wyraźną pogardą, co nie uszło uwadze Burmistrza. Nie sądził, że było to odpowiednie zachowanie, ale uznał, iż w danym momencie nie powinien karcić ludzi za nadgorliwość. Zresztą może takie zachowania były bardziej autentyczne.

Wreszcie kontrola się skończyła i mogli wejść na jasno oświetlony pas numer 2. Tutaj po raz pierwszy na twarzy Azjaty pojawiło się coś na kształt zaskoczenia. Czarne, matowe i kanciaste kadłuby Stealthów z białymi gwiazdami na statecznikach wyglądały imponująco. Podobnie jak klucz Raptorów, przygotowywanych w głębi hangaru. Wokół nich też kręciło się wielu ludzi. Z daleka wyglądało to na klasyczny alarm bojowy.

Zawada, ku zdziwieniu Pana Jana, w tym momencie wskazał wszystkim zupełnie inny kierunek marszu. Mieli przejść przez pas i udać się wprost do następnego przejścia.

– Generale? – Jedno słowo wystarczyło, by Zawada stanął na baczność.

– Dlaczego nie pokażecie naszemu gościowi z bliska tych maszyn? – zapytał Burmistrz.

– Melduję, że to byłoby... niepożądane – odparł ostrożnie Adam.

– Dlaczego? – Sobieszczuk nie rozumiał. Zapewniono go, że te akurat samoloty zostały przygotowane do pokazu.

– Sam pan wydał rozkaz, żeby nasze siły nuklearne postawić w stan najwyższej gotowości bojowej, więc pomyślałem że...

– Bzdura. – Burmistrz ruszył ku najbliższemu samolotowi, ale dźwięk syren alarmowych osadził go w miejscu.

– Co się dzieje? – zapytał zdziwiony.

– Melduję, że rozpoczynamy załadunek bomb nuklearnych – zameldował jeden z oficerów. – Sugerowałbym daleko idącą ostrożność.

Z szybu wyłoniła się winda transportowa. Znajdował się na niej jeden wózek i kilku ludzi z eskorty, ubranych w żółte kombinezony ochronne. Jeden z techników podbiegł do oficerów i ustawił się przed nimi z licznikiem Geigera w dłoni. Wózek ruszył w kierunku otwartej ładowni pierwszego samolotu. Przejechał o dwadzieścia metrów od wizytujących hangar ludzi, ale gdy licznik zaczął cicho terkotać, niektórzy z oficerów cofnęli się. Nerwowe zachowanie udzieliło się też Chińczykowi. Spoglądał z niedowierzaniem na pękate kształty spoczywające na wózku. Magia tego miejsca zaczynała działać.

– Życzy pan sobie? – Pan Jan zaprosił gościa do samolotów.

Azjata przez moment wahał się, ale potem przecząco pokręcił głową.

Skierowali się na trzeci pas, a potem windą zjechali do kompleksu centrum dowodzenia. Tutaj Zawada zrobił się nerwowy. Technicy zapewniali go, że naprawią windę prowadzącą do Świątyni Przeznaczenia, ale nadal nie miał potwierdzenia.

Strażnicy, poinstruowani przez Filipka, stali niemal przy każdych drzwiach centrum. Sprawiali ponure wrażenie, obwieszeni bronią jak choinki, z kamiennymi twarzami i słuchawkami w uszach. Zawadzie nie podobał się pomysł majora, ale w końcu pozwolił mu na obstawienie całego kompleksu. Teraz ze zdziwieniem przyznawał, że komandosi nadali temu miejscu nastrój tajemniczości. Sam czuł się nieswojo, przechodząc obok kolejnych posterunków i poddając się kolejnym kontrolom.

Na zakręcie korytarza, za którym znajdowała się feralna winda, czekali dwaj technicy i ktoś w białym fartuchu. Pan Jan rzucił szybkie spojrzenie na Zawadę, ale ten jakby nie wiedział, co ma znaczyć ten komitet powitalny. Zatrzymali się przed mężczyzną w fartuchu.

– Doktor Filipek – przedstawił się komandos, podając każdemu dłoń, łącznie z zaskoczonym Chińczykiem. – Witam panów i zapraszam na wizytację naszej Świątyni Przeznaczenia. Zanim jednak zjedziemy na poziom zero – wskazał teatralnym gestem na drzwi windy – prosiłbym o wpięcie w klapy tych dozymetrów. – Tu wyjął z kieszeni kilka plakietek. – Sami panowie rozumiecie, mamy teraz alarm i przygotowujemy cały arsenał...

Gdy przypinali do mundurów dozymetry, Filipek skinął na techników, by otworzyli drzwi do windy. Do kabiny weszli tylko Pan Jan, Chińczyk, Zawada i przebrany za naukowca Filipek. Reszta miała zjechać następnym kursem.

Adam stanął przy pulpicie i nacisnął dolny przycisk. Kabina ruszyła, ale opuszczała się dość wolno, zbyt wolno jak na gust Zawady. Już wiedział, że winda nie była sprawna, i w myślach przeklinał techników. Ale, o dziwo, pozostali nie zwracali uwagi na żółwie tempo jazdy. Na szczęście opuszczający kabinę ręcznie nie szarpali tak, jak ostatnim razem.

Wreszcie winda zaczęła zwalniać. Lekkie szarpnięcie poprzedziło otwarcie drzwi, oczywiście z pulpitu. Filipek udając, że wbija jakiś kod, zasłonił sobą panel i nacisnął po prostu awaryjne otwieranie drzwi.

Przeszli na pomost i minęli okrągłe drzwi pilnowane przez dwóch komandosów. Szli w milczeniu krętym korytarzem, mijając jeszcze dwa posterunki. Adam trzymał się tuż za „naukowcem”, który pewnie prowadził ich do stanowiska ogniowego. Gdy wyszli na ostatnią prostą, Zawada spodziewał się śladów eksplozji, ale ku swojemu zdumieniu ujrzał stolik, przy którym siedzieli jacyś mężczyźni w szarych lotniczych kombinezonach, i jasne ściany ozdobione wielkim napisem:

**BACZNOŚĆ**

**STANOWISKO RAKIETOWE NUMER 33**

**PALENIE SUROWO WZBRONIONE.**

– Czysto tu macie – pochwalił ich Pan Jan, którego też zdziwiła taka odmiana po zakurzonych wnętrzach głównej bazy.

– Melduję, panie Burmistrzu – powiedział z dumą Filipek – że niedawno skończyliśmy odnawiać ten fragment instalacji. Strasznie tu było szaro...

Mężczyźni otworzyli drzwi do następnych pomieszczeń. Znajdujący się wewnątrz żołnierze stanęli na baczność, widząc dowódcę i samego Burmistrza.

– Spocznij – powiedział Zawada i poczekał, aż siądą na swoich miejscach.

– Mamy gotową dwójkę, czwórkę, piątkę i szóstkę – referował tymczasem Filipek, pokazując kolejne ekrany, na których widać było

spowite parą silosy i srebrzyste korpusy rakiet. – Czekamy tylko na rozkazy.

– A co z pozostałymi? – zapytał zniechęca Pan Jan.

– Melduję, że je właśnie uzbrajamy w nowsze głowice – odparł Filipiek wskazując na duży monitor zawieszony pod sufitem. Mogli na nim obserwować otwarty człon czołowy rakiety, przy którym pracowało sześciu ludzi w kombinezonach ochronnych. Wyraźnie było widać jak w leżu montowane są kolejne głowice. Dwanaście ostrosłupów trafiło już na swoje miejsca. Osiem czekało na montaż.

– Znakomicie. – Burmistrz objął Chińczyka ramieniem i zatoczył koło drugą ręką. – Mam nadzieję, przyjacielu, że wiesz, co to jest, i do czego służą te klucze.

Na każdym ze stanowisk odpalania, klucze inicjujące były ustawione w pozycji „Gotowy”. Azjata popatrzył we wskazane miejsce, a potem na uśmiechniętego Sobieszczuka. Minę miał nadal nieprzeniknioną, ale szybkie spojrzenia, jakie rzucał na boki, świadczyły, że obserwował wszystko uważnie.

– No? – zapytał Pan Jan i spojrzał na niego wyczekująco. – Mam nadzieję, że to wystarczy. To enough, da?

Chińczyk popatrzył mu prosto w oczy, a potem skinął powoli głową.

\*\*\*

Trasę powrotną ustawiono tak, by po krótkiej wizycie w sztolniach Bastionu, gdzie pozwolono chińskiemu oficerowi na krótki odpoczynek i poczęstowano go obiadem, ugotowanym z zapasów kuchni sztabowej, przelecieć nad fortyfikacjami Wrocławia, a potem nad trzema zgrupowaniami pancernymi, które przemieszczano w kierunku linii Wisła.

Sam Burmistrz musiał przyznać, że z powietrza kolumny Gromów i czołgi na transporterach wyglądały imponująco. Zwłaszcza że wieziono wszystko, co nadawało się do wiezienia, w tym dziesiątki przedwojennych wraków z koszar Dolnego Śląska.

Ostatnim akcentem prezentacji sił był przelot siedemdziesięciu dwóch samolotów: trzydziestu sześciu F-16, dwunastu Su-34 i dwudziestu czterech Migów-29 z pełnym uzbrojeniem, które pojawiły się obok Sokoła już za dawnymi granicami Polski i przemknęły w szyku bojowym, udając się na

Wschód. Chiński oficer obserwował z uwagą przelatujące w odległości kilkuset metrów maszyny, widział też dokładnie zasobniki wiszące pod skrzydłami. Zrozumiał, że jego świadectwo nie będzie jedynym argumentem w nadchodzących rozmowach. Nie znał jedynie celu ataku.

\*\*\*

Sokół podszedł do lądowania na szosie, tysiąc pięćset metrów od kolumny pojazdów, która stanowiła szpicę korpusu Centralnego. Następne spotkanie z delegacją Azjatów zaplanowano na osiemnastą. Nim koła śmigłowca dotknęły ziemi, żandarmi zdjęli kask z głowy chińskiego oficera i podprowadzili go do otwartych drzwi ładowni. Lekkie klepięcie w plecy było jedynym pożegnaniem. Ledwie stanął na ziemi, maszyna poderwała się i pomknęła w kierunku lasu, wzniecając wielką chmurę kurzu. Nikt nie patrzył na miotanego strugami powietrza żołnierza, który stał gapiąc się na skórzaną aktówkę, którą wręczył mu Pan Jan tuż przed końcem podróży. Dopiero teraz, gdy osiadł pył, oficer mógł zajrzeć do jej wnętrza. Przerzucił szybko znajdujące się w niej papiery i pobiegł jak szalony w kierunku widniejących w oddali wozów.

Wszystko przebiegało według planu, jaki zrodził się w głowie Pana Jana, gdy zobaczył zwiężły meldunek z jednostki 12-810. To było bardzo ryzykowne posunięcie, można powiedzieć, że szalone, ale w razie powodzenia, gwarantowało coś więcej niż chwilowe zawieszenie broni. Chińczycy, zatrzymani drogą pokojową, stanowiliby nadal ogromne zagrożenie. A w miarę upływu czasu i napływu kolejnych fal uchodźców z pewnością podjęliby próby naruszenia kruchego rozejmu. Historia znała setki takich przypadków. Dlatego teraz Pan Jan postawił wszystko na jedną kartę. Uderzenie wszystkimi siłami i zdziesiątkowanie wroga w jednym ataku dawało szansę na odstraszenie najeźdźcy. Wprawdzie rzucenie do walki maksymalnej liczby samolotów pozbawiało Rzeczpospolitą całego zapasu paliwa, ale gdyby nawet używano go oszczędnie, ile dodatkowych akcji zdążyliby przeprowadzić lotnicy na linii Wisły? I z jakim skutkiem? Przygotowany, dobrze okopany przeciwnik, dysponujący nowoczesną bronią przeciwlotniczą, poradziłby sobie z uszczuplonymi każdego dnia siłami wrocławian. Potem równie skutecznie eliminowałyby kolejne linie

obrony naziemnej. Wszyscy w sztabie mieli podobne zdanie na ten temat. Wszyscy bez wyjątku.

Burmistrz wiedział o tym doskonale. Wiedział też, jak zakończą się rokowania. Azjaci będą się targować do upadłego, czując słabość przeciwnika, i wymuszają wiele ustępstw. Raporty zwiadu lotniczego uświadomiły mu, że wszystkie korpusy nadal posuwają się na zachód. Nie zastosowano nawet środków zapobiegawczych w formie rozśrodkowania jednostek. Zatem Chińczycy nie potraktowali serio możliwości ataku nuklearnego na swoje siły. Może nawet sądzili, że przeciwnik tak naprawdę nie zna ich dyslokacji. Tym lepiej. Teraz, po raporcie swojego oficera, wizytującego instalacje nuklearne Wrocławia, i po zapoznaniu się ze zdjęciami, „stary” powinien ostatecznie przekonać się o determinacji strony polskiej. Ale nie to było najważniejsze.

Pan Jan spojrzął na zegarek. Właśnie w tej chwili operacja „Szerokie tory” powinna się rozpoczynać. W chwili, gdy lądowali obok własnych namiotów, chiński oficer docierał do swoich.

Burmistrz wypiął przewody z gniazdka i zdjął hełm. Poprawił zmierzwione włosy i sięgnął do klamki. W tym momencie pilot pokazał mu gestem, że sygnał o rozpoczęciu nalotu dotarł do łącznościowców.

\*\*\*

Rozdzielili się nad Kowlem. Po sześć Migów i tyle samo Su poleciało na północ i południe. Dwudziestki dziewiątki miały stanowić osłonę cięższych myśliwców bombardujących. Chociaż same miały pełne uzbrojenie, łącznie z dodatkowymi zasobnikami bomb kasetowych, to nie mogły się równać ze stanowiącymi istne fabryki śmierci Suchojami. Te maszyny uzbrojono zupełnie inaczej. Ich zadaniem było spowodowanie jak największych strat wśród maszerujących armii. Zamiast dodatkowych zbiorników paliwa podczepiono im do każdej z dwunastu belek zasobniki z bombami kasetowymi i mieszanką paliwowo-powietrzną. Przekroczono dopuszczalne obciążenie o prawie osiemset kilogramów kosztem paliwa, co siłą rzeczy zmniejszyło zasięg maszyn do mniej niż trzech tysięcy kilometrów. Był to jednak świadomy wybór pilotów, którzy niemal jednomyślnie opowiedzieli się za takim rozwiązaniem.

Plan był prosty. Rozciągnięte na przestrzeni kilku kilometrów kolumny miały zostać zaatakowane bombami kasetowymi przez całą formację, lecącą na bardzo niskim pułapie, prostopadle do kierunku marszu Chińczyków. Po pierwszym nalocie, przy którym liczone na całkowite zaskoczenie przeciwnika, następowała najtrudniejsza faza operacji. Wprawdzie na zdjęciach nie stwierdzono obecności dział przeciwlotniczych ani mocniejszych stanowisk ogniowych, ale nikt nie wierzył w cuda. Stu żołnierzy ze Strielami mogło zdziałać więcej, niż kierowane radarem baterie i działony. Dlatego postanowiono, że drugi nalot, tym razem od czoła kolumny i jednocześnie od zaplecza, gdzie miano użyć mieszanki paliwowo powietrznej dla maksymalizacji strat w stadach bydła i sprzęcie, będzie jednocześnie ostatnim. Tutaj kończył się plan; dalsze postępowanie pozostawało w gestii pilotów. Nie mieli wystarczającej ilości paliwa na powrót, zastępcze lądowiska przygotowano na dawnych lotniskach wojskowych, przy granicy ukraińsko-rosyjskiej. Sokoły czekały tam na tych, którzy zdecydują się na powrót. Ale piloci mogli wybrać też inne rozwiązanie, zwłaszcza w sytuacji, gdy siły przeciwnika przetrwają atak i nadal stanowią będą zagrożenie. O tym jednak na razie nikt nie myślał.

Zachowując ciszę radiową, trzy formacje samolotów mknęły ku swoim celom. Zasadniczym atutem tego planu miało być zaskoczenie. Wszystkie cele powinny zostać zaatakowane o tej samej porze, z dokładnością do kilkunastu sekund. Tylko w ten sposób można było uniknąć alarmu w pozostałych jednostkach nieprzyjaciela.

\*\*\*

Major Borys, prowadzący pierwszy klucz F-16, po raz ostami spojrzął na rzekę, ciągnącą się poniżej prawego skrzydła. To ona, niepozorna wstążka, wijąca się wśród szarozółtych równin, zatrzymała pociągi z chińskim sprzętem. Most kolejowy na Desnie został zbombardowany jeszcze podczas wojny i teraz, pomimo heroicznych wysiłków kilku setek skośnookich robotników, opóźnił marsz składów, które czekały, rozciągnięte na przestrzeni prawie sześćdziesięciu kilometrów, na otwarcie przeprawy.

Borys zapiął maskę i odblokował uzbrojenie. Zachowywali ciszę radiową od początku misji; przy tak dobrej widoczności i spokojnym locie,

nikt się nie zgubił. Dopiero pół godziny temu rozdzielili się na cztery zespoły uderzeniowe. Znali doskonale swoje zadania, do ostatniej chwili omawiali je na odprawie. Każdy miał przydzielone indywidualne cele. Każdy przestudiował wielokrotnie zdjęcia celów, dostarczone przez Predatora.

Lekki ruch drążkiem i delikatne wachnięcie skrzydłami było znakiem do rozpoczęcia operacji. Maszyny rozluźniły szyk i zeszły jeszcze niżej, lecąc na wysokości nie przekraczającej pięćdziesięciu metrów.

Do celu zostało trzydzieści kilometrów.

\*\*\*

Korpus Północny tworzyło sześć zgrupowań, każde w sile czterech tysięcy ludzi. Pierwsze cztery stanowiły regularne oddziały piechoty, resztki elitarnych dywizji gwardyjskich z Shou Zou. Byli to żołnierze, którzy przeżyli atak nuklearny, wielki głód, wojnę domową, a potem dziesięć tysięcy kilometrów pieszej wędrówki przez bezdroża Azji, podnóża Uralu. Z tyłu maszerowali artylerzyści z wojsk ochrony pogranicza, pancerniacy, saperzy, cały przekrój dawnej armii.

Wyruszyło ich trzy razy tyle, ale choroby, zmęczenie i ustawiczne walki z napotykanymi po drodze społecznościami zbierały swoje żniwo. Wielu zostało w zdobytych miasteczkach, budując przyczółki dla nadciągającej fali osadników. Reszta parła wciąż naprzód, chcąc opanować całą Europę, a potem, kto wie, może i świat. Osiągnięcie tego celu jeszcze na minutę przed osiemnastą wydawało się całkiem realne.

Siedemdziesiąt dwie sekundy później cały świat stanął w płomieniach.

Chińczycy usłyszeli nadlatujące samoloty w momencie, gdy już je mieli nad głowami. Dwanaście smukłych maszyn, lecących parami, przemknęło wysoko nad sunącymi ociężałe oddziałami. Zaskoczeni, znużeni całodziennym marszem żołnierze nie zdążyli zareagować. Wszyscy wpatrywali się w niebo, szeregowcy, oficerowie. Ale tam nie było już żadnych samolotów. Tylko kilkadziesiąt niewielkich, prawie niewidocznych, spadochronów sunęło ku ziemi. Potrzeba było minuty, by ktoś je zauważył, potrzeba było jeszcze jednej, by zrozumiano, co niosą w sobie niewielkie zasobniki. Gdy ogłoszono alarm, na biegających w



beładzie ludzi spadły już miriady oleistych kropelek. Sześć sekund później kilka kilometrów kwadratowych równiny zamieniło się w szklaną pustynię.

W minutę później samoloty wróciły, tym razem lecąc wyżej i szybciej. Prosto na Zachód. Przemknęły nad stygnącymi polami śmierci i zniknęły w oddali nim ktokolwiek zdążył zareagować.

\*\*\*

Traczyk i pozostali ludzie z oddziału zebrali się przy kabinie drugiego Sokoła, skąd na bieżąco odbierali kolejne komunikaty z pól walki. Tymczasem Pan Jan siedział w namiocie i obserwował w skupieniu obraz przekazywany z obozu przeciwnika. Burmistrz zdążył włączyć podgląd w momencie, gdy oficer dostał się do autobusu sztabowego. Mina „starego”, wysłuchującego jego relacji, świadczyła o tym, że inscenizacja wypadła znakomicie. Chiński dowódca spoglądał na kolejne zdjęcia, rzucając z furją rozkazy. Nie zdołał jeszcze przełknąć informacji z wyprawy swojego podwładnego, gdy nadeszły pierwsze meldunki z Briańska. Musiały być nieciekawe, bowiem w autobusie zapanowała prawdziwa panika.

W tym samym momencie w namiocie pojawił się Henryk.

– Nasi chłopcy dali im popalić – stwierdził Burmistrz, nie odrywając wzroku od monitora.

– Skąd pan wie? – zdziwił się kanclerz, który dosłownie przed chwilą otrzymał meldunek o zakończeniu nalotu.

– Nie trzeba być telepatą, żeby wyczytać to z twarzy tych ludzi. Zdaje się, że nasz stary przyjaciel jest bardziej smutny niż wkurzony.

Henryk spojrział na monitor. Kamera zogniskowała się na drzwiach autobusu. Chiński dowódca siedział na schodkach z zaciętą miną. Wokół niego biegali spanikowani żołnierze i cywile.

– Jakie straty? – zapytał tymczasem Pan Jan.

– Możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że zniszczyliśmy osiemdziesiąt pięć procent wagonów. Na pewno wszystkie cysterny i lawety. Wiele składów płonie, więc bilans może się jeszcze poprawić. Korpus Południowy został, praktycznie rzecz biorąc, zlikwidowany. Wszystko poszło według planu. Zaskoczenie było całkowite. Wystarczyło rozpylić mieszankę paliwowo-powietrzną. Kiedy chłopcy zawrócili nad pole bitwy, zastali tam tylko zeszkloną ziemię. Na północy poszło nam

gorzej. Część korpusu została z tyłu, przez co nie udało się zbombardować całego zgrupowania jednocześnie. Sądzymy, że około trzydziestu procent stanu osobowego mogło przeżyć nasz atak. Ale zniszczyliśmy większość sprzętu...

– Nasze straty, panie Mróz... – przerwał mu Burmistrz.

– A, tak. To było kompletne zaskoczenie. Według odczytów, siedem maszyn zostało strąconych podczas nalotów, cztery w Briańsku i trzy nad korpusem Północnym. Dalszych jedenaście ma uszkodzenia na tyle poważne, że nie pozwolą na doprowadzenie ich do lądowisk zastępczych.

– Niech piloci postępują zgodnie z własnym sumieniem... – Burmistrz spojrzał na bladego kanclerza. Na ostatniej odprawie sami lotnicy zaproponowali, że maszyny, które nie będą mogły opuścić terenów walk, zostaną użyte jako żywe bomby do zniszczenia dodatkowych celów. Pozostali powinni pojawić się dokładnie nad tym miejscem za pięć minut. To też była część planu.

– Tak jest. – Reakcja kanclerza nie odbiegała od normy. Wystraszony, wykonywał każde polecenie z drżącymi rękami.

– Przekażcie im, że Ojczyzna nigdy nie zapomni tego, co dla niej zrobili.

– Oczywiście. Zaraz przekażę.

– I jeszcze jedno. – Burmistrz zatrzymał go, nim zdążył opuścić namiot.

– Przyślijcie mi tu oficera dowodzącego ochroną.

Podniecony Henryk nawet nie odpowiedział. Wybiegł na zewnątrz, a dosłownie pięć sekund później obok spoglądającego na monitor Sobieszczuka pojawił się wysoki, krótko ostrzyżony kapitan komandosów. Stuknął regulaminowo obcasami, lecz zanim zdążył się zameldować, Pan Jan uciszył go gestem ręki.

– Czy nasi przyjaciele przedsięwzięli jakieś środki ostrożności? – zapytał spokojnym głosem, nie odrywając wzroku od monitora.

– Tak jest! – Kapitan Piątek wyprężył się jak struna. – Melduję posłusznie, że namierzyliśmy na polach dwie grupy po osiem celów, najprawdopodobniej snajperów. Są oddaleni o osiemset metrów od tego miejsca.

– Możecie ich wyeliminować bez większego hałasu?

– Bez problemu, panie Burmistrzu. Moi chłopcy mają ich na celownikach od kilku godzin. Wzmocniliśmy grupę snajperów o ludzi z

zaplecza, żeby mieć przewagę ogniową na wszelki wypadek.

– Zrobicie to dokładnie w momencie, gdy delegacja przeciwnika pojawi się przed moim namiotem.

– Tak jest.

– To jeszcze nie wszystko... Czy ludzie, których pan wydelegował do ochrony namiotu, są całkowicie pewni?

– No... – Kapitan nie do końca zrozumiał.

– Pytam, czy wykonają każdy rozkaz?

– Tak jest, panie Burmistrzu. Bez wahania.

– Doskonale. Proszę im przekazać, że mają zlikwidować tych ludzi. – Wskazał palcem na wydającego rozkazy „starego” i oficera, który zastrzelił na ich oczach wieśniaka.

– Tak jest. – Odpowiedź była krótka, ale głos kapitana już nie był tak pewny.

– Zaraz po ich wejściu do namiotu...

– Oczywiście.

– I ani słowa marszałkowi!

– Tak jest, panie Burmistrzu...

– To wszystko, kapitanie.

Cień padający na monitor zniknął. Pan Jan został znów sam i wrócił do obserwacji ekranu. Chiński generał już nie siedział. Spoglądał z przerażeniem na plik kartek, które wręczył mu jakiś żołnierz, najprawdopodobniej dostał kolejne meldunki o stratach z północy i południa. Musiały być niewesołe. „Stary” przywołał kilku oficerów i, wnosząc z gestykulacji, nakazał rozśrodkowanie oddziałów, ale w cztery minuty na otwartej przestrzeni niewiele da się zrobić, a tyle jeszcze potrzebowały powracające z akcji samoloty, by dotrzeć nad ostatni korpus wroga...

Chiński dowódca odepchnął brutalnie kolejnego gońca i wsiadł do łazika. Zanim zasłonił go kolejny pasażer, wyraźnie było widać, że przeładowuje pistolet. Znakomicie jak do tej pory, wszystko toczyło się według planu. Burmistrz spojrział na zegarek. Dochodziła osiemnasta. Zakaszłał, sięgnął do kieszeni i wyjął czystą białą chusteczkę, otarł usta i schował ją szybko, by kręcący się przy wejściu adiutant Traczyka nie zauważył dużej ciemnoczerwonej plamy, która pojawiła się na materiale. Podniósł ze stołu pisak i narysował na mapie czwartą linię, jednocześnie

kreśląc pozostałe. Gruba, czarna kreska przecięła pajęczynę dróg wokół napisu Moskwa.

*Katowice 14-20.03.2001*

*27-30.10.2001*